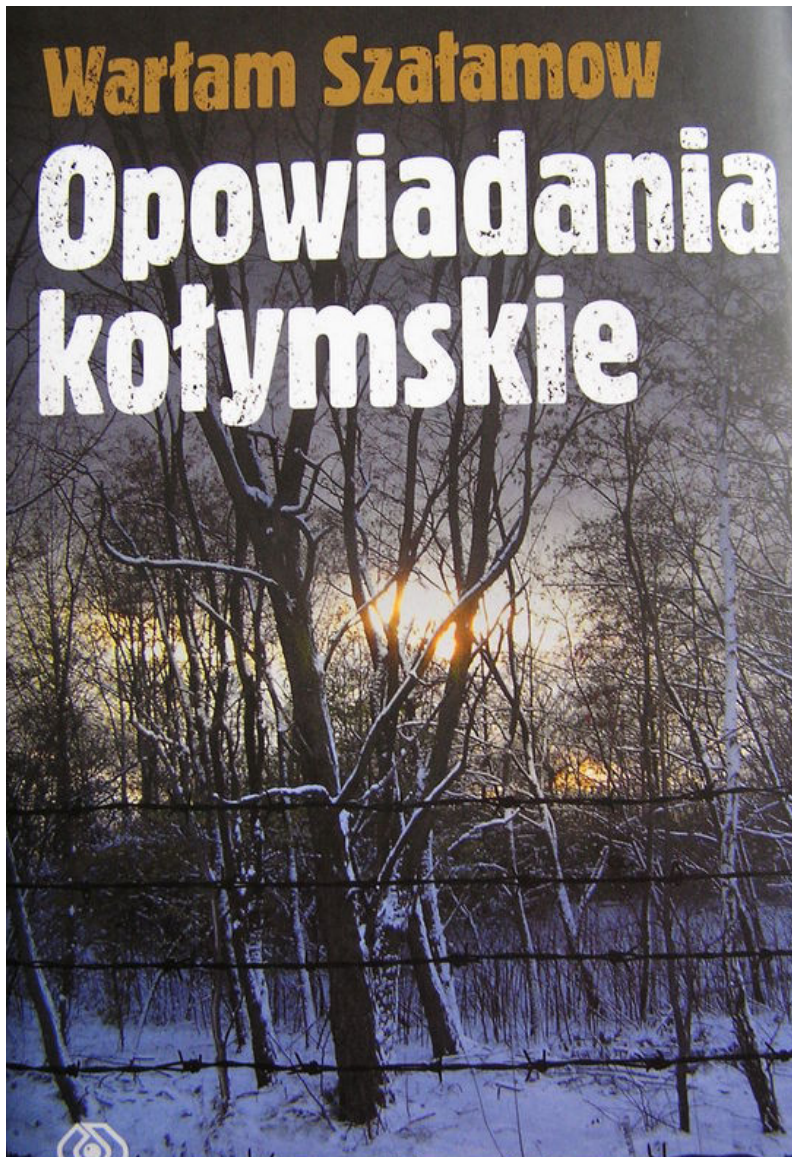


Wartam Szatamow

Opowiadania kołymskie



PROCURATOR JUDEI

Piątego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku do zatoki Nagajewo wszedł parowiec "Kim" z ładunkiem ludzi. To był już ostatni rejs, nawigacja kończyła się. Magadan powitał gości czterdziestostopniowymi mrozami. Zresztą, parowiec nie przywiózł gości, lecz prawdziwych gospodarzy tej ziemi - więźniów. Przybyło całe naczalstwo, wszyscy zjawili się w porcie. Parowiec "Kim" spotykały wszystkie znajdujące się w mieście samochody ciężarowe. Żołnierze z formacji kadrowych otoczyli molo i rozpoczął się wyładunek. Na telefoniczne wezwanie wszystkie wolne ciężarówki w kopalniach położonych w odległości pięciuset kilometrów od zatoki ruszyły puste do Magadanu. Martwych pozostawiano na brzegu i zwożono na cmentarz, do bratnich mogił, nie przywiązując żadnych metek, sporządzając jedynie protokół konieczności ekshumacji zwłok w późniejszym czasie. Najciężej chorych, ale jeszcze żyjących, rozwożono po szpitalach dla więźniów w Magadanie, Ole, Armani i Dukcze. Chorych, których stan oceniano jako średni, odwożono do Centralnego Szpitala dla Więźniów - na lewy brzeg Kołymy. Szpital dopiero co przeniósł się tam z 23 kilometra. Gdyby parowiec "Kim" przybył rok wcześniej - nie trzeba by było jechać te 500

kilometrów. Kierownik oddziału chirurgii Kubancew, świeżo przybyły z wojska, z frontu, wstrząśnięty był widokiem tych ludzi, tych strasznych ran. W każdym samochodzie, który przyjechał z Magadanu, znajdowały się trupy zmarłych w drodze. Chirurg rozumiał, że to mieli być ci „lżejsi”, nadający się do transportu, bo najbardziej chorych pozostawiono na miejscu. Powtarzał on słowa generała Radiszczewa, które udało mu się gdzieś tam przeczytać zaraz po wojnie. „Frontowe doświadczenia żołnierza nie potrafią człowieka przygotować do widoku śmierci w łagrach”. Kubancew tracił zimną krew. Nie wiedział, jaki wydać rozkaz, od czego zacząć. Kołyma zwała na frontowego chirurga zbyt wielki ciężar. Trzeba było jednak coś zrobić. Sanitariusze zabierali chorych z ciężarówek i nosili na noszach na oddział chirurgii. Nosze stały tam ciasno ustawione na wszystkich korytarzach. Zapachy potrafimy pamiętać jak wiersze, jak ludzkie twarze. Woń tej łagrowej ropy pozostała na zawsze w zapachowo-smakowej pamięci Kubancewa. Wspominał ją potem przez całe życie. Wydawałoby się, że woń ropy jest wszędzie jednakowa i wszędzie jednakowa jest również śmierć. Tak nie jest. Przez całe życie Kubancewowi wydawało się, że to pachną rany tych jego pierwszych kołymskich chorych. Kubancew palił, palił i czuł, że traci panowanie nad

sobą, że nie wie, co ma polecić sanitariuszom, felczerom, lekarzom.

- Aleksieju Aleksiejewiczu - usłyszał nagle głos obok siebie. To Braude, chirurg-więzień, były kierownik tego samego oddziału, dopiero co usunięty z tego stanowiska na podstawie rozkazu wyższego naczalstwa, gdyż był więźniem, a do tego z niemieckim nazwiskiem - Pan pozwoli, że ja pokieruję. Ja to wszystko znam. Jestem tu dziesięć lat.

Zdenerwowany Kubancew ustąpił mu miejsca i robota zawrzała. Operacje wykonywali jednocześnie trzech chirurdzy - asystowali im felczerzy. Inni dawali zastrzyki, wydawali sercowcom lekarstwa.

- Amputacje, tylko amputacje - mamrotał Braude.

Lubił chirurgię, i, według jego własnych słów, cierpiał, jeżeli w jego życiu zdarzał się dzień bez operacji, bez jednego cięcia.

- Teraz to nudzić się nie będziemy - cieszył się Braude - A Kubancew, chociaż niezły chłop, to jednak stracił się. Frontowy chirurg! U nich tam cały czas instrukcje, schematy, rozkazy, a tu, proszę, samo życie, Kołyma!

Braude nie był jednak złym człowiekiem. Usunięty bez żadnego powodu ze swego stanowiska, wcale nie znienawidził swojego następcy, nie robił mu świństw. Na odwrót - widział zagubienie Kubancewa i wyczuwał, że tamten jest mu głęboko wdzięczny. Jakkolwiek by było, człowiek

ma rodzinę, żonę, syna w szkole. Oficerowie otrzymują przydziały żywnościowe, wysoką pensję, wielkie ruble. A co ma Braude? Dziesięć lat wyroku za sobą i bardzo niepewną przyszłość. Braude pochodził z Saratowa, był uczniem sławnego Krauzego i sam się obiecująco zapowiadał. Ale trzydziesty siódmy rok zupełnie zniszczył jego przyszłość. Czyż więc będzie się mścić na Kubancewie za swoje niepowodzenia...? I Braude wydawał polecenia, operował, wymyślał. Żył, zapominając o sobie, i chociaż w chwilach zadumy często nienawidził samego siebie to, że tak mało dba o własne sprawy - nie potrafił się zmienić. Dziś jednak zdecydował: odejść ze szpitala. Wyjadę na „kontynent”. Niedługo koniec bajki, a my nie znamy początku. Piątego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku do zatoki Nagajewo wszedł parowiec "Kim" z ładunkiem ludzi - trzema tysiącami więźniów. W drodze więźniowie wszczęli bunt i naczalstwo podjęło decyzję zalania wszystkich ładowni wodą. Wszystko to przeprowadzono przy czterdziestostopniowym mrozie. Co to takiego odmrożenia III-IV stopnia, jak mówił Braude, czy obmrożenia, jak się wyrażał Kubancew - właśnie wtedy mógł je poznać, pierwszego dnia swojej kołymskiej pracy dla wysługi lat. Wszystko to należy zapomnieć, i Kubancew, człowiek zdyscyplinowany i

posiadający silną wolę, tak właśnie postąpił. Zmusił siebie do zapomnienia. Po siedemnastu latach wspominał każdego felczera spośród więźniów, ich imiona i nazwiska, każdą siostrę medyczną, pamiętał, kto z kim „żył”, przypominając sobie szpitalne romanse. Pamiętał stopień każdego naczelnika, zwłaszcza tych najpodlejszych. O jednym tylko nie pamiętał - o parowcu "Kim" z trzema tysiącami poodmrażanych ludzi. Jest takie opowiadanie Anatola Francea - "Procurator Judei". I w nim Poncjusz Piłat nie może po siedemnastu latach przypomnieć sobie Chrystusa.

BÓL

To straszna historia - tak dziwna, że nie może jej zrozumieć nikt, kto nie był w łagrze, kto nie zna mrocznych głębin świata kryminalistów, królestwa błatniaków. Łagier jest dnem życia. Przestępczy świat - to nie jest dno dna. To jest zupełnie, zupełnie coś innego, coś nieludzkiego. Istnieje takie banalne zdanie: historia powtarza się dwukrotnie - pierwszy raz jako tragedia, drugi raz jako farsa. Nieprawda. Jest jeszcze trzecia projekcja tych samych zdarzeń, wariant tego samego tematu, utworzony we wklęsłym zwierciadle podziemnego świata. Temat niewyobrażalny, a jednak realny, istniejący naprawdę, żyjący obok nas. W tym wklęsłym zwierciadle uczuć i

postępków widnieją jak najbardziej prawdziwe szubienice w kopalnianych „rozprawach”, „honorowych sądach” błatniaków. Zabawiają się tam w wojnę, powtarzane są jej spektakle i leje się prawdziwa krew. Istnieje świat sił wyższych, świat bogów Homera, schodzących do nas, ażeby dać się poznać i swoim przykładem doskonalić ludzki rodzaj. Co prawda bogowie się spóźniają. Homer chwalił Achajów, a my zachwycamy się Hektorem - moralny klimat nieco się zmienił. Czasami bogowie wzywają człowieka do nieba, ażeby jego, uczestnika „wielkich widowisk”, uczynić widzem. Wszystko to poeta już dawno odkrył. Istnieje świat i istnieją podziemia piekieł, skąd czasami ludzie wracają, nie ginąc w nich na zawsze. Ale po cóż wracają? Serca ich są napełnione wiecznym strachem, pełne grozy świata ciemności, który wcale nie jest poza grobem. Ten świat jest bardziej realny niż Homerowe niebo. Szełgunow „kotwiczył się” na punkcie tranzytowym we Władywostoku - oberwany, brudny, głodny, niedobity jeszcze przez konwojentów za uchylenie się od pracy. Trzeba było żyć, a statki, podobnie jak wagoniki do pieców gazowych w Auschwitz, wywoziły ludzi za morze, parowiec za parowcem, etap za etapem. Za morzem, skąd nikt nie powracał, Szełgunow już zdążył być w zeszłym roku, w przyszpitalnej „dolinie śmierci”, i doczekał się odesłania z

powrotem na „kontynent” - do złota Szełgunowowskich kości nie chciano brać. Obecnie niebezpieczeństwo znów się przybliżyło, cała niepewność życia aresztanta odczuwana była przez Szełgunowa coraz to wyraźniej. I nie było wyjścia z tej niepewności, z tej beznadziei. Punkt tranzytowy - to olbrzymie osiedle, poprzecinane we wszystkich kierunkach regularnymi kwadratami zon, omotane drutem i znajdujące się pod obstrzałem setek wieżyczek strażniczych, oświetlone, wręcz prześwietlone tysiącami jupiterów, oślepiających słabe aresztanckie oczy. Nary tego ogromnego punktu tranzytowego - wrót Kołymy - to nagle pustoszały, to znów zapełniały się umęczonymi, brudnymi ludźmi - nowymi etapami z wolności. Parowce powracały, punkt wypluwał nową porcję ludzi, wypróżniał się i znów napełniał. W tej zonie, gdzie mieszkał Szełgunow - największej zonie punktu tranzytowego - opróżniano wszystkie baraki oprócz dziewiątego. Mieszkali w nim błatniacy. Hulał w nim sam Król - herszt. Nadzorcy tam się nie pokazywali, każdego dnia obsługa łagru zabierała spod wejścia trupy „dochodzących swych praw” u Króla. Do tego baraku kucharze tachali z kuchni swoje najlepsze dania, a najlepsze rzeczy - „szmatki” - pochodzące ze wszystkich etapów obowiązkowo były „grane” w dziewiątym, królewskim baraku. Szełgunow, który w

prostej linii był potomkiem ziemowolnościowców Szełgunowów, którego ojciec był na wolności akademikiem, a matka - profesorem, od dziecięcych lat żył książkami i dla książek; będąc bibliofilem i pożeraczem książek, wraz z mlekiem matki wessał rosyjską kulturę. To dziewiętnasty wiek, złoty wiek ludzkości, uformował Szełgunowa. Dziel się swą wiedzą. Wierz ludziom i kochaj ich - tak uczyła wielka literatura rosyjska, i Szełgunow od dawna już czuł się na siłach oddać społeczeństwu to, co odziedziczył. Poświęcać się - dla każdego. Powstawać - przeciwko wszystkiemu, co jest zaprzeczeniem prawdy, nawet w najdrobniejszym wymiarze, zwłaszcza jeśli ta nieprawda znajduje się blisko. Więzienie i zesłanie były pierwszą odpowiedzią państwa na przedsiębrane przez Szełgunowa próby życia w sposób wskazany mu przez książki, tak jak uczył dziewiętnasty wiek. Szełgunow był zdumiony nikczemnością otaczających go ludzi. W łagrze nie było bohaterów. Szełgunow nie chciał wierzyć, że dziewiętnasty wiek go oszukał. Głębokie rozczarowanie do ludzi spotykanych w czasie śledztwa, etapu i pobytów na punktach tranzytowych przeszło nagle w poprzednią rzeźkość, w poprzednią egzaltację. Szełgunow szukał i natknął się na to, czego pragnął, o czym marzył - na żywe przykłady! Napotkał siłę, o

której wiele razy czytał przedtem, i wiara w nią weszła w krew Szełgunowa. Był to przestępczy świat błatniaków. Ówczesne naczalstwo gardziło sąsiadami i przyjaciółmi Szełgunowa na równi z samym Szełgunowem - i odnosiło się z obawą i nabożeństwem do kryminalistów. Oto świat, który śmiało przeciwstawił się państwu, świat, który może wspomóc Szełgunowa w jego ślepych, romantycznym pragnieniu dobra, także zemsty...

- Nie ma u was opowiadacza?

Ktoś wkładał buty, oparłszy nogę o nary. W świecie, w którym przez wiele lat istniały tylko onuce, posiadanie skarpetek i krawata wskazywało, że ich właściciel, jak to bezbłędnie ocenił Szełgunow, może być tylko z dziewiątego baraku.

- Jest tu jeden. Hej, pisarzu!

- Tu jestem, pisarz!

Szełgunow wychynął z ciemności.

- Pójdziemy do Króla - coś tam ciśniesz.

- Ja nie pójdę.

- Jak to: nie pójdiesz? Nie dożyjesz do wieczora, durniu!

Literatura piękna dobrze przygotowała Szełgunowa na spotkanie ze światem przestępczym. Z nabożeństwem przekroczył próg dziewiątego baraku. Wszystkie nerwy w tym jego pędzie do dobra napięły się i dźwięczały jak struna. Szełgunow powinien był uzyskać powodzenie, i zaskarbić sobie uwagę, szacunek, miłość najwyższego słuchacza - tutejszego

gospodarza, Króla. I Szełgunow ten sukces uzyskał. Wszystkie jego złe przygody skończyły się w tym momencie, kiedy wargi Króla rozwarły się w uśmiechu. I cóż Szełgunow „ciskał” - daj Boże przypomnieć? Zagrywać pewną kartą - Hrabia Monte Christo - nie zechciał. Nie.

Szełgunow wskrzesił przed Królem Kroniki Stendhala, autobiografie Celliniego, krwawe legendy włoskiego średniowiecza.

- Zuch, zuch! - chrypiał Król - Ładnie, „pochawaliśmy” trochę kultury.

Od tego wieczoru nie mogło być mowy o żadnej pracy dla Szełgunowa. Przyniesiono mu obiad, tytoń, a następnego dnia przeprowadzono do dziewiątego baraku na stałe zameldowanie, jeżeli takie bywa w łagrze. Szełgunow został nadwornym opowiadaczem.

- Coś taki niewesoły, opowiadaczu?

- Myślę o domu, o żonie...

- No tak...

- Widzisz, śledztwo, etap, punkt tranzytowy. Nie dają przecież korespondować, dopóki nie wywiozą na złoto.

- Ech, ty, jeleniu. A my to co? Napisz do swojej ślicznotki, a my wyślemy - bez skrzynek pocztowych, naszą własną koleją. No co, opowiadaczu?

- Do końca życia wam nie odsłużę.

- No to pisz.

I tak Szełgunow zaczął raz na tydzień wysyłać listy do Moskwy. Żona jego była

artystką, moskiewską artystką z generalskiej rodziny. Kiedyś, w czasie aresztowania, obejmując go, powiedziała: - Niech nawet nie będzie listów przez rok czy dwa. Będę czekać, zawsze będę z tobą.

- Listy nadejdą wcześniej - stanowczo, po męsku uspokajał żonę Szełgunow - Znajdę odpowiednie kanały. I tymi kanałami będziesz otrzymywać listy. I będziesz na nie odpowiadać.

- Tak! Tak! Tak!

- Czy wezwać opowiadacza? Czy jeszcze nie nadojadł? - zapytał swego szefa z troską w głosie Kola Szczerbaty - Może przyprowadzić kogucika i nowego etapu... Można z naszych, a można z pięćdziesiątego ósmego.

Kogucikami błatniacy nazywają pederastów.

- Nie. Wołaj opowiadacza. Wprawdzie kultury „pochawaliśmy” dosyć. Ale wszystko to - powieści, teoria. Z tym frajerem zagramy w jeszcze jedną grę. Czasu mamy aż nadto.

- Marzenie ty moje, opowiadaczu - powiedział Król, gdy dokonały się już wszystkie obrządki przed snem - i pięty zostały poczochrane, i krzyż włożony na szyję, i na plecach postawiono więzienne „bańki” - takie szczypiące, z podcięciem - marzenie ty moje, opowiadaczu, żeby do mnie pisała z wolności taka baba jak twoja. Świetna! - Król pokręcił w rękach połamaną, wytartą fotografią Maryny, żony Szełgunowa, przeniesioną przez

tysiące rewizji, dezynfekcji i kradzieży
- Świetna! Nadaje się na seans.
Generalska córka! Artystka! Szczęśliwi
wy jesteście, frajerzy - a my mamy tylko
syfilugi. A na tryper to w ogóle nie
zwracasz uwagi. No, kimamy. Już mi się
coś śni.

I następnego wieczoru opowiadacz już nie
„ciskał” romansów.

- Przypadłeś mi jakoś do serca, frajerze.
Jeleń z jeleni, a jednak masz w sobie
kroplę krwi żulika. Napiszesz list do
żony mojego kolegi, człowieka jednym
słowem. Jesteś przecież pisarzem. Jak
najdelikatniej i najmądrzej. Jeżeli tyle
powieści znasz. Chyba żadna nie oprze
się twoim listom. A my to co i ciemny
naród. Pisz. Człowiek przepisze i
odeśle. Macie nawet jednakowe imiona -
Aleksander. To ci heca. Co prawda nazywa
się Aleksander tylko w tej sprawie. Ale
mimo wszystko Aleksander. Więc Szura,
Szurka.

- Nigdy nie pisałem takich listów -
powiedział Szełgunow - Ale mogę
spróbować.

Każdy list, każdy jego sens Król
formułował ustnie, a Szełgunow - Cyrano
zamieniał go w żywe słowa. Takich listów
Szełgunow napisał pięćdziesiąt. W jednym
z nich było takie miejsce: „przyznaję
się do wszystkiego i proszę sowiecką
władzę o przebaczenie...”.

- Czyż urki, to znaczy błatniacy proszą o przebaczenie? - spytał Szełgunow, przerywając mimo woli pisanie.

- A jak? - odrzekł Król - Ten gryps - to zabawka, kamuflaż, udawanie. Podstęp wojenny.

Więcej już Szełgunow nie pytał, lecz pokornie pisał to, co mu Król dyktował. Szełgunow czytał te listy na głos, poprawiał styl i czuł się dumny ze swojego nieprzyćmionego umysłu. Król je akceptował, ledwie dostrzegalnym ruchem swych królewskich warg. Wszystko się jednak kończy. Skończyło się również pisanie listów dla Króla. A być może była tego ważna przyczyna. Chodziła plotka, łagrowa „parasza”, że Króla odeśła jednak etapem na Kołymę - tam gdzie on tyłu wysłał, zabijając i oszukując. A więc pochwyć go we śnie, zwiążą ręce, nogi i na statek. Pora była kończyć korespondencję, i tak już prawie rok Szełgunow-Cyrano przemawiał głosem miłości Krystiana do Roksany. Ale trzeba zakończyć grę po błatniacku, tak aby wystąpiła żywa krew. Zapieczona krew widniała na skroni martwego człowieka leżącego przed oczami Króla. Szełgunow chciał zasłonić twarz, zakryć patrzące z wyrzutem oczy.

- Czy ty widzisz, kto to? To twój imiennik, Szura, dla którego ty pisałeś listy. Dzisiaj operatynicy zrobili go na czysto, odrabali mu głowę siekierą. Widać, szedł zakryty szalikiem. Pisz:

„pisze kolega Szury! Szurę wczoraj rozstrzelali, a ja spieszę donieść, że jego ostatnimi słowami...”. Napisałeś? - spytał Król - Przepiszemy i dobra. Więcej listów pisać nie trzeba. Ten list mógłbym napisać i bez ciebie - uśmiechnął się Król - Ale cenimy wykształcenie, pisarzu. My, ludzie ciemni...

Szełgunow napisał żałobny list. Król zaś jakby wyczuł - został nocą schwytany i wywieziony za morze. A Szełgunow, nie mogąc odnaleźć łączności z domem, stracił wszelką nadzieję. Przebijając się w pojedynkę przez rok, drugi, trzeci - błądził od szpitala do pracy, pomstując na żonę, która okazała się kanalią albo tchórzem, która nie skorzystała z „pewnych kanałów” łączności i zapomniała o nim, o Szełgunowie, zdeptując wszelkie wspomnienia. Ale zdarza się też tak, że piekło łagru się kończy. Szełgunow zwolnił się i przyjechał do Moskwy. Matka powiedziała, że nic nie wie o Marynie. Ojciec zmarł. Szełgunow odszukał przyjaciółkę Maryny, pracującą z nią razem w teatrze, i zaszedł do jej mieszkania. Przyjaciółka krzyknęła.

- Co się stało? - spytał Szełgunow.

- To ty nie umarłeś, Szura...

- Jak to, nie umarłem? Kiedy tutaj stoję?

- Będiesz pan wiecznie żyć. - z drugiego pokoju wyłonił się jakiś człowiek - To taka wróżba.

- Wiecznie żyć - tego mi chyba nie trzeba - powiedział cicho Szełgunow - Ale o co chodzi? Gdzie jest Maryna?

- Maryna umarła. Po tym, jak ciebie rozstrzelali, rzuciła się pod pociąg. Tyle że nie tam, gdzie Anna Karenina, a w Rastorgujewie. Położyła głowę pod koła. Odcięły jej głowę równo, do czysta. Przecież ty przyznałeś się do wszystkiego. A Maryna nie chciała o tym słyszeć, wierzyła w ciebie.

- Przyznałem się?

- Przecież sam napisałeś. A o tym, że ciebie rozstrzelali, napisał twój kolega. To jej walizeczka.

Były w niej wszystkie, pięćdziesiąt listów, które Szełgunow napisał do Maryny i Władystoku i przesłał swoimi kanałami. Kanały pracowały znakomicie, ale nie dla frajerów. Szełgunow spalił swoje listy, które zabiły Marynę. Ale gdzież są jej, jej fotografia wysłana do Władystoku? Szełgunow wyobraził sobie Króla czytającego jej listy pełne miłości. Patrzącego na przesłaną przez nią fotografię, na jej wysmukłe ciało, na jej delikatną twarz. Wyobraził sobie, jak ta fotografia służy Królowi „do seansu”. I rozplakał się. Płakał tak każdego dnia, przez całe życie. Szełgunow rzucił się do matki, ażeby odnaleźć cokolwiek, chociaż jedną linijkę napisaną ręką Maryny. Choćby to były listy nie do niego. Znalazły się takie dwa wytarte listy i Szełgunow

wyuczył się ich na pamięć. Generalska córka pisze listy do błatniaka. W błatniackim języku istnieje słowo „chlestać się”, oznacza ono - chwalić się i weszło do błatniackiej grypsery - „fieni” - z wielkiej literatury. „Chlestać się” oznacza być Chlestakowem. Król miał czym się „pochlestać”: „ten frajer-opowiadacz. Ale heca. Miły Szura. Tak trzeba pisać listy, a ty, parszywa suko nie potrafiłaś złożyć dwóch słów...”. Król wygłaszał fragmenty swej własnej opowieści Zoi Talitowej - prostytutce. Ja nie mam wykształcenia. Nie ma wykształcenia. Uczcie się, dranie, jak należy żyć. Wszystko to widział bez trudu Szełgunow, stojąc w ciemnej moskiewskiej bramie. Scena Cyrana, Krystiana i Roksany odegrana w dziewiątym kręgu piekieł, prawie na lodzie Dalekiej Północy. Szełgunow zawierzył się błatniakom, a oni spowodowali, że własnymi rękami zabił swą żonę. Dwa listy wyblakły, ale atrament pozostał, papier nie zamienił się w proch. Szełgunow czytał te listy każdego dnia. Jak je przechować na zawsze? Jakim klejem zalepić szczeliny, pęknięcia tych ciemnych kartek papieru listowego, który niegdyś był biały? Tylko nie ciekłym szkłem. Ono je spali, zniszczy. Mimo wszystko - można tak skleić listy, że będą żyć wiecznie. Każdy archiwista zna takie sposoby, zwłaszcza archiwista muzeum literatury.

Trzeba listy zmusić do mówienia – to wszystko. Miła kobieca twarz została umocowana na szkłe obok rosyjskiej ikony z dziewiętnastego wieku, trochę wyżej od ikony przedstawiającej Matkę Boską. Kobieca twarz, fotografia Maryny była tu zupełnie na miejscu i była od nich lepsza... W czymże Maryna nie jest tak święta jak Matka Boska? W czym? Dlaczego tyle kobiet – to święte, równe apostołom – wielkie męczennice, a Maryna jest tylko aktorką, która podłożyła głowę pod pociąg? A może religia prawosławna nie przyjmuje samobójczyń do anielskiego stanu? Fotografia kryła się pośród ikon i sama była ikoną. Czasami Szełgunow budził się pośród nocy i nie zapalając światła, po omacku szukał fotografii Maryny. Odmrożone w łagrze palce nie potrafiły odróżnić ikony od fotografii, drzewa od kartonu. A może Szełgunow był całkiem po prostu pijany. Szełgunow pił każdego dnia. Oczywiście, wódka – szkodzi, alkohol jest trucizną, a antabus jest dobrem. Ale cóż robić, jeśli na stole znajduje się ikona Maryny.

- Czy ty pamiętasz, Gienka, tego frajera, tego opowiadacza, pisarza? Co? Czy już dawno zapomniałeś? – pytał Król, gdy nadszedł czas układania się do snu, po spełnieniu wszystkich obrządków.

- Czemu miałbym zapomnieć? Pamiętam. To był dopiero jełop, osioł!

I Gienka pomachał rozstawionymi palcami ręki nad swoim prawym uchem.

TRĘDOWACI

Od razu po wojnie w szpitalu rozegrał się dramat - a raczej jego finał. Wojna podjęła i wyniosła na światło dzienne takie warstwy życia, takie jego obszary, które dotychczas zawsze i wszędzie skrywały się na dnie przed ostrym światłem słonecznym. Nie chodzi tu o kryminalne podziemie ani o tajne stowarzyszenia. To coś całkiem innego. W czasie działań wojennych rozbite zostały leprozoria i trędowaci mieszczeni z normalnymi ludźmi. Jaka to wojna, jawna czy tajna? Chemiczna czy bakteriologiczna? Zarażeni trędem z łatwością podawali się za rannych, okaleczonych w czasie wojny. Trędowaci wymieszali się z ludnością uciekającą na wschód, powrócili do normalnego, chociaż straszego życia, traktowani jako ofiary wojny, a nawet, być może, jako bohaterowie. Trędowaci żyli i pracowali. Wystarczyło jednak tylko, by wojna się skończyła, a przypomnieli sobie o nich lekarze, i przerażające kartoteki zaczęły się ponownie zapełniać. Trędowaci żyli wśród ludzi, widząc wraz z nimi natarcia i odwroty, dzieląc z nimi radość lub gorzkie zwycięstwa. Pracowali w fabrykach i na roli. Stawali się naczelnikami i podwładnymi. Nie zostawali tylko nigdy żołnierzami - nie pozwalały na to kikuty palców, nie do odróżnienia od wojennych obrażeń.

Trędowaci podawali się za ofiary wojny - jednostki pośród milionów. Siergiej Fiedorenko był kierownikiem składu. Będąc inwalidą wojennym, dobrze wypełniał swoje obowiązki, zręcznie sobie radząc za pomocą swoich nieposłusznych resztek palców. Czekająca go kariera, partyjna legitymacja, ale gdy poczuł pieniądze w ręku, zaczął pić, hulać, aż został aresztowany, zasądzony i przypłynął jednym z rejsów kołymskich statków do Magadanu z dziesięcioletnim wyrokiem za przestępstwo pospolite. Tutaj Fiedorenko podał inną przyczynę swojego kalectwa. Chociaż i tutaj nie brakowało samookaleczeń, to było dogodniej, bardziej na czasie, rozplynać się w morzu odmrożeń. W taki właśnie sposób spotkałem go w szpitalu - następstwa odmrożenia III-IV stopnia, niegojąca się rana, kikut stopy, kikuty palców na obu rękach. Fiedorenko leczył się. Jednak bez rezultatów. Ale przecież każdy chory walczył z leczeniem, jak tylko potrafił. Po wielu miesiącach leczenia wrzodów na tle odżywczym Fiedorenko wypisał się i chcąc zatrzymać się w szpitalu, został sanitariuszem, a potem jako starszy sanitariusz trafił na oddział chirurgiczny z trzystoma łózkami. To był centralny szpital, na tysiąc łóżek dla samych więźniów. W przybudówce na jednym z pięter mieścił się szpital dla wolnych. Tak się przytrafiło, że lekarz, który prowadził

historię choroby Fiedorenki, zachorował i zamiast niego począł „zapisywać” doktor Krasiński, stary wojskowy lekarz, amator Juliusza Verne'a (dlaczego?), człowiek, któremu kołymskie życie nie odebrało chęci, aby pogawędzić, porozprawiać, poplotkować. W czasie oględzin Fiedorenki Krasińskiego coś tknęło - nie bardzo wiedział co. Zaalarmowało go coś, jeszcze ze studenckich czasów. Nie, to nie jest wrzód na tle żywieniowym ani kikut spowodowany wybuchem czy uderzeniem topora. To przecież jest wolno rozkładająca się tkanka. Krasińskiemu zabiło serce. Jeszcze raz przywołał Fiedorenkę i pociągnął go ku oknu, do światła, wpatrując mu się chciwie w twarz i sam sobie nie wierząc. Przecież to - trąd! To - lwia maska! Ludzka twarz podobna do pyska lwa. Krasiński gorączkowo kartkował podręczniki. Wziął wielką igłę i kilkakrotnie nakłuł białą plamkę, jakich było wiele na skórze Fiedorenki. Żadnego bólu! Złany potem Krasiński napisał raport do naczalstwa. Chory Fiedorenko został odizolowany w oddzielnym pomieszczeniu, a skrawki skóry potrzebne do biopsji odesłano do centrum, do Magadanu, a stamtąd - do Moskwy. Po dwu tygodniach przyszła odpowiedź. Trąd! Krasiński chodził w aureoli sukcesu. Trwała korespondencja pomiędzy naczalstwami na temat wystawienia skierowania do kołymskiego

leprozorium. Znajduje się ono na wyspie, a na obu brzegach stoją wycelowane na przeprawę karabiny maszynowe. Skierowanie, konieczne było skierowanie. Fiedorenko nie zaprzeczał, że był w leprozorium i że trędowaci, pozostawieni sami sobie, uciekli na wolność. Jedni - aby doganiać cofających się drudzy - spotykać hitlerowców. Podobnie jak to było z innymi ludźmi, Fiedorenko czekał na odjazd spokojnie, ale szpital szalał. Cały szpital. Także ci, którzy byli masakrowani w czasie śledztwa, których dusze stały się nicością w tysiącach przesłuchań, a ciało zostało złamane, umęczone przez pracę ponad siły, z wyrokami po dwadzieścia pięć i pięć bez praw, którzy nie mogli przeżyć, wyżyć, pozostać przy życiu... Wszyscy drżeli ze strachu, krzyczeli i przeklinali Fiedorenkę, bojąc się trądu. To było takie samo zjawisko psychiczne jak to, które każe zbiegom odłożyć znakomicie przygotowaną ucieczkę dlatego, że tego dnia dają w łagrze tytoń - albo „skleplik”. Ile jest łagrów, tyle można znaleźć takich dziwnych, wbrew logice przykładów. Na przykład ludzki wstyd. Jaka jest jego miara i gdzie są jego granice? Okazywało się, że ludzie, których życie zostało zniszczone, a przeszłość i przyszłość podeptane, znajdują się we władzy jakiegoś błahego przesądu, jakiegoś głupstwa, ponad którym nie mogą przejść, którego nie

potrafią odrzucić. I ten nagły przejaw wstydu wyłania się jako delikatne, ludzkie uczucie, i pozostaje w pamięci jako coś prawdziwego i nieskończenie drogiego. W szpitalu wydarzyło się raz tak, że felczerowi, który naprawdę jeszcze nim nie był, a tylko całkiem po prostu „pomagał”, polecono golenie żeńskiego etapu. Dla zabawy naczelstwo nakazało kobietom golenie mężczyzn, a mężczyznom – kobiet. Chodziło oczywiście o wstydlive miejsca. Każdy zabawia się jak umie. Ale powołany adhoc fryzjer-mężczyzna błagał swojego naczelnika, aby przeprowadzić ten obrządek w trybie normalnie stosowanej „sanitarnej obróbki”, i w żaden sposób nie chciał pomyśleć, że przecież całe jego życie zostało zniszczone, że te wszystkie zabawy łagrowego naczelstwa – to jedynie brudna piana w kotle, w którym rozgotowuje się na śmierć jego własne życie. Nieoczekiwanie odkrywa się u ludzi coś ludzkiego, delikatnego i jednocześnie śmiesznego. W szpitalu trwała panika. Przecież Fiedorenko pracował tam przez kilka miesięcy. Na nieszczęście, w przypadku tej choroby „prodromalny okres”, do czasu pojawienia się zewnętrznych oznak, trwa kilka lat. Ludzie, chorobliwie podejrzliwi, skazani zostali na wieczny strach nękający ich dusze, bez względu na to, czy byli to wolni, czy więźniowie. Panika trwała. Lekarze gorączkowo poszukiwali - u

chorych i u siebie - tych białych, pozbawionych czucia plamek. Oprócz fonendoskopu i młoteczka igła stała się nieodłącznym przyrządem lekarza przy wstępnych oględzinach. Chorego Fiedorenkę przyprowadzano i rozbierano przed felczerami i lekarzami. Obok chorego stał nadzorca z pistoletem. Doktor Krasiński uzbrojony w ogromny wskaźnik, opowiadał o trądzie, wyciągając kijek to do lwiej twarzy byłego sanitariusza, to do jego rozkładających się palców, to do błyszczących białych plam na jego plecach. Dosłownie wszyscy mieszkańcy szpitala, wolni i więźniowie, zostali poddani przeglądowi i nagle, na plecach Szury Leszczyńskiej, frontowej siostry medycznej, aktualnie dyżurującej na oddziale kobiecym, znaleziono białą, nieczułą plamkę. Leszczyńska była w szpitalu niedługo, od kilku miesięcy. Żadnej lwiej maski. Nie zachowywała się ani surowiej, ani bardziej pobłażliwie, ani głośniej czy bardziej rozwiązle niż jakakolwiek inna „siostra-więźniarka”. Zamknięto ją w jednym z pomieszczeń kobiecego oddziału, a skrawek jej skóry odwieziono do Magadanu i do Moskwy na analizę. I odpowiedź nadeszła: trąd! Dezynfekcja po trądzie - to bardzo trudna sprawa. Należy spalić dom, w którym mieszkał trędowaty. Tak uczą podręczniki. Ale żeby spalić czy wypalić jedną z sal ogromnego piętrowego domu-

giganta! Na to nikt się nie decydował. Podobnie jak w przypadku drogich futer, gdzie idzie się na ryzyko pozostawienia zarazy i uratowania futrzanego bogactwa, skrapiając je jedynie symbolicznie, ponieważ w wysokotemperaturowej komorze dezynfekcyjnej zginęłyby nie tylko mikroby, ale i same rzeczy. Naczalstwo milczałoby nawet w przypadku dżumy czy cholery. Ktoś wziął na siebie odpowiedzialność za niespalenie. Pomieszczenia, w których przebywał Fiedorenko w oczekiwaniu na odesłanie go do leprozorium, również nie spalono. Po prostu zalano wszystko fenolem, karbolem, opryskując je wielokrotnie. Od razu też pojawiła się nowa istotna obawa. Fiedorenko i Leszczyńska mieszkali w dużych pokojach z kilkoma łózkami. Zarówno odpowiedź, jak i skierowanie - skierowanie na dwoje ludzi - wciąż jeszcze nie przychodziło, nie przyjeżdżało, bez względu na dopominanie się naczalstwa w codziennych, a raczej conocnych telegramach do Magadanu. Na dole, w piwnicy, wygrodzono pomieszczenie i zbudowano dwie maleńkie komórki dla trędowatych-aresztantów. Przeniesiono do nich Fiedorenkę i Leszczyńską. Za mocnym zamkiem, pod strażą, mieli oczekiwać na rozkaz, skierowanie do leprozorium i na konwój. Przemieszkali w swoich celach jedną dobę, a po jej upływie zmiana wartowników znalazła puste cele. W szpitalu powstała

panika. W celach wszystko było na swoim miejscu i okna, i drzwi. Pierwszy domyślił się Krasiński. Uciekli przez podłogę. Siłacz Fiedorenko rozebrał bierwiona, wyszedł na korytarz, ograbił rozdzielnię chleba, salę operacyjną oddziału chirurgicznego i zabrawszy cały spirytus, wszystkie alkoholowe roztwory znajdujące się w szafkach, wszystkie „kodeinki”, zawlókł tę zdobycz do podziemnej nory. Trędowaci wyszukali miejsce, wygrodzili sobie łożę, narzucali na nie materace, koce, zagrodzili bierwionami od świata, konwoju, szpitala, leprozorium i przeżyli razem, jak mąż i żona, kilka dni - zdaje się, że trzy. Znaleziono ich trzeciego dnia poszukiwań, w których brali udział ludzie z psami. Ja też byłem w tej grupie w wysokiej piwnicy szpitala. Fundament był tam bardzo wysoki. Rozsunięto bierwiona i znaleziono w głębi leżących nago oboje trędowatych. Okaleczone ręce Fiedorenki obejmowały białe, błyszczące ciało Leszczyńskiej. Oboje byli pijani. Okryto ich kocami i zanesiono do jednej z cel, już ich nie rozłączając więcej. Kto przykrywał ich kocem, kto dotykał tych strasznych ciał? Specjalny sanitariusz, wynaleziony w szpitalu do „obsługi”, za cenę (według wyjaśnień naczalstwa) zaliczeń siedmiu dni za jeden dzień roboczy. A zatem więcej niż na wolframie, ołowiu czy uranie. Siedem dni

za jeden dzień. W tym przypadku paragraf nie miał żadnego znaczenia. Znalazł się frontowiec, który siedział za zdradę ojczyzny - otrzymał wyrok dwudziestu pięciu lat i pięciu pozbawienia praw - i naiwnie przypuszczał, że przez swoje bohaterstwo skróci wyrok, przybliży dzień powrotu na wolność. Więzień Korolkow - wojenny lejtnant - dyżurował przy celi przez okragłą dobę. Spał również pod jej drzwiami. A kiedy przyjechał konwój z „wyspy”, więźnia Korolkowa wzięto razem z trędowatymi jako „obsługę”. Więcej nigdy już nie słyszałem ani o Korolkowie, ani o Fiedorence, ani o Leszczyńskiej.

W IZBIE PRZYJĘĆ

- Etap ze Złocistego!
- Jaka to kopalnia?
- Sucza.
- Wołaj żołnierzy do rewizji. Sam nie dasz rady. A żołnierze przegapią. To kadra.
- Nie przegapią. Postoję w drzwiach.
- No, chyba że tak.

Wyładowywał się etap, zakurzony, brudny. Był to etap „znaczący” - zbyt wielu było barczystych, zbyt wielu obandażowanych, a odsetek chorych nadających się na oddział chirurgiczny zbyt wielki jak na etap z kopalni. Wszedł lekarz dyżurny z wolnego najmu, kobieta - Klaudia Iwanowna.

- Zaczniemy?

- Poczekamy, aż przyjdą żołnierze na rewizję.

- Jakiś nowy tryb przyjmowania?

- Tak, nowy. Zaraz pani zobaczy w czym rzecz, Klaudio Iwanowna.

- Wychodzić na środek - o ty, ze szcudłami. Dokumenty!

Dyspozytor podał dokumenty - skierowanie do szpitala. „Akta personalne” odłożył, pozostawiając je sobie.

- Zdejmuj opatrunek. Daj nasze bandaże, Grisza. Klaudio Iwanowna, proszę obejrzeć złamanie.

Biały wężyk bandaża ześliznął się na podłogę. Felczer odsunął go nogą. Do łubków przymocowany był nie nóż, lecz kopia - olbrzymi gwóźdź, najbardziej portatywna broń w suczej wojnie. Zadźwięczał, padając na podłogę. Klaudia Iwanowna zbladła. Żołnierze schwycili tę kopię.

- Zdejmuj wszystkie opatrunki.

- A gips?

- Rozłamujcie cały gips. Jutro nałoży się nowy.

Felczer, nawet nie patrząc, przysłuchiwał się znajomym dźwiękom kawałków żelaza, które padały na podłogę. Broń była pod każdym gipsowym opatrunkiem. Została włożona i zagipsowana.

- Czy pani pojmuje, co to oznacza, Klaudio Iwanowna?

- Tak, rozumiem.

- I ja też. Nie będziemy chyba pisać raportu do naczelstwa, a jedynie ustnie poinformujemy kierownika oddziału sanitarnego - co, Klaudio Iwanowna?

- Dwadzieścia noży na piętnastu ludzi z etapu - poinformował lekarza nadzorca.

- Nazywacie to nożami? To raczej kopie.

- A teraz, Klaudio Iwanowna, wszystkich zdrowych - z powrotem. I proszę iść dokończyć oglądać film. Pani wie, Klaudio Iwanowna, na tej kopalni ignorant lekarz napisał kiedyś diagnozę dotyczącą obrażenia doznanego przy upadku z samochodu - „prolapsus z samochodu”, w stylu prolapsus recti - wypadnięcia kiszki stolcowej. Ale zagipsowywać broń to się nauczył.

Pozbawione nadziei, złe oczy spoglądały na felczera.

- No, kto chory, tego położymy w szpitalu - powiedziała Klaudia Iwanowna.

- Podchodźcie pojedynczo.

Skierowani na chirurgię chorzy, oczekując na odesłanie z powrotem, przeklinali, zupełnie się nie krępując. Utracona nadzieja rozwiązała im języki. Błatniacy obkładali przekleństwami dyżurnego lekarza, felczera, straż, sanitariuszy.

- Jeszcze ci oczy wyłupimy - dusił się błatniak.

- Co ty mi możesz zrobić, gnojku? Jedynie we śnie zarznąć. W trzydziestym siódmym niemało pięćdziesiątego ósmego paragrafu zatłukliście pałkami w

wyrobiskach. Już zapomnieliście o różnych staruszkach i „Iwanach Iwanyczach”?

Trzeba było uważać nie tylko na „chirurgicznych” błatniaków. Bardziej przykre było demaskowanie prób trafienia na oddział gruźliczy, kiedy chory miał przywiezione ze sobą w szmateczce „bakteryjne charki” - gdy przygotowywano go do lekarskich oględzin. Lekarz mówił: „pluj do słoika” - i robiono dodatkową analizę na obecność pałeczek Kocha. Przed oględzinami lekarza chory brał do ust zakażoną plwocinę i oczywiście зараżał się przy tym gruźlicą. Ale za to trafiał do szpitala, ratował się przed najstraszniejszym - przed pracą w kopalni, w złotym wyrobisku - chociaż na godzinę, chociaż na dzień, chociaż na miesiąc. Jeszcze ciężiej było demaskować tych, którzy przywozili ze sobą w buteleczce krew albo rozdrapywali palec, ażeby dodać krople krwi do swego moczu i z „hematurią” znaleźć się w szpitalu i poleżeć chociaż do jutra, chociaż przez tydzień. A potem - co Bóg da. Takich było niemało i byli oni bardziej wykształceni. Aby się hospitalizować, nigdy nie wzięliby do ust gruźliczej plwociny. Zdarzało im się słyszeć, co to takiego białko, w jakim celu bierze się mocz do analizy, jaka i tego może być korzyść dla chorego. Miesiące spędzone na szpitalnych łózkach wiele ich nauczyły. Byli chorzy z fałszywymi

przykurczami - rozginano im pod narkozą, pod „rauszem”, stawy kolanowe i łokciowe.

A w dwu przypadkach przykurcz, zrost, okazał się prawdziwy i lekarz, który sam się oszukał, na siłę rozerwał żywe tkanki, rozginając kolano. Przedobrzył, nie wziął pod uwagę swojej siły. Większość była z „mostyrkami” - przekłucie wrzodu igłą, obficie umoczoną w nafcie, powodowało podskórne zapalenie.

Takich chorych można było przyjmować, można było też nie przyjmować. Życie nie dało tu żadnych wskazówek. Bardzo dużo było zwłaszcza kobiet z „mostyrkami” z sowchozu Elgen, a potem, kiedy utworzono specjalną kobiecą kopalnię złota Diebin - z taczkami, łopatami i kilofami - liczba takich chorych stamtąd znacznie się zwiększyła. To była ta sama kopalnia, gdzie sanitariuszki zarabowały lekarza toporem, doskonałą lekarkę o nazwisku Szicel, siwowłosa Krymczanę. Pracowała przedtem w szpitalu, ale „ankieta” zaprowadziła ją do kopalni i na śmierć. Klaudia Iwanowna idzie, aby dokończyć oglądanie filmu łagrowej kultbrygady, a felczer kładzie się spać. Ale po godzinie budzą go: „Etap. Kobiocy etap z Elgenu”. To etap, gdzie będzie bardzo dużo rzeczy. Za sprawą nadzorców. Etap jest niewielki i Klaudia Iwanowna podejmuje się go przyjąć sama. Felczer dziękuje i ponownie zasypia, ale prawie natychmiast się budzi od szturchańca i gorzkich łez Klaudii Iwanownej.

- Co tam takiego się zdarzyło?

- Ja już nie mogę tu więcej żyć. Nie mogę. Rzucam dyżur.

Felczer splukuje twarz garścią chłodnej wody z kranu i ocierając się rękawem, wychodzi do izby przyjęć. Śmieją się wszyscy! Chorzy, przyjezdni konwojenci, nadzorcy. Oddzielnie na kozetce miota się, przewracając z boku na bok, piękna, bardzo piękna dziewczyna. Nie jest ona po raz pierwszy w szpitalu.

- Witaj, Walu Gromowa.

- No wreszcie, chociaż teraz ujrzałam człowieka.

- Co to za hałas?

- Nie chcą położyć mnie w szpitalu.

- A dlaczego rzeczywiście nie chcecie jej przyjąć? Przecież u niej nie wszystko w porządku z gruźlicą.

- Przecież to kobieto-mężczyzna - grubiańsko wtrąca się dyspozytor.

- Było odpowiednie postanowienie jej dotyczące. Zabraniają przyjmować.

- Ona spała przecież beze mnie. Czy bez męża...

- Wszystkie one kłamią - bezwstydnie krzyczy Wala Gromowa - Przecież widzicie, jakie mam palce. Jakie paznokcie...

Felczer spluwa na podłogę i odchodzi do drugiego pomieszczenia. A Klaudia Iwanowna dostała ataku hysterii. (W oryginale „kobieł”, co w żargonie łagrowym oznacza kobietę spełniającą rolę mężczyzny w stosunkach homoseksualnych. Palce stanowiły

najważniejszy element przy odbywaniu zblizeń, dlatego istotne było nieposiadanie długich paznokci. Stąd dalej o nich mowa).

GEOLODZY

Nocą Krista rozbudzono i dyżurny nadzorca przeprowadził go przez niekończące się ciemne korytarze do gabinetu naczelnika. Podpułkownik służby medycznej jeszcze nie spał. Lwow, uppełnomocniony oficer MWD, siedział przy biurku naczelnika i rysował na kartce papieru jakieś nic nieznaczące ptaszki.

- Felczer izby przyjęć Krist melduje się na wasze wezwanie, obywatelu naczelniku.

Podpułkownik machnął ręką i nadzorca, który przyprowadził Krista, znikł.

- Słuchaj, Krist - powiedział naczelnik - przywiozą do ciebie gości. Przyjedzie etap - powiedział oficer.

Krist milczał, oczekując, co dalej nastąpi.

- Wymyjesz ich. Dezynfekcja i cała reszta.

- Słucham.

- Ani jeden człowiek nie powinien wiedzieć o tych ludziach. Żadnych kontaktów. Mamy do ciebie zaufanie - powiedział pełnomocny i rozkaszał się.

- Nie dam sobie sam rady z komorą dezynfekcyjną, obywatelu naczelniku - powiedział Krist. - Sterowanie komorą dezynfekcyjną położone jest daleko od

mieszalnika gorącej i zimnej wody. Para i woda są rozdzielone.

- To znaczy...

- Potrzebny jest jeszcze sanitariusz, obywatelu naczelniku.

Naczelnicy spojrzeli na siebie.

- Niech będzie sanitariusz - powiedział pełnomocny.

- A więc zrozumiałeś? Nikomu ani słowa.

- Zrozumiałem, obywatelu naczelniku. Krist i pełnomocny wyszli. Naczelnik wstał, zgasił górne światło i zaczął wkładać płaszcz.

- Skąd taki etap? - niegłęboko spytał Krist pełnomocnego, przechodząc przez głęboki przedsionek - według moskiewskiej mody, naśladowanej wszędzie, gdzie tylko istniały gabinety naczelników, bez względu na to czy wojskowych, czy cywilnych.

- Skąd? - pełnomocny roześmiał się. - Ech, Krist, Krist, nigdy bym nie pomyślał, że możesz mi zadać takie pytanie... - i chłodno wymówił - ... Z Moskwy, samolotem. Nie znają więc łagru. Więzienie, śledztwo i tak dalej. Wyda się im - nieznanym łagru, że to pierwsza szczelina, przez którą wyjrza na „wolne” powietrze.

Następnej nocy pełen gwaru, przestronny westybul zapełnił się obcymi ludźmi - oficerami, oficerami i oficerami. Majorzy, podpułkownicy, pułkownicy. Był nawet jeden generał - niziutki, młody i czarnooki. Wśród konwojentów nie było

ani jednego żołnierza. Chuderlawy, wysoki starzec, naczelnik szpitala, z trudnością schylał się, składając raport maleńkiemu generałowi.

- Wszystko gotowe na przyjęcie.

- Doskonale, doskonale.

- Łaźnia!

Naczelnik machnął na Krista ręką i drzwi izby przyjęć rozwarły się. Tłum oficerskich szyneli rozstąpił się. Złociste światło gwiazdek na naramiennikach ściemniało - cała uwaga przyjezdnych i spotykających poświęcona została maleńkiej grupie brudnych ludzi w jakichś potarganych łachmanach, ale nie państwowych - nie, jeszcze we własnych, cywilnych ze śledztwa, znoszonych na różnych podściółkach, na podłogach więziennych cel. Dwunastu mężczyzn i jedna kobieta.

- Anno Pietrowna, proszę - powiedział aresztant, przepuszczając kobietę przed sobą.

- Co pan - idźcie i myjcie się. A ja tymczasem odpocznę.

Drzwi izby przyjęć zamknęły się. Wszyscy mężczyźni stali wokół Krista i zachłannie spoglądali mu w oczy, starając się coś odgadnąć przed rozpoczęciem pytań.

- Od dawna pan na Kołymie? - spytał najodważniejszy, rozpoznawszy w Kriście „Iwana Iwanowicza”.

- Od trzydziestego siódmego.

- W trzydziestym siódmym to my jeszcze byliśmy...

- Zamilcz - wtrącili się inni, starsi.

Wszedł nadzorca, sekretarz partyjnej organizacji szpitala Chabibulin, mający specjalne zaufanie do Krista. Chabibulin pilnował przyjezdnych i Krista.

- A golenie?

- Fryzjer został już wezwany - powiedział Chabibulin. - To Pers z błatniaków - Jurka.

Pers zjawił się szybko razem ze swymi narzędziami. Został na wartowni poinstruowany i tylko coś mruczał. Uwaga przyjezdnych ponownie zwróciła się ku Kristowi.

- A czy my pana nie narazimy?

- Jak wy możecie mnie narazić, panowie inżynierowie - czy dobrze mówię?

- Geolodzy.

- Panowie geolodzy.

- A gdzie my się znajdujemy?

- Na Kołymie. 500 kilometrów od Magadanu.

- No to żegnamy. Świetna rzecz - ta łaźnia.

To byli geolodzy - wszyscy! - z pracy poza granicami kraju. Otrzymali „terminy” od 15 do 25. O ich losie decydował specjalny zarząd, w którym było tak mało żołnierzy i tak wielu oficerów i generałów. To „gospodarstwo” generałów nie było podporządkowane Dalstrojowi i Kołymie. Kołyma zapewniała im tylko szeroki horyzont - powietrze za

okrągowanymi oknami, duże racje żywnościowe, łącznie trzy razy w miesiącu, pościel i bieliznę bez wszy oraz dach nad głową. O spacerach i kinie nie było jeszcze mowy. Moskwa wybrała dla nich dach za kręgiem polarnym. Geolodzy zaproponowali naczalstwu, że wykonają jakąś wielką specjalistyczną pracę - kolejny wariant przepływowego kotła Ramzina. Iskrę twórczego płomienia można wydobyć zwykłą pałąką - stało się to dobrze wiadome po „przekuwaniu” w licznych Kanałach Białomorskich. Zawiodła szeroka skala żywnościowych „bodźców i kar”, zaliczeń roboczych dni i nadziei - i oto niewolnicza praca staje się pracą błogosławioną. Po miesiącu przyjechał maleński generał. Geolodzy zapragnęli chodzić do kina - dla wolnych i więźniów. Maleński generał uzgodnił to z Moskwą i zezwolił geologom na kino. Balkonową lożę, w której siedziało przedtem naczalstwo, przegrodzono i wzmocniono więziennymi kratami. Na kinowych seansach umieszczano tam, obok naczalstwa, geologów. Z łagrowej biblioteki książek im nie dawano. Jedynie literaturę techniczną. Sekretarz partyjnej organizacji, stary dalstrojowiec Chabibulin, po raz pierwszy w swoim życiu nadzorcy własnoręcznie taszczył do pralni węzły z bielizną geologów. Dręczyło go to bardziej niż cokolwiek innego na świecie. Gdy minął następny

miesiąc i maleńki generał przyjechał ponownie geolodzy poprosili o firanki na okna.

- Firanek - mówił przygnębiony Chabibulin - firanek im się zachciało.

Maleńki generał był zadowolony. Praca geologów posuwała się naprzód. Raz na dziesięć dni otwierała się w nocy izba przyjęć i geolodzy myli się w łaźni. Krist mało z nimi rozmawiał. Bo i cóż mogli mu opowiedzieć takiego ci uwięzieni geolodzy, czego Krist jeszcze się nie nauczył w ciągu swojego życia w łagrze. Wtedy uwaga geologów zwróciła się w kierunku fryzjera - Persa.

- Ty z nimi wiele nie gadaj, Jurka - powiedział przy okazji Krist.

- Ten frajer będzie mnie jeszcze uczyć.

- I tu Pers ordynarnie zaklął.

Minęła jeszcze jedna łaźnia; Pers przyszedł wyraźnie podpity, i być może „naczyfirzył się” albo „chwycił kodeinki”. Trzymał się tylko zbyt dziarsko i spiesząc się do domu, wyskoczył z wartowni na zewnątrz, nie czekając na odprowadzającego go do łagru konwojenta. Krist usłyszał przez otwarte okno suchy szcęk wystrzału z rewolweru. Pers został zabity przez tego samego nadzorcę, którego przed chwilą golił. Skurczone ciało leżało przy ganku. Dyżurny lekarz zbadał puls, podpisał akt zejścia. Przyszedł drugi fryzjer, Aszot - ormiański terrorysta z tej samej bojowej grupy eserów, która w 1926 roku

zabiła trzech tureckich ministrów z Talaatbejem na czele, winnym rzezi Ormian w 1915 roku, kiedy zginął ich milion...Wydział śledczy sprawdził „personalne akta” Aszota i więcej już nie zdarzyło mu się golić geologów. Znaleziono jakiegoś błatniaka, a przy tym zmieniono samą zasadę – za każdym razem golił ich nowy fryzjer. Uważano to za bardziej bezpieczne – nie nawiązała łączności. W więzieniu butyryjskim w ten sposób zmieniają się wartownicy – systemem ruchomym. Geolodzy niczego się nie dowiedzieli o Persie ani o Aszocie. Ich praca posuwała się z powodzeniem naprzód i maleński generał zezwolił im po przyjeździe na półgodzinny spacer. To również stało się istotnym poniżeniem dla starszego nadzorcy Chabibulina. W łagrze pokornych, tchórzliwych, pozbawionych prawa ludzi nadzorca jest wielkim naczelnikiem. A tutaj, służba nadzorcy w jej czystej formie nie spodobała się Chabibulinowi. Napił się „czyfiru”, bardzo mocnej esencji herbacianej. Jego oczy coraz bardziej powlekały się smutkiem, a nos czerwieniał. Chabibulin zdecydowanie się rozpił. I jednego razu spadł z mostu do Kołomy głową w dół, ale został uratowany i nie przerwał swej służby nadzorcy. Pokornie taszczył węzły z bielizną do pralni, pokornie zamiatał pokój i zmieniał firanki w oknach.

- Jak się żyje? - zapytywał Chabibulina Krist, bądź co bądź pełnili tu razem dyżury od ponad roku.

- Marnie - westchnął Chabibulin.

Przyjechał maleński generał. Praca geologów szła znakomicie. Uśmiechając się z radością, generał obchodził więzienie geologów. Generałowi kroić się nagroda za ich pracę. Stanąwszy w progu na baczność, Chabibulin odprowadzał generała.

- No, ładnie, ładnie. Widzę, że nie zawiedliście - mówił wesoło maleński generał. - A wy - tu generał przeniósł wzrok na stojących przy drzwiach nadzorców - postępujcie z nimi jak najgrzeczniej. Bo inaczej to was wbiję do trumny, psy!

I generał oddalił się. Chabibulin, chwając się, dotarł do pokoju przyjęć, wypił u Krista podwójną porcję waleriany i napisał meldunek z prośbą o natychmiastowe przeniesienie z tej pracy do jakiegokolwiek innej. Licząc na współczucie, pokazał go Kristowi. Krist próbował wyjaśnić nadzorcy, że dla generała ważniejsi są geolodzy niż setka takich Chabibulinów, ale urażony w swych najgłębszych uczuciach starszy nadzorca nie chciał zrozumieć tej prostej prawdy. Pewnej nocy geolodzy zniknęli.

NIEDŹWIEDZIE

Kociak wylazł spod pryczy i ledwo zdążył wskoczyć tam z powrotem - geolog Fiłatow rzucił w niego butem.

- Czego się wściekasz? - powiedziałem, odkładając zatłuszczony tom "Hrabiego Monte Christo".

- Nie lubię kotów. Ten - to zupełnie co innego - Fiłatow przyciągnął do siebie szarego, o gęstej sierści szczeniaka i poklepał go po karku. - Czystej krwi owczarek. Ugryź go, Kazbek, ugryź - geolog podszczywał szczeniaka na kota. Ale na nosie szczeniaka znajdowały się świeże jeszcze zadrapania pochodzące od pazurków kociaka i Kazbek tylko głucho warczał, nie chcąc się ruszyć. Kociakowi marnie się u nas żyło. Pięciu mężczyzn odbijało sobie na nim nudę bezczynności - wylew rzeki powstrzymał nasz odjazd. Jużykow i Koczubiej, cieśle, już drugi tydzień grali w sześćdziesiąt sześć pod przyszłą wypłatę. Grali ze zmiennym szczęściem. Nagle, otwarłszy drzwi, kucharz krzyknął:

- Niedźwiedzie!

Wszyscy rzucili się pędem do drzwi. Było nas pięciu, ale strzelba tylko jedna - miał ją geolog. Siekier dla wszystkich nie starczyło i kucharz zabrał ze sobą ostry jak brzytwa nóż kuchenny. Niedźwiedzie szły górą ponad strumieniem - był to samiec i samica. Potrząsały, łamały, wrywały z korzeniami młode

modrzewie i zrzucały do wody. Były same w tym świecie majowej tajgi i ludzie podeszli do nich bardzo blisko z podwietrznej strony - na dwieście kroków.

Niedźwiedź miał brunatną sierść z rdzawym odcieniem; był to dwukrotnie większy od niedźwiedzicy stary samiec - dobrze było widać żółte kły. Fiłatow - on był najlepszym strzelcem - przysiadł i oparł strzelbę o pień zwalonego modrzewia, ażeby strzelić na pewniaka, z bezpośredniej odległości. Wodził lufą, szukając dla kuli wolnego miejsca pomiędzy żółknącymi liśćmi krzewów.

- Wal - wrzeszczał z pobladłą od emocji twarzą kucharz - wal!

Niedźwiedzie posłyszały hałas. Reakcja była natychmiastowa, jak u futbolisty w czasie meczu. Niedźwiedzica pomknęła po pochyłości w górę - przez grzbiet na drugą stronę. Stary niedźwiedź nie pobiegł. Zwrócił pysk w stronę grożącego niebezpieczeństwa i obnażywszy kły, wolno szedł górą - ku rosnącym tam krzakom cedrowca. Zupełnie wyraźnie ścigał niebezpieczeństwo na siebie. On, samiec, ofiarowywał życie, aby ratować swą towarzyszkę, odciągał od niej śmierć, osłaniał jej ucieczkę. Fiłatow wystrzelił. Był, jak już mówiłem, dobrym strzelcem - niedźwiedź upadł i potoczył się po pochyłości w kierunku parowu, dopóki złamany przez niego w czasie zabawy modrzew nie zatrzymał ciężkiego ciała. Niedźwiedzica już dawno zniknęła.

Wszystko było takie ogromne - niebo, skały - że niedźwiedź wyglądał jak zabawka. Został zabity od razu. Związaliśmy mu łapy, przetknęli przez nie drąg i chwając się pod ciężarem ogromnej tuszy, zeszliśmy na dno parowu na śliski, dwumetrowej grubości lód, który jeszcze nie zdażył roztajać. Wlokąc, dotaszczyliśmy niedźwiedzia do progu naszej izdebki. Dwumiesięczny szczeniak, który w ciągu swego krótkiego życia nie widział jeszcze niedźwiedzia, wcisnął się pod łóżko oszalały ze strachu. Kociak zachował się inaczej. Rzucił się z wściekłością na niedźwiedzia tuszę, z której w pięciu zdejmowaliśmy skórę. Rwał kawałki ciepłego mięsa, łowił grudki skrzepniętej krwi, skakał na węzłowatych, czerwonych mięśniach zwierza...Skóra po ściągnięciu miała cztery metry kwadratowe powierzchni.

- Będzie ze dwanaście pudów mięska - powtarzał każdemu kucharz.

Zdobycz była bogata, ale ponieważ nie było jak jej wywieźć na sprzedaż, to rozdzielono ją od razu po równo. Kociołki i patelnie Fiłatowa kipiały dzień i noc, dopóki nie rozchorował się na żołądek. Jużykow i Koczubiej, upewniwszy się, że mięso nie nadaje się do rozliczeń w karcianej grze, zasolili każdy swoją część w wyłożonych kamieniami jamach i każdego dnia chodzili sprawdzać ich stan. Kucharz

ukrył mięso nie wiadomo gdzie - znał jakiś sekret solenia, ale nikomu go nie ujawnił. Ja natomiast - karmiłem kotka i szczeniaka, i w trójkę rozprawiliśmy z tym mięsem najlepiej ze wszystkich. Wspomnień o tym udanym polowaniu wystarczyło na całe dwa dni. Zaczęliśmy się kłócić trzeciego dnia pod wieczór.

NASZYJNIK KSIEŻNY GAGARINEJ

Okres śledztwa prześlizguje się po pamięci, nie pozostawiając żadnych widocznych i ostrych śladów. Dla każdego znajdującego się pod śledztwem więzienie, spotkania w nim i ludzie nie są rzeczą najważniejszą. Natomiast najważniejsze jest to, na co zużywana jest cała siła charakteru i nerwów - to zmaganie ze śledczym. To, co się dzieje w gabinetach budynku, w którym prowadzone są przesłuchania, silniej utrwala się w pamięci niż życie w więzieniu. Żadna z książek przeczytanych w więzieniu nie pozostaje w pamięci - uniwersytetami były jedynie więzienia przeznaczone do „odsiadywania wyroków” - z nich wychodzili astrolodzy, powieściopisarze, pamiętnikarze. Książek przeczytanych w więzieniu śledczym nie pamięta się. Dla Krista pojedynki ze śledczym nie odgrywał głównej roli. Krist rozumiał, że przeznaczony jest na zgubę - że areszt jest potępieniem, oddaniem na stracenie. I Krist pozostał spokojny.

Zachował zdolność obserwacji, zachował zdolność działania na przekór usypiającemu rytmowi więziennego życia. Nie raz spotykał się ze zgubnym przyzwyczajeniem ludzkim – opowiadania o tym, co w człowieku najważniejsze, opowiadania o tym wszystkim swojemu sąsiadowi z celi, ze szpitalnego łóżka, z przedziału w więziennym wagonie. Te tajemnice, chronione na dnie duszy ludzkiej, bywały niejednokrotnie czymś oszałamiającym i nieprawdopodobnym. Sąsiad Krista z prawej strony, mechanik wołokołamskiej fabryki odpowiadając na prośbę przypomnienia najbardziej żywego wydarzenia, tego, co pozostało w pamięci jako coś dobrego, opowiedział, rozpromieniony wspomnieniem, jak w 1933 roku otrzymał na kartki dwadzieścia puszek konserw warzywnych, a po otwarciu ich w domu okazało się, że to konserwy mięsne. Zamknawszy się na klucz przed sąsiadami, puszkę przerąbywał toporem na pół – wszystkie były z mięsem, ani jedna nie zawierała warzyw. W więzieniu nie śmieją się z takich wspomnień. Sąsiad Krista z lewej strony, sekretarz stowarzyszenia katorżan – więźniów politycznych, Aleksander Gieorgijewicz Andriejew, zmarszczył swe srebrzyste brwi. Zabłyły jego czarne oczy.

- Tak, istnieje taki dzień w moim życiu - 12 marca 1917 roku. Jestem carskim skazańcem na wieczną katorgę. Zrządzeniem losu trzydziestolecie tego

wydarzenia obchodziłem tutaj, w więzieniu, razem z wami.

Z przeciwległych nar zlął człowiek, zgrabny i pulchny.

- Pozwólcie mi wziąć udział w waszej zabawie. Jestem doktor Mirolubow, Walerij Andriejewicz. - słaby, żaloszny uśmiech pojawił się na twarzy doktora.

- Proszę siadać - powiedział Krist, robiąc mu miejsce.

Aby to zrobić, wystarczyło podkurczyć nogi. Innym sposobem się nie dało. Mirolubow od razu wlażł na nary. Na nogach doktor miał domowe pantofle. Krist ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Nie, to nie z domu. W Tagance, gdzie siedziałem dwa miesiące, było prościej.

- Przecież Taganka to więzienie dla przestępców kryminalnych!

- Oczywiście, dla kryminalnych - w roztargnieniu potwierdził doktor Mirolubow. - Wraz z pana pojawieniem się w celi - powiedział, podnosząc oczy na Krista - życie się tu zmieniło. Nasze gry nabrały sensu. To nie ten obrzydliwy „żuczek", który pochłaniał wszystkich... Czekano nawet na „pójście z potrzebą", ażeby do woli pograć w „żuczka" w ustępie. Pewnie doświadczenie...

- Tak, mam doświadczenie - powiedział smutno i zdecydowanie Krist.

Mirolubow zajrzał mu w oczy swoimi - wypukłymi, dobrymi i krótkowzrocznymi.

- Okulary zabrali mi błatniacy w Tagance.

W mózgu Krista jak zwykle mieszały się pytania, hipotezy, domysły...Szuka rady. Nie wie, za co został aresztowany. Zresztą...

- A dlaczego przeniesiono pana tutaj z Taganki?

- Nie wiem. W ciągu dwu miesięcy żadnego przesłuchania. A w Tagance...Wezwano mnie w charakterze świadka w sprawie kradzieży mieszkaniowej. W naszym mieszkaniu ukradziono sąsiadowi palto. Przesłuchali mnie i przedstawili nakaz aresztowania...Abrakadabra. Ani słowa - już trzeci miesiąc. I przenieśli do Butyrek.

- No cóż - powiedział Krist. - Trzeba uzbroić się w cierpliwość. Przygotować na niespodzianki. To znowu nie taka abrakadabra. Zorganizowana gmatwanina, jak wyrażał się krytyk Juda Grossman Roszczin. Pamięta pan takiego?

- Towarzysz broni Machna? Nie, nie pamiętam - powiedział doktor.

Zgasła nadzieja na wszechwiedzę Krista i znikł blask Mirolubowskich oczu. Artystyczne wzory na tkaninie scenariusza śledztwa były bardzo bardzo różnorodne. Krist o tym wiedział. Wciągnięcie do sprawy o okradzenie mieszkania - choćby tylko w charakterze świadka - przywodzi myśl słynne „amalgamaty”. W każdym razie tagańskie przygody doktora Mirolubowa były jedynie kamuflażem śledztwa, Bóg jeden wie, dlaczego potrzebnym poetom z NKWD.

- Pomówmy, Waleriju Andriejewiczu, o czym innym. O lepszej stronie naszego życia. O najbardziej wyrazistym zdarzeniu w pańskim życiu.

- Tak, słyszałem, słyszałem, jak rozmawialiście. Istnieje takie wydarzenie w moim życiu, które przewróciło je do góry nogami. Tylko że to, co mi się przydarzyło, niepodobne jest do opowiadania Aleksandra Gieorgijewicza - Mirolubow skłonił się w lewo, w kierunku sekretarza generalnego stowarzyszenia katorżan - więźniów politycznych - opowiadania tego kolegi - Mirolubow skłonił się w prawo, w kierunku wołokołamskiego mechanika... - W 1901 roku byłem studentem pierwszego roku medycyny Uniwersytetu Moskiewskiego. Byłem młody. Myślałem górnolotnie i głupio. Byłem naiwny.

- Po błatniacku - „łoch”? - odpowiedział Krist.

- Nie, nie „łoch”. Po bytności w Tagance trochę rozumiem po błatniacku. A pan skąd to zna?

- Z samouczka - powiedział Krist.

- Nie, nie łoch, a taki... „gaudeamus”. Czy to jasne? No, tak.

- Do rzeczy, do rzeczy, Waleriju Aleksandrowiczu - powiedział wołokołamski mechanik.

- Zaraz przystąpię. Tak mało mamy tu wolnego czasu... Przeglądam gazety. Ogromne ogłoszenie. Księżna Gagarina zgubiła swój brylantowy naszyjnik.

Rodzinną, cenną pamiątkę. Temu kto znajdzie - pięć tysięcy rubli. Skończyłem czytać, zmiąłem i rzuciłem do kosza na śmieci. Idę i myślę: gdybym to ja tak znalazł ten naszyjnik. Połowę odesłałbym matce. A za drugą połowę pojechałbym za granicę. Kupiłbym dobre palto. Kupiłbym abonament do Małego Teatru. Wtedy nie było jeszcze Artystycznego. Idę po bulwarze Mikołajewskim, A właściwie nie po bulwarze, a po deskach drewnianego chodnika - jeszcze tam wyłaził taki gwóźdź przy stąpieniu. Zszedłem z chodnika, aby go obejść i patrzę w rowie...Jednym słowem - znalazłem naszyjnik. Posiedziałem na bulwarze, pomarzyłem. Myślałem o swym przyszłym szczęściu. Nie poszedłem na uniwersytet, lecz do kosza na śmieci, wyostałem gazetę i przeczytałem adres. Dzwonię... Dzwonię. Otwiera lokaj. Ja w związku z naszyjnikiem. Wychodzi sam książę. Wybiega żona. Miałem wtedy dwadzieścia lat. Dwadzieścia. Była to wielka próba. Próba wszystkiego, czego się nauczyłem, z czym wyrosłem...Trzeba było zdecydować od razu - czy jestem człowiekiem czy nie. Zaraz przyniosę pieniądze. - to książę. - Albo może wygodniej czek? Proszę siadać. A księżna zaraz tutaj, dwa kroki ode mnie. Nie usiadłem i mówię:

- Jestem studentem. Przyniosłem naszyjnik nie dla nagrody.

- Ach, tak - powiedział książę. - Proszę wybaczyć i siąść z nami do stołu, do śniadania. - a jego żona, Irina Siergiejewna, pocałowała mnie.

- Pięć tysięcy - wymówił jak zaczarowany wołokołamski mechanik.

- To wielka próba - rzekł generalny sekretarz stowarzyszenia katorżan-więźniów politycznych. - Podobnie ja swoją pierwszą bombę rzucałem na Krymie. Potem zacząłem bywać u księcia prawie każdego dnia. Zakochałem się w jego żonie. Przez trzy lata pod rząd jeździłem z nimi za granicę. Byłem już wtedy lekarzem. I w ten sposób nie ożeniłem się. Z powodu tego naszyjnika przeżyłem swe życie jako kawaler...A potem rewolucja. Wojna domowa. W czasie tej wojny zawarłem bliską znajomość z Putną, z Witowtem Putną. Byłem jego domowym lekarzem. Putna to był dobry chłop, ale oczywiście to nie książę Gagarin. Czegoś mu takiego brakowało... A przy tym nie miał takiej żony.

- Całkiem po prostu postarzał się pan o dwadzieścia lat, stał się pan o dwadzieścia lat starszy od „gaudeamus”.

- Być może...

- A gdzie teraz jest Putna?

- Jest attache wojskowym w Anglii.

Aleksander Gieorgijewicz, sąsiad z lewej strony, uśmiechnął się.

- Ja myślę, że wyjaśnienia przyczyn pana nieszczęść, jak lubił mawiać Musset,

należy szukać właśnie w związku z Putną, w całym tym "kompleksie". Prawda?

- Ale jak?

- To już śledczy wiedzą. Radzę się przygotowywać do bitwy pod Putną - to rada starego.

- Przecież pan młodszy ode mnie.

- Młodszy, nie młodszy, a całkiem po prostu we mnie było mniej gaudeamusa, a więcej bomb - uśmiechnął się Andriejew.

- Nie spierajmy się. A pan jak uważa ?

- Zgadzam się z Aleksandrem Giorgijewiczem - powiedział Kris.

Mirolubow poczerwieniał, ale powstrzymał się. Więzienne kłótnie wybuchają jak pożar w suchym lesie. I Krist, i Andriejew wiedzieli o tym, Mirolubow miał się o tym dopiero dowiedzieć. Nadszedł wreszcie taki dzień i przesłuchanie, po którym Mirolubow przeleżał przez dwie doby twarzą w dół, nie wychodząc na spacer. Na trzecią dobę Walerij Andriejewicz wstał i dotykając palcami zaczerwienionych powiek swoich niebieskich, umęczonych bezsennością oczu, podszedł do Krista. Podszedł i powiedział:

- Miał pan rację.

To Andriejew miał rację, a nie Krist, ale zaszła tu pewna subtelność w uznaniu swoich pomyłek, którą zarówno Krist, jak i Andriejew doskonale odczuli.

- Putna?

- Putna. Wszystko to zbyt straszne, zbyt straszne. - i Walerij Andriejewicz

rozpłakał się. Przez dwie doby hamował się i jednak nie wytrzymał. Zarówno Andriejew, jak i Krist, obaj nie lubili płaczących mężczyzn.

- Proszę się uspokoić.

Nocą przebudził Krista gorączkowy szept Mirolubowa.

- Ja panu wszystko powiem. Nie uniknę zguby. Nie wiem, co robić. Jestem lekarzem domowym Putny. A teraz przesłuchują mnie nie w związku z kradzieżą w mieszkaniu, lecz - aż strach pomyśleć - w sprawie przygotowania zamachu na rząd.

- Waleriju Andriejewiczu - powiedział senny i ziewający Krist - w naszej celi nie tylko pan jest o to oskarżony. O, tam leży analfabeta Lońka, z tumskiego rejonu obwodu moskiewskiego. Lońka odkręcał nakrętki na torach kolejowych. Na ciężarki, podobnie jak Czechowowski zbrodniarz. Pan przecież mocny jest w literaturze i tych wszystkich gaudeamusach. Lońkę oskarżają o szkodnictwo i terroryzm. I nie histeryzuje. A obok Lońki leży brzuchacz Woronkow, naczelny kucharz kawiarni „Moskwa” - dawniej „Puszkina”, na Strastnej, bywał tam pan. Przydano jej taki brązowy odcień. Woronkowa ciągnęli do „Pragi” na plac Arbacki - tam Filipow był dyrektorem. I oto w aktach sprawy Woronkowa ręka śledczego wypisała - i każda karta protokołu zeznań podpisana przez Woronkowa! - że

Filipow proponował mu trzypokojowe mieszkanie i wyjazdy za granicę dla podniesienia kwalifikacji. Sztuka kucharska zamiera... Dyrektor restauracji „Praga” Filipow proponował mi to wszystko w przypadku mojej zgody na przejście, a kiedy odmówiłem - zaproponował mi otrucie rządu. I ja się zgodziłem. Pańska sprawa, Waleriju Andriejewiczu, także pochodzi z działu „techniki na granicy fantastyki”.

- Co pan mnie uspokaja? Co pan wie? Byłem razem z Putną prawie od samej rewolucji. Od czasów wojny domowej. W jego domu jestem swoim człowiekiem. Byłem z nim razem i na Przymorzu, i na południu. Jedynie do Anglii mnie nie puścili. Nie dali wizy.

- A Putna gdzie - w Anglii?

- Przecież już mówiłem - był w Anglii. Był w Anglii. A teraz już nie jest w Anglii, a tutaj, razem z nami.

- Ach, to tak.

- Trzeciego dnia - szeptał Mirolubow - były dwa przesłuchania. Na pierwszym zaproponowano mi, abym napisał wszystko, co wiem, o terrorystycznej działalności Putny i o jego poglądach w tej sprawie. Kto u niego bywał. Jakie prowadzono rozmowy. Napisałem o wszystkim. Dokładnie. Nie słyszałem o żadnych terrorystycznych rozmowach, nikt z gości... Potem była przerwa na obiad. Ja również dostałem obiad. Z dwóch dań. Na drugie groch. U nas w Butyrkach cały

czas dają soczewicę – ze strączkowych, a tam – groch. A po obiedzie, gdy dano mi „popalić” – w ogóle to ja nie palę, ale w więzieniu zacząłem się do tego przyzwyczajać – siedli znowu „zapisywać”. Śledczy mówi: „Pan, doktorze Mirolubow, z takim oddaniem broni Putny, osłania go, swojego wieloletniego chlebodawcę i przyjaciela. To godne szacunku, doktorze Mirolubow. Putna nie odnosił się do pana tak jak pan do niego...”.

- Co to znaczy?

- A ot co. To pisze sam Putna. Proszę przeczytać. I śledczy podał mi wielostronicowe zeznanie, napisane ręką samego Putny.

- Oho...

- Tak. Poczułem, że siwieję. W tym oświadczeniu Putna pisze: tak, w moim mieszkaniu przygotowywano zamach terrorystyczny, zawiązywał się spisek przeciwko członkom rządu, Stalinowi i Mołotowowi. W tych wszystkich rozmowach brał bezpośredni i jak najbardziej aktywny udział Kliment Jefremowicz Woroszyłow. I ostatnie zdanie, palące mi mózg: to wszystko może potwierdzić mój lekarz domowy doktor Mirolubow.

Krist gwizdnął. Śmierć podeszła zbyt blisko do Mirolubowa.

- Co robić? Co robić? Jak mówić? Charakter pisma Putny nie jest podrobiony. Zbyt dobrze je znam. I ręce nie drżały jak u carewicza Aleksieja po knucie – pamięta pan te historyczne

dochodzenia, protokoły zeznań z czasów Piotra?

- Szczerze panu zazdroszczę - powiedziała Krist - że miłość do literatury zwycięża wszystko. Zresztą to miłość do historii. Ale jeżeli już starcza panu siły duchowej na ujawnienie analogii, na robienie porównań, to wystarczy i na to, ażeby rozsądnie zorientować się w pana sprawie. Jedno jest jasne: Putna jest aresztowany. Tak, on jest tutaj. Lub w Łubiance. Albo w Lefortowie. Ale nie w Anglii. Proszę mi powiedzieć z czystym sumieniem - czy były jakieś niedopuszczalne poglądy - tu Krist uśmiechnął się, że podkreślał - chociażby sformułowane w najbardziej ogólny sposób.

- Nigdy.

- Czy może: „Nigdy w mojej obecności”. Te subtelności śledztwa powinny być panu dobrze znane.

- Nie, nigdy. Putna - to w pełni prawowierny towarzysz. Wojskowy. Trochę nieokrzesany.

- Teraz jeszcze jedno pytanie. Z psychologicznego punktu widzenia - najważniejsze. Ale tylko szczerze.

- Ja wszędzie odpowiadam jednakowo.

- No, proszę się nie gniewać, markizie Pozo.

- Zdaje się, że drwi pan ze mnie.

- Nie, nie drwię. Proszę powiedzieć otwarcie, jak Putna odnosił się do Woroszyłowa.

- Putna go nienawidził - gorączkowo wyrzucił z siebie Mirolubow.

- No i znaleźliśmy rozwiązanie, Waleriju Andriejewiczu. Tutaj nie ma hipnozy, to nie robota pana Ornaldo, to nie zastrzyki ani środki medyczne. Nawet nie pogrożki ani stan wynikający z „ciąglego” przesłuchania. To zimna kalkulacja wydanego na zgubę. Ostatni bój Putny. Pan jest pionkiem w takiej grze, Waleriju Andriejewiczu. Pamięta pan z Połtawy. "Utracić życie - a z nim cześć. Wrogów na miejsce straceń zwieść".

- Przyjaciół na miejsce straceń zwieść - poprawił Mirolubow.

- Nie. „Przyjaciół” - to byłoby dla pana i dla panu podobnych, Waleriju Andriejewiczu, mój miły gaudeamusie. Tu chodzi bardziej o wrogów niż o przyjaciół. Przychwycić jak najwięcej wrogów. Przyjaciół i tak się schwyta.

- Ale co ja mam robić, ja?

Czy chce pan dobrej rady, Waleriju Andriejewiczu?

- Wszystko mi jedno, czy dobrej, czy złej. Nie chcę umierać. Nie, jedynie dobrej.

- Trzeba zeznawać tylko prawdę. Jeżeli Putnie zachciało się przed śmiercią nakłamać - to jego sprawa. Pana ratunek - to tylko prawda, jedynie prawda, nic oprócz prawdy.

- Ja zawsze mówiłem tylko prawdę.

- I „zeznawałem” prawdę? Istnieje tu wiele odcieni. Na przykład ocalenie za

cenę kłamstwa. Albo: interes państwa i społeczeństwa. Klasowe interesy pojedynczego człowieka i jego indywidualna moralność. Formalna logika i logika nieformalna.

- Tylko prawdę!

- Tym lepiej. Znaczy to, że ma pan doświadczenie w zeznawaniu prawdy. Proszę przy tym pozostać.

- Niewiele mi pan poradził - rzekł z rozczarowaniem Mirolubow.

- Niełatwy przypadek - powiedział Krist.

- Będziemy wierzyć, że „tam” doskonale wiedzą, co do czego. Jeśli potrzebna będzie pańska śmierć - to pan umrze. Nie będzie takiej potrzeby - to się pan uratuje.

- To smutne rady.

- Innych nie ma.

Krist spotkał Mirolubowa na parostatku "Kułu" - był to piąty rejs w okresie nawigacji 1937 roku. Rejs z Władywostoku do Magadanu. Osobisty lekarz księcia Gagarina i Witowta Putny przywitał się z Kristem chłodno - przecież był on świadkiem jego duchowej słabości, jakiejś niebezpiecznej godziny jego życia i - jak to odczuwał Mirolubow - niczym mu nie pomógł w tej trudnej, śmiertelnej chwili. Krist i Mirolubow uścisnęli sobie ręce.

- Cieszę się, że widzę pana przy życiu - powiedział Krist. - Ile?

- Pięć lat. Pan znęca się nade mną. Przecież ja nic nie jestem winien. A tutaj pięć lat łagrów. Kołyma.

- Był pan w bardzo niebezpiecznej sytuacji. Śmiertelnie niebezpiecznej! Szczęście pana nie opuściło - powiedział Krist.

- Idź pan do diabła z takim szczęściem. Krist pomyślał: Mirolubow ma rację. To szczęście jest nazbyt rosyjskie - cieszyć się, że niewinnemu dostało się pięć lat. Mogli przecież dać dziesięć, a nawet najwyższy wymiar. Na Kołymie Krist i Mirolubow nie spotkali się. Kołyma jest wielka. Ale z opowiadań, z nich Krist się dowiedział, że Mirolubowowi wystarczyło szczęścia na wszystkie pięć lat łagrowej odsiadki. Mirolubow zwolnił się w czasie wojny, pracował jako lekarz na kopalni, zestarzał się i umarł jeszcze przed XX zjazdem partii.

AKADEMIK

Okazało się, że bardzo trudno jest wydrukować rozmowę z akademikiem. Nie dlatego, że akademik napłótł bzdur, nie. To był akademik o dużym nazwisku, bardzo doświadczony i lubiący wszelkiego rodzaju wywiady, a przy tym rozmawiał na dobrze mu znany temat. Dziennikarz, którego posłano dla przeprowadzenia rozmowy, posiadał wystarczające kwalifikacje i był to dobry dziennikarz, a przed trzydziestu laty - bardzo dobry.

Przyczyną był szybki postęp naukowy. Cykl wydawniczy czasopis - „korekty szpaltowe”, „formowanie kolumn”, „harmonogramy wydawcy” - wszystko to beznadziejnie pozostawało w tyle za rozwojem nauki. Jesienią pięćdziesiątego siódmego roku, czwartego października, został wystrzelony sputnik. O przygotowaniach z tym związanych akademik coś niecoś wiedział, natomiast dziennikarz - zupełnie nic. Ale dla akademika, a także dla dziennikarza i redaktora stało się jasne, że po wystrzeleniu sputnika należy nie tylko zwiększyć zakres informacji, ale także zmienić sam ton artykułu. W swoim pierwszym wariantcie artykuł miał być przepojony atmosferą oczekiwania wielkich, wyjątkowych wydarzeń. Teraz natomiast zdarzenia te już zaistniały. Dlatego w miesiąc po tej rozmowie akademik, znajdujący się w jałtańskim sanatorium, wysyłał bardzo długie telegramy - na własny rachunek - z opłaconą odpowiedzią. Umiejętnie odsłaniając cybernetyczne tajemnice, akademik starał się za wszelką cenę zachować odpowiedni „poziom” i jednocześnie nie powiedzieć za dużo. Redakcja, która miała podobne kłopoty związane z aktualizacją informacji i dostarczeniem ich na czas, wносиła do ostatniej minuty poprawki w artykule akademika. Odbitki szrotkowe zostały wysłane do Jałty przez specjalnego

kuriera, który poleciał tam samolotem, i wróciły do redakcji upstrzone przekreśleniami i poprawkami akademika. "Balzakowska korekta" - powiedział przygnębiony kierownik redakcji. Wszystko zostało uzgodnione, dopasowane, wyliczone i ciężka kolasa wydawniczej techniki wjechała w przetarte koleiny. Ale w momencie gdy formowano już kolumny druku, poleciała w kosmos Łajka i akademik znajdujący się w Rumunii na światowym kongresie pokoju, ponownie zaczął wysyłać telegramy z błaganiami i zadaniami. Redakcja zaś zamawiała pilne międzynarodowe rozmowy telefoniczne z Bukaresztem. W końcu wydanie ujrzało światło dzienne i redakcja natychmiast utraciła całe zainteresowanie artykułem akademika. Ale wszystko to było później, a teraz dziennikarz Gołubiew wchodził po wąskich marmurowych schodach ogromnego domu na głównej ulicy miasta, w którym mieszkał akademik. Dom miał tyle samo lat co dziennikarz. Postawiono go w okresie budowlanego boomu na początku stulecia. Były tam komercyjne mieszkania z łazienką, gazem, telefonem, kanalizacją i elektrycznością. W bramie znajdował się stół dozorczy. Elektryczna lampka była tak ustawiona, żeby światło padało na twarz wchodzących. Przypominało to w jakiś sposób więzienie Śledcze. Gołubiew podał nazwisko akademika, dozorca przekazał je przez telefon, a otrzymawszy odpowiedź,

powiedział dziennikarzowi „proszę” i otworzył przed nim ozdobione odlewami z brązu drzwi windy. Biuro przepustek, pomyślał sobie ospale Gołubiew. Czego jak czego, ale biur przepustek to widział w swoim życiu niemało.

- Akademik mieszka na piątym piętrze - powiadomił go z szacunkiem dozorca. Na jego twarzy nie pojawiło się zdziwienie, gdy Gołubiew przeszedł mimo otwartych drzwi windy na czyste stopnie wąskich marmurowych schodów. Po przebyciu choroby Gołubiew nie znosił windy - ani jej wznoszenia, ani opadania, zwłaszcza opadania z jego podstępą „nieważkością”. Odpoczywając na każdym półpiętrze, Gołubiew dobrnął wreszcie do piątego. Szum w uszach nieco ustał, serce zaczęło bić normalniej i oddech się wyrównał. Gołubiew trochę postął przed drzwiami mieszkania akademika, wyciągnął ręce i ostrożnie wykonał głową kilka ruchów gimnastycznych - tak zalecali lekarze leczący dziennikarza. Przestawszy kręcić głową, namacał znajdującą się w kieszeni chusteczkę, wieczne pióro, notes i zdecydowanie zadzwonił. Popularny akademik sam mu otworzył drzwi. Młody, ruchliwy, z bystrymi, czarnymi oczami wyglądał bardziej świeżo i młodziej od Gołubiewa. Przed rozmową dziennikarz przejrzał w bibliotece encyklopedię, a także kilka biografii akademika - zarówno jako delegata, jak i uczonego - i wiedział, że są obaj rówieśnikami.

Przeglądając artykuły związane z przyszłą rozmową, Gołubiew zwrócił uwagę na to, że akademik ciskał gromy i błyskawice ze swego naukowego Olimpu na cybernetykę, obwołaną przez niego „najbardziej szkodliwą idealistyczną quasi-nauką”. „Wojująca pseudonauka” - tak się wyrażał akademik przed dwoma dziesiątkami lat. Rozmowa, dla której przyjechał Gołubiew do akademika, właśnie miała dotyczyć współczesnego znaczenia cybernetyki. Akademik zapalił światło, aby Gołubiew mógł się rozebrać. W ogromnym lustrze z ramą z brązu, stojącym w przedpokoju, widniało ich wspólne odbicie - akademik w czarnym garniturze z czarnym krawatem, czarnowłosy, czarnooki, ruchliwy, o gładkiej twarzy i prosta figura Gołubiewa ze zmęczoną twarzą pooraną zmarszczkami, podobnymi do głębokich szram. Ale błękitne oczy Gołubiewa pobłyskiwały chyba młodziej niż żywe, błyszczące oczy akademika. Gołubiew umieścił na wieszaku swoje sztywne, nowe palto ze sztucznej skóry. Obok wytartego, skózanego płaszcza gospodarza, podbitego futrem szopa, jego palto prezentowało się zupełnie przyzwoicie.

- Proszę - powiedział akademik, otwierając drzwi z lewa. - I proszę o wybaczenie, zaraz wrócę.

Dziennikarz rozejrzał się. Amfilada pokoi uchodziła w głąb w dwu kierunkach - w prawo i w lewo. Prowadziły do nich

przeszklone drzwi, mahoniowe u dołu i gdzieś tam w głębi pojawiały się milczące cienie ludzi. Gołubiew nie miał okazji mieszkać w amfiladowo usytuowanych pokojach, ale pamiętał film "Maskarada" i mieszkanie Arbenina. Akademik pojawiał się gdzieś w oddali, potem znikał, potem znów się pojawiał i znikał, podobnie jak Arbenin w filmie. W pierwszym, dużym pokoju z prawej strony - za nim ciągnęła się dalej amfilada - jasnym, ze szklanymi drzwiami i weneckimi oknami, stał ogromny koncertowy fortepian białego koloru. Był zamknięty, a na jego pokrywie cisnął się tłum jakichś wzajemnie przesłaniających się, porcelanowych figurek. Na wspaniałych podstawkach stały wazy, wazki, większe i mniejsze statuetki. Na ścianach wisiały talerze i makaty. Dwa przestronne fotele obite były białym materiałem nawiązującym do koloru fortepianu. Gdzieś w głębi, za szkłem poruszały się cienie ludzi. Gołubiew wszedł do gabinetu akademika, maleńkiego i ciemnego, podobnego do komórki. Zajmujące cztery ściany półki z książkami jeszcze bardziej go ścieśniały. Maleńkie, podobne do zabawki, mahoniowe rzeźbione biurko zdawało się uginać pod ciężarem ogromnego marmurowego kałamarza z pokrywką z pozlacanego brązu. Półki na książki na ścianach biblioteki przeznaczone zostały na poradniki i informatory, na czwartej znajdowały się

własne prace akademika. Tam też stały znajome Gołubiewowi jego biografie i autobiografie. Wciśnięty do tego pokoju dusił się w nim maleńki czarny fortepian. Przyciśnięty do niego okrągły stół zawalony był świeżymi czasopismami technicznymi. Gołubiew przeniósł stos czasopism na fortepian, przysunął krzesło i na skraju stołu położył pióro i dwa ołówki. Drzwi do przedpokoju akademik zostawił otwarte. Podobnie jak w „tamtych” gabinetach, ospale pomyślał Gołubiew. Wszędzie - na czarnym fortepianie, na bibliotecznych półkach - stały dzbanuszki, porcelanowe i gliniane figurki. Gołubiew wziął do ręki popielnicę upodobnioną do głowy Mefistofelesa. Kiedyś tam, dawno, kochał porcelanę, szkło i zawsze zdumiewał go znajdujący się w Ermitażu cudowny wytwór rąk ludzkich - biała porcelanowa figurka - Sen. Twarz śpiącego w fotelu człowieka przykryta była cieniusieńką chusteczką i wydawało się, że pracownicy muzeum narzucili na statuetkę kawałek merli, żeby figurka nie pokryła się pyłem, a była to jednak cieniutka chusteczka z porcelany. Gołubiew pamiętał jeszcze wiele cudownych rzeczy, twórców ludzkiej umiejętności. Ale głowa Mefistofelesa - prowincjonalnie masywna - była niezrozumiała. Z półek trąbiły gliniane barany, a zające z pyskami lwów siedziały przyciśnięte do okładek książek. Czyżby jakaś osobista pamiątka?

Koło drzwi stały dwie solidne, skórzane walizy z naklejkami zagranicznych hoteli.

Naklejek było wiele, walizki były nowe. W progu ukazał się akademik i przechwytyjąc spojrzenie Gołubiewa, wyjaśnił:

- Proszę o wybaczenie. Jutro odlatuję do Grecji. Proszę. - akademik przecisnęła się do biurka i zajął wygodną pozycję. - Przemyślałem propozycję waszej redakcji - powiedział, spoglądając na lufcik; wiatr wniósł do pokoju żółty, pięcioramienny, klonowy liść, podobny do odrabanej ludzkiej ręki. Liść zakręcił się w powietrzu i upadł na podłogę. Akademik pochylił się, przełamał suchy liść w palcach i rzucił do plecionego koszyka, przyciśniętego do nogi biurka. - Zgodziłem się - kontynuował. - Naszkicowałem trzy zasadnicze punkty mojej odpowiedzi, mojego wystąpienia czy poglądu - proszę to nazwać według uznania. - akademik zręcznie wyciągnął spod ogromnego kałamarza maleńką kartkę papieru, na której nagryzmołono kilka słów. - Zagadnienie pierwsze formułuję tak...

- Poproszę - powiedział, bledniejąc Gołubiew - aby mówił pan nieco głośniej. Rzecz w tym, że ja źle słyszę. Proszę wybaczyć.

- Ależ co pan, co pan - uprzejmie odrzekł akademik. - Zagadnienie pierwsze formułuję... Czy tak wystarczy?

- Tak, dziękuję panu.

- A więc pierwsze zagadnienie...

Czarne, ruchliwe oczy akademika spoglądały na ręce Gołubiewa, który zrozumiał, a raczej odczuł całym ciałem, o czym akademik myśli. Pewnie o tym, że przysłany do niego dziennikarz nie włada stenografią. To uraziło go trochę. Oczywiście, że są dziennikarze nie umiejący stenografować, zwłaszcza ci starsi. Akademik spojrzał na ciemną, pomarszczoną twarz dziennikarza. Oczywiście są, ale przecież w takich przypadkach redakcja przysyła drugą osobę - stenografistkę. Mogłaby również przysłać samą stenografistkę, bez dziennikarza - byłoby jeszcze prościej. Na przykład „Przyroda i Wszechświat” zawsze przysyła do niego tylko stenografistkę. Przecież chyba redakcja nie myśli, przysyłając mu takiego niemłodego już dziennikarza, że potrafi on zadawać błyskotliwe pytania jemu, akademikowi. Nie może być mowy o żadnych błyskotliwych pytaniach. I nigdy nie było. Dziennikarz, myślał akademik, to coś na kształt kuriera dyplomatycznego - lub całkiem po prostu kuriera. On, akademik, traci czas dlatego, że brak stenografistki. Stenografistka - to coś elementarnego, to, jakby rzecz, uprzejmość redakcji. Redakcja postąpiła z nim nieuprzejmie. A na Zachodzie, proszę - tam każdy dziennikarz włada stenografią, potrafi posługiwać się maszyną do pisania. Tutaj zaś - jakby

przed stu laty, gdzieś w gabinecie Niekrasowa. Jakie czasopisma były przed stu laty? Oprócz „Sowriemiennika” żadnego nie pamiętał, a przecież na pewno były. Akademik był człowiekiem ambitnym i wrażliwym. W postępku redakcji upatrywał braku szacunku. A przy tym - wiedział o tym z doświadczenia - prowadzony przez dziennikarza zapis na pewno zmieni charakter rozmowy. Trzeba będzie wiele czasu stracić na korektę tekstu. Do tego wszystkiego na rozmowę mógł przeznaczyć godzinę - ponad to nie może, nie ma prawa. Jego czas jest droższy niż czas dziennikarza czy redakcji. Tak myślał akademik, dyktując utarte zdania wywiadu. Zresztą nie dał znać po sobie, że jest zdziwiony czy zagniewany. „Wino, rozlane do szklanek, trzeba pić” - wspomniał francuskie przysłowie. Akademik myślał po francusku; ze wszystkich języków, które znał, najbardziej lubił francuski - najlepsze czasopisma naukowe w zakresie jego specjalności, najlepsze powieści detektywistyczne...Akademik głośno wymówił to francuskie zdanie, ale dziennikarz, nie władający stenografią, nie odezwał na to - czego właśnie akademik się spodziewał. Tak, wino rozlane, myślał, dyktując, decyzja podjęta i Sprawa się zaczęła. Akademik nie miał w zwyczaju zatrzymywać się w pół drogi. Uspokoił się i dyktował dalej.

W końcu to swego rodzaju zadanie techniczne: zmieścić się dokładnie w godzinie, nie dyktując szybko, ażeby dziennikarz nadażał z zapisywaniem, i dostatecznie głośno - ciszej wprawdzie niż z instytutowej katedry czy też na kongresach pokoju, ale znacznie głośniej niż w swoim gabinecie - mniej więcej tak jak na zajęciach w laboratorium. Zorientowawszy się, że te wszystkie problemy zostały z powodzeniem rozwiązane i uciążliwe, nieoczekiwane dodatkowe trudności przewyciężone, akademik poweselał.

- Przepraszam - powiedział akademik - czy pan to nie ten Gołubiew którego tak wiele drukowano w okresie mojej młodości, mojej naukowej młodości na początku lat trzydziestych? Wszyscy młodzi uczeni śledzili jego artykuły. Przypominam sobie tytuł jednego z nich - "Jedność nauki i literatury pięknej". W tamtych latach - akademik uśmiechnął się, ukazując pięknie wyreperowane zęby - takie tematy były w modzie. Przydałby się ten artykuł i teraz do rozmowy o fizykach i lirykach z cybernetykiem Poletajewem. Wszystko to było dawno temu - westchnął akademik.

- Nie - odrzekł dziennikarz. - Nie jestem tym Gołubiewem. Wiem, o kim pan mówi. Tamten Gołubiew umarł w trzydziestym siódmym roku. - i Gołubiew skierował twarde spojrzenie ku bystrym, czarnym oczom akademika.

Akademik wydał jakiś niejasny dźwięk, który należałoby ocenić jako; współczucie, zrozumienie i żal. Gołubiew pisał, nie odrywając się. Francuskie przysłowie zrozumiał nie od razu. Znał język, ale zapomniał, dawno go zapomniał, a teraz nieznanymi słowami wpełzły w jego zmęczoną, wyschniętą mózgowicę. To niezrozumiałe zdanie przesunęło się powoli, jakby na czworakach, po ciemnych zakątkach mózgu, zatrzymywało się, nabierało siły i w końcu dopełzło do jakiegoś jasnego kąta i Gołubiew z bólem i strachem pojął jego znaczenie w języku rosyjskim. Istota rzeczy nie tkwiła w jego treści, lecz w tym, że je zrozumiał - co jakby otworzyło przed nim nowe rejony tego, co zapomniane, gdzie również trzeba wszystko odtwarzać, umacniać, wznosić na nowo. A sił już brakło - i tych fizycznych, i psychicznych. Wydawało się, że o wiele łatwiej byłoby niczego sobie nie przypominać. Na plecach dziennikarza wystąpił zimny pot. Bardzo chciało mu się palić, ale lekarze zakazali tytoniu - jemu, który palił od czterdziestu lat. Zakazali - i rzucił: stchórzył, zapragnął żyć. Wola potrzebna była nie na to, aby rzucić palenie, lecz żeby nie słuchać lekarskich rad. W drzwiach pojawiła się kobieca głowa we fryzjerskim kasku. Usługi domowe, odnotował dziennikarz.

- Przepraszam. - Akademik wylazł z za fortepianu i wysliznął się z pokoju, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Gołubiew pomachał obrzmiałą ręką i zatemperował ołówek. Z przedpokoju dał się słyszeć głos akademika - energiczny i w miarę ostry. Nikt mu nie wchodził w słowo ani nie odpowiadał.

- Szofer - wyjaśnił akademik, pojawiając się w ciemności - w żaden sposób nie może pojąć, na którą godzinę ma podjechać. Kontynuujemy - powiedział, wchodząc za fortepian i przeginając się przez niego tak, aby Gołubiew mógł lepiej słyszeć. - Drugi rozdział - to osiągnięcia teorii informacji, elektroniki, logiki matematycznej - jednym słowem, tego wszystkiego, co przyjęto nazywać cybernetyką.

Badawcze spojrzenie czarnych oczu napotkało oczy Gołubiewa, ale dziennikarz pozostał niewzruszony. Akademik kontynuował ze swadą: „W tej modnej nauce pozostaliśmy trochę w tyle za Zachodem, ale szybko to naprawiliśmy i obecnie kroczymy w przodzie. Myślmy o powołaniu katedr logiki matematycznej i teorii gier”.

- Teorii gier?

- Właśnie, nazywają ją niekiedy teorią Monte Carlo - grasejując, ciągnął akademik. - Podążamy wraz z wiekiem. Inna rzecz, że wam...

- Dziennikarze nigdy nie nadażali za wiekiem - powiedział Gołubiew. - Nie to, co uczeni...

Gołubiew przysunął popielniczkę z głową Mefistofelesa.

- Zapatrzyłem się na nią - powiedział.

- No co pan - rzekł akademik. - Przypadkowy zakup. Ze mnie żaden kolekcjoner ani amator, jak mówią Francuzi, a całkiem po prostu na tej glinie odpoczywają oczy.

- Oczywiście, oczywiście, piękne zajęcie.

- Gołubiew chciał powiedzieć upodobanie, ale przestraszył się dźwięku „u”, żeby nie wyleciała niedawno wstawiona proteza, która nie wytrzymała tego dźwięku. -

No cóż, dziękuję panu - powiedział, wstając i składając kartki. - Życzę wszystkiego najlepszego. Odbitki szrotkowe przyślemy.

- Tam, w razie czego - rzekł, marszcząc się akademik - niech coś sami dodadzą w redakcji, co trzeba. Przecież jako naukowiec mogę czegoś nie wiedzieć.

- Proszę się nie obawiać. Wszystko pan zobaczy na odbitkach.

- Życzę powodzenia.

Akademik wyszedł, odprowadzając dziennikarza do przedpola zapalił światło i ze współczuciem patrzył, jak Gołubiew wciąga na siebie zbyt nowe, sztywne palto. Lewa ręka z trudnością trafiła do ręki i Gołubiew poczerwieniał z wysiłku.

- Wojna? - z troską w głosie spytał akademik.

- Prawie - odrzekł Gołubiew. - Prawie. - i wyszedł na marmurowe schody. Stawy barkowe Gołubiewa zostały uszkodzone w czasie przesłuchań w trzydziestym ósmym roku.

DIAMENTOWA MAPA

W trzydziestym pierwszym roku na Wiszerze często były burze. Proste, krótkie błyskawice cięły niebo jak miecze. Kolczuga deszczu pobłyskiwała i dzwoniła; skały podobne były do ruin zamku.

- Średniowiecze - powiedział Williamson, zeskakując z konia. - Czólna, konie, kamienie... Odpoczniemy przy Robin Hoodzie.

Na wzgórku stało potężne dwunogie drzewo. Starość i wiatr oberwały korę z pni dwu zrosniętych topoli - bosy gigant w krótkich spodniach rzeczywiście podobny był do szkockiego bohatera. Robin Hood szumiał i wymachiwał rękami.

- Równo dziesięć wiorst pozostało do domu - powiedział Williamson, przywiązując konia do prawej nogi Robin Hooda.

Schroniliśmy się przed deszczem w maleńkiej jaskini pod pniem i zapaliliśmy. Naczelnik geologicznej grupy Williamson nie był geologiem. Był wojskowym, marynarzem, dowódcą łodzi

podwodnej. Łódź zboczyła z kursu i wypłynęła u brzegów Finlandii. Załogę zwolniono, ale dowódcę Mannerheim przetrzymał przez całe pół roku w lustrzanej celi. W końcu Williamson został wypuszczony i przyjechał do Moskwy. Neuropatolodzy i psychiatrzy nalegali na demobilizację, z tym żeby pracował on gdzieś, gdzie jest czyste powietrze, w lesie, w górach. W ten sposób został naczelnikiem grupy geologicznej. Od ostatniej przystani płynęliśmy przez dziesięć dób pod prąd górskiej rzeki - przepychając dragami czółno wzdłuż brzegów. Piątą dobę jechaliśmy konno, gdyż rzeki dalej nie było - pozostało tylko kamieniste koryto.

Jeszcze przez jeden dzień konie szły wijącą się w tajdze ścieżką, a droga jakby była bez końca. W tajdze wszystko wydaje się nieoczekiwane, wszystko jest nowym zjawiskiem: księżyc, gwiazdy, zwierzęta, ptaki, ludzie, ryby. Las niepostrzeżenie przerzedził się, krzaki się rozsunały, ścieżka zamieniła się w drogę i przed nami pojawił się ogromny, omszały budynek z cegły, bez okien. Okrągłe, puste otwory okienne wyglądały jak strzelnice.

- Skąd cegła? - spytałem, zdumiony niezwykłością starej budowli w głuchej tajdze.

- Zuch! - krzyknął Williamson, osadzając konia. - Spostrzegłeś! Jutro wszystko pojdziesz.

Na drugi dzień również niczego nie zrozumiałem. Ponownie byliśmy w drodze. Jechaliśmy leśną, dziwnie prostą drogą. Młody brzeźniak przecinał ją tu i ówdzie, a jodły z obu stron wyciągały do siebie kosmate łapy, zrudziałe ze starości. Ale błękitne niebo ani na chwilę nie było nimi zakryte. Czerwony od rdzy zestaw kołowy wagonetki wyrastał z ziemi jak drzewo bez konarów i liści. Zatrzymaliśmy konie.

- To kolejka wąskotorowa - powiedział Williamson. - Chodziła od huty do składu - tego właśnie, z cegły. Słuchaj teraz. Tutaj kiedyś, jeszcze za cara, była belgijska koncesja wydobywająca i przetapiająca rudę. Huta, dwa wielkie piece, kolejka wąskotorowa, osada, szkoła, śpiewaczki z Wiednia. Koncesja przynosiła duże zyski. Żelazo spławiano barkami, gdy była wielka woda - wiosną i jesienią. Termin koncesji upłynął w 1912 roku. Rosyjscy przemysłowcy, z księciem Lwowem na czele, którym bajeczne zyski Belgów nie dawały spokojnie spać, prosili cara o przekazanie im tego przedsięwzięcia. Starania ich skończyły się sukcesem. Belgom nie przedłużono koncesji. Odmówili oni przyjęcia opłat za dokonane inwestycje i wynieśli się. Ale odchodząc, wszystko wysadzili w powietrze - hutę i wielkie piece, tak że nie pozostał kamień na kamieniu. Nawet kolejkę rozebrali aż do ostatniego styku szyn. Trzeba było rozpocząć wszystko

od nowa. Nie na to liczył ksiązę Lwow. Nie zdążyli jeszcze zacząć, gdy wybuchła wojna. A potem - rewolucja, wojna domowa.

I oto teraz, w 1930 roku - jesteśmy tutaj. To wielkie piece. - Williamson wskazał gdzieś w prawo, ale oprócz bujnej zieleni nie zobaczyłem niczego. - A oto huta - powiedział.

Przed nami rozciągał się wielki, ale płytki parów, wawóz, cały zarośnięty młodym lasem. Pośrodku widniała wypukłość nasuwająca myśl o szkielecie jakiejś budowli. Tajga przykryła resztki huty, a na rozwalonym kominie, niby na wierzchołku skały, siedział brązowy jastrząb.

- Należy o tym wiedzieć, ażeby zobaczyć w tym hutę - powiedział Williamson. - Huta bez człowieka. Znakomita robota. Wszystkiego dwadzieścia lat. Dwadzieścia pokoleń traw: porów, turzyc, kiprzycy... I nie ma cywilizacji. A na kominie huty siedzi jastrząb.

- W przypadku człowieka ta droga jest dłuższa - powiedziałem.

- Znacznie krótsza - poprawił Williamson.

- Ludzkich pokoleń mniej. - i nie pukając, otworzył drzwi do najbliższej izby.

Za prostym, oheblowanym i wyszorowanym do białości stołem siedział srebrnogłowy, ogromnego wzrostu starzec, w czarnym kastorowym surducie i okularach w złotej oprawie. Sinawe, wykrzywione podagra

palce obejmowały grubą księgę w skórzanej oprawie ze srebrnymi zapinkami. Niebieskie oczy z siecią czerwonych, starczych żyłek spoglądały na nas spokojnie.

- Dzień dobry, Iwanie Stiepanowiczu - powiedział, zbliżając się, Williamson. - Przyproceedziłem panu gościa.

Ukłoniłem się.

- Ciagle ryjecie? - wychrypiał starzec w złotych okularach. - Daremna robota, daremna. Poczęstowano by was, chłopcy, herbata, ale wszyscy się rozbiegli. Baby poszły z malcami na jagody, synowie polują. Dlatego wybaczcie. Ten czas ma dla mnie szczególne znaczenie - i Iwan Stiepanowicz postukał palcem po grubej księdze. - Zresztą, wy mi nie przeszkadzacie.

Zapinka szczęknęła i księga została otwarta.

- Co to za książka? - spytałem mimo woli.

- Biblia, synku. Innych książek nie mam już w domu od dwudziestu lat...Łatwiej mi słucać, niż czytać - oczy osłabły.

Wziąłem Biblię do rąk. Iwan Stiepanowicz uśmiechnął się. Książka była w języku francuskim.

- Nie umiem po francusku.

- No właśnie - powiedział Iwan Stiepanowicz, szeleszcząc stronicami książki.

Wyszliśmy.

- Kto to taki? - spytałem Williamsona.

- Buchalter, który rzucił światu wyzwanie, Iwan Stiepanowicz Bugriejew, podjął walkę z cywilizacją. Jest on jedynym, który pozostał w tej głuszy od 1912 roku. Był u Belgów głównym buchalterem. Zszokowany unicestwieniem huty, został wyznawcą Rousseau. Widzi pan, jaki z niego patriarcha. Myślę, że ma chyba siedemdziesiąt lat. Ma ośmiu synów i ani jednej córki. Żona-staruszka.

Wnuki. Dzieci wykształcone. Zdażyły jeszcze wyuczyć się w szkole. Ale wnuków starzec nie pozwala uczyć. Łowienie ryb, polowanie, jakiś ogród, pszczoły i francuska Biblia opowiadana przez dziadka - to stanowi ich życie. W odległości czterdziestu wiorst znajduje się osada, szkoła, sklep. Trochę mu nadskakuję - istnieje pogłoska, że on przechowuje mapę złóż tutejszych ziem, która pozostała po belgijskim zwiadzie geologicznym. Możliwe, że to nawet prawda. Poszukiwania były prowadzone - ja sam napotykałem w tajdze czyjeś stare szurfy. Stary nie daje mapy. Nie chce skrócić czasu naszej pracy. Trzeba będzie się bez niej obejść.

Nocowaliśmy w izbie starszego syna Iwana Stiepanowicza - Andrieja. Andriej Bugriejew miał czterdzieści lat.

- Dlaczego nie przyszedł pan do mnie pracować jako poszukiwacz?

- Ojciec tego nie pochwała - powiedział Andriej Bugriejew.

- Byłby zarobek!

- Pieniądzy to nam wystarcza. Przecież tu dużo zwierzyny. I wyrębu też. A przy tym jest wiele roboty przy gospodarstwie - dziadek układa dla każdego swój plan. Trzyletni - uśmiechnął się Andriej.

- Masz, weź gazetę.

- Nie, nie trzeba. Ojciec się dowie. A do tego oduczyłem się czytać.

- A syn? Przecież ma już piętnaście lat.

- Waniuszka to już zupełnie niekształcony. Proszę ojcu powiedzieć, a co ze mną gadać. - i Andriej Iwanowicz zaczął ze złością ściągać buty.

- A co, czy to prawda, że będą tu budować szkołę?

- Prawda. Za rok otworzą.

- A ty, widzisz, nie chcesz dla zwiadu pracować? Dla mnie cenny jest każdy człowiek.

- Gdzie są wszyscy twoi pracownicy? - zapytał Andriej Iwanowicz, zmieniając delikatnie temat rozmowy.

- Na Czerwonym Źródle. Grzebiemy się w starych szurfach.

- A Iwan Stiepanowicz ma przecież mapę, co, Andrieju?

- Nie ma żadnej mapy. To wszystko kłamstwa. Łgarstwa.

Nagle, w świetle pojawiła się zaniepokojona i pełna złości twarz Marii, żony Andrieja.

- Nieprawda, jest! Jest! Jest!

- Mario!

- Jest! Jest! Dziesięć lat temu sama ja widziałam.

- Mario!

- Po diabła chować tę przeklętą mapę? Dlaczego Waniuszka niekształcony? Żyjemy jak zwierzęta. Niedługo zarośniemy trawą!

- Nie zarośnięcie - powiedział Williamson.

- Będzie osada. Będzie miasto. Będzie huta. Będzie życie. I chociaż nie będzie wiedeńskich śpiewaczek, to będą szkoły, teatry. Twój Waniuszka zostanie inżynierem.

- Nie zostanie, nie zostanie - rozpląkała się Maria. - Jemu już pora się żenić. A kto za niego wyjdzie, za analfabetę?

- Co to za hałas? - na progu stał Iwan Stiepanowicz. - Ty, Mario idź do siebie - pora już spać. Andriej, źle pilnujesz żony. A wy, dobrzy obywatele, nie wnoście kłótni do mojej rodziny. Mapę mam i nie dam jej, wszystko to nie jest konieczne do życia.

- Nie tak bardzo jest nam potrzebna ta wasza mapa - powiedział Williamson. - W ciągu roku wykreślimy własną. Bogactwa zostały odkryte, jutro Wasilczikow przywiezie rysunki - będziemy rąbać las pod osadę.

Iwan Stiepanowicz wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Wszyscy pospieszyli spać. Przebudziłem się od obecności wielu osób. Świt ostrożnie wnikał do izby. Williamson siedział wprost na podłodze, wyciągając brudne bosc nogi, a wokół niego głośno dyszała cała rodzina Rugriejewów, wszyscy, ośmiu synów, osiem

synowych, dwadzieścia wnucząt i piętnaście wnuczek. Zresztą wnukowie i wnuczki dyszały gdzieś na ganku. Nie było tylko samego Iwana Stiepanowicza i jego staruszki-żony - ostronosej Sierafimy Iwanownej.

- Tak będzie? - pytał dławiącym się głosem Andriej.

- Będzie.

- A jakże on?

- A co on? - spytał twardo Wiliamson.

- Dziadek umrze - ze smutkiem wymówił Andriej i wszyscy Bugriejewowie westchnęli ponownie.

- Może nie umrze - niepewnie odrzekł Wiliamson.

- I babka umrze. - Synowe rozplakały się.

- Matka w żadnym wypadku nie umrze - upewnił je Wiliamson i dodał: - Zresztą to już stara kobieta.

Nagle wszyscy podnieśli gwar, poruszyli się. Co młodsze wnuczęta dały nurka w krzaki, synowe rzuciły się do swoich izb. Od dziadkowej izby wolno kroczył ku nam Iwan Stiepanowicz, trzymając w obu rękach ogromną, brudną, pachnącą ziemią wiązkę papierów.

- Oto ona, mapa. - Iwan Stiepanowicz trzymał w rękach zleżące kartki pergaminu i palce mu drżały. Zza jego potężnych pleców wyglądała Sierafima Iwanowna. - Proszę - oddaję. Dwadzieścia lat. Wybacz, Sima. Andrieju, Piotrze, Mikołaju, wszyscy moi rodzeni - wybaczcie. - Bugriejew rozplakał się.

- No dosyć, dosyć, Iwanie Stiepanowiczu
- powiedział Williamson. - nie denerwuj
się. Zamiast się martwić - ciesz się. -
i kazał mi trzymać się w pobliżu
Bugriejewa.

Starzec wcale nie myślał umierać. Szybko
uspokoił się, odmłodniał i gadał bez
przerwy od rana do wieczora, chwytając
za ramię to mnie, to Williamsona, to
Wasilczikowa - cały czas opowiadając o
Belgach jak to było, gdzie co stało,
jakie zyski mieli jego gospodarze.
Staruszek miał dobrą pamięć. W
pergaminowym, pachnącym ziemią zwitku
znajdowała się mapa złóż tego kraju,
zestawiona przez Belgów. Rudy: złoto,
żelazo... Drogie kamienie: topazy,
turkusy, beryl... Kamienie półszlachetne:
agat, jaspis , kryształ górski,
malachit.... Nie było tylko tych kamieni,
dla których właśnie przyjechał
Williamson. Iwan Stiepanowicz nie oddał
diamentowej mapy. Diamenty znaleziono na
Wiszerze dopiero po trzydziestu latach.

NIENAWRÓCONY

Troskliwie przechowuję mój stary
składany stetoskop. To podarunek
otrzymany w dniu ukończenia kursu
felczerów od Niny Siemionowej,
kierowniczkii praktyk w zakresie chorób
wewnętrznych. Stetoskop ten - to
obietnica wolności i niezależności,
obietnica, która się spełniła. Zreszta

niezależność i wolność - to dwie różne rzeczy. Ja nigdy nie byłem wolny, przez całe moje dorosłe życie byłem tylko niezależny. Ale wszystko to było później, o wiele później niż dzień, w którym przyjąłem ten podarunek z ledwie zatajonym bólem, z ledwo tajonym smutkiem - jak gdyby to nie mnie, a komu innemu należało dać ten stetoskop - symbol i znak mojego największego sukcesu na Dalekiej Północy, na rubieży życia i śmierci. Wszystko to wyraźnie odczuwałem - nie wiem, czy rozumiałem, ale na pewno odczuwałem, kładąc go obok siebie pod koc, niegdyś żołnierski, a obecnie drugiego czy nawet trzeciego okresu użytkowania, wydawany teraz kursantom. Gładziłem stetoskop podmrażanymi palcami, a one nie odróżniały - czy to drewno, czy żelazo. Jednego razu wyjąłem po omacku z własnego worka stetoskop zamiast łyżki. I w tej pomyłce krył się głęboki sens. Byli więźniowie, którzy łatwo przeżyli łagier - jeżeli ktokolwiek łatwo go może przetrwać; za najtrudniejszy okres swego życia uznają poławagrowe bezprawie, błąkanie się, kiedy nie można uzyskać tej życiowej stabilności, która pomogła im wyżyć w łagrze. Ci ludzie w jakiś sposób przystosowali się do łagru i łagier przysposobił się do nich, dając im jedzenie, dach nad głową i pracę. Trzeba było gwałtownie zmienić nawyki. Ludzie ujrzeli krach swoich, jakże

skromnych nadziei. Doktor Kalembiet, który odbył pięć lat swojego łagrowego wyroku, nie dał sobie rady z wolnością po łagrze i gdy upłynął rok, skończył ze sobą, pozostawiając kartkę: „durnie nie dają mi żyć”. Ale nie chodziło tu o durniów. Inny lekarz, doktor Miller, przez całą wojnę z niezwykłą energią udawał, że nie jest Niemcem, ale Żydem - głosił to w każdym miejscu, w każdej ankiecie. Był jeszcze trzeci, doktor Braude - przesiedział ponad wyrok trzy lata, i doktor Miller wiedział, że los nie lubi żartować. Udało mu się udowodnić że nie jest Niemcem, i został zwolniony w należnym terminie. Ale już po roku życia na wolności został oskarżony o kosmopolityzm. Wprawdzie nie było jeszcze formalnego oskarżenia, ale doświadczony naczelnik, czytający gazety i śledzący nowości literatury pięknej, zaprosił go na rozmowę wstępną. Rozkaz bowiem jest rozkazem, i utrafienie w „linię”, zanim nadejdzie rozkaz - to wielka przyjemność dla biegłych w piśmie naczelników. To co rozpoczęło się w centrum, na pewno dotrze w swoim czasie do Czukotki, do Indygirki i Jany, na Kołymę. Doktor Miller wszystko to dobrze rozumiał. W osadzie Arkagała, gdzie doktor Miller pracował jako lekarz, w jamie z nieczystościami utopił się prosiak. Prosiak udusił się łajnem, ale go wyciągnięto i zaczął się jeden z najostrzejszych sporów; w

rozstrzygnięciu tego konfliktu uczestniczyły wszystkie organizacje społeczne. Prosiak jest wolny - ze sto osób, naczelników i inżynierów z rodzinami, żądało, aby oddać prosiaka do wolnej stołówki. To była rzadkość - odbijane kotlety wieprzowe, setki takich kotletów. Naczalstwu ciekła ślinka. Ale naczelnik łagru Kuczerenko nalegał, aby prosiaka sprzedano łagrowi - i wszyscy, cała zona, wszyscy w łagrze zajmowali się losem prosiaka przez kilka dni. O wszystkim innym zapomniano. W osadzie odbywały się zebrania - organizacji partyjnej, organizacji związkowej, żołnierzy oddziału straży. Doktor Miller, były zek, naczelnik przychodni lekarskiej osady i łagrowego ambulatorium, miał rozstrzygnąć ten ostry spór. I doktor Miller rozstrzygnął - na korzyść łagru. Napisano protokół, w którym mówiło się, że prosiak utonął w łajnie, ale może być wykorzystany dla potrzeb łagrowego kotła. Takich protokołów spotyka się na Kołymie niemało. Kompot, który przesiąkł zapachem nafty: „do sprzedaży w sklepie osady dla wolnych nie nadaje się, ale może być przemyty i sprzedany na użytek łagrowego kotła". Ten właśnie protokół o prosiaku podpisał doktor Miller na dzień przed rozmową o kosmopolityzmie. To bardzo prosta chronologia, coś, co pozostaje w pamięci jako znaczące i życiowo ważne. Po rozmowie ze śledczym

Miller nie poszedł do domu, lecz wszedł do zony, nałożył fartuch, otworzył swój gabinet, wyjął strzykawkę i wprowadził sobie do żyły morfinę. Po co to całe opowiadanie o lekarzach samobójcach, o prosiaku, który utonął w nieczystościach i bezgranicznej radości więźniów? A oto dlaczego. Dla nas - dla mnie i dla setek tysięcy innych, którzy nie byli lekarzami w łagrze - życie po wyjściu z niego było ciągłym, codziennym, cogodzinnym nieprzerwanym szczęściem. Zbyt groźne było to piekło, które pozostało za naszymi plecami, i żadne poniewierki w wydziałach specjalnych, w wydziałach kadr, żadne tułaczki, żadne bezprawie trzydziestego dziewiątego paragrafu systemu wydawania dowodów osobistych nie potrafiło nas pozbawić tego uczucia szczęścia i radości - w porównaniu z tym, co widzieliśmy wczoraj i przedwczoraj, znajdując się na dnie. Znaleźć się na praktyce na trzecim, wewnętrznym oddziale, to był dla absolwenta kursu felczerskiego wielki zaszczyt. Kierowała nim Nina Siemionowna - były docent katedry terapii diagnostycznej Charkowskiego Instytutu Medycznego. Jedynie dwie osoby, dwu kursantów z trzydziestu, mogło przechodzić tam miesięczną praktykę. Praktyka, bezpośrednia opieka nad chorymi - ach, jakie to nieskończenie odległe od książek, od „kursu”. Medykiem nie można zostać na podstawie książek -

ani felczerem, ani lekarzem. Na trzeci oddział pójdzie tylko dwóch mężczyzn - ja i Bokis. Dwóch mężczyzn? Dlaczego? Nina Siemionowna była zgarbioną, starą kobietą z zielonymi oczami - siwa, pomarszczona, niedobra. Dwóch mężczyzn? Dlaczego? Nina Siemionowna nienawidzi kobiet. Nienawidzi? No, powiedzmy, nie lubi. Jednym słowem - dwóch mężczyzn. Szczęśliwcy. Starosta kursu, Muza Dmitriewna, przyprowadziła mnie i Borysa przed zielone oczy Niny Siemionownej.

- Dawno tu jesteście?

- Od trzydziestego siódmego.

- A ja od trzydziestego ósmego. Z początku byłam na Elgenie. Przyjęłam tam trzysta porodów, a przedtem nigdy tego nie robiłam. A potem wojna - w Kijowie zginął mój mąż. Zginęło też dwoje dzieci.

Chłopcy. Od bomby. Wokół mnie umarło więcej ludzi niż w jakiegokolwiek bitwie na wojnie. Umarli bez żadnej wojny i żadnej się nie doczekawszy. A mimo wszystko umarli. Nieszczęście bywa różne, podobnie jak szczęście.

Nina Siemionowna siadła na łóżku chorego i odsunęła koc.

- No, to zacznijmy. Proszę wziąć do ręki stetoskop, przyłożyć do piersi chorego i słuchać... Francuzi osłuchują przez ręcznik. Ale stetoskop jest dokładniejszy, najbardziej pewny. Nie jestem zwolenniczką fonendoskopów - lekarz, który się nim posługuje, jest wielkim panem, nie chce mu się pochylić

nad chorym. Stetoskop...Tego, co wam przedstawiam, nie znajdziecie w żadnym podręczniku. Proszę słuchać.

Obciągnięty skórą szkielet pokornie słuchał komend Niny Siemionownej. Wykonywał też moje rozkazy.

- Proszę wsłuchać się w ten dźwięk jakby z pudełka, o głuchym odcieniu. Trzeba zapamiętać go na całe życie, podobnie jak te kości, tę suchą skórę i blask oczu. Będzie pan pamiętał?

- Zapamiętam. Na całe życie.

- Czy pamięta pan, jak pan go słyszał wczoraj? Proszę osłuchać chorego ponownie. Dźwięk się zmienił. Proszę to opisywać i wciągać do historii choroby. Śmiało. Pewną ręką.

W sali znajdowało się dwunastu chorych.

- Żadnych interesujących chorych teraz tu nie ma. A to, co pan widział - to głód, głód i głód. Proszę osiąść z lewej strony. O tutaj, na moje miejsce. Proszę lewą ręką obejmować plecy chorego. Silniej, silniej. Co daje się usłyszeć?

I ja relacjonowałem.

- No, pora na obiad. Proszę iść, otrzymacie go w rozdzielni.

Zażywna rozdawczyni Szura wydała nam „doktorski” obiad. Uśmiechały się do mnie ciemne oczy siostry-gospodyni, ale ten jej uśmiech skierowany był bardziej do samej siebie...

- Dlaczegoż to, Olgo Tomasowna?

- Aha, spostrzegł pan. Ja zawsze myślę o czymś innym. O tym, co już przeszło. O

tym, co było wczoraj. Staram się nie widzieć tego, co jest dzisiaj.

- To, co dzisiaj, to nie takie znów złe, nie takie straszne.

- Czy nalać panu jeszcze zupy?

- Tak, proszę.

Ale co innego leżało mi na sercu, nie te ciemne oczy. Nauka u Niny Siemionownej, opanowanie sztuki lekarskiej były dla mnie ważne ponad wszystko na świecie. Nina Siemionowna mieszkała w oddzielnym pokoju, zwanym na Kołymie „kabinka”. Nikt oprócz gospodyni nigdy tam nie wchodził. Zamiatła i porządkowała wszystko sama. Czy sama myła też podłogę - tego nie wiem. Przez otwarte drzwi widać było twarde, źle pościelone łóżko, szpitalną szafkę, taboret i wybielone ściany. Był tam jeszcze maleńki gabinet, sąsiadujący z kabiną, tylko że drzwi otwierały się na salę, a nie do sieni. Stał tam stół, coś na kształt biurka, dwa taborety i kozetka. Wszystko było niby tak jak na innych oddziałach i jednocześnie czymś się odróżniało - chyba kwiatów nie było - ani w kabinie, ani w gabinecie, ani na sali. A może była tu winna surowość Niny Siemionownej, jej stały brak uśmiechu. Ciemnozielone oczy rozpalały się szmaragdowym ogniem jakoś tak nie w porę, nie wtedy gdy powinny. Rozpalały się bez związku z rozmową czy jakąś sprawą. Ale te oczy nie ożywały tak sobie - lecz razem z uczuciami i myślami Niny Siemionownej.

Na oddziale nie istniała przyjaźń, nawet najbardziej powierzchowna, sanitariuszek czy sióstr. Wszyscy przychodzili do pracy, na dyżury, ale widać było, że prawdziwe życie pracowników trzeciego oddziału interny toczy się w żeńskim baraku, po dyżurach i pracy. Zazwyczaj w łagrowych szpitalach prawdziwe życie przywiera, jakby przykleja się do miejsca i czasu pracy - na oddział idzie się z radością, ażeby jak najszybciej rozstać się z przeklętym barakiem. Na trzecim oddziale wewnętrznym nie było przyjaźni. Sanitariuszki i siostry nie lubiły Niny Siemionownej. Jedynie szanowały się strasznego Elgenu, kołymskiego sowchozu, gdzie na ziemnych i leśnych robotach pracowały kobiety-więźniarki. Wszystkie się bały oprócz rozdawczyni Szury.

- Chłopów tu przyprowadzać - trudna sprawa - mówiła Szura, z łoskotem wrzucając wymyte miski do szafy. - Ale ja już, chwała Bogu, jestem w piątym miesiącu. Niedługo odeślą do Elgenu i - zwolnią! Każdego roku zwalniają karmiące matki: dla nas to jedyna szansa. Pięćdziesiątego ósmego nie zwalniają. Ja mam dziesiąty punkt. Dziesiąty punkt zwalniają. To nie trockści. Katuszka pracowała w zeszłym roku tu, na moim miejscu. Jej chłop, Fiedia, żyje teraz ze mną - Katuszkę z dzieckiem zwolnili, przychodziła się żegnać. Fiedia do niej mówi: „pamiętaj, że to ja cię zwolniłem

". To już nie tak, że wyrok się skończył czy amnestia, ani też przez zielonego prokuratora, ale własnym sposobem, najbardziej pewnym...I rzeczywiście - zwolnili. Chyba i mnie zwolnił...

Szura ufnie wskazała na swój brzuch.

- Na pewno zwolnił.

- Właśnie o to chodzi. Odejdę z tego przeklętego oddziału.

- Jaka tu tajemnica się kryje, Szuro?

- Sam zobaczysz. Lepiej zabrać się bo jutro niedziela do gotowania lekarskiej zupy. Chociaż Nina Siejnionowna nie bardzo lubi te świąteczne dni...Pewnie jednak pozwoli...

Lekarska zupa gotowana była na bazie medykamentów - wszystkich możliwych korzeni i kostek mięsnych rozpuszczonych w fizjologicznym roztworze soli - już wtedy jej nie trzeba - jak poinformowała mnie zachwycona tym Szura... Kisiel z czarnych jagód i malin, dzika róża, naleśniki...Wszyscy pochwalili ten lekarski obiad. Nina Siemionowna dojadła swą porcję i wstała.

- Proszę zajść do mnie do gabinetu.

Wszedłem.

- Mam dla pana książkę.

Nina Siemionowna pogrzebała w szufladzie biurka i wydostała książkę podobną do modlitewnika.

- Czy to Ewangelia?

- Nie, to nie Ewangelia - wolno odrzekła Nina Siemionowna, a jej zielone oczy

rozbiły. - Nie, nie Ewangelia. To -
Błok. Proszę.

Wziąłem do rąk nieśmiało i z
nabożeństwem brudnoszary tomik z małej
serii „Biblioteki poety”. Grubą, jeszcze
kopalnianą skórą moich odmrożonych
palców powiodłem po grzbiecie, nie mogąc
wyczuć ani kształtu, ani wielkości
książki. W tomiku znajdowały się dwie
papierowe zakładki.

- Proszę mi głośno przeczytać te dwa
wiersze. Tam gdzie zakładki.

- "Dziewczyna śpiewała w cerkiewnym
chórze, W dalekiej, błękitnej
sypialence". Znałem kiedyś te wiersze na
pamięć.

- Coś takiego? To proszę deklamować.

Zacząłem recytować, ale od razu się
zgubiłem. Pamięć odmawiała „ujawniania”
wierszy. Świat, z którego przyszedłem do
szpitala, obchodził się bez nich. Były w
moim życiu dni, a było ich niemało,
kiedy nie mogłem i nie chciałem sobie
przypomnieć żadnych wierszy. Cieszyłem
się z tego jak z uwolnienia się od
dodatkowego kłopotu - od czegoś
niepotrzebnego w mojej walce na tych
niskich kondygnacjach życia, w jego
suterrenach i kloacznych jamach. Wiersze
mi tam tylko przeszkadzały.

- Proszę czytać z książki.

Przeczytałem obydwa wiersze i Nina
Siemionowna rozpląkała się.

- Czy pan rozumie, że chłopczyk przecież umarł, umarł. Proszę, niech pan idzie i czyta Błoka.

Zachłannie czytałem Błoka przez całą noc w ciągu dyżuru, kończyłem i rozpoczynałem od nowa. Oprócz "Dziewczyny" i "Błękitnej sypialenki" były tam jeszcze płomienne wiersze "Zakłęci przez ogień i mrok", poświęcone Wołochowej. Wiersze te rozbudziły we mnie zupełnie nowe siły. Po trzech dniach zwróciłem książkę Ninie Siemionownej.

- Pan myślał, że daję mu Ewangelię. Ja też ją mam. Proszę... - podobny do Błoka, ale nie brudnoniebieski, lecz ciemnobrązowy tomik został wyciągnięty z biurka. - Proszę przeczytać Pawła Apostoła. Do Koryntian...O, to.

- Brak mi religijnych uczuć, Nino Siemionowna. Ale oczywiście odnoszę się z wielkim szacunkiem...

- Jak to? Pan, który przeżył tysiąc odmian życia? Pan, który powstał z martwych?...I brak panu uczuć religijnych? Czyż mało pan widział tutaj tragedii? - twarz Niny Siemionownej zmarszczyła się, pociemniała, siwe włosy rozsypały się, wylazły spod białego, lekarskiego czepka. - A czy będzie pan czytać książki, czasopisma?...Pismo Moskiewskiego Patriarchatu?

- Nie, nie Moskiewskiego, lecz stamtąd... Nina Siemionowna machnęła białym rękawem podobnym do anielskiego skrzydła,

ukazując gdzieś w górę...Dokąd? Za odrutowanie zony? Za szpital? Poza ogrodzenie wolnej osady? Za morze? Za góry? Za granice? Poza rubieże nieba i ziemi?

- Nie - powiedziałem ledwie słyszalnym głosem, czując chłód swojej wewnętrznej pustki. Czy wyjście z ludzkich tragedii ma tylko charakter religijny? Zdania kręciły mi się w mózgu, sprawiając ból jego komórkom. Myślałem, że już dawno zapomniałem o takich słowach. I oto znów się pojawiły, i co najważniejsze - podporządkowane mojej własnej woli. To było coś na kształt cudu. Powtórzyłem je jeszcze raz, jakbym czytał napisane czy wydrukowane w książce.

- Czy wyjście z ludzkich tragedii ma tylko charakter religijny?

- Tak, tylko. Niech pan idzie.

Wyszedłem, włożywszy Ewangelię do kieszeni i myśląc nie o Koryntianach ani nie o Pawle Apostole, i nie o ludzkiej pamięci, niepojętym cudzie, który dopiero co się zdarzył, ale zupełnie o czymś innym. I wyobraziwszy sobie to „inne”, zrozumiałem, że z powrotem znalazłem się w świecie łagru, w tym zwyczajnym świecie łagru. Możliwość „wyjścia o charakterze religijnym” była czymś zupełnie przypadkowym i niezwykłym. Włożywszy Ewangelię do kieszeni, myślałem tylko o jednym - czy dostanę dzisiaj kolację. Ciepłe palce

Olgi Tomasownej chwyciły mnie za łokieć. Jej ciemne oczy były pełne uśmiechu.

- Niech pan idzie, niech pan idzie - powiedziała Olga Tomasowna przemieszczając mnie do wyjściowych drzwi. - Jeszcze pan nienawrócony. Takim u nas nie dają kolacji.

Następnego dnia zwróciłem Ewangelię Ninie Siemionownej, która gwałtownym ruchem schowała ją do biurka.

- Wasza praktyka kończy się jutro. Proszę dać, podpiszę panu kartkę, pana zaliczenie. A to prezent dla pana - stetoskop.

WIZYTA MISTER POPPA

Mister Popp był dyrektorem amerykańskiej firmy, która ustawiała zbiorniki gazu w pierwszym etapie budowy Bierieznikchimstroju. Zamówienie było duże, robota szła dobrze i wicedyrektor uznał za niezbędną swoją obecność przy odbiorze. W Bierieznikach budowały różne firmy. Jak mówił M. Granowski, kierownik budowy - kapitalistyczna międzynarodówka.

Niemcy - kotły „Hanomag”; maszyny parowe - angielska firma Brown-Bovery; Amerykanie - zbiorniki gazu. Coś tam kulało u Niemców - potem uznano to wszystko za szkodnictwo. Kulało i u Anglików w centrali elektrycznej. Potem to również uznano za szkodnictwo. Pracowałem wtedy w centrali elektrycznej, w TEC, i dobrze pamiętam przyjazd

głównego inżyniera firmy Babcoch-Wilcox
mister Holmesa. Na dworcu oczekiwał go
naczelnik Chimstroju Granowski, ale
Holmes nie pojechał do hotelu, lecz
wprost do kotłów, na montaż. Jeden z
angielskich monterów zdjął z Holmesa
palto, wdział na niego kombinezon i
Holmes spędził z nim trzy godziny w
kotle, słuchając jego wyjaśnień.
Wieczorem było zebranie. Mister Holmes
był najmłodszym ze wszystkich inżynierów.

Na wszystkie relacje, na wszystkie
uwagi Holmes odpowiadał jednym krótkim
słowem, które w przekładzie oznaczało:
„Mister Holmesa to nie niepokoi”.
Jednakże Holmes spędził w kombinacie dwa
tygodnie i kocioł został uruchomiony na
20 procent projektowanej mocy. Po
podpisaniu protokołu przez Granowskiego
mister Holmes odleciał do Londynu. Po
kilku miesiącach moc kotła spadła i na
konferencję został wezwany nasz własny
specjalista Leonid Konstantynowicz
Ramzin. Bohater sensacyjnego procesu,
jak to wynikało z ówczesnych warunków,
nie był jeszcze na wolności, jeszcze nie
został nagrodzony Orderem Lenina, nie
otrzymał jeszcze Nagrody Stalinowskiej.
Wszystko to miało nastąpić później i
Ramzin o tym wiedział, zachowując się w
elektrowni bardzo niezależnie.
Przyjechał nie sam, lecz z towarzyszem o
bardzo wyrazistej postaci, z którym
również odjechał. Nie wlaźł - tak jak
mister Holmes do kotła, lecz

przesiedział w gabinecie dyrektora technicznego elektrowni Kastennera, który był również zesłańcem, zasądzonym za szkodnictwo w kopalniach w Kizielu. Nominalnym dyrektorem TEC był niejaki Raczew, były czerwony dyrektor, niezły chłop, który nie zajmował się tym, na czym się nie znał. Pracowałem w biurze ekonomiki pracy w TEC i potem przez wiele lat woziłem ze sobą podania palaczy skierowane na ręce Raczewa. Na tym podaniu, w którym palacze skarżyli się na temat swoich wielu niezaspokajanych potrzeb, widniała bardzo charakterystyczna i bardzo prostoduszna rezolucja Raczewa: „Kier. SET. Proszę rozpatrzyć i w miarę możliwości odmówić”. Ramzin udzielił kilku praktycznych rad, ale bardzo nisko ocenił prace Holmesa. Mister Holmes pojawił się w elektrowni nie w towarzystwie Granowskiego - naczelnika Chimstroju, lecz z jego zastępcą, głównym inżynierem Czistiakowem. Nie istnieje w życiu nic bardziej dogmatycznego niż etykieta dyplomatyczna. I tak oto Granowski, mający mnóstwo wolnego czasu, nie uznał za możliwe towarzyszyć na budowie głównemu inżynierowi firmy. Co innego, jeśli by sam szef przyjechał... Mister Holmesowi towarzyszył na budowie główny inżynier Czistiakow, o ciężkiej masywnej postaci, która w powieściach określana bywa jako „pański wygląd”. W biurze kombinatu

Czistiakow miał ogromny gabinet, usytuowany naprzeciw gabinetu Granowskiego, w którym spędzał wiele godzin, zamknięty z młodą gońcówną biura. Byłem wtedy młody i nie rozumiałem tego fizjologicznego prawa - dlaczego wielcy naczelnicy, oprócz swoich żon, żyją jeszcze z gońcówkami, stenografistkami, sekretarkami. Miewałem wtedy wiele spraw do Czistiakowa i niemało się nakłamałem przy tych zamkniętych drzwiach. Mieszkałem w tym samym hotelu w pobliżu fabryki sody, gdzie w jednym z pokoi Konstantin Paustowski kreślił swojego Kara-Bugaza. Sądząc po tym, co Paustowski opowiedział o tych czasach - trzydziestego i trzydziestego pierwszego roku - widać, że nie spostrzegł on tego, co najważniejsze, czym naznaczyły te lata nasz kraj i społeczeństwo. Tutaj, na oczach Paustowskiego dokonywał się wielki eksperyment deprawacji ludzkich dusz, rozszerzony później na cały kraj, przemieniony w krew trzydziestego siódmego roku. Właśnie tu i wtedy przeprowadzano pierwsze doświadczenie nad działaniem nowego łagrowego systemu z własną strażą, „przekuwaniem”, żywieniem w zależności od wykonania normy, zaliczaniem roboczych dni w zależności od wyników pracy. To system, który doczekał się rozkwitu na Kanale Białomorskim i doznał krachu na Kanale Moskiewskim, gdzie i do teraz znajdowane są w bratnich mogiłach ludzkie kości. Na

Bierieżnikach eksperyment przeprowadzał Bierzin. Oczywiście nie on sam. Bierzin był zawsze posłusznym wykonawcą cudzych pomysłów - wszystko jedno czy bezkrwawych, czy krwawych. Ale dyrektorem Wyszchimzu - to także budowa pierwszej pięciolatki - był również Bierzin. Podlegał mu po łagrowej linii Filippow, a Wyszerski Łagier, w którego skład wchodziły Bierieżniki i Solikamsk z jego kamieniołomami, był ogromny. W samych tylko Bierieżnikach było trzy, cztery tysiące ludzi. Tutaj i właśnie tutaj rozwiązany został problem pozostawienia łagrów po sprawdzeniu ich za pomocą rubla, zarobków. Po doświadczeniu z Wiszera - według naczalstwa, udanym - łagry objęły cały Związek Radziecki i nie było obwodu, na którego terenie nie byłoby łagru, nie było budowy, na której nie pracowaliby więźniowie. Właśnie po Wiszarze liczba więźniów w kraju osiągnęła liczbę 12 milionów. Właśnie Wiszera oznaczała zapoczątkowanie nowej drogi dla miejsc pozbawienia wolności. Domy poprawcze zostały oddane NKWD, a ci już zabrali się do pracy, opiewanej przez poetów, dramaturgów i reżyserów kina. Oto, czego nie zobaczył Paustowski, pochłonięty swoim Kara-Bugazem. Pod koniec trzydziestego pierwszego roku mieszkał razem ze mną w hotelowym pokoju młody inżynier Lewin. Pracował on w Bierieżnikchimstroju jako tłumacz języka

niemieckiego i przydzielony był do jednego z zagranicznych inżynierów. Kiedy spytałem Lewina, dlaczego on, z wykształcenia inżynier-chemik, pracuje jako zwykły tłumacz za trzysta rubli na miesiąc, odpowiedział mi: „tak, oczywiście, ale tak lepiej. Żadnej odpowiedzialności. Już dziesiąty raz odkładają rozruch i posadzą przy tym z setkę ludzi a cóż ja? Ja jestem tłumaczem. Pracuję przy tym niewiele i mam wolnego czasu tyle, ile tylko zechcę. I wykorzystuję go z korzyścią”. Lewin uśmiechnął się. Ja również się uśmiechnąłem.

- Nie pojmuje pan?

- Nie.

- A czy nie zauważył pan, że wracam nad ranem?

- Nie, nie zauważyłem.

- Nie jest pan spostrzegawczy. Zajmuję się pracą przynoszącą mi wystarczający dochód.

- Cóż to takiego?

- Gram w karty.

- W karty?

- Tak. W pokera.

- Z cudzoziemcami?

- No, dlaczego z nimi. Z tymi z zagranicy niczego, oprócz sprawy prokuratorskiej, się nie dorobię.

- Ze swoimi?

- Oczywiście. Tutaj kawalerów - całe mnóstwo. I stawki duże. A pieniędzy mam... Żyję i dziękuję ojcu, że nauczył

mnie dobrze grać w pokera. A czy pan nie chciałby spróbować? Mogę wiele nauczyć.

- Nie, dziękuję.

Zupełnie przypadkowo wstawiłem Lewina w opowieść o mister Poppie, której w żaden sposób nie mogłem rozpocząć. Amerykańskiej firmie montaż szedł dobrze, zamówienie było duże i wicedyrektor przyjechał do Rosji. Sam M. Granowski, naczelnik Bierieznikchimstroju, został tysiąckrotnie i na czas powiadomiony o przyjeździe mister Poppa. Zważywszy na to, zgodnie z zasadami protokołu dyplomatycznego, że on, M. Granowski, stary członek partii i naczelnik budowy jednego z większych obiektów pierwszej pięciolatki, stoi wyżej od szefa amerykańskiej firmy, to nie pojedzie on przecież witać osobiście mister Poppa na stacji Usolje. To niepoważnie. Zdecydował, że powita go w biurze, u siebie w gabinecie. M. Granowskiemu było wiadome, że amerykański gość jedzie specjalnym pociągiem - z własnym wagonem i parowozem; o czasie przybycia pociągu na stację Usolje naczelnik budowy wiedział już od trzech dni na podstawie telegramu z Moskwy. Rytuał spotkania został opracowany zawczasu: dla gościa został podstawiony osobisty samochód naczelnika budowy i szofer wiezie gościa do hotelu dla gości zagranicznych, gdzie już od trzech dni dyrektor tego hotelu, partyjny dyrektor z awansu społecznego, rezerwuje dla zamorskiego gościa

najlepszy pokój. Po toalecie i śniadaniu mister Popp powinien być zawieziony do biura, gdzie ma się rozpocząć robocza część wizyty - według minutowego rozkładu. Specjalny pociąg z zamorskim gościem powinien być nadejść rano o godzinie dziewiątej i jeszcze wczoraj osobisty szofer Granowskiego został wezwany, poinstruowany i wielokrotnie obrugany.

- Może ja, towarzyszu naczelniku jeszcze z wieczora przyprowadzę samochód na stację. I tam przenocuję - niepokoił się szofer.

- W żadnym wypadku. Trzeba pokazać, że u nas wszystko się wykonuje z dokładnością co do minuty. Pociąg gwiżdże, zwalnia bieg, a ty podjeżdżasz pod stację. Tylko tak.

- Dobrze, towarzyszu naczelniku.

Wymęczony wielokrotnymi próbami samochód jeździł próżny na stację z dziesięć razy - szofer ustalił prędkość, wyliczył czas.

W noc poprzedzającą przyjazd mister Poppa szofer M. Granowskiego usnął i śnił mu się sąd... Dyżurny, pełniący służbę w garażu - naczelnik budowy nie prowadził z nim żadnych konfidencyjnych rozmów - rozbudził szofera, gdy zadzwoniono ze stacji i szofer, szybko zapuściwszy maszynę, pomknął na spotkanie mister Poppa. Granowski był człowiekiem praktycznym. Tego dnia przyszedł do gabinetu o szóstej, przeprowadził dwa zebrania i

trzy „objeżdżania”. Przysłuchiwał się przy tym najmniejszym szmerom na dole, rozsuwał zasłony i wyglądał przez okno na drogę. Zamorskiego gościa nie było. O wpół do dziesiątej zadzwonił ze stacji dyżurujący tam pomocnik naczelnika budowy. Granowski wziął słuchawkę i usłyszał głuchy głos z silnym, obcym akcentem. Wyrażał on zdziwienie, że tak źle przyjmuje się mister Poppa. Nie ma samochodu. Mister Popp prosi, aby mu go przysłać. Granowski wściekł się. Przeskakując po dwa stopnie, zbiegł w dół ciężko dysząc, dotarł do garażu.

- Towarzyszu naczelniku, wasz szofer odjechał o wpół do ósmej.

- Jak to o wpół do ósmej?

Ale w tym momencie zawarczał samochód. Z pijanym uśmiechem szofer przekroczył próg garażu.

- Ty, co sobie myślisz, twoja taka owaka...

Ale szofer wyjaśnił. O wpół do ósmej nadjechał pasażerski z Moskwy. Powrócił nim z urlopu naczelnik oddziału finansowego budowy Grozowski z rodziną i tak jak zawsze zadzwonił po samochód Granowskiego. Szofer próbował powiedzieć mu o mister Poppie, ale Grozowski wyjaśnił, że to pomyłka - on nic o tym nie wie, i kazał szoferowi natychmiast przyjechać na stację. Szofer pojechał, myśląc, że sprawa z cudzoziemcami została odwołana, a w ogóle, Grozowski, Granowski - on już nie wie, kogo ma

słuchać, w głowie mu się od tego kręci. A potem pojechali do odległej o cztery kilometry osady Czurtan, gdzie znajdowało się nowe mieszkanie Grozowskiego - szofer pomagał mu nosić rzeczy, a później gospodarze poczęstowali go po podróży...

- Rozmówimy się później. Kto jest ważniejszy na tym świecie - Grozowski czy Granowski? A na razie - goń na stację.

Nie było jeszcze dziesiątej, gdy szofer przyleciał na stację. Mister Popp był w nieciekawym humorze. Kierowca, nie zważając na drogę, pomknął wraz z mister Poppem do hotelu dla cudzoziemców. Mister Popp rozgościł się w numerze, umył, przebrał i uspokoił się. Teraz denerwował się Cyplakow, komendant hotelu dla cudzoziemców - taki miał wtedy tytuł: nie dyrektor, lecz komendant. Czy tak nazywające się stanowisko wymagało mniej pieniędzy niż na przykład „dyrektor budki z wodą” - nie wiem; ale tak właśnie brzmiała nazwa tego stanowiska. Na progu numeru pojawił się sekretarz mister Poppa.

- Mister Popp prosi o śniadanie.

Komendant hotelu wziął z bufetu dwa wielkie cukierki bez papierków, dwie kanapki z powidłami, dwie z kiełbasą, usytuował to wszystko na tacy i dodając dwie szklanki bardzo cienkiej herbaty, wniósł wszystko razem do numeru mister Poppa. Sekretarz natychmiast wyniósł

tace z powrotem i postawił na szafce przy drzwiach. Mister Popp na pewno tego jeść nie będzie. Cyplakow rzucił się, aby zawiadomić o tym naczelnika budowy, ale Granowski już o wszystkim wiedział - doniesiono mu o tym przez telefon.

- Cóż ty, stara suko! - ryczał Granowski.

- Ty mnie hańbisz, ty hańbisz państwo! Przekazuj stanowisko! Do roboty! Do kopalni piasku! Łopatę do ręki! Szkodnicy! Gady! Zgnoję w łagrach!

Siwy już Cyplakow, czekając, aż naczelnik skończy z przekleństwami, myślał: na pewno zgnoi. Pora była przejść do roboczej części wizyty i tutaj Granowski trochę się uspokoił. Firma pracowała na budowie dobrze. Zbiorniki gazu stawiano w Solikamsku i w Bierieznikach. Mister Popp koniecznie uda się do Solikamska. Po to przecież przyjechał i wcale nie chce powiedzieć, że mu przykro. I nie jest mu wcale przykro. Jest raczej zdziwiony. Ale to wszystko głupstwo. Na budowę Granowski poszedł z mister Poppem osobiście, odłożywszy na bok swoje dyplomatyczne wyrachowanie, odwołując wszystkie zebrania i spotkania. Do Solikamska również sam towarzyszył mister Poppowi i razem z nim powrócił. Protokoły zostały podpisane, mister Popp zadowolony, zbierał się z powrotem do domu, do Ameryki.

- Zostało mi trochę czasu - powiedział Granowskiemu mister Popp - dzięki dobrej

robocie naszych - gość zamilkł na chwilę - i waszych majstrów. Kama to przepiękna rzeka. Chcę popłynąć parostatkiem Kamą w dół, aż do Permu, a może i Niżnego Nowogrodu. Czy to możliwe?

- Oczywiście - odpowiedział Granowski.

- A czy ja mogę zafrachtować statek?

- Nie. Przecież mamy inny ustrój, mister Popp.

- A kupić?

- I kupić też nie można.

- No, jeżeli nie można kupić pasażerskiego statku - rozumiem, że to naruszyłoby ruch na tej arterii wodnej - to może jakiś holownik, co? Ot, taki jak ta Czajka - i mister Popp wskazał na statek holowniczy przepływający mimo okien gabinetu naczelnika budowy.

- Nie, holownika też nie można. Proszę zrozumieć...

- Oczywiście, ja wiele słyszałem... Kupić - to byłoby najprościej. Ja pozostawię go w Permie. Podaruję go panu.

- Nie, mister Popp - u nas nie bierze się takich prezentów.

- No to co z tym zrobić? Przecież to absurd! Lato, przepiękna pogoda. Jedna z lepszych rzek na świecie, przecież to prawdziwa Wołga - czytałem o tym. W końcu też i czas. Przecież mam dużo czasu. A nie mogę odjechać.

- Proszę zapytać Moskwę.

- Co Moskwa? Moskwa daleko - zacytował z przyzwyczajenia Granowski.

- No to niech pan decyduje. Jestem waszym gościem. Jak pan powie, tak będzie.

Granowski poprosił o pół godziny czasu na przemyślenie sprawy, wezwał do siebie, do gabinetu, naczelnika komunikacji rzecznej Mironowa naczelnika rejonu operacyjnego OGPU Ozolisa. Opowiedział im o pragnieniu mister Poppa. Koło Bieriezników przepływały wtedy tylko dwa parostatki "Czerwony Ural" i "Czerwona Tataria", w rejsach Czerdyń-Perm. Mironow powiedział, że "Czerwony Ural" znajduje się w dole rzeki koło Permu i w żaden sposób nie może szybko przybyć. W górze, do Czerdyni podpływa "Czerwona Tataria".

- Jeśli ją szybko zawrócić - i tu pomoga twoje zuchy, Ozolis - i gonić w dół bez zatrzymywania się, to jutro w ciągu dnia Czerwona "Tataria" przybije do przystani Bieriezników. Mister Popp może płynąć.

- Siadaj przy centralce - powiedział Granowski do Ozolisa - i naciskaj na swoich, niech wasz człowiek wsiądzie na statek i płynie, nie dając marnować czasu na zatrzymywanie się. Powiedz, że to zadanie państwowej wagi.

Ozolisa połączył się z Annowem - na przystani Czerdyń.

- "Czerwona Tataria" wypłynęła z Czerdyni.

- Goń!

- Lecimy.

Naczelnik budowy odwiedził mister Poppa w jego hotelowym pokoju - był już inny komendant - i powiadomił go, że pasażerski parostatek jutro o godzinie drugiej będzie miał zaszczyt przyjąć drogiego gościa na swój pokład.

- Nie - powiedział mister Popp - proszę dokładnie określić godzinę, abyśmy nie musieli sterczeć na brzegu.

- No to o godzinie piątej. O czwartej przyślę samochód po rzeczy.

O piątej Granowski, mister Popp i jego sekretarz przybyli na przystań. Parostatku nie było. Granowski poprosił o wybaczenie, opuścił ich i popędził do centrali OGPU.

- Jeszcze nie mijał Iczeru.

Granowski stęknął. Dobrze dwie godziny.

- Może powrócimy do pokoju w hotelu, a kiedy statek przypłyynie - wtedy tu przyjedziemy. Coś przekąsimy - zaproponował Granowski.

- Chce pan powiedzieć, zjemy śniadanie - z naciskiem powiedział mister Popp. - Nie, dziękuję panu. Mamy piękny dzień. Słońce. Niebo. Poczekamy tu, na brzegu.

Granowski pozostał z gościem na przystani, uśmiechał się i coś tam mówił, wciąż spoglądając w górę nurtu, na cypel, zza którego powinien ukazać się parostatek. Tymczasem współpracownicy Ozolisa i sam naczelnik rejonowego oddziału obsiedli wszystkie linie i czekali, czekali. O ósmej wieczorem "Czerwona Tataria" pojawiła się za

cyplem i wolno zaczęła zbliżać się do przystani. Granowski uśmiechał się, dziękował i żegnał się. Mister Popp dziękował bez uśmiechu. Parostatek przybił i tutaj wynikła nieoczekiwana trudność, zahamowanie, które omal nie ułożyło do trumny chorego na serce Granowskiego, trudność, która została przezwyciężona dzięki doświadczeniu i zaradności naczelnika rejonowego oddziału Ozolisa.

ŁAGROWE WESELE

Do ujścia Ulsa szybko zbliżało się czółno. Koryto górskiej rzeki było tak strome, że płynące nią czółno widać było całe, jak na rysunku. Wpływało ono już na spokojne fale jeziora utworzonego przez połączenie wód Ulsa i Kutima, tego samego jeziora, na którym zupełnie niedawno wodował hydroplan głównego naczelnika Bierzina. Jego pilotem był Wołodia Gipus, lotnik osadzony za szkodnictwo, ale z „dziecinnym”, trzyletnim wyrokiem. Bierzin był zbyt doświadczony i mądry, aby zaglądać do „sprawy” Gipusa, gdy na swojego osobistego pilota brał lotnika, który był „szkodnikiem”. Przyłot Bierzina był właśnie tym najbardziej znaczącym wydarzeniem tego roku. Oczywiście oprócz wesela Wachminowa. Czółno zbliżało się.

- Naczelnik płynie - powiedział z poczuciem winy Szurka Wienjaminow, sekretarz „działu ogólnego”.

- I nie sam - powiedziałem ja, naczelnik działu pracy.

Staliśmy na brzegu i czekaliśmy, kiedy dłubanka dobieje. Czółno zaryło dziobem w piasku, a Szurka i ja przytrzymaliśmy je, póki przybysze wysiadali. Naczelnik rejonu Stiepanow i jego zastępca Aleksandrow wrócili razem, jednocześnie. Przedtem nigdzie razem nie jeździli i nie powracali razem.

- No, jak tam wasze wesele?

- To nie nasze wesele, obywatelu naczelniku, to wesele Wachminowa.

- Ile wódki wypito?

- Ile było wypisane, tyle zostało wypite.

- Przecież nie dwa litry?

- Dwa, obywatelu naczelniku.

- A nie dziesięć? Nie dwadzieścia, jak powiedziano mi w Kutimie?

- Dwa, obywatelu naczelniku.

- Pisz rozkaz, Wienjaminow. Dla wszystkich więźniów, którzy uczestniczyli w weselu, po piętnaście dób izolatora... - Stiepanow umilkł i kierując wzrok gdzieś mimo mnie, dodał:

- A dla wolnych - doprowadzenie do wojskowego aresztu i upomnienie. Z wpisaniem do akt.

- A wy jesteście durnie! - powiedział Aleksandrow, były naczelnik artylerii Pobrzeża Czarnomorskiego, carski oficer, który odbył wyrok i pozostał na służbie

w łagrze. - Durnie! Dorośli ludzie! Trzeba było zaprosić na wesele tego Saprykina, pełnomocnego i dowódcę oddziału straży. Przecież nie jesteście dziećmi. Trzeba było doczekać się naszego powrotu - albo mojego, albo Andrieja Maksimowicza. Ale wszystko szybko. Stale się spieszycie.

- A ja z Arzanowem nie siadę przy jednym stole - powiedział, chmurząc się Wienjaminow. - A do tego Saprykin. Po co nam Saprykin na weselu? Pański zastępca, kierownik techniczny rejonu Kranow, był.

- Kranow bywa wszędzie, gdzie można za darmo wypić - powiedział Stiepanow. - Nie wiedzieliście o tym?

- Wiedzieliśmy.

- No, wołaj pana młodego.

Posłaniec pobiegł po Wachminowa, naczelnika KWO. „Przekuwanie” miało swoje wynaturzenia, ale nie tylko mroczne i posępne. Bywały też wesołe. Pośród ogromnej liczby rozkazów, które Moskwa przysyłała na początku lat trzydziestych, znajdowało się wiele prób znalezienia nowych dróg nacisku na aresztanta. Stymulacja za pomocą środków dyscyplinarnych, bodźców zachęty i poprzez wypełnienie planu opierała się nie tylko na kotle, nie tylko na „skali żywieniowej”. Najlepszymi „izotowcami” byli właśni izotowcy, tak jak później byli na Kołymie „stachanowcy” i „stachanowska” racja żywnościowa. „Przekuwanie” rozpoczęło się w 1939 roku.

W 1929 więźniom, którzy systematycznie przekraczali zadaną normę, zezwalano na zawieranie małżeństw. Dokumenty znajdujące się w „aktach sprawy” stanowiły podstawę prawną do rejestracji małżeństwa. Przyjeżdżające żony nie musiały przywozić „moskiewskiego” zezwolenia na widzenie. Należało je brać w przypadku „szkodników”, w ogóle w przypadku pięćdziesiątego ósmego paragrafu... Czas widzenia określony w rozkazie, doby czy godziny dzielone były na życzenie męża i żony prawie na minuty. W Witaachu, gdzie znajdował się zarząd Wiszerskich Łagrów, wybudowano specjalny dom-hotel - Dom Spotkań. Tak właśnie był on nazywany we wszystkich ówczesnych dokumentach: Dom Spotkań! Był to czternasty rok od rozpoczęcia rewolucji. Nazwa nikomu nie wydawała się dziwna. Ludzie mają krótką pamięć. Przodowniczka pracy mogła dowolnego więźnia nazwać swoim mężem...i otrzymać widzenie w Domu Spotkań. Naczalstwo pilnowało tylko aby w książce Domu Spotkań nie figurował pięćdziesiąty ósmy paragraf. Dom Spotkań i praktyka z nim związana wywołały nowy problem dla GUŁagu: czy wolno więźniom żenić się z więźniarkami w trybie zachęty za wyróżniającą się pracę? Otrzymano z GUŁagu wyjaśnienie i rozesłano je do wszystkich łagrów. „Można, jeżeli według ankiety w «aktach sprawy» więzień nie był związany małżeństwem”. Północny rejon Wiszerskich

Łagrów otrzymał właśnie takie wyjaśnienie. Nie odkładając sprawy na dalszą metę, Wachminow, naczelnik KWO, złożył podanie, w którym wyraził chęć zawarcia małżeństwa ze swoją referentką Raisą Kolesniczenko. Wachminow był to leningradzki czekista, pijaczyna, który zgubił swój nagan w czasie hałaśliwej popijawy w „Astorii”.

- Oprzytomniałem, rozumisz, w rowie. Pas z kaburą przewieszony przez ramię. Ale kabura pusta.

Wachminowa sędzono i dostał trzy lata. Odwołał się od wyroku do Moskwy i Moskwa rozpatrzyła sprawę. Wyrok został zwiększony do pięciu lat. Wachminow postanowił więcej nie korespondować z tak wysoko postawionymi organizacjami i po uszy pograżył się w wychowawczej robocie w łagrze. Pośród setek najprzeróżniejszych KWO, które napotkałem w swoim życiu, Wachminow był jednym z lepszych. Z pićiem zupełnie zerwał. Jedynie tylko na tym weselu. Raisa Kolesniczenko była córką jakiegoś ważnego sekciarza. Pragnęła ona tylko jednego: zapomnieć o ojcu, i w ogóle ujść w zapomnienie, zaszyć się w jakimś kącie, niczym się nie odróżniając od przyjaciółek, znajomych czy spotykanych ludzi - ani odzieżą, ani zainteresowaniami, ani sposobem poruszania się czy zachowaniem. Z Wachminowem żyła już od dawna i teraz ucieszyła się z tego oficjalnego

pretekstu do radości. W rejonie akurat gościł wyjazdowy zespół „Granatowa Bluza” - znalazły się tam koleżanki dla Rai. Po lewej ręce panny młodej siedziała wąskooka, z wąskimi wargami Szura Fanarina, donosicielka ze środowiska błatniaczek. Obok niej - Sorokin, kierownik tego granatowo-bluzowego zespołu. Styl „granatowa bluza” w stolicach już zamierał, a sam jego twórca, Jużanin, po nieudanej ucieczce za granicę przebywał w łagrze. Wszystko zaczyna się w Moskwie, ale nie w Moskwie się kończy. Uralaska łagrowa „Granatowa Bluza” była czymś w rodzaju ostatniej fali powstałej od kamienia, rzuconego kiedyś z wielką siłą w stojącą wodę sztuki estradowej. Teksty do oratoriów „Granatowej Bluzy” ja też pisałem i jako przydatny im autor byłem z nimi w przyjaźni. Z miejsca na miejsce „Granatowa Bluza” przemieszczała się konno... Konie pod wierzch, konie juczne, błota, rzeczki, deszcze. Tam, gdzie mieszkaliśmy, w centralnym rejonie, był klub. Przy klubie pracował plastyk, zasądzony na dziesięć lat w sprawie różokrzyżowców w Moskwie, w tym dziwnym procesie masonów. Tego lata przyjechała do niego żona, ale w czymś nie dogodził naczalstwu - może odmówił namalowania portretu - i żonie dano na widzenie się z nim dokładnie tyle godzin, na ile zezwoliła Moskwa. Żona usiłowała do niego dotrzeć przez te setki wiorst od

kolei, w górę rzeki, wciąż w górę i w górę...Razem z żoną malarza przyjechała żona inżyniera Sziszowa. Inżynier Sziszow, delegowany za granicę, uczył się tam, ożenił i powrócił do Moskwy. Przeprowadzone zostały pertraktacje o zgodę na prawny przyjazd żony. Zezwolenie takie zostało wydane, ale Sziszowa aresztowano. Kobieta natomiast nie powróciła do swego kraju, lecz nie znając ani słowa po rosyjsku, wyjechała na północny Ural szukać na katordze męża. I znalazła. Widzenie ich, także na podstawie zezwolenia Moskwy, miało charakter swobodny - wolne mieszkanie, spacer. Inżynier i młoda Niemka objawszy się, chodzili po brzegu, chodzili i chodzili...Później odjechała, nie znając języka, bez żadnych towarzyszących jej osób. Wraz z Wienjaminowem chcieliśmy zaprosić inżyniera i jego żonę na ślub, ale Wachminow, były czekista, odrzucił naszą propozycję. Po prawej stronie pana młodego siedział pochodzący stąd zastępca naczelnika rejonu, kierownik techniczny Krasnow. On wiedział o tym, że jest zezwolenie na wesele i że wypisane zostały dwa litry wódki, ale zamiast dwóch kierownik składu sprzedał dziesięć - wiadomości donosicieli stukaczy były jak najbardziej dokładne. Ale co to za stukacze - dowódca oddziału straży Azarow i miejscowy pełnomocny oddziału rejonowego, wciąż w pełni

oficjalny. Azarow i Saprykin donosili przez radio do zarządu: „pod nieobecność i naczelnika rejonu odchodzi pijaństwo” i tak dalej. Radiotelegrafista Kostia Pokrowski nie został zaproszony na wesele czy to dlatego, że zbyt wielki z niego komsomolec, czy może dlatego, że nazbyt tchórzliwy. Nadeszła też odpowiedź: dla naczelnika nagana, a dla wszystkich innych – kary. Ale za stołem o niczym jeszcze nie wiedzieliśmy i podnosząc kielichy krzyczeliśmy „gorzko”. Z lewej strony Sorokina siedziała Zoja Iwanowna, z „Granatowych Bluz”, spokojne i dobre czterdziestoletnie babsko. Obok niej Jurik Zagorski, podstarzały już błatniak, który potrafił stepować i umiał śpiewać. Obok Jurika siedziała Sima Wróblewska – niepozorna i nieładna dziewczyna z bardzo pięknymi oczami. Na tę właśnie Simę zacząłem zwracać uwagę dopiero potem, jak Katia Aristachowa, moja ówczesna przyjaciółka, powiedziała do mnie przy jakiejś sposobności: „Dziwię się wam, mężczyznom, jacy z was durnie. Nikt z was nie chce spojrzeć na Simę, a ja byłem z nią w łaźni – nie ma tu lepszej od niej baby”. Obok Krasnowa – tak samo jak on wywodzący się z miejscowych, komendant łagru Michajłow. Dalej Szurka Wienjaminow i ja. Nasz pokój sąsiadował z pokojem Wachminowa, razem pracowaliśmy i byliśmy takimi samymi aresztantami. Wypiliśmy, pokrzyczeli „gorzko” i rozeszliśmy się.

Odpowiedź przyszła rano: wszyscy - kary, naczelnik - nagana. A rozkaz o weselach, zamążpójściach i ożenkach, mający stymulować wypełnianie i przekraczanie planu, został anulowany jako błąd. Siedzieliśmy w izolatorze. Osiem dób. Chodziliśmy do niego na nocleg, bo przecież była to kara „z wyprowadzeniem do pracy”. Zaledwie skończył się mój izolator, gdy niezaproszony na wesele radiotelegrafista, Kostia Pokrowski, przyniósł radiogram z zarządu. Wysłała się listę zwolnień. Było na niej też moje nazwisko. Pozbierałem swoje rzeczy i „spłynąłem” czółnem dwieście wiorst.

POTOMEK DEKABRYSTY

O pierwszym huzarze, sławnym dekabryście, napisano wiele książek. W zniszczonym, dziesiątym rozdziale Eugeniusza Oniegina Puszkina tak pisał: Bachusa, Marsa i Wenery druh... Rycerz, mądrala, człowiek nieogarnionych horyzontów, którego słowa nie rozmijały się z działaniem. I jak wielkie to było dzieło! O drugim huzarze, potomku, opowiem wszystko, co wiem. Na Kadykczanie, gdzie, głodni i bezsilni, chodziliśmy w egipskim kołowrocie, nacierając krwawe pęcherze na

piersiach przy wyciąganiu po stromiźnie wagonetek z rudą, odbywało się „wcinanie” sztolni - tej samej kopalni, która znana jest teraz na całej Kołymie. Przyszło mi samemu doświadczyć egipskiego trudu, zobaczyć, jak to jest.

Nadchodziła zima 1940-1941 roku, bezśnieżna, zła, kołymska. Chłód uciskał mięśnie, a skronie ściągał jakby obręczą. Do dziurawych brezentowych namiotów, w których mieszkaliśmy latem, wstawiono żelazne piecyki.

Ale te piece ogrzewały tylko „świeże powietrze”.

Pomysłowe naczalstwo przygotowywało ludzi do zimy.

Wewnątrz namiotu został zbudowany mniejszy od namiotu szkielet, pozostawiający dziesięciocentymetrową warstwę powietrza pomiędzy nim a brezentową ścianą. Szkielet ten został posyty asfaltową papą i powstał tak jakby podwójny namiot - nieco cieplejszy niż brezentowy. Jednakże pierwsze noclegi w tym namiocie wykazały, że to niechybna śmierć i to szybka. Trzeba było się stąd wydostać. Ale jak? Kto pomoże? W odległości jedenastu

kilometrów znajdował się wielki łagier -
Arkagała, w
którym pracowali górnicy. Nasza
„delegatura" była częścią
tego łagru. A więc do niej - do Arkagały!
Ale jak?

Aresztancka tradycja wymaga, aby w
takich przypadkach
najpierw i przede wszystkim zwracać się
do

573

lekarza. W Kadykczanie istniał punkt
felczerski i
„łapiduchem" był w nim jakiś niedouczony
lekarz, były
student Moskiewskiego Instytutu
Medycznego - tak o nim
mówiono w naszym namiocie.
Trzeba było wielkiego wysiłku woli, aby
po roboczym dniu
znaleźć w sobie dość siły i pójść do
ambulatorium w czasie
„godzin przyjęć" Oczywiście nie trzeba
było się ubierać ani
wdziewać obuwia - wszystko było na ciele
od łaźni do łaźni
- brakowało sił. Szkoda wypoczynku na te
„godziny
przyjęć", które być może zakończą się
znięcaniem, a nawet
pobicciem (tak również bywało). A co
najważniejsze - brak
nadziei, niepewność sukcesu. Ale w
poszukiwaniu

szczęśliwego przypadku nie wolno gardzić
żadną,

najmniejszą nawet szansą – tak mi
podpowiadało ciało i
jego wymęczone mięśnie, a nie
doświadczenie i rozum.

Wola podporządkowana została instynktowi
– tak jak to

bywa u zwierząt.

Naprzeciw namiotu, po drugiej stronie
drogi stała izdebka-

schronisko dla zwiadowczych grup

poszukiwaczy, a może

też dla „czujek”, operatywników, w ich
niekończącym się

patrowaniu tajgi.

Geolodzy już dawno odeszli, a namiot
przemieniono na

ambulatorium – „kabinę”, w której stała
prycza, szafa z

lekarstwami i wisiała zasłona ze starego
koca. Odgradzał on

przestrzeń, w której mieszkał -doktor".

Kolejka do lekarza

ustawiała się wprost na dworze, na

mrozie. Przecisnąłem

sie do izdebki. Ciężkie drzwi wtłoczyły
mnie do środka.

Niebieskie oczy, wysokie czoło z łysiną
i fryzura –

nieodmienna fryzura: włosy – to

potwierdzenie własnej

tożsamości. W łagrze włosy – to

świadczenie określonego

położenia, bo wszystkich strzygą na zero.

A ci. których nie strzygą – są przedmiotem zawiści wszystkich. Włosy są swego rodzaju protestem przeciwko reżimowi w łagrze.

- Moskwianin? – to pytał mnie „doktor”.

- Moskwianin.

Zawrzyjmy znajomość.

Wymieniłem swoje nazwisko i uścisnąłem wyciągniętą rękę. Była chłodna i nieco wilgotna. Łunin.

Głośne nazwisko – powiedziałem, uśmiechając się.

- Rodzony prawnuk. W naszym rodzie najstarszemu synowi nadaje się imię Michaił albo Siergiej.

Na zmianę. Ten

Puszkowski to był Michaił Siergiejewicz.

O tym to wiemy.

Czymś bardzo odległym od łagru przesiąknięta była ta pierwsza rozmowa. Zapomniałem o swej prośbie, nie decydując się na wprowadzenie do rozmowy fałszywej

nuty. A przecież – byłem głodny.

Chciałem chleba i ciepła.

Ale doktor jeszcze o tym nie pomyślał.

Zapał!

Zacząłem skręcać papierosa różowymi, odmrożonymi palcami.

Bierz więcej, nie krępuj się. W domu, o tym pradziadku - cała biblioteka. Jestem studentem wydziału medycznego.

Nie douczyłem się. Aresztowali. W naszym rodzie wszyscy wojskowi, a ja - jestem lekarzem. I nie żałuję.

A więc Marsa na bok. Eskulapa, Bachusa i Wenery druh.

Jeśli chodzi o Wenerę, to z tym tu słabo.

Za to gdy chodzi o Eskulapa, to pełna swoboda. Jedynie brak dyplomu.

Jeślibym go miał, tobym im pokazał.

A jak z Bachusem?

Spiirtusik jest. Sam rozumiesz. Ale ja tylko kieliszeczek i koniec. Szybko robię się pijany.

Obsługuję przecież też osadę wolnych, więc wiesz... Przychodź. Otworzyłem barkiem drzwi i wytarabaniłem się z ambulatorium.

Ty wiesz, moskwianie to taki naród, że bardziej niż inni -

kijowianie czy leningradczycy - lubią wspominać swoje miasto, ulice, ślizgawki, domy, rzekę Moskwę...

Ja nie jestem urodzonym moskwianinem.

A tacy właśnie jeszcze więcej wspominają, jeszcze lepiej pamiętają... Przychodziłem przez kilka wieczorów pod

koniec godzin przyjęć, aby
wypalić papierosa z machorki - o chleb
bałem się poprosić.
Siergiej Michajłowicz, jak każdy,
któremu w łagrze żyło się
łatwo, niewiele myślał o innych i nie
mógł dobrze rozumieć
głodnych - być może dlatego, że mu się
dobrze wiodło,
albo powodem była wykonywana praca: jego
rejon,
Arkagała w tym czasie jeszcze nie
głodowała. Kopalniane
nieszczęścia ominęły Arkagałę.
Chcesz, to ci zrobię operację - wytnę ci
twoją cystę na
palcu. No cóż.
Tylko uważaj, nie będę cię zwalniać z
pracy. To nie
wypada, rozumiesz chyba.
Ale jakże pracować z operowanym palcem.
No, jakoś tam sobie poradzisz.
Zgodziłem się i Łunin wyciął mi dość
wprawnie tę torbiel -
„na
pamiętkę". Kiedy po wielu latach
spotkałem się z żoną w
pierwszych minutach naszego spotkania
była niesłychanie
zdziwiona, nie odnalazłszy w uścisku
palców tej właśnie
„łunińskiej" cysty. Zobaczyłem, że
Sierpp Michajłowicz
jest całkiem po prostu jeszcze bardzo
młody, że potrzebny

mu jest wykształcony rozmówca, a wszystkie jego poglądy na łagier na „los”, w niczym nie różnią się od poglądów jakiegokolwiek wolnego naczelnika, że nawet skłonny jest zachwycać się błatniakami i że istota burzy trzydziestego ósmego roku ominęła jego świadomość. Dla mnie każda godzina, każdy dzień wypoczynku były niezwykle cenne - mięśnie, którym zmęczenia wystarczy na całe życie, doskwierały, prosiły o pozostawienie ich w spokoju. Ceniłem każdy kawałek chleba, każdą miskę zupki - żołądek domagał się pożywienia, a oczy mimo mej woli szukały na półkach chleba. Ale przymuszałem się do wspominania Kitaj-grodu, Nikitskich Wrót, gdzie zastrzelił się pisarz Andriej Sobol, gdzie Sztern strzelał do samochodu niemieckiego posła - tej historii ulic Moskwy, której nikt nigdy nie napisze.

Tak, Moskwa, Moskwa. A powiedz - ile miałeś kobiet? Dla półgłodnego człowieka podtrzymywanie takiej rozmowy nie miało zupełnie sensu, ale młody chirurg

słyszał tylko siebie i nie obrażał się z powodu mojego milczenia.

Posłuchaj, Siergieju Michajłowiczu, przecież to, co się z nami dzieje, to przestępstwo, największe przestępstwo tego wieku.

No, tego nie wiem - z niezadowoleniem powiedział Siergiej Michajłowicz. - Wszystko to Żydzi mają. Wzruszyłem ramionami.

Niedługo potem uzyskał przeniesienie do rejonu, do

Arkagały, a ja pomyślałem o tym, bez smutku i urazy, że jeszcze jeden człowiek odszedł na zawsze z mojego życia, i

o tym, że w rzeczywistości to takie łatwe - rozstawać się i pozostawać w rozłące. Ale wszystko wydarzyło się inaczej.

Naczelnikiem oddziału Kadykczan, gdzie pracowałem jak niewolnik przy egipskim kołowrocie, był Paweł Iwanowicz

Kisielów. Był to niemłody, bezpartyjny inżynier, który każdego dnia tłukł więźniów. Z „wyjściem naczelnika na oddział wiązało się bicie, uderzenia i krzyki.

Poczucie bezkarności? Drzemiąca gdzieś tam na dnie duszy

żądza krwi? A może chęć wyróżnienia się
w oczach

naczalstwa? Władza - to straszna rzecz.
Zelfugarow, małoletni fałszerz monet z
mojej brygady,
leżąc na śniegi wypluwał wybite zęby.

576

Wszystkich moich krewnych rozstrzelali
za podrabianie

monet, a mnie, jako niepełnoletniego -
na piętnaście lat

łagru. Ojciec mówił do śledczego - weź
pięćset tysięcy,

gotówką, tylko utnij sprawę... Śledczy
nie zgodził się.

My, czwórka zmienników przy kołowrocie,
zatrzymaliśmy

się koło Zelfugarowa - Korniejew,
syberyjski wieśniak,

błatniak Lonia Siemionów, inżynier
Wroński i ja. Błatniak

Siemionow mówił: „Bierz się za każdą
robotę - nie ty

będiesz odpowiadać, jeżeli popsujesz
kołowrót czy dźwig.

Pomału przyuczysz się. Powiedzenie
popularne u młodych

kołymskich chirurgów.

A Korniejew i Wroński nie byli
przyjaciółmi, lecz tylko

znajomymi, całkiem po prostu znajomymi
jeszcze z

„Czarnego jeziora” - z tego łagrowego
oddziału, w którym
wraciałem do życia.

Zelfugarow, nie wstając, zwrócił ku nam okrwawioną twarz z opuchniętymi, brudnymi wargami. Nie mogę wstać, chłopcy. Pod żebro zajechał. Ech, naczelnik, naczelnik! Idź do felczera. Boję się, że będzie jeszcze gorzej. Powie naczelnikowi. Wiecie co - odezwałem się - tak będzie bez końca. Ale jest wyjście. Kiedy przyjedzie naczelnik Dalstrojwęgla lub też jakieś inne wielkie naczalstwo, trzeba wyjść do przodu i dać Kisielowowi po mordzie. Rozejdzie się to po całej Kołymie i usuną go, bezwarunkowo przeniosą. A ten, kto uderzy, przyjmie na siebie wyrok. Ile lat dadzą za Kisielowa? Przyszliśmy do pracy, obracali kołowrót, wrócili do baraku, zjedli kolację i chcieliśmy się kłaść spać. Wezwano mnie do „biura”. Siedział tam, spoglądając w ziemię, Kisielów. On nie był tchórzem i nie lubił pogróżek. No co? - wesoło powiedział. - Na całą Kołymę stanie się głośnym, co? A ja oddam ciebie pod sąd - za próbę zamachu. Zabieraj się stąd, swołocz!...

Donieść mógł jedynie Wroński. Ale jak?
Cały czas byliśmy
razem.

Od tego czasu życie na oddziale stało
się dla mnie lżejsze.

Kisielów nie podchodził nawet do
kołowrotu i do pracy
przychodził z małokalibrową bronią, a do
wglębionej już
sztolni nie spuszczał się.

Ktoś wszedł do baraku.

Masz iść do doktora.

„Doktorem”, który przyszedł na miejsce
Łunina, był niejaki

Kolesnikow - także niedouczony medyk,
młody, wysoki
chłopak, więzień.

W ambulatorium siedział za stołem Łunin,
odziany w
półkożuszek

Zabieraj rzeczy, pojedziemy zaraz do
Arkagały. Kolesnikow
pisz skierowanie.

Kolesnikow złożył kilka razy kartkę
papieru, oderwał od
niej maleńki skrawek, nieco większy od
pocztowego

znaczka, i drobnutkim pismem
wykaligrafował: „Do izby
chorych Łagru Arkagała”.

Łunin wziął papierek i pobiegł.

Pójdę wziąć wizę od Kisielowa - zawołał.
Powrócił zmartwiony.

Nie puszczaj, rozumiesz. Mówi, że
obiecałeś mu dać po

mordzie. W żaden sposób nie chce się zgodzić.

Opowiedziałem całą historię.

Łunin porwał skierowanie.

Sam sobie jesteś winien - powiedział do mnie. - Co ci do

Zelfugarowa i do tych wszystkich...

Ciebie przecież nikt nie bił.

Bito mnie wcześniej.

No, do widzenia. Samochód czeka. Coś tam wymyślimy.

Łunin wsiadł do kabiny ciężarówki.

Minęło kilka dni, Łunin znów przyjechał.

Idę do Kisielowa. W twojej sprawie.

Wrócił po półgodzinie.

Wszystko w porządku, zgodził się.

W jaki sposób?

Mam taki jeden sposób, aby poskramiać serca

niepokornych. - I Siergiej Michajłowicz opisał rozmowę z

Kisielowem:

Jakim trafem pan tu, Siergieju

Michajłowiczu? Proszę

siadać. Może pan zapali?

Nie, dziękuję, nie mam czasu. Ja tutaj przywiozłem panu,

Pawle Iwanowiczu, protokoły o pobiciach - wydział

specjalny przysłał do podpisu. Ale zanim podpiszę,

zdecydowałem się zapytać pana, czy to wszystko prawda?

Nieprawda, Siergieju Michajłowiczu. Moi wrogowie gotowi są....

Tak właśnie myślałem. Nie podpiszę tych protokołów.

Wszystko jedno, niczego tu się nie poprawi, wybitych zębów nie wstawi się z powrotem.

Tak, Siergieju Michajłowiczu. Proszę do mnie, do domu.

Tam żona przygotowała nalewkę. Chowałem ją na Nowy

Rok, ale przy takiej okazji...

Nie, nie, Pawle Iwanowiczu. Ale usługa za usługę. Proszę puścić Andriejewa do Arkagały.

578

Tego akurat w żaden sposób nie mogę zrobić. Andriejew - to coś jakby...

_ Pana wróg osobisty?

_ No właśnie.

No, ale to mój osobisty przyjaciel.

Myślałem, że pan odniesie się z większym zrozumieniem do mojej prośby

Proszę wziąć i przejrzeć protokoły pobić. Kisielów milczał chwilę.

Niech jedzie - powiedział.

Proszę wypisać kartę zaopatrzenia.

Niech sam przyjdzie.

Przekroczyłem próg „biura”. Kisielów patrzył w ziemię.

Pojedziecie do Arkagały. Proszę wziąć kartę zaopatrzenia.

Milczałem. Urzędnik wypisał kartę i wróciłem do ambulatorium.

Łunin już odjechał, ale czekał na mnie Kolesnikow.

Pojedziesz o dziewiątej wieczorem. Ostry przypadek zapalenia ślepej кишки! - I wyciągnął do mnie papierek.

Już nigdy więcej nie widziałem ani Kisielowa, ani Kolesnikowa. W niedługim czasie Kisielowa przeniesiono na inne miejsce, do Elgenu, i tam po kilku miesiącach przypadkiem poniósł śmierć. Do mieszkania w domku, gdzie mieszkał, wlaź w nocy złodziej. Kisielów, usłyszawszy kroki, pochwycił ze ściany załadowaną dwururkę, odciągnął kurki i rzucił się za złodziejem.

Złodziej wskoczył na okno i Kisielów uderzył go kolbą po plecach, wypuszczając sobie w brzuch ładunki z obu luf.

Wszyscy więźniowie we wszystkich rejonach węglowych Kołymy cieszyli się z tej śmierci. Gazeta z ogłoszeniem o pogrzebie Kisielowa przechodziła z rąk do rąk. W kopalni w czasie pracy oświecano zmięty kawałek gazety górniczą

lampką. Czytali, cieszyli się i krzyczeli „hurra”. Kisielów umarł! Bóg jednak istnieje! To właśnie od Kisielowa wybawił mnie Siergiej Michajłowicz. Arkagaliński łagier obsługiwał kopalnię. Na stu pracujących pod ziemią, stu górników - przypadało tysiąc osób obsługi. Głód zbliżał się już do Arkagały. I oczywiście przede wszystkim głód pojawił się w barakach pięćdziesiątego ósmego paragrafu. Siergiej Michajłowicz złościł się: - Nie jestem słońcem, nie ogrzeję wszystkich. Zostałeś urządzony jako sprzątający w laboratorium chemicznym, to trzeba było żyć, trzeba było

umieć żyć. Po łagrowemu, zrozumiałeś? - Klepnął mnie po ramieniu. Przed tobą pracował tu Dimka. I widzisz, sprzedał wszystką glicerynę stało tam dwie beczki - po dwadzieścia rubli za półlitrowy słoik-miodek mówił, że aż ha! dla więźnia wszystko jest dobre. Dla mnie to się nie nadaje A cóż się dla ciebie nadaje? Siergiej Michajłowicz uganiał po łagrze. Miał on jedną

pasję: naczelstwo w dowolnej jego postaci wprost zaczarowywało naszego doktora. Łunin był nieprawdopodobnie dumny ze swej przyjaźni czy nawet cienia tej przyjaźni z jakimkolwiek naczelstwem w łagrze, starał się pokazać tę bliskość, chwalił się nią i mógł o tej iluzorycznej bliskości rozprawiać całymi godzinami

Siedziałem u niego, gdy przyjmował chorych, głodny, bojąc się poprosić o kawałek chleba, i słuchałem jego niekończących się hymnów pochwalnych.

A cóż to jest naczelstwo? Naczelstwo – to, bracie, władza.

Nie ma władzy, jeśli nie od Boga – cha, cha, cha! Trzeba umieć utrafić – i wszystko będzie dobrze. Ja z rozkoszą mogę utrafić mu w mordę. No widzisz, jakiś ty. Słuchaj, umówmy się w ten sposób: możesz do mnie przychodzić – bo przecież w ogólnym baraku nudno?

Nudno?

No, tak. Przychodź. Posiedzisz, popalisz.

W baraku przecież nie dadzą ci popalić. Ja przecież wiem – setka oczu wpatruje się w skręta. Tylko mnie nie prosź, abym cię

zwalniał od pracy. Tego nie mogę, to
znaczy mogę, ale mi
nie wypada. Ale jak chcesz coś do żarcia,
to sam rozumiesz,
skąd mogę wziąć - to sprawa mojego
sanitariusza. Nie
chodzę sam po chleb. Tak więc, jeżeli ci
się zdarzy, że
będziesz potrzebować chleba - to powiedz
sanitariuszowi,
Mikołajowi. Czy ty, stary łagrowiec, nie
potrafisz
skombinować chleba? Posłuchaj, co
dzisiaj mówiła żona
naczelnika, Olga Pietrowna. Zapraszają
mnie na popijankę.
Ja już pójdę, Siergieju Michajłowiczu.
Nastaly straszne dni, pełne głodu. I
jakoś tak, nie mając już
siły, aby poradzić sobie z głodem,
zaszedłem jednego razu
do ambulatorium.
Siergiej Michajłowicz siedział na
taborecie i zrywał
szczypcami martwe paznokcie z
odmrożonych palców
skurzonego, brudnego człowieka.
Stukając, paznokcie
spadały jeden za drugim do miednicy.
Siergiej
Michajłowicz zauważył mnie.
Wczoraj nawrzucałem takich właśnie
paznokci pół
miednicy.

Zza zasłony wyjrzała kobieca twarz. My rzadko widywaliśmy kobiety, a przy tym z tak bliska i jeszcze do tego w pokoju, twarzą w twarz. Wydała mi się prześliczna.

Ukłoniłem się i przywitałem.

_ Dzień dobry - powiedziała niskim, cudnym głosem. -

Sierioża, czy to twój kolega? ten, o którym mi opowiadałeś?

Nie - powiedział Siergiej Michajłowicz, rzucając szcypce do miednicy i odchodząc do umywalki, aby umyć ręce.

Mikołaju - powiedział do wchodzącego sanitariusza -

zabierz tę tacę i wynieś mu chleba - tu wskazał na mnie.

Poczekalem na chleb i odszedłem do baraku. Łagier to

łagier. A tą kobietą, której urocą, delikatną twarz pamiętam

do dzisiaj - chociaż nigdy już więcej jej nie widziałem -

była Edit Abramowna, siostra medyczna z wolnego najmu,

wolna i partyjna, z kopalni Olczan.

Zakochała się w

Siergieju Michajłowiczu, związała się z nim i uzyskała jego

przedterminowe zwolnienie już w czasie wojny. Jeździła do

Magadanu do Nikiszowa, naczelnika Dalstroju, aby czynić starania o Siergieja Michajłowicza, a kiedy usunięto ją z partii za związek z więźniem - co było normalnym „środkiem prewencyjnym” - przekazała sprawę do Moskwy, uzyskała dla Łunina anulowanie karalności, uzyskała zgodę na egzamin w Uniwersytecie Moskiewskim pozwalający mu otrzymać dyplom lekarza, uzyskała przywrócenie mu wszystkich praw i wyszła formalnie za niego za mąż.

A kiedy potomek dekabrysty otrzymał dyplom, to rzucił Edit Abramowną i zażądał rozwodu. Tyle u niej krewnych! Jak u wszystkich Żydów. Mnie to nie odpowiada.

Porzucił Edit Abramowną, ale nie udało mu się porzucić Dalstroju. Trzeba było powrócić na Daleką Północ - chociaż na trzy lata. Umiejętność dogadywania się z naczalstwem przyniosła Łuninowi, lekarzowi z dyplomem, nieoczekiwanie wysoką nominację - kierownika oddziału chirurgii centralnego szpitala dla więźniów na Lewym

Brzegu, w osadzie Diebin. A w tym czasie,
w 1948 roku, ja
byłem już starszym felczerem na oddziale
chirurgii.

Nominacja Łunina była czymś w rodzaju
nagłego uderzenia
pioruna.

Rzecz w tym, że kierownikiem oddziału
był Rubancew,
frontowy chirurg, major służby medycznej
- rzeczowy i

doświadczony, który przyjechał tu po
wojnie wcale nie na

trzy dni. Pod jednym względem był
niedobry - nie potrafił

żyć w zgodzie z „wysokim” nacjonalizmem,
nienawidził

lizusów, kłamców i w ogóle nie dogadzał
Szczerbakowowi

581
naczelnikowi wydziału sanitarnego Kołomy.

Przyjechawszy

na podstawie umowy, jako nastawiony
wcześniej wróg

więźniów, Rubancew, rozumny człowiek,
posiadający

własne poglądy, szybko spostrzegł, że go
oszukiwano w

czasie „politycznego” szkolenia.

Towarzyszami pracy

Rubancewa byli łajdacy, szalbierze,
oszczercy i nieroby. A

ludźmi, którzy prowadzili pracę w
szpitalu, w zakresie

wszystkich specjalności, w tym i lekarzy
- byli więźniowie.

Rubancew pojął tę prawdę i nie ukrywał
jej. Złożył podanie
o przeniesienie do Magadanu, gdzie
znajdowała się szkoła
średnia - miał syna w wieku szkolnym.
Spotkał się z ustną
odmową. Po wielu staraniach w ciągu
kilku miesięcy udało
mu się urządzić go w internacie odległym
o 90 kilometrów
od Diebina. Rubancew począł prowadzić
pracę w sposób
zdecydowany, rozganiając nierobów i
cwaniaków. O tych
zagrożających spokojowi działaniach
niezwłocznie
doniesiono do Magadanu, do sztabu
Szczerbakowa.
Szczerbakow nie lubił „subtelności” we
wzajemnych
stosunkach. Ordynarne przekleństwa,
pogróżki, robienie
„spraw” - wszystko nadawało się dla
więźniów lub dla
byłych więźniów - ale nie w stosunku do
pracującego na
umowie frontowego chirurga,
posiadającego odznaczenia.
Szczerbakow odszukał stare podanie
Rubancewa i przeniósł
go do Magadanu. I chociaż rok szkolny
był w pełni, a praca

na oddziale chirurgicznym dobrze
zorganizowana - trzeba
było wszystko rzucać i odjeżdżać...
Z Łuninem spotkaliśmy się na schodach.
Cechowało go to,
że czerwienił się, gdy był zakłopotany.
Zrobił się
purpurowy. Ale poczęstował mnie
papierosem, wyraził
radość z powodu moich sukcesów, mojej
„kariery”, i
opowiedział o Edit Abramownej.
Aleksander Aleksandrowicz Rubancew
odjechał. I już w
trzecim dniu po jego odjeździe urządzono
w pokoju
zabiegowym popijawę - próbowali, jak
smakuje
chirurgiczny spirytus; i lekarz naczelny
Kowalow, i naczel-
nik szpitala Winokurov, którzy mieli
respekt przed
Rubancewem, nie odwiedzali oddziału
chirurgii.
Rozpoczęły się pijaństwa w gabinetach
lekarskich z
udziałem zaproszonych sióstr i
sanitariuszek ze środowiska
więźniów. Jednym słowem - hulaj dusza!
Operacjom na
czystym oddziale towarzyszyło powtórne
gojenie - nie
tracono drogocennego spirytusu na
obróbkę pola

operacyjnego. Po oddziale tam i z powrotem snuli się na wpół pijani naczelnicy. Szpital ten był moim szpitalem. Przyjechałem tu wraz z chorymi po ukończeniu kursu w końcu 1946 roku. Szpital wyrósł na moich oczach - był to budynek Kołympułku, i kiedy po wojnie jakiś specjalista z zakresu

582

askowania obiektów wojskowych zdyskwalifikował go - bo widoczny był wśród gór na dziesiątki wiorst - przekazano budynek na szpital dla więźniów. Gospodarze z Kołympułku, wyjeżdżając, powyrywali wszystkie rury wodociągowe i kanalizacyjne, jakie tylko można było wyrwać z ogromnego, dwupiętrowego, kamiennego budynku, a z widowni klubu wynieśli wszystkie meble i spalili je w kotłowni. Ściany porozbijano, a drzwi powyłamywano. Kołympułk odjeżdżał w rosyjskim stylu. Wszystko to odtwarzaliśmy, każdą cegielkę, każdą śrubkę. Zebrali się wszyscy lekarze i felczerzy, starając się

wszystko wykonać jak najlepiej. Dla wielu z nich był to święty obowiązek - odwdzięczyć się za wykształcenie medyczne i pomóc ludziom. Wraz z odejściem Rubancewa głowę podniosły wszystkie próżniaki.

Dlaczego bierzesz spirytus z szafy? Idź ty, wiesz dokąd? - oznajmiła mi siostra. - Teraz, chwala Bogu, Rubancewa nie ma, Siergiej Michajłowicz kazał...

Byłem zdumiony i przybity zachowaniem Łunina. Pijatyka trwała dalej.

Na kolejnej pięciominutowce Łunin naśmiewał się z

Rubancewa:

Nie przeprowadził ani jednej operacji wrzodu żołądka, a zwie się chirurgiem!

Nie było to nowością. Rzeczywiście, Rubancew nie przeprowadził ani jednej operacji wrzodu żołądka. Wszyscy chorzy z oddziałów wewnętrznych, którzy przyszli z tą diagnozą, byli więźniami - wycieńczonymi dystrofikami - i nie było nadziei, że przetrzymają operację. „Niedobre tło” - tak mawiał Aleksander Aleksandrowicz. Tchórz! - krzyczał Łunin i przyjął do siebie dwunastu

takich chorych.

Wszystkich dwunastu zoperowano - i wszyscy umarli.

Wtedy przypomniało się szpitalnym lekarzom

doświadczenie i miłosierdzie Rubancewa.

Siergieju Michajłowiczu, tak pracować nie można.

Nie ty będziesz mnie pouczać!

Napisałem prośbę o wezwanie komisji z Magadanu.

Przeniesiono mnie do lasu, do leśnej delegatury. Chciałem

do karnej kopalni, ale pełnomocny z rejonowego oddziału

odradził mi - teraz to nie trzydziesty ósmy rok. Nie warto.

Przyjechała komisja i Łunin został „zwolniony z Dalstroju”.

Zamiast trzech lat przypało mu

„odpracować” tylko

półtora roku.

583

A po roku, kiedy zmieniło się szpitalne naczalstwo.

powróciłem z czerskiego punktu w lesie na prowadzenie

izby przyjąć szpitala.

Potomka dekabrysty spotkałem kiedyś tam w Moskwie, na

ulicy. Nie ukłoniliśmy się sobie.

Dopiero po upływie szesnastu lat

dowiedziałem się, że Edit

Abramowna jeszcze raz wystarała się o powrót Łunina do

pracy w Dalstroju. Przyjechała razem z
Siergiejem
Michajłowiczem na Czukotkę, do osady
Pewek. Tam
odbyła się ostatnia rozmowa,
wyjaśniająca, i Edit
Abramowna rzuciła się do wody, do rzeki
Pewek, utonęła,
umarła.
Czasami nie działają na mnie środki
nasenne i budzę się
nocą. Wspominam wtedy przeszłość i widzę
przed sobą
uroczą, kobiecą twarz. Słyszę też niski
głos: „Sierioża, czy
to twój kolega...?”

KOMBIEDY

Na tragicznych stronicach historii Rosji
trzydziestego
siódmego i trzydziestego ósmego roku
mieszczą się
również linijki o charakterze lirycznym,
napisane swoistym
charakterem pisma. W celach butyrskiego
więzienia-
ogromnego organizmu wypełnionego życiem
mnogości
„bloków”, „podziemi” i „wież”,
napchanych do granic
możliwości, powodujących omdlenia
znajdujących się w
śledztwie więźniów, z całym szaleństwem
aresztów, etapów
bez wyroków i terminów, w celach
nabitych żywymi

jeszcze ludźmi - ustanowił się ciekawy
obyczaj,
utrzymujący się jako tradycja przez
dziesiątki lat.
Nieustannie implantowana „czujność”,
przerodzona w
szpiegomanie, stała się chorobą,
rozprzestrzenioną na cały
kraj. Każdej drobnostce, każdemu
drobiazgowi,
przejęzyczeniu przydawano złowrogi,
utajony sens,
podlegający wyjaśnieniu w gabinetach
śledczych.
Wkładem resortu więziennictwa był zakaz
przyjmowania
paczek dla więźniów znajdujących się pod
śledztwem -
zarówno z odzieżą, jak i z żywnością.
Mędracy z
prawniczego świata zapewniali, że
operując dwoma
bułkami francuskimi, pięcioma jabłkami i
parą starych
spodni, można przekazać do więzienia
dowolny tekst,
nawet kawałek Anny Kareniny.
Tym „sygnałom z wolności” - produktowi
rozpalonych
mózgownic gorliwych służbistów
instytucji - położono kres
w sposób całkowicie pewny. Odtąd
przekazywać można
było tylko pieniądze, mianowicie nie
więcej niż

pięćdziesiąt rubli miesięcznie jednemu
aresztantowi. Prze-
kazywać można było tylko okrągłe ilości
- 10, 20, 30, 40
lub 50 rubli; tak ustrzegano się przed
możliwością
opracowania nowego „alfabetu” o
charakterze cyfrowym.
Najprościej i najpewniej było w ogóle
zabronić
przekazywania czegokolwiek - ale ten
środek pozostawiono
śledczym prowadzącym „sprawę”.
W interesie śledztwa” miał on prawo
zakazu przesyłania
pieniędzy. W zakazie podawania paczek
żywnościowych
tkwił też pewien handlowy
sens - odtąd obroty sklepu, „sklepiku”
butyrskiego
więzienia, zwiększyły się wielokrotnie.
Z jakichś tam
przyczyn administracja nie decydowała
się na odrzucenie
pomocy więźniom przez krewnych i
znajomych chociaż
była pewna, że takie działanie nie
wywoła żadnego protestu
ani wewnątrz więzienia, ani też na
zewnątrz, „na wolności”.
Człowiek rosyjski nie lubi świadczyć w
sądzie w sprawie
ograniczania i bez tego już
iluzorycznych praw więźniów

śledczych. Zgodnie z tradycją w rosyjskim procesie świadek nieznacznie różni się od oskarżonego i jego „udział” w sprawie wpływa ujemnie na jego przyszłość.

Jeszcze gorsza jest sytuacja więźniów śledczych. Wszyscy oni są już napiętnowani przyszłym wyrokiem, gdyż „żona Cezara nie ma wad”, a organy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nie mylą się. Nikogo nie aresztuje się na darmo. Logicznym następstwem aresztowania jest wyrok; czy jest on mały, czy duży, w przypadku tego czy innego aresztanta znajdującego się pod śledztwem zależy to od „szczęścia” więźnia - jak mu się uda i od całego kompleksu przyczyn, w którego skład wchodzi i pluskwy, gryzące śledczego w noc przed referowaniem sprawy, i głosowanie w amerykańskim Kongresie.

Wyjście przez drzwi więzienia śledczego ma w rzeczywistości tylko jeden kierunek - do „czarnego kruka”, więziennego autobusu, odwożącego więźniów na dworzec.

A tam - załadunek do wagonów towarowych, których

nieskończona liczba wypełniona
aresztantami będzie z
wolna sunąć po kolejowych torach, i w
końcu - jeden z
tysięcy „obozów pracy”, łagrów. Ta
nieunikniona
konieczność odbija się na zachowaniu
aresztantów.
Beztraska, zuchowatość, przechodzą w
mroczny pesymizm
i upadek sił duchowych. W czasie
przesłuchań więzień
śledczy walczy z upiorem, upiorem o
gigantycznej sile.
Aresztant przyzwyczał się mieć do
czynienia z realnymi
rzeczami, a teraz walczy z nim Upiór.
Jednakże ten
„płomień - pali, a ta dzida - boleśnie
kłuje”. Wszystko jest
przerażająco realne, oprócz samej
„sprawy”. Napięty,
stłamszony swoją walką z fantastycznymi
zjawami,
zdumiony ich rozmiarami aresztant traci
wolę. „Podpisuje”
wszystko, co tylko wymyślił śledczy, i
od tej minuty staje
się sam postacią tego nierealnego świata,
z którym walczył,
staje się pionkiem w strasznej i
mrocznej, krwawej grze,
rozgrywanej w gabinetach śledczych.
Dokąd go poprowadzili?
Do Lefortowa. Podpisywać.

Więźniowie pod śledztwem wiedzą o swym przeznaczeniu.

Wiedzą też o tym ci ludzie z więzienia, którzy znajdują się

z tamtej strony krat- administracja.

Komendanci, dyżurni,

wartownicy, konwojenci przyzby

586

ajają się uważać więźniów śledczych za rzeczywistych, a

nie przyszłych aresztantów. Znajdujący się pod śledztwem

w 1937 roku aresztant spytał na apelu zmieniającego się

dyżurnego komendanta straży o coś na temat wprowadzanej

wtedy nowej konstytucji. Komendant odpowiedział ostro:

- Was to nie dotyczy. Wasza konstytucja - to kodeks karny.

Więźniów śledczych w łagrze także czekały „zmiany”. W

łagrze zawsze jest pełno takich więźniów - ponieważ

otrzymanie wyroku wcale nie oznacza wybawienia się od

permanentnego kontaktu ze wszystkimi paragrafami

kodeksu karnego. „Działy” one tak jak na „wolności”,

jedynie wszystko - donosy, kary, przesłuchania, były

jeszcze bardziej wynaturzone, z jeszcze bardziej ordynarną

fantazją.

Kiedy w stolicy zakazano przyjmowania odzieżowych i żywnościowych paczek, na więziennych „peryferiach” - w łagrach - wprowadzono specjalną „śledczą rację żywnościową” - kubek wody i trzysta gramów chleba na dzień. Reżim karczeru, który dotknął wszystkich znajdujących się pod śledztwem, szybko przybliżył ich do mogiły.

Za pomocą tej „śledczej racji” starano się uzyskać „najlepszy dowód winy” - dobrowolne przyznanie się obwinionego w śledztwie, oskarżonego więźnia.

W butyrskim więzieniu w 1937 roku zezwalano na przekazywanie pieniędzy - nie więcej niż 50 rubli na miesiąc. Za tę sumę każdy, kto miał pieniądze na rachunku osobistym, mógł nabyć żywność w więziennym „sklepiku”, mógł wydać cztery razy w miesiącu po trzysta rubli - „sklepek” bywał raz w tygodniu. Jeżeli przy areszcie więzień śledczy miał więcej pieniędzy, to pieniądze zaliczano mu na jego rachunek, ale wydać mógł nie więcej

niż 50 rubli.

Oczywiście pieniędzy nikt nie miał przy sobie, wydawane były pokwitowania, a rozliczenie nanoszone było na odwrocie pokwitowania - ręką sprzedawcy i obowiązkowo czerwonym atramentem.

W celu porozumiewania się z naczalstwem i podtrzymywania koleżeńskiej dyscypliny w celi od niepamiętnych czasów istnieje instytucja starosty. Każdego tygodnia, dzień przed „sklepikiem”, administracja więzienia wręcza staroście łupkową tabliczkę i kawałek kredy.

Na tę deseczkę starosta powinien zawczasu nanieść wyliczenie wszystkich zakupów, które chcą poczynić aresztanci znajdujący się w celi. Zazwyczaj na licowej stronie tabliczki - ogólną ilość produktów żywnościowych, a na jej odwrocie - zapis, z których zamówień składa się ta ilość. Schodzi na to zwykle cały dzień, przecież życie w więzieniu przepełnione jest wszelkiego rodzaju wydarzeniami - wymiar tych wydarzeń jest znaczący dla każdego aresztanta.

Następnego dnia z rana starosta a z nim jeden lub dwu więźniów, udają się do sklepu po zakupy. Reszta dnia schodzi na dzieleniu przyniesionych produktów - zważonych według „indywidualnych” zamówień.

W więziennym sklepie był dość duży wybór - masło, sery, białe bułki, papierosy, machorka... Więzienne racje żywnościowe opracowane zostały raz na zawsze. Gdyby aresztanci zapomnieli, jaki to dzień tygodnia, to mogliby go rozpoznać po zapachu obiadowej zupy, po smaku jedyne go kolacyjnego dania. W poniedziałki na obiad była zawsze zupa grochowa, a na kolację kasza owsiana, we wtorki - zupa z pszona i perłowa kasza. W ciągu sześciu miesięcy przebywania w śledztwie każde więzienne danie pojawiło się dokładnie dwadzieścia pięć razy - wyżywienie w butyrskim więzieniu zawsze słyneło ze swego urozmaicenia. Ten, kto miał pieniądze, chociażby te cztery razy po trzysta rubli, mógł dokupić sobie do więziennej

„bałandy" i „szrapneli" coś bardziej
smacznego,
pożywnego czy bardziej przydatnego.
Ten, kto nie miał, nie mógł oczywiście
niczego zakupić. W
celi zawsze znajdowali się ludzie bez
grosza przy duszy -
nie jeden i nie dwóch. Mógł to być ktoś
przywieziony z
innego miasta, aresztowany gdzieś na
ulicy w sposób jak
najbardziej „skryty". Żona jego miotała
się po wszystkich
więzieniach, komendanturach i oddziałach
milicji, na
próżno starając się dowiedzieć, gdzie
się jej mąż znajduje.
Zasadą było unikanie odpowiedzi, zupełne
milczenie
wszystkich „instytucji". Żona nosiła
paczkę od więzienia do
więzienia - być może przyjmą, co znaczy,
że jej mąż żyje, a
nie przyjmą - to czekają ją noce pełne
obaw.
Mógł to być też aresztowany ojciec
rodziny; od razu po
aresztowaniu przymuszono jego żonę,
dzieci i krewnych,
aby się go wyrzekli. Męcząc go od
momentu aresztowania
ciągłymi przesłuchaniami, śledczy
próbował wymusić u
niego „przyznanie się" do tego, czego
nigdy nie zrobił. Jako

sposób oddziaływania, oprócz pogróżek i bicia
pozbawiano aresztanta pieniędzy.
Krewni i znajomi mieli pełne podstawy do obaw przed
chodzeniem do więzienia z paczkami. Upór
w
poszukiwaniach, dowiadywaniu się? w
przynoszeniu
paczek pociągały za sobą podejrzenia,
niepożądane, po-
ważne nieprzyjemności w pracy i nawet
aresztowanie -
bywały również takie przypadki.
Byli też innego rodzaju aresztanci
pozbawieni pieniędzy. W

sześć

588

dziesiątej ósmej celi siedział Lońka,
siedemnastoletni
podrostek, rodem z tumskiego rejonu
obwodu
moskiewskiego - z miejsca, które w
latach trzydziestych
było zupełną głuszą.
Tłusty, białolicy, z niezdrową cerą,
która od dawna nie
widziała świeżego powietrza - czuł się w
więzieniu
znakomicie. Karmiono go tak jak nigdy w
życiu.
Specjałami ze sklepiku częstował go
prawie każdy,
przyzwyczał się do palenia papierosów,
a nie machorki.

Wszystko napełniało go podziwem - jak tu interesująco,
jacy tu dobrzy ludzie - cały świat otworzył się przed ciemnym chłopakiem z tumskiego rejonu. Swoją sprawę prowadzoną w śledztwie uważał za jakąś grę, diabelską sztuczkę - wcale go ona nie niepokoiła. Pragnął tylko, żeby to jego więzienne życie w śledztwie, gdzie tak syto, czysto i ciepło, trwało bez końca. Bardzo dziwna była ta jego sprawa. Było to dokładne powtórzenie sytuacji Czechowowskiego Złoczyńcy. Lońka odkręcał nakrętki z szyn kolejowych na ciężarce do łowienia ryb. Złapany na miejscu przestępstwa, został pociągnięty do odpowiedzialności sądowej według pięćdziesiątego ósmego paragrafu punkt siedem, jako szkodnik. Lońka nigdy nie słyszał opowiadaniu Czechowa, a „udowadniał” śledczemu podobnie jak klasyczny bohater tego opowiadania, że on nie odkręca nigdy dwu nakrętek pod rząd, że on „rozumie”...

Na zeznaniach tumskiego chłopaka śledczy budował jakieś

nieprawdopodobne „koncepcje” -
najbardziej niewinna z
nich groziła Łońce rozstrzelaniem. Ale
śledczemu nie
udawało się z nikim Łońki „powiązać” -
tak siedział on już czwarty rok w
więzieniu, czekając,
dopóki śledztwo nie wyszuka tych
„powiązań”.

Ludzie, którzy nie mają pieniędzy na
swoim więziennym
rachunku, muszą ograniczać się do
więziennej racji, bez
żadnych dodatków. Więzienna racja
żywieniowa - to
smętna sprawa. Nawet niewielkie
urozmaicenie jedzenia
jakoś ozdabia życie aresztanta, czyni je
jakby weselszym.

Prawdopodobnie więzienna porcja
żywieniowa (w
odróżnieniu od łagrowej), w swoich
kaloriach, białkach i
tłuszczach, wywodzi się z jakichś
teoretycznych rozważań,
norm opartych na doświadczeniu.

Obliczenia te opierają się
też prawdopodobnie na jakichś tam
„naukowych” pracach -
uczeni lubią zajmować się takimi pracami.

Równie
prawdopodobne jest, że w moskiewskim
więzieniu
śledczym nadzór nad przygotowaniem
pożywienia i

doprowadzeniem zawartych w nim kalorii do żywego konsumenta stoi na dostatecznie wysokim poziomie. Prawdopodobnie też w butyrskim więzieniu sprawdzanie jakości jedzenia wcale nie jest

589

tylko formalnością mającą charakter znęcania się nad więźniami, jak to jest w łagrze. Jakiś tam stary więzienny lekarz, odszukując w protokole miejsca, gdzie ma postawić swój podpis potwierdzający wydanie jedzenia poprosi, być może, kucharza o nałożenie mu większej ilości soczewicy najbardziej kalorycznego dania. Lekarz zażartuje, że przecież aresztanci bez powodu skarżą się na jedzenie, bo on, lekarz, z przyjemnością zjadł całą miseczkę ugotowanej dzisiaj soczewicy - nawiasem mówiąc, lekarzom podaje się na talerzach to, czego mają spróbować.

W butyrskim więzieniu nigdy nie skarżono się na jedzenie. Nie dlatego, że było to dobre jedzenie. W końcu aresztantowi znajdującemu się pod śledztwem nie w głowie

jedzenie. I nawet najbardziej nielubiane
aresztanckie danie
– gotowana fasola, którą tutaj
przyrządzano zadziwiająco
niesmacznie i która otrzymała
energicznie brzmiącą
etykietę „danie do przełknięcia” – nawet
ta fasola nie
wywoływała skarg.
Sklepowa kiełbasa, masło, cukier, ser,
świeże bułki – to
były przysmaki. Każdemu było przyjemnie
zjadać je przy
herbacie, a nie przy państwowym wrzątku
z „malinowym”
napojem – przy prawdziwej herbacie,
zaparzanej w kubku
wrzątkiem z ogromnego, miedzianego
czajnika o
pojemności wiadra, czajnika z carskich
czasów, z którego,
być może, pili jeszcze „narodowolcy”.
Oczywiście „sklepik” był radosnym
wydarzeniem w życiu
celi. Pozbawienie „sklepiku” było ciężką
karą, prowadzącą
do sporów i kłótni – takie sprawy
aresztanci przeżywają
bardzo silnie. Przypadkowy hałas
dosłyszany przez
korytarzowego, spór z dyżurnym
komendantem – wszystko
to oceniane było jako zuchwałość; karą
za to było

pozbawienie kolejnego „sklepiku”.

Marzenia

osiemdziesięciu ludzi rozmieszczonych na dwudziestu

miejscach - zostawały rozbite w proch i pył. Była to ciężka

kara. Dla tych, co nie posiadali pieniędzy, pozbawienie

„sklepiku” powinno być obojętne. Jednak wcale tak

nie było.

Zakupy przyniesione, zaczyna się wieczorne picie herbaty.

Każdy kupił to, co chciał. Ci, co nie mają pieniędzy, czują

się zbędni w tym ogólnym święcie.

Jedynie oni nie biorą

udziału w tym nerwowym podnieceniu, które następuje w

dniu „sklepiku”.

Oczywiście wszyscy ich częstują. Mogą wypić kubek

herbaty z cudzym cukrem i cudzym białym chlebem,

wypalić cudzego papierosa - jednego

czy drugiego - ale wszystko to nie tak jak w „domu”, nie

tak, jakby było kupione za własne pieniądze. Niemający

pieniędzy są na tyle delikatni że boją się zjeść każdy

dodatkowy kawałek.

590

Wynalazczy umysł więziennych kolektywów znalazł

wyjście likwidujące niezręczną sytuację
kolegów
nieposiadających pieniędzy,
oszczędzające
miłość własną i dające każdemu prawie
oficjalne prawo
korzystania ze sklepiku. Każdy z nich
będzie mógł zupełnie
samodzielnie wydać swoje pieniądze,
kupując to, co
zechce. Skąd więc brały się te pieniądze?
W tym właśnie miejscu ponownie rodzi się
owo słynne
słowo z okresu wojennego komunizmu,
czasu pierwszych
lat rewolucji. To słowo - to kombiedy,
komitety biedoty.
Ktoś nieznaną rzucił tę nazwę w
więziennej
celi i jakimś dziwnym sposobem słowo to
od razu przyjęło
się, umocniło, popełzło z celi do celi -
za pomocą
przestukiwania, zapisane na papierku
pozostawionym pod
ławeczką w łaźni lub jeszcze prościej -
przy przenoszeniu z
więzienia do więzienia.
Butyrskie więzienie słynie ze swego
wzorowego porządku.
Jest to więzienie ogromne, mieszczące
dwanaście tysięcy
osób przy całodobowym ruchu aktualnych
jego

mieszkańców: każdego dnia regularnie kursujące więzienne autobusy przewożą więźniów na Łubiankę, a z Łubianki na przesłuchania, konfrontacje, na sąd, a także do innych więzień...

Wewnątrz więzienia, za przestępstwa „dokonane w celi”, administracja sadza więźniów śledczych do wież - Policyjnej, Pugaczowskiej, Północnej i Południowej - znajdują się w nich specjalne „karne” cele. Istnieje też blok karcerowy, w którego celach nie można się położyć, spać można tylko na siedząco.

Jedna piąta mieszkańców celi każdego dnia jest gdzieś prowadzona albo do „fotografa”, gdzie wykonuje się zdjęcia według wszelkich reguł gry, en face i z profilu, z numerem przytwierdzonym do kotary, koło której siada aresztant; albo „grać na fortepianie” w obowiązkowej procedurze zdejmowania odcisków daktyloskopowych, która jakoś nigdy nie była uważana za coś obraźliwego.

Albo na przesłuchanie, do odpowiedniego bloku, do

którego prowadzą niekończące się
korytarze tego
gigantycznego więzienia, gdzie przy
każdym zakręcie
konwojujący brząka kluczem, uderzając o
miedzianą
sprzączkę własnego pasa, aby uprzedzić o
zbliżaniu się
„tajnego aresztanta”. I dopóki ktoś nie
klaśnie w dłonie (na
Łubiance klaszczą w odpowiedzi na
pstrykanie palcami,
zamiast pobrzękiwania kluczami),
prowadzący więźnia nie
puszcza go naprzód.
Ruch jest ciągły i nigdy się nie kończy
- wrota wejściowe
nigdy na długo się nie zamykają; nie
było przypadku, żeby
więźniowie z jednej sprawy spotkali się
ze sobą w tej samej
celi.

591

Aresztant, który przekroczył próg
wężenia, wychodząc z
niego choćby tylko na sekundę, na
przykład gdy nagle jego
wyjazd został odwołany, nie może
powrócić bez
dezynfekcji wszystkich rzeczy. Taka tu
zasada, sanitarny
przepis. Odzież tych, którzy często
bywali wożeni na
Łubiankę na przesłuchania, szybko
sparciała. I bez tego w

więzieniu odzież niszczyła się znacznie
szybciej niż na
wolności - w odzieży się śpi,
przewracając się we śnie na
wyścielonych deskami narach. Właśnie te
deski razem z
gorącą odwieszalnią szybko niszczą odzież
każdego więźnia
znajdującego się w śledztwie.
Bez względu na dokładność kontroli
„strażnik więzienny
mniej myśli o swych kluczach niż
aresztant o ucieczce" -
tak twierdzi autor Pustelni parmeńskiej.
„Kombiedy" powstawały samorzutnie, jako
aresztancka
samoobrona
koleżeńska samopomoc. W tym przypadku
komuś się
przypomniały właśnie komitety biedoty.
Cóż można
wiedzieć - być może autor, przydający
nową treść starej
nazwie, sam był uczestnikiem prawdziwych
komitetów
biedoty rosyjskiej wsi pierwszych
rewolucyjnych lat.
Komitety samopomocy - to jest to, czym
były więzienne
kombiedy.
Organizacja działania kombiedu
sprowadzała się do
najprostszego rodzaju koleżeńskiej
samopomocy. Przy

wypisywaniu „sklepiku”, każdy kto wypisywał sobie żywność, powinien był odliczyć dziesięć procent na kombied. Cała uzyskana suma dzielona była pomiędzy „bezpieniężnych” znajdujących się w celi - każdy z nich uzyskiwał prawo do indywidualnego wypisania sobie żywności ze „sklepiku”.

W celach, w których przebywało od 70 do 80 osób, stale było siedem, osiem nieposiadających pieniędzy. Najczęściej bywało tak, że kiedy pieniądze przychodziły, „dłużnik” starał się zwrócić to, co otrzymał od kolegów. Nie było to jednak obowiązkowe. Całkiem po prostu w odpowiednim czasie odliczał te dziesięć procent, jeśli mógł.

Każdy „kombiedowiec” otrzymywał od 10 do 12 rubli na „sklepik”, a więc wydawał prawie taką samą sumę jak „pieniężni” ludzie. Za kombied nie dziękowano. Wyglądało to jak prawo aresztanta, jak niewzruszony więzienny obyczaj.

Przez długi czas, być może przez całe lata, więzienna

administracja nie domyślała się istnienia tej „organizacji” lub też nie zwracała uwagi na wiernopoddańcze informacje znajdujących się w celi „stukaczy” i więziennych tajniaków. Nie do pomyslenia jest jednak, aby nie donoszono o kombiedach. Całkiem po prostu administracja Butyrek nie chciała

592

powtórzyć przykrego doświadczenia bezskutecznej walki z przesławną grą w „zapałki”.... W więzieniu zabronione są wszystkie gry. Szachy ulepione z chleba przeżuwanego przez „całą celę” były natychmiast konfiskowane i niszczone po ich znalezieniu lub wykryciu przez czujne oko strażnika, zagląającego do celi przez „judasza”. Wyrażenie „czujne oko” zamiast sensu figuratywnego nabierało w więzieniu dosłowności. Było to obrysowane „judaszem” uważne oko strażnika.

Domino, warcaby - wszystko to jest jak najsurowiej zabronione w więzieniu śledczym. Książek się nie zabrania, więzienna biblioteka jest zasobna, ale znajdujący się w

śledztwie aresztant nie ma z czytania
żadnej korzyści
oprócz oderwania się od własnych, tak
ważnych i
dojmujących rozmyślań. W ogólnej celi
nie można skupić
się nad książką. Książki służą do
rozrywki, do oderwania
się od rzeczywistości, zamiast domina i
warcabów.

W celach, gdzie trzymani są kryminaliści,
w użyciu są karty
- w butyrskim więzieniu ich nie ma. I
nie ma żadnych gier
oprócz zapalek. Jest to gra dla dwu osób.
W pudełku z zapalnikami jest ich
pięćdziesiąt. Do gry
pozostawia się trzydzieści i wkłada się
je do pokrywki,
stawiając ją pionowo - „dęba”. Potrząsa
się nią, podnosi i
zapalniki wysypują się na stół. Ten, który
rozpoczyna grę,
ujmuje zapalnik dwoma palcami i działając
nią jak
dźwignią, odrzuca lub odsuwa na bok
wszystkie zapalniki,
które tylko potrafi wybrać z całej kupki,
nie poruszając
innych. Jeśli poruszają się jednocześnie
dwie zapalniki, traci
prawo do dalszych prób. Podejmuje grę
drugi - aż do swego
pierwszego błędu.

„Zapałki” – ta najprostsza dziecienna gra
w bierki,

przystosowana jedynie przez wynalazczy
zmysł

aresztantów do warunków więziennej celi.

W „zapałki” grało całe więzienie, od

śniadania do obiadu i

od obiadu do kolacji, namiętnie i z

zapałem.

Pojawili się „zapałczani” mistrzowie

celi, zgromadzono

zestawy specjalnej jakości zapałek – z

połyskiem od

ciągłego użycia. Takich zapałek nie

używano do zapalania

papierosów.

Ta gra oszczędziła aresztantom wiele

nerwowej energii,

wniosła jakiś tam spokój do ich

strwożonych dusz.

Administracja nie była w stanie

wykorzeńić tej gry, nie

mogła jej zabronić. Przecież posiadanie

zapałek było

dozwolone. Były wydawane (pojedynczo), a

także

sprzedawane w sklepie.

Komendanci bloków próbowali rozłamywać

pudełka ale

przecież w grze można się bez nich

obejść.

W tej walce z grą w bierki administracja

została

skompromitowana żadne jej interwencje do

niczego

sensownego nie doprowadziły. więzienie w dalszym ciągu grało w „zapałki”.
Z tego samego powodu, bojąc się ponownej kompromitacji, administracja patrzyła również przez palce na kombiedy, nie mając chęci wdawania się w niesławną walkę.
Ale niestety, wieść o kombiedach pełzła wciąż wyżej i dalej, aż dosięga Urzędu, skąd przyszedł groźny rozkaz - zlikwidować kombiedy, w których nazwie zdawało się istnieć wyzwanie, jakby apelacja do rewolucyjnego sumienia.
Ileż pouczeń odczytano na apelach! Ile przestępczych papierków z zaszyfrowanymi podliczeniami wydatków i zamówień przyłapano przy nagłych rewizjach w celach!
Iluż starostów odwiedziło Policyjną i Pugaczowską wieżę, w których znajdowały się karcery i izby kar.
Wszystko to było na darmo; kombiedy istniały bez względu na wszystkie uprzedzenia i sankcje. Sprawdzić ich istnienie rzeczywiście było trudno. Przy tym komendant bloku czy nadzorca długo pracujący w

więzieniu inaczej patrzy na aresztanta
niż jego wysoki
naczelnik i czasami w duszy trzyma
stronę aresztanta
przeciwko naczelnikowi. Nie znaczy to,
że mu pomaga.
Nie, on całkiem po prostu patrzy na
wykroczenia
aresztantów przez palce, kiedy może to
zrobić, nie widzi,
kiedy może nie widzieć, całkiem po
prostu mniej się czepia.
Zwłaszcza jeśli nadzorca jest już
niemłody. Dla aresztanta
najlepszy jest taki naczelnik, który nie
jest młody i ma niski
stopień. Połączenie tych dwu warunków
niesie w sobie
obietnicę względnie porządnego człowieka.
A jeśli do tego
jeszcze popija - to tym lepiej. Taki
człowiek nie szuka
kariery, a kariera więziennego, a
zwłaszcza łagrowego
nadzorca - to krew więźniów.
Ale Urząd żądał likwidacji kombiedów i
więzienne
naczalstwo bezskutecznie próbowało
uzyskać sukces.
Dokonano próby rozsadzenia kombiedów od
wewnątrz -
było to oczywiście najbardziej chytrze
pomyślane
rozwiązanie. Kombiedy były organizacją
nielegalną, każdy

aresztant mógł sprzeciwić się przymusowo
robionym

potrąceniom. Ten, kto nie chciał płacić
takich podatków

mógł protestować i w przypadku takiej
odmowy czy

protestu znalazłby natychmiast pełne
poparcie więziennej

administracji. Jakżeby - przecież
594

kolektyw więzienny to nie państwo, aby
pobierać podatki, a

więc kombiedy - to bezprawne żądania,
wymuszenia,

grabież...

Niewątpliwie, każdy aresztant mógł się
nie zgodzić na

odpis. Nie chcę - i basta! Pieniądze są
moje i nikt nie ma

prawa na nie nastawać itd. Przy takim
oświadczeniu nie

było żadnych potrąceń i zamówienie
dostarczano w całości.

Jednakże kto zaryzykuje! Kto zaryzykuje,
aby

przeciwstawić się więziennemu
kolektywowi ludziom,

którzy przebywają z tobą przez
dwadzieścia cztery godziny

na dobę, i jedynie sen ratuje cię przed
nieprzyjaznymi,

wrogimi spojrzeniami kolegów? W
więzieniu każdy mimo

woli poszukuje w sąsiedzie duchowego
wsparcia i stać się

obiektem bojkotu - to zbyt straszne.
Straszniejsze niż
pogróżki śledczego - chociaż żadnych
„fizycznych”
środków tu się nie stosuje.
Więzienny bojkot - to oręż wojny nerwów.
I nie daj Boże,
aby ktoś doświadczył na sobie
ostentacyjnej pogardy
kolegów. Jeżeli zaś ten społeczny
obywatel okaże się zbyt
gruboskórny i uparty - to w posiadaniu
starosty znajduje się
jeszcze silniej znieważająca, bardziej
efektywna broń.
W więzieniu nikt nie ma prawa pozbawiać
aresztanta racji
żywnościowej (oprócz śledczych, którym
to bywa
potrzebne dla „prowadzenia sprawy”) i
uparciuch otrzyma
swoją miskę zupy, swą porcję kaszy i
swoją chleb.
Pożywienie dzieli rozdawca według
wskazań starosty celi
(jest to jedna z jego prerogatyw). Nary
rozmieszczone są
wzdłuż ścian celi z rozdzielającym je
przejściem od drzwi
do okna.
Cela ma cztery rogi i jedzenie rozdaje
się, rozpoczynając po
kolei od każdego z nich. Ta zmiana
potrzebna jest po to,

aby wzmożona pobudliwość nerwowa
aresztantów nie była
jątrzona przez jakiś drobiazg w rodzaju
„góry" czy „dołu"
butyrskiej zupy-bałandy, po to, by
wyrównać wszystkim
szanse na jej gęstość i temperaturę... -
w więzieniu nie
zajmują się głupstwami.
Przed rozdawaniem jedzenia starosta
podaje komendę na
jego rozpoczęcie i dodaje: A ostatni
dostaje taki to a taki
(Iksiński, Igrekowski) - zawsze ten, kto
nie liczy się z
kombiedem.

Ta poniżająca zniewaga, nie do
zniesienia, może być
dokonywana czterokrotnie w ciągu
butyrskiego dnia - rano
i wieczorem wydawana jest „herbata", na
obiad - zupa, a na
kolację - kasza.

W czasie rozdawania chleba można tego
dokonać po raz
piąty. Wzywanie komendanta bloku dla
wyjaśnienia
podobnych spraw jest zbyt ryzykowne -
przecież cała cela
będzie świadczyć przeciwko naszemu
uparciuchowi. W takich przypadkach
należy kolektywnie
łgać, „blokowy" w żaden sposób nie
dojdzie prawdy.

Ale egoista i chciwiec - to człowiek twardego charakteru. A przy tym uważa on tylko siebie za niewinnie aresztowanego, wszystkich zaś swoich więziennych współmieszkańców - za przestępców. Jest on dostatecznie gruboskórny, wystarczająco uparty. Z łatwością znosi bojkot kolegów-te inteligenckie sztuczki nie zmuszą go do utraty cierpliwości i opanowania Mogłaby na niego oddziaływać „kocówa” - stara metoda przekonywania. W butyrskim więzieniu jednak żadnych „koców” nie bywa. Egoista już gotów jest święcić swoje zwycięstwo - bojkot nie oddziałuje w sposób właściwy. Ale w rozporządzeniu starosty, w rękach ludzi z więziennej celi znajduje się jeszcze jeden decydujący „środek”. Każdego dnia w czasie wieczornego apelu, przy przekazywaniu dyżuru, kolejny rozpoczynający służbę w tej zmianie komendant bloku zadaje aresztantom regulaminowe pytanie: „Czy ktoś coś zgłasza?” Starosta występuje krok do przodu i żąda przeniesienia

bojkotowanego uparciucha do innej celi.
Nie trzeba
wyjaśniać przyczyny, wystarczy zażądać.
Nie później niż w
ciągu doby, a bywa, że wcześniej,
przeniesienie dokonuje
się obowiązkowo - publiczne ostrzeżenie
zdejmuje ze
starosty odpowiedzialność za
podtrzymywanie dyscypliny
w celi. Jeśli nie przeniosą - uparciuch
może zostać pobity, a
nawet zabity: dusza aresztanta jest
nieodgadniona, a
podobne przypadki pociągają za sobą
nieprzyjemne,
wielokrotne wyjaśnienia komendanta bloku
przed
naczalstwem.

W przypadku śledztwa związanego z tym
więziennym
zabójstwem od razu wyjaśni się, że
„blokowy” został
uprzedzony. Lepiej po dobremu przenieść
do drugiej celi,
ustępując przed takim żądaniem.
Pojawić się w celi, będąc przeniesionym,
a nie z „wolności”
- to nie bardzo przyjemne. Wywołuje to
zawsze
podejrzenia, wzmożoną czujność nowych
kolegów - czy to
przypadkiem nie donosiciel? Dobrze,
jeżeli on tylko został

do nas przeniesiony za odmowę
przynależenia do
kombiedu, myśli starosta nowej celi. A
jeżeli to coś
gorszego? Starosta będzie próbował
poznać przyczynę
przeniesienia - za pomocą kartki
wsuniętej pod kubeł na
śmieci w toalecie albo stukaniem według
systemu
dekabrysty Bestużewa, albo według
alfabetu Morse'a.
Dopóki nie dostanie odpowiedzi,
„nowicjusz” nie może
liczyć na współczucie i zaufanie nowych
kolegów. Mija
wiele dni, powód przeniesienia zostaje
wyjaśniony,
podniecenie opada, ale i w nowej celi
jest swój kombied,
swoje własne potrącenia.

596

Wszystko zaczyna się od początku - jeśli
w ogóle się
zacznie, gdyż w nowej celi, nauczony
gorzkim
doświadczeniem, uparciuch zachowa się
inaczej. Jego upór
został przełamany.
W kamerach śledczych butyrskiego
więzienia nie było
żadnych kombiedów, dopóki dozwolone było
przekazywanie paczek - odzieżowych i
żywnościowych, a

korzystanie z więziennego sklepu było praktycznie nieograniczone. Kombiedy pojawiły się w drugiej połowie lat trzydziestych jako ciekawa forma „własnego życia” aresztantów znajdujących się w śledztwie, jako postać potwierdzenia własnej osobowości człowieka pozbawionego praw: był to ten maleńki obszar, gdzie ludzki kolektyw, zwarty, jak to bywa zawsze w więzieniu w odróżnieniu od „wolności” i łagru, przy całkowitym pozostawaniu poza prawem, znajduje miejsce, w którym może uzewnętrznić swoją siłę duchową dla upartego umacniania powszechnego ludzkiego prawa do życia według własnego upodobania. Te duchowe siły przeciwstawiają się wszystkim więziennym i śledczym uregulowaniom i uzyskują nad nimi zwycięstwo.

MAGIA

W szybę stuknięto kijem i Gołubiew go rozpoznał. Była to szpicruta naczelnika oddziału. „Zaraz idę!” - wrzasnął Gołubiew do okna, wciągnął spodnie i zapiął kołnierz

bluzy. W tej samej minucie na progu pokoju pojawił się goniec naczelnika, Miszka, i donośnym głosem wypowiedział tę zwykłą formułę, od której zaczynał się każdy roboczy dzień Gołubiewa. Do naczelnika! Do gabinetu? Na wartownię! Ale Gołubiew już wychodził. Z tym naczelnikiem dobrze się pracowało. Nie był on bezlitosny w stosunkach z więźniami, był rozsądny, i chociaż wszystkie górnotne tematy przekładał na swój szorstki język, to jednak rozumiał, co do czego pasuje. Co prawda wtedy było w modzie „przekuwanie” i w tym nieznanym prądzie naczelnik chciał całkiem po prostu utrzymać się na właściwej fali. Być może. Być może. Ale wtedy Gołubiew o tym nie myślał. Gołubiew wiedział, że naczelnik – nazwiskiem Stuków – miał wiele starć z wyższym naczalstwem, wiele spraw mu „szyto” w łagrze, ale ani nie znał ich szczegółów, ani nie wiedział, na czym w rzeczywistości polegały te niemające

zakończenia sprawy, niezaczęte, a już
przerwane
dochodzenia.

Gołubiew lubił Stukowa za to, że ten nie
brał łapówek i nie
lubił pijanych. Z jakiegoś tam powodu
Stuków ich
nienawidził... Lubił go pewnie jeszcze
za odwagę.

Stuków był człowiekiem starszym i
samotnym. Uwielbiał
różne nowości z dziedziny nauki i
techniki, a opowiadania
o moście Brooklińskim wprawiały go w
zachwył. Ale

Gołubiew nie umiał niczego takiego
opowiadać, co byłoby
podobne do Brooklińskiego mostu.

Za to opowiadał mu o tym Miller, Paweł
Piotrowicz Miller,
inżynier górniczy.

Miller był ulubieńcem Stukowa, chciwego
na wszystkie
nowości nauki.

598

Gołubiew dognał Stukowa przed wartownią.
Cały czas śpisz.

Ja nie śpię.

A o tym, że etap przyszedł z Moskwy -
wiesz? Przez Perm.

Więc mówię że śpisz. Bierz swoich i
będziemy wybierać
ludzi.

Oddział znajdował się na samym krańcu
wolnego świata,

przy końcu kolejowej drogi - dalej to już szły jedynie wielodniowe piesze etapy przez tajgę i Stukowowi dano prawo, aby sam sobie pozostawiał potrzebnych mu ludzi. Była to zadziwiająca magia, jakies sztuczki, jakby z dziedziny psychologii stosowanej - te sztuczki pokazywane przez Stukowa, naczelnika, który postarzał się, pracując w miejscach uwięzienia ludzi. Stuków potrzebował widzów i pewnie jedynie Gołubiew mógł docenić jego zadziwiający talent, zdolność, która przez dłuższy czas wydawała się Gołubiewowi czymś nadprzyrodzonym, aż do tego momentu, kiedy poczuł, że sam posiada taką magiczną siłę. Wyższe naczalstwo zezwalało na przykład pozostawić w oddziale łagrów pięćdziesięciu cieśli. Etap ustawiał się przed naczelnikiem i to nie w jeden, lecz dwa lub trzy rzędy. Stuków szedł z wolna wzdłuż etapu, poklepując szpicrutą po swoich niewyczyszczonych butach. Od czasu do czasu unosił rękę.

Wychodź, ty - ty. I ty. Nie, nie ty. O ty...

Ilu wyszło?

Czterdziestu dwóch.

No widzisz, jeszcze ośmiu.

Ty... ty... ty.

Spisywano nazwiska i odkładano „akta personalne”.

Wszystkich pięćdziesięciu umiało się obchodzić z toporem

i piłą.

Trzydziestu ślusarzy!

Stuków szedł wzdłuż etapu, lekko się chmurząc.

Wychodź ty... ty... ty... A ty - do tyłu.

Tyś błatniak czy co?

Błatniak, obywatelu naczelniku.

Trzydziestu ślusarzy zostało wybranych bez żadnej pomyłki.

Trzeba było dziesięciu kancelistów.

Potrafisz wybrać na oko?

Niestety.

No to chodźmy.

Wychodź ty... ty... ty...

Wyszło sześciu ludzi.

- w etapie nie ma więcej księgowych.

Sprawdzono według „akt” i rzeczywiście: więcej nie było.

Dobrano kancelistów z następnych etapów.

Była to ulubiona zabawa Stukowa, oszałamiająca

Gołubiewa. A Stuków cieszył się jak dziecko ze swych

magicznych zdolności i męczył się, jeśli tracił pewność.

Nie mylił się jednak, tylko całkiem po prostu nie był pewien i wtedy przerywał przyjmowanie ludzi.

Gołubiew za każdym razem z przyjemnością przyglądał się tej zabawie niemającej nic wspólnego z okrucieństwem ani z czyjąś krwią.

Zdumiewała go znajomość ludzi.

Zdumiewała go również ta odwieczna więź pomiędzy duszą i ciałem.

Tyle razy widział te sztuczki demonstrujące tajemniczą siłę naczelnika. Nie kryło się za nią nic innego oprócz

wieloletniego doświadczenia w pracy z więźniami. Odzież

aresztanta wygładza różnice i to ułatwia tylko zadanie - jak

odczytać zawód człowieka z jego twarzy, z jego rąk.

Kogo dzisiaj będziemy wybierać, obywatelu naczelniku?

Dwudziestu cieśli. A to jeszcze telegram z zarządu -

wydzielić wszystkich tych, co przedtem pracowali w

organach - Stuków uśmiechnął się - i osądzeni są za

przestępstwa pospolite lub

administracyjne. Znaczy to, że

ponownie zasiada za stołami śledczych.

No, co ty o tym

myślisz?

Niczego nie myślę. Rozkaz jest rozkazem.

A czy ty pojąłeś, jak ja dobieierałem
cieśli?

Chyba...

Całkiem po prostu wybieram wieśniaków.

Każdy wieśniak -

to cieśla. I uczciwych pracowników też
poszukuję

pośród wieśniaków. I nie mylę się.

Ale jak rozpoznać

po oczach pracowników organów - tego nie
wiem. Maja

rozbiegane oczy, czy jak? Powiedz.

Nie wiem.

I ja nie wiem. Ale może na starość się

nauczę. Jeszcze

przed emeryturą.

Etap ustawił się jak zawsze wzdłuż

wagonów. Stuków

wygłosił swoje zwykłe przemówienie o

pracy, o

zaliczeniach, wyciągnął rękę i przeszedł
się dwukrotnie

wzdłuż wagonów.

Potrzebni mi są cieśle. Dwudziestu ludzi.

Ale ja sam będę

wybierać. Nie ruszać się.

Wychodź ty... ty... ty... No, i wszyscy.

Odłóżcie „akta”.

Palce naczelnika namacały w kieszeni

kurtki jakiś kawałek

papieru.

Nie rozchodzić się. Jeszcze jedna sprawa.
600

Stuków podniósł rękę z papierkiem.
Czy są wśród was pracownicy organów? Dwa
tysiące
aresztantów milczało.

Pytam, czy jest między wami ktoś, kto
pracował przedtem

w organach? W organach!

Z ostatnich szeregów, rozpychając
sąsiadów, energicznie
przedzierał się chuderlawy człowiek,
rzeczywiście z
rozbieganymi oczami.

Ja pracowałem, obywatelu naczelniku,
jako informator.

Idź precz! – z pogardą i zadowoleniem
powiedział

Stuków.

RJABOKOŃ

Sąsiadem Rjabokonia na szpitalnym łóżku
- przy

pokrytej materacem wypchanym pociętym
cedrowcem - był

Peters, Łotysz, który jak wszyscy
Łotysze bił się na

wszystkich frontach wojny domowej.

Kołyma była

ostatnim frontem Petersa. Ogromne ciało
Łotysza podobne

było do ciała topielca - sinobiałe,
napuchnięte i wzdęte od

głodu. Ciało o wygładzonej skórze, która
pozbyła się

wszystkich zmarszczek - wszystko stało się zrozumiałe, opowiedziane do końca, wyjaśnione. Peters milczał przez wiele dób, obawiając się każdego zbędnego ruchu - już było czuć odleżyny, już zaczynały cuchnąć. I tylko jego wypłowiałe oczy uważnie śledziły ruchy lekarza, doktora Jampolskiego, gdy ten wchodził na salę. Jampolski, naczelnik szpitala, nie był doktorem. Nie był także felczerem. Całkiem po prostu był donosicielem i bezczelnym człowiekiem, który donosami przetarł sobie drogę. Jednak Peters o tym nie wiedział i w jego oczach pojawiała się nadzieja. Ale Jampolskiego znał Rjabokoń - bądź co bądź Rjabokoń to były „wolny”. Jednakże nienawidził on tak samo Jampolskiego, jak i Petersa. I milczał w złości. Rjabokoń nie był podobny do topielca. Ogromny, kościsty, o wysuszonych ścięgnach. Materac był za krótki, koc zaledwie okrywał ramiona - ale jemu było wszystko jedno. Z łóżka zwisały stopy wymiaru Guliwera i podobne do

bilardowych kul, żółte, kościste pięty
stukały o belkowaną
podłogę, kiedy Rjabokoń wstawał, aby
zgiąć się i wysunąć
przez okno głowę - nie udawało się tego
zrobić z
ramionami, aby wysunąć je na zewnątrz -
do nieba, do
wolności.

Doktor Jampolski oczekiwał śmierci
Łotysza z godziny na
godzinę - tacy dystroficy powinni szybko
umierać. Ale ten
ciągnął swe życie, zwiększając średnie
łóżko-dni. Śmierci
Łotysza oczekiwał również Rjabokoń.
Peters leżał na
jedynej w szpitalu długiej pryczy i
doktor Jampolski
obiecał ją Rjabokoniowi po śmierci
Łotysza. Rjabokoń bez
obawy oddychał
602

przy oknie chłodnym, wiosennie
upajającym powietrzem,
oddychał całą pierśią i myślał, jak to
on położy się na łóżko
Petersa, kiedy ten umrze, i jak można
będzie wyciągnąć
nogi - chociaż przez kilka dób. Potrzeba
tylko jednego dnia,
położyć się i wyciągnąć - aby wypoczęły
jakieś tam ważne
mięśnie - i Rjabokoń będzie żyć.

Obchód się skończył. Leczyć nie było
czym -
nadmanganian potasu i jodyna sprawiały
cuda nawet w
rękach Jampolskiego. A ten trzymał się,
zdobywał
doświadczenie i staż. Zgonami go nie
obwiniano. Kogo
zresztą nimi obwiniano?
Dzisiaj zrobimy ci wannę, ciepłą wannę.
Dobrze?

W wypłowiałych oczach Petersa mignęła
złość, ale nic nie
powiedział, nie wyszeptał niczego.
Czterej sanitariusze spośród chorych
wraz z doktorem
Jampolskim wepchnęli ogromne ciało
Petersa do
drewnianej beczki od solidolu,
wyparzonej i wymytej.

Doktor Jampolski odnotował czas na
ręcznym zegarku -
podarunku dla kochanego doktora od
błatniaków z kopalni,
gdzie Jampolski pracował przed tą
kamienną pułapką na
myszy.

Po piętnastu minutach Łotysz coś tam
zachrypiał.

Sanitariusze i lekarz wytaszczyli
chorego z beczki i
zaciągnęli na pryczę, na tę długą pryczę.

I Łotysz wyraźnie
wymówił:
Bieliznę! Bieliznę!

Jaką bieliznę? - powiedział doktor Jampolski. - Bielizny u nas nie ma!

To o śmiertelną koszulę on prosi - domyślił się Rjabokoń.

I wpatrując się w drgający podbródek Petersa, patrząc na zamykające się oczy, na szukające czegoś na ciele sine,

napuchnięte palce, Rjabokoń pomyślał, że śmierć Petersa -

to jego szczęście, nie tylko z powodu długiej pryczy, ale i

dlatego, że on i Peters byli starymi wrogami - spotykali

się w walkach gdzieś tam pod Szeppetówką.

Rjabokoń był machnowcem. Jego marzenie spełniło się -

legł na łóżku Petersa. A ja położyłem się na miejscu

Rjabokoń - i słuchałem jego opowiadań.

Rjabokoń spieszył się z opowiadaniem, a ja spieszyłem się

z zapamiętywaniem. Obaj byliśmy znawcami i śmierci, i

życia.

Ty myślisz, że Machno był antysemitą?

Wszystko to

bsdura. Wasza agitacja. Jego doradcami byli Żydzi. Juda

Grosman, Roszczin, Baron. Ja byłem prostym żołnierzem z

taczanką w tej dwutysięcznej grupie, którą Bat'ko

wyprowadził do Rumunii. No, ale w
Rumunii to mi się nie
widzia-
ło. Po roku przeszedłem granicę z
powrotem. Dali mi trzy
lata zesłania. Potem wróciłem, byłem w
kołchozie, a w
trzydziestym siódmym zamietli -
Profilaktycznie? Pjat
rokiw dalekich taboriw. Klatka piersiowa
Rjabokonia była
ogromna, okrągła-żebra uwypuklały się
jak obręcze w
beczce. Wydawało się, że gdyby Rjabokoń
umarł przed
Petersem, z klatki piersiowej machnowca
można byłoby
zrobić obręcze dla beczki - miejsca
przedśmiertnej kąpieli
Łotysza według recepty doktora
Jampolskiego,
Jak szkielet obciągnięty skórą, Rjabokoń
cały wydawał się
pomocą naukową do studiowania anatomii -
jakby
posłuszną żywą konstrukcją, a nie
modelem szkolnym.
Mówił niewiele, ale znajdował jeszcze w
sobie siły, aby
uchronić się przed odleżynami, obracając
się na łóżku,
wstając i chodząc. Sucha skóra łuszczyła
się na całym ciele,
a na biodrach i lędźwiach widniały sine
plamy przyszłych

odleżyn.

No, to ja przyszedłem. Trzech nas. Na ganku - Machno.

Umiesz strzelać?

Umiem, bat'ka

Ano, powiedz, jeżeli cię napadną we trzech, to co będziesz robić?

Coś tam wymyślę, bat'ka

Toś słusznie rzekł. Gdybyś powiedział -

„wszystkich

porąbię!" - nie wziąłbym cię do oddziału.

Trzeba

chytrością, chytrością... A zresztą, cóż Machno? Machno

jak Machno. Ataman. Umrzemy wszyscy.

Słyszałeś - on

umarł...

Tak, w Paryżu.

Świeć, Panie, nad jego duszą. Pora spać.

Rjabokoń naciągał na głowę rozpadający się koc, obnażając

przy tym do kolan nogi, i zaczynał chrapać.

Słuchaj, ty.

No?

Opowiedz o Maruście, o jej bandzie.

Rjabokoń zrzucił koc z twarzy.

No cóż. Banda jak banda. To z nami, to z wami. A ona - to

anarchistka, Maruśka. Dwadzieścia lat była na katordze.

Uciekła z moskiewskiego Nowińskiego Więzienia.

Rozstrzelał ją Słaszczew na Krymie.
Niech żyje anarchia!
Krzyknęła i umarła. Wiesz, kim ona była?
Na nazwisko
miała Nikiforowa. Najprawdziwszy
hermafrodyta.
Słyszałeś? No, śpijmy.
Kiedy skończył się wyrok tego rodowitego
machnowca,
zwolniono go bez prawa wyjazdu z Kołymy.
Na
„kontynent” nie wywożono. Mach-
604
nowiec zmuszony został podjąć pracę
ładowacza w tym
samym składzie, w którym pracował od
świtu do nocy jako
więzień. Już jako wolny, w tym samym
składzie, na tym
samym stanowisku pracy. Było to
poniżenie nie do
wytrzymania, które niewielu potrafiło
znieść. Oczywiście
oprócz specjalistów. A u więźnia główną
nadzieję stanowi
to, że coś tam się zmieni po zwolnieniu.
Wyjazd, wysłanie,
zmiana miejsca także mogą przynieść
spokój, uratować.
Pensja była mała. Czy kraść ze składu
tak jak przedtem?
Nie, Rjabokoń miał inne plany.
Razem z byłymi trzema zekami Rjabokoń
skrył się „w

lodach" - umknął w głuchą tajgę.
Zorganizowała się
bandycka szajka - złożona z samych
„frajerów", niemająca
związku ze światem przestępczym, ale
przez wiele lat
oddychająca jego atmosferą.
Był to jedyny na Kołymie przypadek
ucieczki „wolniaszek"
- nie więźniów, których się strzeże i
przelicza na apelach
cztery razy na dzień, ucieczka wolnych
obywateli. Był
pomiędzy nimi główny buchalter kopalni,
podobnie jak
Rjabokoń, były więzień. Oczywiście nie
było w szajce tych,
co pracowali na umowie, tacy jeżdżą za
wielkimi rublami.
Wszyscy - to byli więźniowie.
Czterej zabójcy uprawiali grabież na
tysiąckilometrowej
trasie - stanowiła ją centralna droga -
przez cały rok. Przez
cały rok hulali, ograbiając samochody i
mieszkania w
osadach. Weszli w posiadanie samochodu
ciężarowego -
garaż dla niego znalazł się w górskiej
rozpadlinie.
Rjabokoń wraz z towarzyszami łatwo
decydowali się na
zabójstwa. Nikt nie obawiał się nowego
wyroku. Miesiąc,

rok, dziesięć lat, dwadzieścia - to
prawie wszystko jedno...
Ale skończyło się to tak, jak kończą się
wszystkie takie
sprawy. Jakaś kłótnia, nieprawidłowy
podział zdobyczy.
Utrata autorytetu atamana-buchaltera.
Buchalter złożył
jakieś tam nieprawdziwe zeznania. Sąd.
Dwadzieścia pięć i
pięć pozbawienia praw. Wtedy nie
rozstrzeliwano za
zabójstwo...
Duchową łatwość zabijania Rjabokoń niósł
przez życie
jeszcze z Hulaj-Pola.

ŻYCIE INŻYNIERA KIPRIEJEWA

Przez wiele lat myślałem, że śmierć jest
formą życia, i
poprzestając na tym niepewnym osadzie,
wypracowywałem
formułę aktywnej ochrony swojego
istnienia na tym
smętnym padole.
Myślałem, że człowiek tylko wtedy może
być nim
naprawdę, kiedy w dowolnej chwili
swojego życia potrafi
odczuć całym swym ciałem, że gotów jest
skończyć z sobą,
że gotów jest sam ingerować we własne
życie. Ta właśnie
świadomość daje wolę życia.
Sprawdzałem siebie - wielokrotnie - i
czując w sobie siłę,

żeby umrzeć, pozostawałem przy życiu.
Znacznie później pojąłem, że ja całkiem
po prostu
skonstruowałem sobie umysłowy schron,
uciekłem od
problemu, gdyż w momencie decyzji nie
będę już taki jak
teraz, kiedy życie i śmierć - to rzecz
wolnej woli. Osłabnę,
zmienię się, sam siebie zdradzę. Nie
zacząłem myśleć o
śmierci, ale poczułem, że poprzednie
postawienie problemu
wymaga jakiejś innej odpowiedzi, że dane
sobie samemu
obietnice, przysięgi młodości są bardzo
naiwne i bardzo
względne.

Upewniła mnie w tym historia inżyniera
Kipriejewa.

Nigdy nikogo w moim życiu nie zdradziłem,
nie

sprzedałem. Ale nie wiem, jak bym się
zachowywał, gdyby
mnie bito. Przeszedłem przez wszystkie
swoje śledztwa jak
najbardziej szczęśliwie - bez bicia, bez
metody numer trzy.

Żaden z moich śledczych, w czasie
wszystkich śledztw, nie
tknął mnie palcem. Ale to tylko
przypadek, nic więcej.

Całkiem po prostu przechodziłem śledztwo
dostatecznie

wcześniej – w pierwszej połowie
trzydziestego siódmego
roku, kiedy jeszcze nie stosowano tortur.
Inżynier Kipriejew został jednak
aresztowany w 1938 roku
i dobrze poznał groźne widowisko bicia w
czasie śledztwa.

Wytrzymał to bicie, a potem, rzuciwszy
się na śledczego,
ponownie zbity, posadzony został do
karceru. Ale w tym
miejscu śledztwa, gdzie trzeba złożyć
podpis,

606

śledczy łatwo uzyskali go od Kipriejewa:
nastraszyli go
aresztowaniem żony i Kipriejewa
„podpisał”.

Ten właśnie straszny cios, zadany jego
moralnym zasadom,
towarzyszył mu przez całe życie. W
aresztanckim życiu
niemało jest poniżeń i moralnych upadków.

W dziennikach
ludzi związanych z ruchem wyzwoleniczym w
Rosji istnieje
straszna skaza – prośba o łaskę. Przed
rewolucją uważane to
było za hańbę, hańbę na zawsze. Także po
rewolucji do
środowiska katorżan-więźniów
politycznych i zesłańców
nie przyjmowano w sposób zdecydowany tak
zwanym

„podawalców”, tj. tych, którzy
kiedykolwiek i z
jakiegokolwiek powodu prosili cara o
uwolnienie lub o
złagodzenie kary.

W latach trzydziestych przebaczano nie
tylko

„podawalcóm”, ale nawet tym, którzy
„podpisali” wiadome
z góry kłamstwo, często nawet nabrzmiałe
krwią.

Ludzie będący żywym przykładem
nieustępliwości już
dawno się zestarzeni, zginęli w łagrach
i na zesłaniu, a ci,
którzy siedzieli i przechodzili śledztwo,
byli wszyscy

„podawalcami”. Dlatego właśnie nikt nie
wiedział, na jakie
moralne tortury skazał siebie Kipriejew,
odjeżdżając na

Morze Ochockie - do Władywostoku, a
dalej do Magadanu.

Kipriejew był inżynierem-fizykiem z tego
samego

Charkowskiego Instytutu Fizyki, gdzie
najwcześniej w

Związku Sowieckim zbliżono się do
reakcji jądrowej. Tam

też pracował Kurczatow. Charkowski
instytut nie uniknął

„czystki”. Jedną z pierwszych ofiar
naszej atomowej nauki

był inżynier Kipriejew.

Kipriejew znał swoją wartość. Ale jego naczelnicy jej nie znali. Okazało się przy tym, że moralna niezłomność niewiele ma wspólnego z talentem, doświadczeniem naukowym, a nawet z pasją naukową. To były różne rzeczy. Wiedząc o biciu w śledztwie, Kipriejew przygotował się na to bardzo prosto - że będzie się bronić jak zwierzę, odpowiadać uderzeniem na uderzenie, nie wdając się w to, kto jest wykonawcą, a kto - twórcą tego systemu, metody numer trzy. Kipriejew został pobity i wrzucony do karceru. Wszystko zaczęło się od nowa. Opuszczaly go siły fizyczne, i wraz z nimi i duchowe. Kipriejew „podpisał”. Grozili mu aresztem żony. Kipriejew niezmiernie się wstydził tej słabości, tego, że przy spotkaniu i brutalną siłą on, inteligent Kipriejew - ustąpił. Wtedy też, w więzieniu, poprzysiągł sobie na całe życie, że nigdy nie powtórzy swego haniebnego postępu. Zresztą, to jedynie Kipriejewowi wydawało się, że postąpił haniebnie. Obok

niego leżeli na narach ludzie, którzy także podpisali, kłamali. Leżeli i nie umierali. Hańba nie ma granic - a raczej granice jej są bardzo osobiste, i każdy mieszkaniec celi śledczej ma inne wymagania w stosunku do samego siebie.

Z pięcioletnim wyrokiem Kipriejew znalazł się na Kołymie; był pewien, że znajdzie drogę do przedterminowego zwolnienia, że potrafi wyrwać się na swobodę, na kontynent. Oczywiście inżynier zostanie doceniony. I zapracuje na zaliczenie roboczych dni dających wcześniejsze zwolnienie. I jakkolwiek Kipriejew odnosił się z pogardą do fizycznej pracy w łagrze - to szybko pojął, że przy końcu tej drogi nic go nie oczekuje oprócz śmierci. Jeśli będzie pracować tam, gdzie można by zastosować chociaż cień specjalistycznej wiedzy, którą posiadał - to wyjdzie na wolność. Nie straci przynajmniej kwalifikacji. Doświadczenia pracy w kopalni, połamane palce włożone

do zgarniarki, fizyczna słabość, a nawet nadwątlenie organizmu - wszystko to doprowadziło Kipriejewa do szpitala, a potem na punkt tranzytowy. Niestety polegało jeszcze na tym, że inżynier nie potrafił nie zajmować się wynalazkami, poszukiwaniem nowych rozwiązań naukowych i technicznych w tym chaosie łagrowego bytowania, w którym żył.

Jednakże łagier, łagrowe naczalstwo patrzyło na Kipriejewa jedynie jak na niewolnika, nie widząc w nim niczego więcej. Energia Kipriejewa, którą on sam w sobie tysiącrotnie przeklinał, szukała ujścia. Tylko że stawka w tej grze powinna być godna inżyniera.

Taką stawką była wolność. Kołyma jest nie tylko dlatego „cudaczną planetą”, że tam przez dziewięć miesięcy w roku jest zima.

Tam w czasie wojny płacono sto rubli za jabłko, a pomyłka w rozdziale przywiezionych z kontynentu świeżych pomidorów doprowadzała do krwawych dramatów. Wszystko to - i jabłka, i pomidory, przeznaczone było oczywiście dla

świata wolnych, do którego więzień Kipriew nie należał.

„Cudaczną planetą” była nie tylko dlatego, że „prawem tam tajga”. Nie dlatego, że Kołyma – to stalinowski specjalny łagier śmierci.

I nie dlatego, że tam „deficytem” jest machorka i herbata-czyfir; że jest to kołymska waluta, jej rzeczywiste złoto, za które nabywa się wszystko.

Bardziej deficytowe było szkło – wyroby ze szkła, naczynia laboratoryjne i szklane przyrządy. Mrozy powiększały kruchość szkła, a norma na „stłuczki” wcale się nie zwiększała. Prosty termometr lekarski kosztował trzysta rubli. Ale konspiracyjny handel termometrami nie istniał.

Lekarz powinien był zgłosić pełnomocnemu rejonowego

oddziału o takiej potrzebie, gdyż lekarski termometr

trudniej było ukryć niż Giocondę. Ale lekarz nie składał zapotrzebowania.

Całkiem po prostu

płacił trzysta rubli i aby zmierzyć gorączkę ciężko chorym, przynosił termometr z domu.

Na Kołymie puszka od konserw była całym poematem.

Blaszana puszka po konserwach - to miarka, bardzo wygodna miarka, zawsze pod ręką. Do mierzenia wody, krup, mąki, kisielu, zupy, herbaty. To kubek do picia „czyfiru” - w niej wygodnie też „zagotować czyfirek”. Kubek taki jest zupełnie sterylny - robi to ogień. Herbatę czy zupę podgrzewa się i zagotowuje w piecyku lub w płomieniu ogniska. Duża, trzylitrowa puszka - to klasyczny kociołek „dochodiagów”, z drucianą rączką, którą tak wygodnie mocuje się przy pasie. A któż na Kołymie nie był dochodiagą? Szklany słoik - to przebłysk światła przez oczka drewnianego obramowania przewidującego możliwość stłuczki. To także przezroczysty słoik, w którym tak wygodnie przechowuje się lekarstwa w ambulatorium. Półlitrowa puszka - to naczynie na trzecie danie w łagrowej stołówce. Ale to nie termometry, nie naczynia laboratoryjne, nie słoiki po konserwach stanowiły główny

deficyt szkła na Kołymie. Były nim -
żarówki.

Na Kołymie istnieją setki kopalń
głębinowych i
odkrywkowych, tysiące ich oddziałów,
odkrywek, szybów,
dziesiątki tysięcy przodków uranowych,
ołowiowych,
wolframowych, tysiące łagrowych
ekspozytur, osad dla
wolnych, łagrowych zon i baraków
oddziałów straży, i
wszędzie potrzebne jest światło, światło,
światło. Kołyma
przez dziewięć miesięcy żyje praktycznie
bez światła
słonecznego. Bujne światło
niezachodzącego słońca nie
ratuje, nic nie daje.
Istniejąca energia i światło pochodzi od
łączonych po dwa
traktorów i lokomotyw. Narzędzia
przemysłowe, bębny do
przemysłu rudy, przodki - wszystko
potrzebuje światła.
Oświetlane jupiterami wyrobiska
przedłużają nocną
zmianę, zwiększają efektywność pracy.
Wszędzie potrzebne są żarówki. Przywożą
je z kontynentu -
trzysetki, pięćsetki i tysiącświecowe -
zdolne do
oświetlania baraku i wyrobiska. Nierówna
praca silników

generatorów skazuje lampy na przedwczesne zużycie.

Lampa elektryczna - to problem wagi państwowej na Kołymie. Nie tylko wyrobisko powinno być oświetlone.

Musi być też oświetlona zona, drut kolczasty wraz z wieżyczkami strażniczymi według odpowiedniej normy, którą Daleka Północ jedynie podwyższa. Oddziały straży muszą mieć zapewnione światło. Tutaj nie obejdzie się (tak jak w kopalnianym przodku) spisaniem na straty, tutaj są ludzie którzy mogą uciec, i chociaż w zimie nie ma dokąd uciekać i nikt nigdy tego zimą nie robił - przepis pozostaje przepisem, i jeśli nie ma światła lub brakuje lamp, roznosi się wokół zony płonące pochodnie i pozosta-
wia wetknięte w śnieg aż do rana, kiedy stanie się jasno.
Pochodnia - to szmata umoczona w mazucie lub w benzynie.
Żarówki szybko się przepalają. I nie dają się regenerować.
Kipriejew sporządził raport, który zadziwił naczelnika

Dalstroju. Od razu poczuł order pojawiający się na jego mundurze. Oczywiście na mundurze, a nie na frenczu czy marynarce.

Regeneracja żarówek jest możliwa - byleby tylko było szkło.

I oto na Kołymę popłynęły groźne rozkazy.

„Wszystkie przepalone żarówki dostarczać do Magadanu. Na terenie kombinatu przemysłowego na 47 kilometrze wybudowano zakład. Zakład regeneracji elektrycznego oświetlenia”.

Inżynier Kipriejew został mianowany naczelnikiem cechu w tym zakładzie.

Cały pozostały personel, wszyscy etatowi pracownicy,

którymi obrósł remont lamp - pochodzili z wolnego najmu.

Powodzenie przedsięwzięcia oddane zostało w pewne ręce wolnych ludzi.

Rezultat był olśniewający. Oczywiście po remoncie lampy

długo nie pracowały. Ale ileś tam godzin, ileś tam złotych

dób Kipriejew zaoszczędził Kołymie. Było bardzo wiele

tych dób. Państwo otrzymało ogromne zyski, zyski na wojnę, zyski w złocie.

Dyrektor Dalstroju został odznaczony Orderem Lenina.

Wszyscy naczelnicy związani z remontem żarówek również otrzymali odznaczenia.

Jednakże ani Moskwa, ani Magadan nie pomyślały o tym, żeby wyróżnić więźnia Kipriejewa. Dla nich Kipriejew był jedynie niewolnikiem, mądrym niewolnikiem i niczym więcej.

Mimo wszystko dyrektor Dalstroju uważał, że nie może zupełnie zapomnieć o swoim korespondencie z tajgi.

Nie może tego zrobić, przy tym wielkim kołymskim święcie, wyróżniony przez Moskwę, w czasie tego uroczystego wieczoru na cześć - na czyją cześć? - dyrektora Dalstroju i każdego z tych, co otrzymali ordery i podziękowania, bo przecież oprócz rządowego dekretu, dyrektor Dalstroju wydał swoje rozporządzenie o nagrodach, podziękowaniach i zachętach. Dla wszystkich biorących udział w remoncie lamp, dla wszystkich kierowników zakładu, gdzie znajdował się cech regeneracji oświetlenia, przygo-

towano, oprócz odznaczeń i podziękowań, amerykańskie paczki okresu wojennego. Paczki te, wchodzące w skład dostaw na zasadzie lend-lease u, zawierały garnitur, krawat, koszule i trzewiki. Garnitury, zdaje się, zginęły w czasie transportu, ale trzewiki – amerykańskie trzewiki z czerwonej skóry na grubej podeszwie – stanowiły przedmiot marzeń każdego naczelnika. Dyrektor Dalstroju. naradził się ze swoim pomocnikiem – i wszyscy zdecydowali, że o większym szczęściu, o lepszym podarunku inżynier-zek nawet marzyć nie jest w stanie.

O tym, ażeby skrócić inżynierowi wyrok lub zupełnie go zwolnić, dyrektor nawet nie myślał prosić Moskwy w tych niespokojnych politycznie czasach. Niewolnik powinien się cieszyć ze starych trzewików gospodarza i ubraniem z jego ramion.

O tych podarunkach rozprawiał cały Magadan, cała Kołyma. Miejscowi naczelnicy otrzymali obfitość orderów

i podziękowań. Ale amerykański garnitur,
trzewiki na
grubej podeszwie - to było coś jak
podróż na Księżyc,
wzniesienie się w rejony innego świata.
Nastał uroczysty wieczór i na stole
obciągniętym
czerwonym suknem piętrzyły się
błyszczące pudła z
garniturami.

Dyrektor Dalstroju przeczytał
rozporządzenie, w którym
oczywiście nie było żadnej wzmianki o
Kipriejewie, tak
być nie mogło.

Naczelnik zarządu politycznego
przeczytał „listę z
podarunkami”. Na końcu wymienione
zostało nazwisko
Kipriejewa. Inżynier podszedł do stołu
jaskrawo
oświetlonego lampami - jego lampami - i
wziął pudło z rąk
dyrektora Dalstroju.

Głośno i wyraźnie powiedział:
„Amerykańskich
znoszonych rzeczy ja nosić nie będę” - i
położył pudło na
stół.

Kipriejew został od razu, na miejscu
aresztowany i dostał
osiem lat dodatkowego wyroku z paragrafu
- jakiego, nie
wiem, ale i tak na Kołymie nie ma to
żadnego znaczenia,

nikogo to nie interesuje.

Zresztą jakież to paragraf za odmowę przyjęcia

amerykańskich prezentów? Ee, nie tylko, nie tylko za to.

We wnioskach śledczego prowadzącego nową sprawę

Kipriejewa widniało: „Mówił, że Kołyma - to Auschwitz bez pieców”.

Do tego drugiego wyroku Kipriejew odniósł się spokojnie.

Rozumiał, na co się waży, odmawiając przyjęcia

amerykańskich prezentów. Podjął jednak pewne środki

dotyczące osobistego bezpieczeństwa.

Mianowicie takie:

Poprosił znajomego, aby ten napisał do jego żony na

kontynencie że on, Kipriejew, umarł. I sam przestał pisać

listy.

Z fabryki usunięto go do kopalni, na roboty ogólne.

Wkrótce wojna się skończyła i łagrowy system jeszcze

bardziej się różnicował - Kipriejewa jako wyjątkowego

recydywistę oczekiwał specjalny, zaszyfrowany łagier.

Inżynier zachorował i trafił do centralnego szpitala dla

więźniów. Tutaj znalazło się zapotrzebowanie na jego

umiejętności - trzeba było skompletować i uruchomić

aparaturę rentgenowską, złożyć go ze staroci, z kalekich części.

Naczelnik szpitala, doktor Doktor, obiecał zwolnienie,

skrócenie wyroku. Inżynier Kipriejew niewiele wierzył

takim obietnicom, przecież był na „liście chorych” - a

zaliczenia czasu pracy dają tylko etatowym pracownikom

szpitala. Ale chciało się wierzyć w obietnicę naczelnika, a

gabinet rentgenowski - to nie kopalnia, to nie wyrobisko

złota.

Tutaj spotykaliśmy Hiroszimę.

Oto ona - bomba, to, czym zajmowaliśmy się w Charkowie.

Samobójstwo Forrestala. Potok telegramów z

wymyślaniami.

Czy ty wiesz, w czym rzecz? Dla zachodniego inteligenta

podjęcie decyzji zrzucenia bomby atomowej to sprawa

bardzo skomplikowana, bardzo ciężka.

Depresja

psychiczna, obłąkanie, samobójstwo - to jest cena, którą

płaci za taką decyzję zachodni inteligent. Nasz Forrestal na

pewno by nie zwariował.

Jak wielu porządnych ludzi spotykałeś w życiu? Takich prawdziwych, których by się chciało naśladować i służyć im.

Zaraz, niech sobie przypomnę: inżynierszkodnik Miller i jeszcze pięć osób.

To bardzo dużo.

Zgromadzenie Ogólne podpisało protokół o ludobójstwie.

Ludobójstwo? Z czym to się je?

Podpisaliśmy konwencję. Oczywiście trzydziesty siódmy rok - to nie ludobójstwo. To tępienie wrogów ludu. A więc można podpisać konwencję.

Reżim przykręca wszystkie śruby. Nie powinniśmy

milczeć. Tak jak w elementarzu: „My - to nie niewolnicy, a niewolnicy - to nie my . Powinniśmy coś zrobić,

udowodnić samym sobie.

Samemu sobie udowadnia się tylko własną głupotę. Życ i przeżyć - to nasze zadanie. I nie zawieść... Życie to

poważniejsza sprawa, niż ty myślisz.

Zwierciadła nie przechowują wspomnień. A to, co kryje się

w mej walizce, trudno nazwać lustrem - kawałek szkła, tak

jakby zmacona powierzchnia wody, zmacona i na zawsze

już brudna rzeka, pamiętająca coś
ważnego,

612

coś nieskończenie bardziej ważnego niż
to, co niesie
kryształowy strumień przezroczysty aż do
dna, otwarty.

Lustro zmętniało i niczego już nie
odbija. Ale kiedyś lustro
było lustrem, bezinteresownym prezentem,
który

przeniosłem przez dwa dziesięciolecia -
łagru, wolności

podobnej do łagru, i tego wszystkiego,
co było po

dwudziestym zjeździe partii. Lustro,
które mi podarowano,

to nie handlowe kalkulacje Kipriejewa,
to było to, co

zostało doświadczone, naukowo
doświadczone i ślad tego

doświadczenia połyskiwał w mroku
rentgenowskiego

gabinetu. Zrobiłem oprawę temu
zwierciadlanemu

odłamkowi. Właściwie nie zrobiłem, lecz
zamówiłem.

Ramka do tej pory jest cała, robił ją
jakiś stolarz, Łotysz,

chory-ozdrowieniec - za porcję chleba.
Wtedy mogłem już

dać porcję chleba za takie bardzo
osobiste, bardzo

lekkomyślne zamówienie.

Spoglądam na tę oprawę, toporną,
pomalowaną olejną farbą
do podłóg w szpitalu prowadzony był
wtedy remont i
stolarz wyprosił troszkę farby. Potem
ramkę polakierował,
ale już dawno temu lakier się wytarł. W
lustrze nic nie
widać, a kiedyś goliłem się przed nim w
Ojmjakonie i
wszyscy wolni mi zazdrościli.
Zazdrościli mi tak aż do
1953 roku, kiedy ktoś wolny i mądry
przysłał do osady
paczkę z lusterkami, z tanimi lusterkami.

I te maleństwa -
okrągłe i kwadratowe - były sprzedawane
po cenach
przypominających ceny żarówek. Mimo to
wszyscy
podejmowali z książeczek pieniądze i
kupowali. Lusterka
zostały rozsprzedane jednego dnia w
ciągu jednej godziny.
Wtedy już moje, własnej roboty lusterko
nie wywoływało
zazdrości u ludzi goszczących u mnie.
Mam to lusterko ze sobą. To nie jest
amulet. I nie wiem, czy
przynosi ono szczęście. Być może
lusterko przyciąga i
odbija promienie zła, nie dając mi
rozpłynąć się w ludzkim
strumieniu - w którym nikt oprócz mnie
nie zna Kołymy i

inżyniera Kipriejewa.

Kipriejewowi było wszystko jedno. Uczył się u niego jakiś kryminalista, prawie błatniak, trochę bardziej wykształcony recydywista, wzięty przez naczelnika do przyuczenia, który włączał i wyłączał dźwignie, zgłębiając tajniki rentgenowskiego gabinetu. Figurował pod nazwiskiem Rogow.

W tym względzie naczelstwo miało swoje niemało ważne zamiary - najmniej chodziło tu o błatniaka Rogowa. Ale Rogow został usadowiony Wraz z Kipriejewem w gabinecie rentgenowskim, a więc kontrolował go, śledził, donosił i, jako przyjaciel ludu, współpracował z państwem. Stale informował, uprzedzał o wszelakich rozmowach i wizytach. I jeżeli nie przeszkadzał, to w każdym razie donosił, strzegł.

To właśnie było głównym celem naczelstwa.

A przy tym

Kipriejew przygotowywał zmianę dla siebie - spośród niepolitycznych.

Jak tylko Rogow by się wyuczył - a był to zawód na całe

życie - to Kipriejewa posłaliby do Bierłagu,
zaszyfrowanego łagru dla recydywistów.
Kipriejew to rozumiał i nie zamierzał
przeciwstawiać się
losowi. Uczył Rogowa, nie myśląc o sobie.
Szczęście Kipriejewa polegało na tym, że
Rogow uczył się
źle. Jak każdy „nie-polityczny” wiedział
o najważniejszym
- że w żadnym przypadku naczałstwo o
tego rodzaju
ludziach nie zapomni - uczył się więc
niezbyt uważnie.
Ale godzina wybiła, Rogow oznajmił, że
może już
samodzielnie pracować, i Kipriejewa
odesłano do tego
zaszyfrowanego łagru. Jednak coś tam się
w
rentgenowskim agregacie popsuło i w
wyniku pewnych
działań lekarzy Kipriejewa ponownie
przysłano do szpitala.
Doświadczenie Kipriejewa z blendą odnosi
się właśnie do
tego okresu.
Słownik wyrazów obcych z 1964 roku tak
objaśnia słowo
„blenda”: 3) diafragma (przesłona z
dowolnie zmienianą
wielkością otworu), w fotografii,
mikroskopii i
rentgenoskopii.

W słowniku wyrazów obcych sprzed dwudziestu lat słowa „blenda” nie ma. To nowość okresu wojny - okazyjny wynalazek związany z mikroskopem elektronowym. Do rąk Kipriejewa trafiła wyrwana stronica czasopisma technicznego i blenda została zastosowana w gabinecie rentgenowskim w szpitalu dla więźniów na lewym brzegu Kołymy.

Blenda była dumą inżyniera Kipriejewa - stanowiła jego nadzieję. Słabą zresztą nadzieję. O blendzie poinformowano na konferencji lekarskiej oraz wysłano doniesienie do Magadanu i do Moskwy. Żadnej odpowiedzi.

- A lustro potrafisz zrobić? Oczywiście.

Duże. Coś na kształt trema. Dowolne. Byleby było srebro. A srebrne łyżki? Mogą być.

Wypisano ze składu grube szkło przeznaczone na stoły w gabinetach naczelników i przywieziono do gabinetu rentgenowskiego.

Pierwsza próba nie była udana i Kipriejew z wściekłością

rozbił lustro młotkiem.

Jeden z tych odłamków - to moje lustерko,
prezent

Kipriejewa.

614

Za drugim razem wszystko się udało i
naczalstwo

otrzymało z rąk Kipriejewa swoje
wymarzone tremo.

Naczelnik nie myślał nawet o tym, aby w
jakiś sposób

wyrazić wdzięczność Kipriejewowi. Po co?

Wykształcony

niewolnik i tak powinien być wdzięczny,
że trzyma się go

w szpitalu jako leżącego chorego.

Jeśliby blenda została

zauważona przez naczalstwo, to

podziękowano by za to -

nic więcej. Natomiast tremo - to

realność, a blenda - to coś

mitycznego, mglistego... Kipriejew w

zupełności zgadzał

się z naczelnikiem.

Nocami, zasypiając na swej pryczy w rogu
gabinetu

rentgenowskiego, doczekawszy się

odejścia kolejnej baby

od swojego ucznia i informatora,

Kipriejew nie chciał

jednak uwierzyć Kołymie ani samemu sobie.

Przecie

blenda to nie jest błahostka. To wyczyn
techniczny.

Niestety, ani w Moskwie, ani w Magadanie nie chciano

mieć nic wspólnego z blendą inżyniera Kipriejewa.

W łagrze nie odpowiadają na listy i nie lubią, aby o tym

przypominać. Pozostaje jedynie oczekiwanie. Na

przypadek, na jakieś ważne spotkanie.

Wszystko to szarpało nerwy - jeśli ta delikatna jak safian

materia mogła być jeszcze cała, mimo że rwana i targana.

Dla aresztanta nadzieja - to stałe

kajdany. Nadzieja zawsze

zniewala. Człowiek mający na coś

nadzieję zmienia swoje

zachowanie, częściej bywa nieszczerzy niż człowiek, który

jej nie ma. Dopóki inżynier czekał na

decyzję w sprawie tej

przeklętej blendy, to puszczał mimo uszu wszystkie żarciki,

którymi zabawiało się jego najbliższe naczalstwo, nie

mówiąc już o pomocniku, który oczekiwał swego dnia i tej

godziny, kiedy zostanie gospodarzem.

Rogow nauczył się

już robić lusterka - dochód, „napar” był zapewniony.

O blendzie wiedzieli wszyscy. I wszyscy żartowali z

Kipriejewa - w tej liczbie sekretarz partyjnej organizacji

szpitala, aptekarz Kruglak. Ten pucołowaty aptekarz to był niezły chłop, ale gorący, a co najważniejsze - nauczony, że więźniowie to zwykły motłoch. A ten Kipriejew... Aptekarz przyjechał do szpitala niedawno i nigdy nie słyszał tej historii związanej z regeneracją żarówek.

Nigdy nie pomyślał, ile trudu wymagało skompletowanie gabinetu rentgenowskiego w głuchej tajdze na Dalekiej Północy. Blenda wydawała się Kruglakowi chytrym wymysłem

Kipriejewa, pragnieniem „wciskania ciemnoty”, „ładowania tufty” - aptekarz już się nauczył tych słów.

W pokoju zabiegowym oddziału chirurgii Kruglak zwymyślał Kipriejewa. Inżynier schwycił taboret i zamachnął się nim na sekretarza organizacji partyjnej. Z miejsca wyrwano mu taboret i wprowadzono na salę. Kipriejewowi groziło rozstrzelanie. Lub też odesłanie do karnej kopalni, do zony specjalnej, co było jeszcze gorsze od rozstrzału. Kipriejew miał w szpitalu wielu przyjaciół, nie

tylko z powodu luster. Historia z żarówkami była dobrze znana, jeszcze całkiem świeża. Starano się mu pomóc. Ale w tym przypadku – pięćdziesiąt osiem punkt osiem – terror Udano się do naczelnika szpitala. Zrobiły to kobiety-lekarze. Naczelnik szpitala Winokurow nie lubił Kruglaka. Znał on i cenił inżyniera, czekał na rezultat zapytania w sprawie blendy, a co najważniejsze, był niezłym człowiekiem. Był on naczelnikiem, który nie wykorzystywał swej władzy dla czynienia zła. Kombinator i karierowicz Winokurow nie przysparzał ludziom dobra, ale też nie życzył nikomu zła. Dobrze, nie przekażę pełnomocnemu materiałów dla wszczęcia sprawy przeciwko Kipriejewowi tylko w jednym przypadku – powiedział Winokurow – jeżeli nie będzie raportu osoby poszkodowanej, Kruglaka. Jeżeli raport zostanie przekazany – sprawa się rozpocznie. Karna kopalnia – to minimum. Dziękuję. Z Kruglakiem rozmawiali mężczyźni, jego przyjaciele.

Czy ty nie rozumiesz, że rozstrzelają człowieka? Przecież on jest wyjęty spod prawa. Nie to co ja i ty.

Ale on podniósł rękę.

Ręki nie podniósł, nikt tego nie widział.

A ja, gdybym się z tobą kłócił, to już po drugim słowie dałbym ci po mordzie – bo wszędzie leziesz, do wszystkiego się czepiasz.

Kruglak, w istocie porządny chłop, zupełnie nieprzydatny dla kołymskich naczelników – poddał się namowom. Nie oddał raportu.

Kipriejew pozostał w szpitalu. Minał jeszcze miesiąc i do szpitala przyjechał generał major Dieriewjanko, zastępca dyrektora Dalstroju do spraw łagrów – będący dla więźniów najwyższym naczelnikiem.

Naczalstwo lubiło zatrzymywać się w szpitalu. Było tam dość miejsca dla wysokiego północnego naczalstwa, było gdzie wypić i zakąsić, było gdzie odpocząć.

Generał major Dieriewjanko, naciągnawszy biały fartuch, chodził z oddziału na oddział, dla rozgrzewki przed obiadem. Generał major był w różowym nastroju i

Winokurow zdecydował się zaryzykować.
Mam tutaj więźnia, który wykonał ważną
dla państwa
pracę.

Cóż to za praca?

Naczelnik szpitala jakoś tam wyjaśnił
generałowi

majorowi, co to takiego blenda.

616

_ Chcę przedstawić tego więźnia do
przedterminowego
zwolnienia.

Generał major zapytał o dane personalne
i otrzymawszy
odpowiedź,

coś tam pomruczał.

__ Słuchaj, co ci powiem, naczelniku -
powiedział w końcu

- blenda blenda, a ty lepiej odeślij
tego inżyniera...

Korniejewa...

__ Kipriejewa, towarzyszu naczelniku.

__ No właśnie, Kipriejewa. Odeślij go
tam, gdzie powinien
się znajdować zgodnie z danymi
personalnymi.

- Słucham, towarzyszu naczelniku.

po tygodniu Kipriejewa odesłano, a gdy
minął następny

tydzień, rozregulował się rentgen i

Kipriejewa ponownie

wezwano do szpitala.

Teraz nie było żartów - Winokurow
obawiał się, ażeby

gniew generała majora nie obruszył się na niego.

Naczelnik zarządu nie uwierzył, że rentgen się rozregulowuje. Kipriejew został wypisany na etap, ale zachorował i pozostał w szpitalu. Teraz nie mogło być już mowy o pracy w gabinecie rentgenowskim. Kipriejew rozumiał to dobrze.

Kipriejew cierpiał na zapalenie wyrostka sutkowatego - to wynik przechłódzenia głowy na łagrowej, kopalnianej pryczy. Operacja była życiową koniecznością. Nikt nie chciał jednak wierzyć ani temperaturze, ani oświadczeniom lekarzy. Winokurow szalał, żądał jak najszybszej operacji.

Najlepsi chirurdzy szpitala przygotowywali się do zrobienia jej Kipriejewowi. Chirurg Braude był nieomal specjalistą od zapaleń wyrostka sutkowatego. Na Kołymie jest więcej przeziębień, niż trzeba, i Braude był bardzo doświadczony w tym względzie, wykonał setki takich operacji. Ale on miał tylko asystować. Operację miała przeprowadzić doktor Nowikowa, wybitny otolaryngolog, uczennica Wołczeka,

który wiele lat przepracował w Dalstroju.

Nowikowa nigdy nie była więziona, ale już wiele lat przepracowała na północnych krańcach kraju. I nie o wielkie ruble tu chodziło, a o to, że na Dalekiej Północy Nowikowej wiele wybaczano. Nowikowa była nałogową alkoholiczką.

Utalentowana i mądra, przy tym piękna, błąkała się latami po Dalekiej Północy. Rozpocząła zawsze wspaniale, a potem przepadała na długie tygodnie. Nowikowa miała pięćdziesiąt lat. Nie było nikogo z wyższymi od niej kwalifikacjami. Teraz akurat była w alkoholowym transie, który się już kończył, i naczelnik szpitala zezwolił na zatrzymanie Kipriejewa na kilka dni.

W ciągu tych kilku dni Nowikowa stanęła na nogi. Ręce przestały jej się trząść i wspaniale przeprowadziła operację - pożegnalny, w pełni medyczny podarunek swojemu technikowi od aparatury rentgenowskiej. Asystował jej Braude i Kipriejewa położono w szpitalu. Kipriejew zrozumiał, że już nie może mieć więcej nadziei,

że nie pozostanie w szpitalu ani jednej dodatkowej godziny.

Czekał go ten zaszyfrowany łagier, gdzie do pracy wychodzono piątkami, łokieć przy łokciu, gdzie po trzydzieści psów otaczało kolumnę, kiedy pędzono więźniów.

W tej ostatniej beznadziei Kipriew pozostał sobą. Kiedy kierownik oddziału wypisał choremu po operacji wyrostka sutkowatego, więźniowi- -inżynierowi po poważnej operacji, specjalną, lepszą dietę - Kipriew odmówił, oświadczając, że w trzystuosobowym oddziale znajdują się ciężej niż on chorzy, mający większe prawo do specjalnej diety. I Kipriew odwieziono. Przez piętnaście lat szukałem inżyniera Kipriewego. Jego pamięci poświęciłem sztukę - zdecydowany sposób na ingerencję człowieka w życie pozagrobowe. To było mało napisać sztukę poświęconą jego pamięci. Trzeba było jeszcze trafu, żeby w mieszkaniu komunalnym, przy centralnej ulicy w Moskwie, gdzie mieszka moja dawna znajoma, zmieniła się sąsiadka. Na podstawie

ogłoszenia o zamianie.

Nowa sąsiadka, zawierająca znajomość z mieszkańcami, zauważyła przy wyjściu sztukę o Kipriejewie leżącą na stole; pokręciła ją w rękach. „Litery inicjałów są zgodne z inicjałami mojego znajomego. Tylko że on nie znajduje się na Kołymie, lecz w zupełnie innym miejscu”. Moja znajoma zadzwoniła do mnie. Nie chciałem o tym rozmawiać.

To pomyłka. A do tego bohaterem sztuki jest lekarz, a Kipriejew - to inżynier fizyk. - No, właśnie, inżynier fizyk. Ubrałem się i pojechałem do nowej lokatorki komunalnego mieszkania.

Los wyplata misterne wzory. Dlaczego? Dlaczego trzeba było tylu zbiegów okoliczności, ażeby zrządzenie losu wyrażone zostało tak przekonywająco? Za mało się wzajemnie szukamy i los bierze nasze życie w swoje ręce.

Inżynier Kipriejew pozostał przy życiu i mieszka na

Północy. Wszedł na wolność jeszcze dziesięć lat temu.

Zawieziono go do Moskwy i pracował w zamkniętych

łagrach. Po zwolnieniu powrócił na
Północ. Chce tam
pracować aż do emerytury.

618

Widziałem się z inżynierem Kipriejewem.
Uczonym ja już nie będę. A szeregowym
inżynierem - tak.

Powrócić wyzutym z praw, zacofanym,
kiedy wszyscy moi
koledzy z pracy i ze studiów są już
dawno laureatami?

Co za bzdura!

- Nie, to nie bzdura. Na Północy łatwiej
mi żyć. Łatwiej mi
będzie oddychać przed emeryturą.

LIDA

Łagrowy wyrok, ostatni łagrowy wyrok
Krista tajał.

Martwy, zimowy lód drażony był
wiosennymi

strumyczkami czasu. Krist nauczył się
nie zwracać uwagi

na zaliczenia roboczych dni - środek
niszczący wolę czło-

wieka, zdradzieckie widmo nadziei, które
demoralizuje

aresztanckie dusze. Ale bieg czasu
stawał się wciąż szybszy

- tak zawsze bywa pod koniec wyroku;
błogosławieni są

ci, którzy zwolnili się nagle,
przedterminowo.

Krist odganiał od siebie myśli o
wolności, o tym, co w

świecie Krista nazywa się wolnością.

Wychodzić na wolność - to bardzo trudna sprawa. Krist znał to z własnego doświadczenia. Wiedział, jak trzeba się na nowo uczyć życia, jak trudno wchodzić w świat istniejący w innych wymiarach, posiadający inne oceny moralne, jak trudno jest wskrzeszać pojęcia, które istniały w duszy człowieka przed jego aresztowaniem. Te pojęcia to nie były iluzje, lecz prawa innego, wcześniejszego świata. Zwalniać się było trudno - ale i radośnie - gdyż zawsze znajdowały się, unosiły z dna duszy siły, które zapewniały mu pewność zachowania, śmiałość postępków i twarde spojrzenie na świat, jutrzejszy własny dzień. Krist nie obawiał się życia, ale też wiedział, że igrzać z nim nie można, bo życie to poważna rzecz. Krist wiedział również coś innego - że wychodząc na wolność, zostaje na zawsze „oznakowanym”, na zawsze „napiętnowanym” - obiektem polowania dla psów gończych, które w każdej chwili władcy życia mogą spuścić ze smyczy.

Krist nie bał się jednak pogoni. Sił
było jeszcze wiele -
duchowych nawet więcej niż przedtem,
fizycznych -
mniej...

Łowy trzydziestego siódmego roku
zaprowadziły Krista do
więzienia, po nowy, zwiększony wyrok, a
kiedy i ten się
skończył, otrzymał następny - jeszcze
większy. Ale do
rozstrzału prowadziło jeszcze kilka
stopni, kilka szczebli tej
strasznej drabiny łączącej człowieka z
państwem.

620

Zwalniać się było niebezpiecznie. Na
każdego więźnia
kończącego wyrok zaczynało się w
ostatnim roku regularne
polowanie - czy przypadkiem nie na
rozkaz i według
opracowań Moskwy? - a przecież niby
„włos ci z głowy nie
spadnie" i tak dalej. Polowanie
składające się z prowokacji,
i donosów, przesłuchań. W uszach tych,
co czekali na
zwolnienie, rozbrzmiewały wciąż głośniej
i głośniej
dźwięki strasznej łagrowej orkiestry,
orkiestry-jazzu -
siedmiu dmucha, jeden stuka. Ton jej był
coraz bardziej

złowrogi i mało kto mógł z powodzeniem –
i
przypadkowo! – ominąć ten więcierz, ten
sak, niewód,
usiąść w łódź i wypłynąć na otwarte
morze, które dla
oswobadzających się nie miało punktów
orientacyjnych ani
bezpiecznych kursów, po którym ani dniem,
ani nocą
pływanie nie było bezpieczne.
Krist znał to wszystko, bardzo dobrze
pojął i wiedział,
wiedział od dawna i strzegł się, jak
tylko potrafił. Ale
ustrzec się nie było można.
Obecnie kończył się trzeci,
dziesięcioletni wyrok i trudno
by było obliczyć ilość aresztowań,
rozpoczętych spraw,
prób spowodowania nowego wyroku, które
skończyły się
na niczym dla Krista, co oznacza, że
były jego
zwycięstwem, jego sukcesem. I Krist ich
nie liczył. Liczyć
je w łagrze to zły znak.
Kiedyś tam Krist, będąc
dziewiętnastoletnim chłopcem,
otrzymał swój pierwszy wyrok. Duszę
Krista zawsze
ożywiała chęć samozaparcia, a nawet
ofiarności, pragnienie
robienia wszystkiego własnymi rękami, a
nie

komenderowania, i wszystko to istniało
razem z namiętym
uczuciem niepoddawania się cudzym
rozkazom, cudzym
poglądom, cudzej woli. Na dnie duszy
Krista czaiło się
zawsze pragnienie zmierzenia się siłami
z człowiekiem
siedzącym za stołem śledczego -
pochodziło ono z mło-
dzieńczych lektur i od ludzi, których
widział i o których
słyszał. Takich ludzi było w Rosji wielu,
przynajmniej w
Rosji żyjącej na kartach książek, w tym
niebezpiecznym
książkowym świecie.

We wszystkich kartotekach Związku
Sowieckiego
włączono Krista do ewidencji „ruchu” i
kiedy dano sygnał
do kolejnej nagonki, pojechał na Kołymę
ze śmiertelnym
piętnem „KRTD”. Liternik, literka,
posiadacz
najniebezpieczniejszej litery „T”. Na
kawałku cienkiej
papierosowej bibułki, wklejonej do „akt
personalnych
sprawy” Krista - „specjalna dyrektywa
Moskwy” na
kawałku cieniutkiego, przezroczystego
papieru; tekst jej
wydrukowany został ze szklanej płyty
bardzo niewyraźnie,

bardzo nieudolnie - być może też, że był
to jakiś dziesiąty
egzemplarz z maszyny do pisania.
Przypadkowo Kristowi
udało się mieć w ręku tę śmiercionośną
kartkę - nazwisko jego wpisane było
pewną ręką,
beztroskim, jasnym charakterem pisma
kancelisty, tak jakby
drukowany tekst był niepotrzebny temu,
kto pisze na ślepo,
nie patrząc, gdzie wpisze nazwisko,
utrwalając je
atramentem w odpowiednim wierszu. W
okresie uwięzienia
pozbawić telegraficznej łączności
pocztowej,
wykorzystywać jedynie do ciężkiej,
fizycznej pracy,
donosić o zachowaniu raz na kwartał.
„Dyrektywa specjalna” nakazywała zabić,
nie wypuszczać
żywym, i Krist to rozumiał. Nie było
tylko kiedy o tym
myśleć. I - nie chciało się myśleć.
Wszyscy „dyrektywowicze” wiedzieli, że
ten kawałeczek
papierosowej bibułki staje się
obowiązujący dla każdego
przyszłego naczalstwa - od konwojenta do
naczelnika
zarządu łagrów - aby śledzili, donosili,
przedsiębrali środki,
a jeśli jakikolwiek maleńki naczelnik
nie wykaże się

aktywnością w niszczeniu posiadaczy „dyrektyw specjalnych” - to doniosą na niego jego własni koledzy, jego współpracownicy. Spotka się również z dezaprobatą wyższego naczalstwa. I jeśli aktywnie nie będzie uczestniczyć w wypełnianiu moskiewskich nakazów - to w łagrze kariera jego jest beznadziejna. W oddziale zwiadu węglowego więźniów było mało. Buchalter oddziału, będący jednocześnie sekretarzem naczelnika, nie-polityczny, „pospoliciak” Iwan Bogdanow, rozmawiał z Kristem kilka razy. Była tam dobra robota - stróża. Stary Estończyk, dotychczasowy stróż, zmarł na serce. Krist marzył o tej pracy. I nie umieszczono go tam... Krist przeklinał. Słuchał go Iwan Bogdanow. Ty masz dyrektywę specjalną - powiedział. Wiem. Czy wiesz, jak to jest urządzone? Nie. „Akta personalne” są w dwu egzemplarzach. Jeden wędruje z człowiekiem, jako jego dowód osobisty, a drugi - „do przechowania w zarządzie łagrów”. Ten drugi jest

oczywiście niedostępny, ale nikt nigdy tam niczego nie sprawdza. Istota rzeczy leży w miejscowym karteluszk, w tym, który ci towarzyszy. Niedługo potem Bogdanowa gdzieś przenoszono. Przyszedł pożegnać się z Kristem wprost na miejsce pracy, do rozpoznawczego szurfu. Maleńkie ognisko-podkurzacz odganiało komary. Iwan Bogdanow siadł na skraju szurfu i wyjął zza pazuchy papierek, cienutki i wyblakły.

Jutro wyjeżdżam. Oto twoja „dyrektywa specjalna”.

622

Krist przeczytał i zapamiętał na zawsze. Iwan Bogdanow wziął papierek i spalił go nad ogniskiem, nie wypuszczając z rąk, dopóki nie wypaliła się ostatnia litera,

- Życzę ci...

Bądź zdrow.

Zmienił się naczelnik, zmienił się też sekretarz naczelnika -

Krist miał w życiu bardzo wielu naczelników.

W kopalni zaczął bardzo mocno się męczyć i wiedział, co to oznacza. Zwolniło się stanowisko obsługującego

wciągarkę. Ale Krist nie miał nigdy nic
wspólnego z
mechanizmami i nawet na radiolę
spoglądał niepewnie, bez
przekonania. Jednak Siemionow, błatniak,
który odchodził
z tej pracy do lepszej, uspokoił Krista.
Ale z ciebie „jeleń”, frajerze, to
wprost nie do wytrzymania.
Wy wszyscy, frajerzy, jesteście tacy.
Wszyscy. Czego się
boisz? Więzień nie powinien się bać
żadnych
mechanizmów. Właśnie tu trzeba się uczyć.
Żadnej
odpowiedzialności. Trzeba tylko trochę
śmiałości i to
wszystko. Łap się za dźwignie i nie
zatrzymuj mnie tutaj,
bo ucieknie mi szansa...
I jakkolwiek Krist wiedział, że
błatniacy to jedno, a frajer,
zwłaszcza frajer z biletem specjalnym
„KRTD”, to
zupełnie, zupełnie coś innego, jeżeli
mowa o
odpowiedzialności - ta pewność
Siemionowa jakoś mu się
udzieliła.
Dyspozytor był ten sam i spał na miejscu,
w kącie baraku.
Krist podszedł do niego.
Przecież ty masz dyrektywę specjalną.
Skąd mam o tym wiedzieć?

Ty to nie wiesz. Ale i ja, założmy, nie
widziałem twoich
„akt”. Spróbujemy.
W ten sposób Krist został operatorem
wciągarki, poruszał
dźwigniami windy elektrycznej, rozwijał
stalową linę,
opuszczał wagoniki w głąb kopalni.
Trochę odpoczął.
Miesiąc. A potem przyjechał jakiś „nie-
polityczny”
mechanik i Krist ponownie został
odesłany do kopalni,
popychał wagoniki, nasypywał węgiel i
rozmyślał nad tym,
że ten mechanik sam nie zechce pozostać
przy tej nijakiej
pracy operatora wciągarki, niedającej
żadnego „nawaru”, że
tylko dla takich literek jak Krist
kopalniana wciągarka - to
raj, i że kiedy ten „nie-polityczny”
mechanik odejdzie, to
Krist ponownie będzie poruszać te
błogosławione dźwignie
i włączać wciągarkę.
Ani jeden dzień z lagrowego okresu nie
został przez Krista
zapomniany.
Stąd, z kopalni, zawieziono go do zony
specjalnej, sędzono
i dano mu ten właśnie wyrok, który
dobiegał końca.
Krist zdołał ukończyć kurs felczerski i
pozostał przy życiu,

a co ważniejsze - zdobył niezależność,
co było bardzo
ważną cechą medycznej profesji na
Dalekiej Północy, w
łagrze. Obecnie Krist był kierownikiem
izby przyjęć
ogromnego, łagrowego szpitala.
Ale nie można było się ustrzec. Litera
„T” w specjalnym
bilecie Krista była cechą, piętnem,
znakiem szczególnym,
na podstawie którego szczerzo Krista
przez wiele lat, nie
wypuszczając go z lodowatych, złotych
wyróbisk przy
sześćdziesięciostopniowym, kołymskim
mrozie. Zabijając
ciężką pracą, ponad siły, sławioną jako
sprawa honoru,
sławy, dzielności i bohaterstwa,
zabijając rękami
naczelników, kolbami konwojentów,
kułakami
brygadzystów, kuksańcami fryzjerów,
łokciami kolegów...
Zabijając głodem - nędzą łagrowej
„zupki”.

Krist wiedział, widział i zaobserwował
nieskończenie wiele
razy, że żaden inny paragraf kodeksu
karnego nie jest tak
niebezpieczny dla państwa jak jego
specjalny bilet z literą
„T”. Ani zdrada ojczyzny, ani terror,
ani ten cały straszny

bukiet „punktów” pięćdziesiątego ósmego paragrafu.

Czteroliterowy bilet Krista oznaczał zwierzę, które należy zabić, które nakazano zabić.

Na kogoś takiego polował cały konwój wszystkich łagrów,

w przeszłości, obecnie i będzie tak robić w przyszłości -

żaden naczelnik w tym świecie nie chciałby okazać słabości

w tępieniu takiego „wroga ludu”.

Obecnie Krist jest felczerem dużego szpitala i prowadzi

wielką wojnę z błatniakami - z tym światem kryminalistów,

który państwo przywołało sobie na pomoc w trzydziestym

siódmym roku, ażeby zniszczyć Krista i jego kolegów.

W szpitalu Krist dużo pracował, nie szczczędząc sił ani czasu.

Wyższe naczalstwo, zgodnie ze stałym nakazem Moskwy,

nieraz wydawało polecenia, aby takich jak on usuwać z

pracy i wysyłać na roboty ogólne. Ale naczelnik szpitala

był starym kołymianinem i rozumiał, ile jest warta energia

takich ludzi jak Krist. Naczelnik doskonale wiedział, że

wkłada on wiele w swą pracę i będzie tak dalej czynić. A

Krist też wiedział, że naczelnik to rozumie.

I oto wyrok powoli topniał jak zimowy lód w kraju, gdzie nie ma wiosennych, ciepłych deszczy przeobrażających życie, lecz tylko powolna, niszcząca praca słońca, raz chłodnego, raz palącego. Wyrok tajał, w miarę jak lód ustępował. Koniec wyroku był bliski.

624

Trwoźna przyszłość zbliżała się do Krista. Cała będzie zatruta tą ważną notatką o karalności i paragrafie z literami „KRTD”. Ten zestaw liter zamknie mu drogę ku każdej przyszłości, w każdym miejscu w kraju, przy każdej pracy na całe życie. A litera „T” nie tylko pozbawi go dowodu osobistego, ale na zawsze nie pozwoli urządzić się w pracy, nie da mu wyjechać z Kołymy. Krist uważnie przyglądał się zwolnieniom tych nielicznych, którzy podobnie jak on dążyli do wyjścia na wolność, będąc w przeszłości napiętnowani literą „T” w swoim moskiewskim wyroku, w swoim łagrowym dowodzie-formularzu i w swoich „aktach personalnych”.

Krist usiłował przedstawić sobie rozmiary tej gnuśnej siły, która sterowała ludźmi, starał się ją trzeźwo ocenić.

W najlepszym przypadku zostanie, po odbyciu wyroku, na tej samej pracy, w tym samym miejscu. Nie wypuszczą go z Kołymy. Pozostawia w oczekiwaniu na pierwszy sygnał, na pierwszy głos rogu wzywający do szczucia...

Co robić? Najprościej ze wszystkiego, być może - sznur...

Wielu w taki sposób rozwiązywało ten właśnie problem.

Nie! Krist będzie walczyć do końca.

Walczyć jak zwierzę, walczyć tak, jak go uczono w czasie tej wieloletniej nagonki na człowieka, prowadzonej przez państwo.

Krist nie spał przez wiele nocy, rozmyślając o swoim prędkim, nieuniknionym zwolnieniu. Nie przeklinał, ale się obawiał. Poszukiwał właściwego rozwiązania.

Olśnienie przyszło, jak zawsze, niespodziewanie. Nagle, ale w następstwie straszego napięcia - napięcia nie umyślowego ani sił serca, lecz całego jestestwa Krista.

Przyszło tak, jak pojawiają się
najlepsze wiersze, najlepsze
linijki opowiadania. Myśli się nad nimi
nocą i dniem, i
przychodzi olśnienie jako radość z
właściwego słowa, jako
radość rozwiązania. Nie jest to jednak
radość nadziei - na
drodze Krista było zbyt wiele
rozczarowań, błędów i
ciosów.

Ale olśnienie nadeszło. Lida...
Krist pracował już długo w tym szpitalu.
Jego niezmiennie
oddanie sprawom szpitala, energia i
stałe wnikanie we
wszystko, co tego szpitala dotyczyło -
zawsze z myślą o
jego korzyści! - stworzyło więźniowi
Kristowi specjalną
pozycję. To nie felczer Krist był
kierownikiem izby przyjęć,
stanowisko to było dla wolnych. Nie
wiadomo, kto je
zajmował: wykaz etatów zawsze był
rebusem, co miesiąc
rozwiązywanym przez dwóch ludzi -
naczelnika szpitala i
głównego buchaltera. Przez całe swoje
świadome życie Krist lubił faktyczną
władzę, a nie
zaszczyty na pokaz. W działalności
pisarskiej Krista w
młodych latach - nie kusił go rozgłos
lecz uświadomienie

sobie własnej siły i umiejętności
napisania czegoś nowego,
własnego, czego nikt inny zrobić nie
może.

Prawnymi gospodarzami izby przyjęć byli
dyżurni lekarze,
ale w kolejności dyżurów było ich
trzydziestu, i ciągłość
nakazów, bieżącej łagrowej „polityki” i
innych praw
dotyczących świata więźniów i ich panów
przechowywała
jedynie pamięć Krista. Są to subtelne
problemy, nie dla
każdego dostępne. Ale wymagają uwagi i
właściwych
rozwiązań - dyżurni lekarze dobrze to
rozumieli.

Praktycznie decyzja o hospitalizacji
każdego chorego
należała do Krista. Lekarze wiedzieli o
tym, mieli nawet
bezpośrednie wskazówki naczelnika w tym
względzie -
oczywiście ustne. Przed dwoma laty
dyżurny lekarz-
więzień odprowadził Krista na bok...
Jest tutaj jedna dziewczyna.
Żadnych dziewczyn.
Poczekaj. Ja sam jej nie znam. Tu rzecz
jest w tym... - i
lekarz począł mu szeptać do ucha słowa
brutalne i
obrzydliwe. Rzecz polegała na tym, że
naczelnik łagrowej

instytucji, łagrowego oddziału,
prześladował swoją
sekretarkę i oczywiście „nie-polityczną”.
Jej łagrowego
męża dawno już zgnojono w karnej kopalni
na rozkaz
naczelnika. Ale żyć z naczelnikiem nie
zechciała. I właśnie
teraz, przejazdem - etap jedzie dalej -
czyni próbę dostania
się do szpitala, ażeby uniknąć
prześladowania. Z
centralnego szpitala chorych po
wyzdrowieniu nie odsyłają
z powrotem: poślą na inne miejsce. Być
może tam, gdzie jej
ręka naczelnika nie dosięgnie.
A, to tak - powiedział Krist. Ano,
dawaj tu tę dziewczynę.
- Ona jest tutaj. Wejdz, Lida!
Niewysoka, jasnowłosa dziewczyna stanęła
przed Kristem i
śmiało spotkała jego spojrzenie.
Ach, jak wiele ludzi przeszło przed
oczami Krista w jego
życiu. Ile tysięcy oczu pojał i
rozszyfrował. Krist mylił się
rzadko, bardzo rzadko. Dobrze -
powiedział. - Kładźcie ją
do szpitala. Naczelniczek, który
przywiózł Lidę, rzucił się
do szpitala - protestować. Ale dla
szpitalnych nadzorców
młodszy lejtnant - to niewielka szarża.
Nie wpuszczono

go do szpitala. Do pułkownika,
naczelnika szpitala - nie
dostał się, udało mu się tylko trafić do
majora - naczelnego
lekarza. Z trudem doczekał się przyjęcia
i zameldował, o co
chodzi. Naczelnicy poprosił lejtnanta, aby
ten nie pouczał
lekarzy w szpitalu, kto jest chory, a
kto nim nie jest. A poza
tym dlaczego interesuje go los jego
sekretarki.

626

Niech poprosi o inną w miejscowym łagrze.
Przyślą mu.
Słowem on lekarz naczelnicy, nie ma więcej
czasu.

Następny...!

Lejtnant, przeklinając, odjechał i znikł
na zawsze z życia

Lidy. Tak się zdarzyło, że Lida
pozostała w szpitalu,

pracowała na jakimś tam stanowisku w
biurze i była

członkiem kółka artystycznego. Krist nie
dowiedział się,

jaki miała paragraf - nigdy się nie
interesował, za co zostali

skazani ludzie, których spotykał w
łagrze.

Szpital był ogromny. Olbrzymi
dwupiętrowy budynek. Dwa

razy na dobę konwój przyprawdzał
„zmianę” obsługi z

łagrowej zony - lekarzy, siostry,
felczerów, sanitariuszy.

Obsługa bezszelestnie rozbierała się w
garderobie i tak

samo bezgłośnie rozplýwała się po
oddziałach szpitala, i

dopiero po przyjsciu na miejsce pracy,
zamieniała się w

Wasilija Fiodorowicza, Annę Nikołajewną,
Katię i Pietię,

Waškę i Żeńkę, „długiego" i „ospowata" -
w zależności od

stanowiska, czy to był lekarz, siostra,
szpitalny sanitariusz,

czy też ktoś z obsługi zewnętrznej
szpitala.

W związku ze swoją całodobową pracą
Krist nie chodził do

łagru. Czasami widywali się z Lidą i
uśmiechali do siebie.

Wszystko to było przed dwoma laty. W
szpitalu już

dwukrotnie zmienili się naczelnicy
wszystkich jego

„sekcji". Nikt już nie pamiętał, jak
położono Lidę do

szpitala. Pamiętał - tylko Krist.
Należało się dowiedzieć,

czy Lida o tym pamięta.
Decyzja została podjęta i w czasie

zebrania obsługi Krist
podszedł do Lidy.

Łagier nie lubi sentymentalizmu, nie
lubi długich i

niepotrzebnych wstępów i wyjaśnień, nie lubi różnego rodzaju „podejść”.

I Lida, i Krist byli starymi kołymianami. Słuchaj, Lido, ty pracujesz w dziale ewidencji?

Tak - powiedziała Lida. - Naczelnik sam też pisze na maszynie. Ale pisze marnie, niszczy blankiety. Wszystkie te dokumenty zawsze piszę ja sama. Wkrótce będziesz pisać dokumenty dla mnie.

- Gratuluję... Lida strzepnęła z fartucha Krista niewidoczny pyłek.

- Będziesz wpisywać, czy był karany uprzednio, tam przecież jest taka rubryka? Tak, jest.

Przepuść w słowie „KRTD” literę „T”.

Zrozumiałam - powiedziała Lida.

Jeżeli naczelnik zauważy, gdy będzie podpisywać - to uśmiechniesz się i powiesz, że pomyliłaś się. Że popsulaś blankiet...

627

- Wiem sama, co powiedzieć...

Obsługa ustawiła się już do wyjścia.

Minęły dwa tygodnie i Krista wezwano, wręczając mu

zaświadczenie o zwolnieniu, bez litery „T”.

Do oddziału wydającego dowody osobiste razem z Kristem

pojechało dwu znajomych inżynierów i lekarz, ażeby zobaczyć, jaki on otrzyma dowód. Czy może odmówią mu jako... Dokumenty oddawało się do okienka, odpowiedź po czterech godzinach. Krist zjadł obiad u znajomego lekarza bez żadnego zdenerwowania. We wszystkich takich przypadkach trzeba umieć się zmusić do obiadu, śniadania i kolacji.

Po czterech godzinach okienko wyrzuciło liliowy papierek rocznego dowodu osobistego.

Na rok? - spytał Krist ze zdumieniem, wkładając w to pytanie własny osobisty sens.

W okienku ukazała się wygolona twarz wojskowego.

Na rok. Nie mamy w tej chwili pięcioletnich blankietów.

Taki się dowód panu należy. Jeżeli pan chce, proszę

pozostać do jutra - przywiozą dowody, przepiszemy. A

może za rok pan go wymieni?

To ja już lepiej po roku go wymienię.

Oczywiście. - Okienko zatrzęsnęło się.

Znajomi Krista byli zdumieni. Jeden inżynier nazwał to

szczęśliwym przypadkiem dla Krista, inny widział w tym

dawno oczekiwane złagodzenie reżimu, tę pierwszą jaskółkę, która niezawodnie, na pewno przyniesie wiosnę.

A lekarz upatrywał w tym woli Bożej. Krist nie wyraził Lidzie ani jednego słowa wdzięczności.

Ona też tego nie oczekiwała. Za to się nie dziękuje.

Wdzięczność - to słowo nie na miejscu.

TĘTNIAK AORTY

Gienadij Piotrowicz Zajcew przejął dyżur o dziewiątej

rano, a już o pół do jedenastej przyszedł etap chorych -

kobiet. Pomiędzy nimi znajdowała się ta właśnie chora, o

której uprzedzał Gienadija Piotrowicza Podszywałow -

Jekatierina Głowacka. Ciemnoskóra, pełna, spodobala się

Gienadijowi Piotrowiczowi, bardzo się spodobala.

Ładna? - spytał felczer, gdy odprowadzono chore do łaźni.

Ładna...

To... - I felczer coś powiedział szeptem na ucho doktorowi

Zajcewowi.

To co, że Sieńki? - głośno powiedział Gienadij Piotrowicz.

Sieńki czy Wieńki, a próba nic nie kosztuje.

No to powodzenia. Życzę z całego serca!

Pod wieczór Gienadij Piotrowicz udał się na obchód szpitala. Dyżurni felczerzy, znając Zajcewowskie nawyki, nalewali do menzurek niezwykle mieszaniny z tinctura absenti i tinctura valeriani, a nawet likier „Błękitna noc”, czyli po prostu denaturat. Twarz Gienadija Piotrowicza stawała się coraz bardziej czerwona, a krótko ostrzyżone włosy nie ukrywały purpurowej łysiny dyżurnego lekarza. Do żeńskiego oddziału Zajcew dotarł o jedenastej wieczorem. Oddział był już zamknięty na żelazne zasuwę, aby uniknąć zamachu gwałcicieli - błatniaków z oddziałów męskich. W drzwiach znajdował się „judasz”, czyli „oczko”, oraz guzik dzwonka elektrycznego na wartownię, do pomieszczenia straży. Gienadij Piotrowicz zastukał, „oczko” mignęło i zabręczały zasuwę. Drzwi otworzyła nocna siostra dyżurna. Słabostki Gienadija Piotrowicza były jej doskonale znane, odnosiła się do nich z pobłażliwością, jaką ma jeden aresztant w stosunku do drugiego.

Gienadij Piotrowicz poszedł do zabiegówki i siostra podała mu menzurkę z „Błękitną nocą”. Wypił ją. - Zawołaj mi tę, z tych dzisiejszych... Głowacką.

629

Ale przecież... - Siostra z wyrzutem wskazała głową.

Nie twoja sprawa. Zawołaj ją tutaj...

Katia zastukała do drzwi i weszła.

Dyżurny lekarz zamknął drzwi na zasuwkę.

Katia

przysiadła na skraju kozetki. Gienadij Piotrowicz rozpiął jej

szlafrok, zsunął kołnierz i wyszeptał:

Powinienem cię osłuchać... twoje serce...

Twoja

kierowniczką prosiła... Ja po

francusku... bez stetoskopu...

Gienadij Piotrowicz przywarł owłosionym uchem do

ciepłej piersi Katii. Wszystko odbywało się tak, jak

dziesiątki razy przedtem, z innymi.

Twarz Gienadija

Piotrowicza spurpurowiała, słyszał tylko głucho uderzenia

własnego serca. Objął Katię. Nagle

usłyszał jakiś dziwny i

dobrze mu znajomy dźwięk. Wydawało się, że gdzieś obok

mruczy kot czy też szemrze górski

strumień. Gienadij

Piotrowicz w zbyt wielkim stopniu był

lekarzem - przecież

asystował kiedyś Pletniewowi.
Jego własne serce biło coraz wolniej,
coraz równiej.
Gienadij Piotrowicz wytarł spocone czoło
ręcznikiem i
zaczął osłuchiwać Katię od początku.
Poprosił ją, aby się
rozebrała, i ona to uczyniła,
zaniepokojona zmienionym
tonem i trwogą w jego oczach i głosie.
Gienadij Piotrowicz wsłuchiwał się
jeszcze raz, i jeszcze
raz - kocie mruczenie nie milkło.
Pochodził po pokoju i otworzył zasuwkę.
Nocna siostra
dyżurna, uśmiechając się
konfidencyjnie, weszła do
pokoju.
Proszę mi dać historię choroby tej
chorej - powiedział
Gienadij Piotrowicz. - I proszę ją
odprowadzić. Proszę mi
wybaczyć, Katiu.
Gienadij Piotrowicz wziął teczkę z
historią choroby
Głowackiej i usiadł przy stole.
- Widzi pan, Wasiliju Kalynczu - mówił
na drugi dzień z
rana naczelnik szpitala do nowego
sekretarza organizacji
partyjnej - pan jest młodym kołymianinem
i nie zna pan
wszystkich podłogi panów katorżników.
Proszę

przeczytać, co dzisiaj machnął lekarz
dyżurny. Oto raport

Zajcewa.

Sekretarz podszedł do okna i odsunawszy
firankę, złowił na
papier trochę światła rozpraszanego
przez gruby lód za
oknem.

No więc?

To, zdaje się, bardzo niebezpieczne...

Naczelnik zarechotał.

630

Mnie - powiedział dumnie - mnie pan
Podszywałow nic
nabierze.

Podszywałow był więźniem, kierownikiem
amatorskiego

kółka „pańszczyźnianego teatru”, jak
żartował sobie
naczelnik . .

Na co?

A oto na co, mój drogi Wasiliju

Kalinyczu. Ta dziewczucha -

Głowacka - była w kultbrygadzie. Artyści
przecież, wie

pan, korzystają z pewnych swobód. Ona
jest babą

Podszywałowa.

To tak...

Samo się przez się rozumie, że jak tylko
to ujawniono -

szurnęliśmy ją z brygady do kobiecej,
karnej kopalni. Jeśli

chodzi o takie sprawy, Wasiliju

Kalinyczu, to my

rozłączamy kochanków. Który z nich jest bardziej

potrzebny i coś znaczy - zostawiamy u siebie, a tego

drugiego - do karnej kopalni...

To nie jest zbyt sprawiedliwe.

Należałoby oboje...

Wcale nie. Przecież celem jest

rozdzielenie. Ten, który

przynosi korzyść, pozostaje w szpitalu.

I wilk syty, i koza

cała.

Tak, tak...

Proszę słuchać dalej. Głowacka pojechała do karnego łagru,

a po miesiącu przywożą ją blada, chorą - one przecież

wiedzą, jakiego blekotu się nałykać - i kładą do szpitala. Z

rana dowiaduję się o tym i każę wypisać ją do diabła.

Odwożą ją. A po trzech dniach przywożą znowu. I tu mi

powiedzieli, że ona - to wielka mistrzyni w wyszywaniu,

przecież one wszystkie z Zachodniej Ukrainy to mistrzynie.

Moja żona poprosiła, aby na mały tydzień położyć

Głowacką - żona przygotowuje na moje urodziny jakąś

niespodziankę, jakiś haft czy co, sam nie wiem... Słowem,

wzywam Podszywałowa i mówię mu: Jeżeli dasz mi słowo,

że nie będziesz próbował zobaczyć się z Głowacką - to

położę ją na tydzień. Podszyczałow zaklina się i dziękuje.

No i co? Widzieli się?

Nie, nie widzieli się. Ale teraz on działa przez podstawione osoby. Na przykład Zajcew - nie można powiedzieć, niezły

lekarz. W przeszłości nawet sławny.

Teraz nalega, napisał

raport: „Głowacka ma tętniak aorty”. A

wszyscy znajdowali

u niej nerwicę serca, stenokardię. Z

karnego przysyłali na

chorobę serca, z fałszywym orzeczeniem - nasi lekarze od

razu to ujawnili. Zajcew, jeśli chcesz wiedzieć, pisze, że

„każde nieostrożne poruszenie Głowackiej może

spowodować śmiertelne zejście”. Widzisz, jak ładują!

- Tak - powiedział sekretarz - ale

przecież są jeszcze inni

interniści, można dać innym zbadać.

631

Innym internistom naczelnik dawał

Głowacką do zbadania

już wcześniej, przed raportem Zajcewa.

Wszyscy

posłusznie uznali ją za zdrową.

Naczelnik rozkazał, aby ją

wypisano.

Do gabinetu ktoś zastukał, wszedł Zajcew.

Pan chociaż przygładziłby włosy, zanim wejdzie do naczelnika.

Dobrze - powiedział Zajcew, poprawiając włosy. - Ja do pana, obywatelu naczelniku, w ważnej sprawie: odsyłają Głowacką. Ona ma tętniak aorty, ciężki przypadek. Każdy ruch...

Won stąd! - wrzasnął naczelnik. - Do czego oni już doszli, łajdacy. W gabinecie się już zjawiają. Katia zebrała swoje rzeczy po tradycyjnym niespiesznym przeszukaniu, włożyła do worka i stanęła w szeregach etapu. Konwojent wywołał jej nazwisko, zrobiła kilka kroków - i ogromne szpitalne drzwi wypchnęły ją na zewnątrz. Przy szpitalnym ganku stała ciężarówka przykryta brezentem. Stojąca w skrzyni ciężarówki siostra medyczna wyciągnęła do Katii rękę. Z gęstej, mroźnej mgły wyszedł Podszywałow. Pomachał do niej rękawicą. Katia uśmiechnęła się do niego spokojnie i wesoło, wyciągnęła do siostry rękę i wskoczyła do samochodu. Natychmiast zrobiło jej się gorąco w piersiach, zaczęło piec

i tracąc przytomność, zobaczyła po raz ostatni zmienioną od strachu twarz Podszywałowa i oblodzone okna szpitala. Zanieście ją do izby przyjęć - zarządził dyżurny lekarz. Słuszniej by było zanieść do kostnicy - powiedział Zajcew.

KAWAŁEK MIĘSA

Tak, Gołubiew złożył tę krwawą ofiarę. Kawalek mięsa wycięty z jego ciała i rzucony pod nogi wszechmocnemu bóstwu łagrów. Żeby przebłagać boga. Przebłagać czy oszukać? Życie powtarza Szekspirowskie tematy częściej, niż nam się wydaje. Czy lady Makbet, Ryszard III, król Klaudiusz - istnieją tylko w dali średniowiecza? Czy Shylock, który chciał wyciąć z ciała weneckiego kupca funt żywego, ludzkiego mięsa - to tylko bajka? Oczywiście wyrostek robaczkowy ślepej kiszki jest organem szczątkowym, ważącym mniej niż funt. Oczywiście, że krwawa ofiara składana była z zachowaniem pełnej sterylności. A jednak... Szczątkowy organ wcale się takim nie okazał, lecz potrzebnym, aktywnym, ratującym życie...

Koniec roku napełnia strachem życie więźniów. Tych wszystkich, którzy nie są zbyt pewni swego miejsca (a kto z aresztantów może być pewien, że trzyma się go mocno?), oczywiście tych z pięćdziesiątym ósmym paragrafem, którzy po wieloletniej pracy w wyrobisku, w chłodzie i głodzie, wywojowali sobie iluzoryczne, niepewne szczęście kilkumiesięcznej, kilkutygodniowej pracy w swoim zawodzie lub jako jakikolwiek „prydurek” - buchalter, felczer, lekarz, laborant; wszystkich, którzy wybili się na stanowiska zastrzeżone dla wolnych (a tych z wolnego najmu brak) lub dla „nie-politycznych” (ci zaś, karani za przestępstwa pospolite, niewiele sobie cenią te „uprzywilejowane” prace lub - mogąc się zawsze urządzić na taką robotę - zajmują się pijaństwem albo czymś jeszcze gorszym). Na etatowych stanowiskach pracują ci z pięćdziesiątym ósmym. I pracują dobrze. Doskonale. Ale bez żadnej nadziei. Gdyż wiedzą, że przyjedzie komisja i usunie z

pracy, a naczelnikowi da nagane.
Naczelnik zaś, nie chcąc
psuć sobie stosunków z tą wysoką komisją,
zawczasu po-
usuwa wszystkich, którzy nie powinni
zajmować tych
uprzewilejowanych stanowisk.
Dobry naczelnik oczekuje przyjazdu
komisji; niech komisja
sama popracuje - kogo jej się uda usunąć,
to zrobi to i
zabierze tych ludzi.

633

To niedługa sprawa. A kogo nie usunie,
ten pozostanie, i
pozostanie na długo - na rok, aż do
przyszłego grudnia.
Trochę głębszy naczelnik sam usunie, nie
czekając na
przyjazd komisji
ażeby zameldować, że wszystko w porządku.
Ten zaś najgorszy i najmniej
doświadczony, uczciwie
wykonując rozkazy wysokiego naczalstwa,
nie dopuszcza
pięćdziesiątego ósmego paragrafu do
żadnych prac, oprócz
kilofu i taczki, piły i topora. U takich
naczelników sprawy
się mają najgorzej. Zostają szybko
zwalniani z pracy.
Te właśnie najazdy - naloty komisji -
bywają zawsze pod
koniec roku; wysokie naczalstwo ma
własne niedoróbki w

zakresie kontroli i pod koniec roku stara się je nadrobić. I wysyła komisje. A są też tacy, co jada sami. Osobiście. I delegacja leci, i „punkty” nie zostały pozostawione bez osobistego nadzoru - jest przecież miejsce, aby postawić „ptaszka”, że coś zostało wykonane, a również okazja, aby rozprostować kości, przejechać się, a przy tym pokazać siłę swego charakteru, całą swą wielkość. Wszyscy o tym wiedzą, i więźniowie, i naczelnicy - od najniższych do tych najwyższych, z dużymi gwiazdami na naramiennikach. Nie jest to nowa zabawa, to dobrze znany obrzęd. A jednak denerwujący, niebezpieczny i nie do uniknięcia.

Ten grudniowy przyjazd może dokonać „przełomu” w losie wielu i szybko doprowadzić do grobu wczorajszych szczęśliwców.

Po takich przyjazdach nie bywa w łagrze żadnych zmian na lepsze dla nikogo. Więźniowie, a zwłaszcza ci z pięćdziesiątym ósmym paragrafem, niczego dobrego od tych przyjazdów nie oczekują. Jedynie czegoś złego.

Jeszcze wczoraj wieczorem rozpełzły się
słuchy, łagrowa
„panika”, te właśnie „parasze”, które
się zawsze
sprawdzają. Podobno przyjechało jakieś
naczalstwo z
całym samochodem „wojaków” i z
więziennym autobusem,
„czarnym krukiem”, ażeby zawieźć swą
zdobycz do łagrów
dla katorżan. Zakrzętnęli się miejscowi
naczelnicy, wielcy
stali się małymi w obliczu panów życia i
śmierci - jakichś
kapitanów, majorów i podpułkowników.
Podpułkownik
skrywał się gdzieś tam w głębinie
gabinetów, a kapitanowie
i majorzy biegali na zewnątrz z jakimiś
listami, a na tych
listach na pewno było nazwisko Gołubiewa.
On to czuł,
wiedział o tym. Ale jeszcze niczego nie
ogłaszano, nikogo
nie wywoływano. Jeszcze nikogo w zonie
nie „spisywano”.
Przed półtora rokiem, w czasie kolejnego
przyjazdu do
osady „czarnego kruka”, kolejnego
polowania na ludzi,
Gołubiew, który nie znajdował się wtedy
na liście, stał obok
wartowni z więźniem-chirurgiem. Chirurg

pracował w szpitalu nie tylko w swojej
specjalności, ale
leczył też wszystkie choroby.
Kolejną partię pojmanych, złowionych,
ujawnionych
aresztantów wpychano do „czarnego kruka”.

Chirurg żegnał
się ze swym przyjacielem - zabierano
go...

A Gołubiew stał obok chirurga. I kiedy
ciężarówka
potoczyła się, wzbijając obłok kurzu, i
skryła w górskim
wąwozie, chirurg, spoglądając
Gołubiewowi w oczy, tak
powiedział o swym jadącym na śmierć
przyjacielu:

Sam sobie winien. Ostry atak ślepej
kiszki - i pozostałby
tutaj.

Gołubiew dobrze zapamiętał te słowa.

Zapamiętał nie tyle
samą myśl,

co zostało powiedziane, ile to, co
pozostało w oczach:

twarde spojrzenie chirurga i samochód w
obłoku kurzu...

Dyspozytor cię szuka. - Ktoś tam odbiegł
i Gołubiew

dojrzał w tym momencie dyspozytora.

Zbieraj się!

W rękach dyspozytora widniały papiery -
lista. Lista była
niewielka.

Zaraz - powiedział Gołubiew.

Przyjdiesz na wartownię.
Ale Gołubiew nie poszedł na wartownię.
Trzymając się
obiema rękami za prawą część brzucha,
zastękał i
pokuszywał w kierunku ambulatorium.
Na ganek wyszedł chirurg, ten sam
chirurg, w którego
oczach coś się pojawiło, jakieś dawne
wspomnienie. Być
może pylisty obłok skrywający samochód,
który na zawsze
wywoził przyjaciela chirurga.
Badanie nie trwało długo.
Do szpitala. I proszę wezwać siostrę
operacyjną. A jako
asystenta - lekarza z osady dla wolnych.
Niezwłoczna
operacja.
W szpitalu, odległym od zony o dwa
kilometry, Gołubiewa
rozebrano, umyto i wpisano do ewidencji.
Dwaj sanitariusze wprowadzili go i
posadzili na stole
operacyjnym. Następnie przywiązali
parcianymi pasami.
Zaraz będzie zastrzyk - usłyszał głos
chirurga. - Ale ty,
zdaje się, jesteś odważny chłopak.
Gołubiew milczał.
- Odpowiadaj! Siostro, proszę rozmawiać
z chorym. Boli? |
Boli.
- Tak zawsze bywa z miejscowym
znieczuleniem -

Gołubiew posły-
szał głos chirurga, który coś tam
objaśniał asystentowi. - To
tylko z nazwy znieczulenie. Oto on...
Wytrzymaj jeszcze trochę!
Gołubiew szarpnął się całym ciałem od
ostrego bólu, ale
ból natychmiast stracił na ostrości.
Chirurdzy coś tam
zaczęli mówić jeden przez drugiego,
wesoło i głośno.
Operacja zbliżała się do końca.
No, i usunęliśmy ci twój wyrostek.
Siostró, proszę choremu
pokazać jego mięso. Widzisz?
Siostra zbliżyła do twarzy Gołubiewa
wężykowaty kawałek
kiszki wielkości połowy ołówka.
Instrukcja wymaga, żeby choremu pokazać,
że krojono go
nie na darmo, że wyrostek został
rzeczywiście usunięty -
to chirurg objaśniał swojemu wolnemu
asystentowi. - Oto
i mała praktyka dla pana.
Jestem panu bardzo wdzięczny - powiedział
wolny lekarz -
za lekcję.
Za lekcję humanitaryzmu i lekcję miłości
bliźniego -
niezupełnie jasno wyraził się chirurg,
zdejmując
rękawiczki.
Jeśli coś się takiego przydarzy, proszę
mnie koniecznie

wezwać - powiedział wolny lekarz.
Jeśli coś takiego, to na pewno wezwę -
powiedział
chirurg. Sanitariusze, rekonwalescenci
spośród chorych,
ubrani w wyreperowane białe fartuchy,
wnieśli Gołubiewa
do szpitalnej izby. Było to maleńkie
pomieszczenie
przeznaczone dla chorych po operacji,
ale w szpitalu nie-
wiele było operacji i leżeli tam zwykli
chorzy.
Gołubiew leżał na plecach, ostrożnie
dotykając opatrunku,
który go omotywał podobnie do biodrowej
przepaski
indyjskich fakirów czy jakichś tam jogów.
Takie rysunki
widywał w czasopiśmie w czasach swojego
dzieciństwa, a
potem prawie przez całe życie już nie
wiedział, czy są w
rzeczywistości tacy fakirzy i jogowie,
czy też nie. Ale ta
myśl o jogach prześliznęła się przez
mózg i znikła.
Napięcie woli i nerwowy wstrząs
zmniejszyły się, a całe
ciało Gołubiewa wypełniało przyjemne
uczucie
spełnionego obowiązku. W każdej komórce
jego ciała coś
śpiewało jakąś miłą piosenkę. Na razie
Gołubiew uratował

się przed wysłaniem w nieznaną
czekającej go katorgi. Ale
to tylko odroczenie. Ile dni zabliźnia
się rana? Siedem,
osiem. Oznacza to ponowne
niebezpieczeństwo po dwu
tygodniach. Dwa tygodnie - to okres
bardzo długi,
tysiącletni, wystarczający do tego, aby
być przygotowanym
na nową próbę. Przecież czas gojenia się
rany - te siedem,
osiem podręcznikowych dni, to „pierwszy
rychłozrost”, jak
powiedziałiby lekarze. A jeśli rana
zacznie ropyć? Jeżeli
nalepka zakrywająca ranę
636

przedwcześnie odejdzie od skóry?
Gołubiew ostrożnie
wymacał nalepkę, ,podsychającą, już
stwardniałą merłę,
przesyconą gumą arabską. Wymacał poprzez
bandaż. Jak...

Jest to zapasowe wyjście, rezerwujące
jeszcze kilka dni a
być może i miesiąc. Jeżeli zajdzie
potrzeba.

Gołubiew wspomniał wielką kopalnianą
izbę chorych, w
której leżał przed rokiem. Tam prawie
wszyscy chorzy
odwiązywali swoje bandaże, wprowadzali
tam zbawienny

brud - wprost z podłogi, rozdrapywali i rozjątrzali rany.

Wtedy te opatrunki robione nocą wywoływały w Gołubiewie - był on nowicjuszem - zdziwienie, prawie pogardę. Przeszedł jednak rok i nastroje chorych stały się teraz zrozumiałe dla Gołubiewa, będąc nieomal

przedmiotem jego zazdrości. Mógł teraz skorzystać z ówczesnego doświadczenia.

Gołubiew zasnął i obudził się od tego, że czyjaś ręka odgięła nasunięty na twarz koc (Gołubiew zawsze spał na sposób łagrowy, starając się przede wszystkim chronić głowę w ciepło). Pochyliła się nad nim czyjaś bardzo piękna twarz, z wąsikami i podstrzyżoną modnie fryzurą.

Jednym słowem, była to głowa zupełnie niearesztancka i otworzywszy oczy, Gołubiew pomyślał, że to - wspomnienie, jakby o jogach, albo sen, być może straszny, a być może nie.

- Frajeruga - wychrypiał z rozczarowaniem człowiek, zakrywając kocem twarz Gołubiewa. - Frajeruga. Nie ma tu ludzi.

Gołubiew odgiął z powrotem koc swoimi
bezsilnymi
palcami i spojrział na niego. Człowiek
ten znał Gołubiewa i
Gołubiew też go znał. Na pewno. Ale nie
trzeba, nie trzeba
się spieszyć z rozpoznaniem. Trzeba
sobie dobrze
przypomnieć. Wszystko przypomnieć. I
Gołubiew
przypomniał sobie. Tym człowiekiem
ostrzyżonym pod
boks był... Oto przy oknie człowiek
zdejmuje koszulę i
zaraz Gołubiew zobaczy na jego piersi
kłębek splecionych
źmij... Człowiek obrócił się i kłębek
źmij rzeczywiście
pojawił się przed oczami Gołubiewa. Był
to Kononienko,
błatniak, z którym przed kilkoma
miesiącami Gołubiew był
na punkcie tranzytowym. Ważny błatniak z
wieloma
wyrokami za zabójstwa, już kilka lat
„przyhamowywał się”
w dużych więzieniach śledczych. Jak
tylko nadchodził czas
wypisania go na etap, Kononienko zabijał
na punkcie
tranzytowym kogokolwiek, wszystko jedno
kogo - dusił
ręcznikiem jakiegokolwiek „fajera”.
Ulubionym jego

narzędziem był ręcznik, państwowy
ręcznik, stanowiący
jego autorski znak. Oczywiście
aresztowano go,
rozpoczynano nową sprawę, ponownie
sądzono i dodawano
nowy dwudziestoletni wyrok do wielu
setek lat, które
znajdowały się na jego rachunku. Po
zasądzeniu Kono-
nienko starał się trafić do szpitala, na
„odpoczynek”, a
potem ponownie zabijał i wszystko
rozpoczynało się od
nowa. Rozstrzeliwanie białych zostało
wówczas
zniesione. Rozstrzeliwać można było
tylko „wrogów ludu”,
według pięćdziesiątego ósmego.
Teraz Kononienko znajduje się w szpitalu,
rozmyślał
spokojnie Gołubiew, i każda komórka jego
ciała tętniła
radością, niczego się nie obawiając,
wierząc w powodzenie.
Teraz Kononienko jest w szpitalu.
Przechodzi „szpitalną
fazę” swoich złowieszczych przemian.
Jutro, a być może
pojutrze nastąpi, zgodnie z jego
programem, kolejne
zabójstwo. Czy nie są przypadkiem
nadaremne wszystkie
starania Gołubiewa - operacja, szalone
natężenie woli? Na

przykład jego, Gołubiewa, Kononienko
udusi jako swą
kolejną ofiarę. Być może nie należało
uchylać się od
odesłania do łagru dla katorżan, gdzie
miałbyś asa
karowego i sześciocyfrowy numer na
plecach, gdzie dają
pasiastą odzież? Ale za to tam nie bija,
nie rozkradają
„tłuszczu”. Za to nie ma tam tych
licznych Kononienków.
Łóżko Gołubiewa znajdowało się przy
oknie. Naprzeciw
niego leżał Kononienko. A przy drzwiach,
z nogami
skierowanymi do nóg Kononienki, leżał
trzeci i twarz tego
trzeciego Gołubiew dobrze widział, nie
trzeba było się
obracać, aby ją zobaczyć. Tego chorego
Gołubiew również
znał. Był to Podosienow, wieczny
mieszkaniec szpitala.
Otworzyły się drzwi, wszedł felczer z
lekarstwami.
Kazakow! – krzyknął.
Jestem – odkrzyknął, wstając, Kononienko.
Do ciebie gryps. – Felczer przekazał
złożony kilkakrotnie
papiererek.
Kazakow? – kotłowało się bez przerwy w
mózgu
Gołubiewa. Przecież

to nie Kazakow, a Kononienko, „suchar”,
jak mówią
błatniacy o skrywających się pod cudzym
nazwiskiem; i
pod jego nazwiskiem, Kazakowa, z jego
paragrafami, jako
„zmiennik”, został on położony do tego
szpitala. To jeszcze
gorsze, jeszcze bardziej niebezpieczne.
Gdyby Kononienko
był tylko Kononienką - to jego ofiarą
mógłby być
Gołubiew, ale nie tylko. Tu jeszcze
byłby wybór,
przypadek, możliwość ratunku. Ale jeśli
Kononienko jest
Kazakowem - to dla Gołubiewa nie ma
ratunku. Jeżeli tylko
Kononienko zacznie coś podejrzewać -
Gołubiew umrze.
Ty co, spotykałeś mnie przedtem? Co tak
na mnie patrzysz,
jak boa dusiciel na królika. Lub jak
królik na dusiciela? Jak
to się prawidłowo mówi po waszemu, po
uczonemu? -
Kononienko siedział na taborecie koło
łóżka Gołubiewa i
darł papierek-gryps swoimi twardymi
dużymi palcami,
rozzucając jego strzępy po kocu
Gołubiewa.

638

Nie, nie spotykałem - wychrypiał
Gołubiew, bledniejąc.

No i dobrze, żeś nie spotykał -
powiedział Kononienko,
zdejmując ręcznik z gwoździa wbitego nad
łóżkiem do
ściany i potrząsając nim przed warzą
Gołubiewa. - Jeszcze
wczoraj zbierałem się do uduszenia tego
doktora". - Kiwnął
głową w kierunku Podosienowa, na którego
twarzy
pojawiło się bezgraniczne przerażenie. -
Co ten łajdak robi
- mówił wesoło Kononienko, wskazując
ręcznikiem w
kierunku Podosienowa. - Do moczu - o tam
stoi słoik pod
łóżkiem - dodaje własną krew... Zadrapie
palec i krople
krwi dodaje
do moczu. Uczony. Nie gorszy niż lekarz.
Wniosek z
analizy laboratoryjnej - krew w moczu. I
nasz „doktor”
pozostaje. No, powiedz, czy godzi się,
żeby taki człowiek
żył na świecie?
Nie wiem.
Nie wiesz? Wiesz. Wczoraj ciebie
przynieśli. Byłeś ze mną
na tranzytowym, może nie? Zanim mnie
wówczas sądzono.
Wtedy byłem jako Kononienko.
Na oczy cię nie widziałem - powiedział
Gołubiew.

Nieprawda, widziałeś. Więc się
zdecydowałem. Zamiast
„doktora” - ciebie zrobię na czysto. Cóż
on jest winien? -

Kononienko wskazał na bladą twarz
Podosienowa, do
której wolno, wolniutko napływała,
powracając, krew.

Cóż on winien? Ratuje swoje życie. Tak
jak ty lub na
przykład ja...

Kononienko chodził po izbie, przesypując
z dłoni do dłoni
papierowe
strzępy otrzymanej kartki.

I „zrobiłbym” ciebie, odesłał na Księżyc
bez drgnienia ręki.

Ale oto felczer przyniósł gryps,
rozumiesz... Muszę się stąd
szybko wydostać. Suki rzną naszych na
kopalni.

Wszystkich złodziei znajdujących się w
szpitalu wezwano
„na pomoc”. Ty nie znasz takiego życia...

Jesteś frajeruga!

Gołubiew milczał. On znał to życie.

Oczywiście jako
„frajer”, z boku.

Po obiedzie Kononienko został wypisany i
na zawsze

zniknął z życia

Gołubiewa.

Dopóki trzecie łóżko stało puste,
Podosienow zdążył

przeleźć na skraj łóżka Gołubiewa,
usiadł mu w nogach i
zaszeptał:

Kazakow na pewno nas udusi, obu. Trzeba
powiedzieć
naczalstwu.

Odczep się, taka twoja mać - powiedział
Gołubiew.

MÓJ PROCES

Brygadę naszą odwiedził sam FIODOROW.

Jak zwykle w
czasie zbliżania się naczalstwa, kółka
taczek poczęły się
szybciej obracać, a kilofy zadzwięczały
rażniej i głośniej.
Niewiele zresztą szybciej i niewiele
głośniej - tutaj
pracowali starzy łagiernicy, stare
łagrowe wilki - gwizdali
na każde naczalstwo, a przy tym nie było
sił.

Przyspieszenie tempa pracy było
tchórzliwą daniną złożoną
na ołtarzu tradycji, a może też przez
wzgląd na brygadzistę
- jeśli brygada zaprzestałaby pracować,
to zostałyby on
obwiniony o znowę, usunięty z pracy i
osadzony. Bezsilne
pragnienie znalezienia powodu do
odpoczynku byłoby
odebrane jako demonstracja, jako protest!

Kółka taczek
obracały się szybciej, ale bardziej z
uprzejmości niż ze

strachu.

FIODOROW, którego nazwisko powtarzały
dziesiątki
warg, spalonych i popękanych od wiatru i
głodu, był
pełnomocnym rejonowego oddziału NKWD w
kopalni.

Właśnie zbliżał się do wyrobiska, gdzie
pracowała nasza
brygada.

Mało jest widowisk posiadających taką
siłę wyrazu jak
zestawienie obok siebie ociążonych od
tłuszczu figur
łagrowego naczalstwa o czerwonych od
spirytusu gębach,
rozkarmionych, masywnych, odzianych w
błyszczące na
słońcu nowiutkie, śmierdzące, baranie
półkożuszki,
futrzane jakuckie czapy z nausznikami i
wzorzyste
rękawice-,, kragi" - z postaciami
„dochodiagów”,
oberwanych „fitili”, „knotów”, ze
sterczącymi na kształt
białych dymków strzępami waty z ich
znoszonych
waciaków, dochodiagów o jednakowych,
brudnych,
kościstych obliczach i błyszczących od
głodu, wpadniętych
oczach. Tego rodzaju zestawienia można
było widzieć

każdego dnia, o każdej godzinie - i w „etapowych” wagonach Moskwa-Władywostok, i w porozrywanych łagrowych namiotach ze zwykłego brezentu, w których więźniowie spędzali zimę na biegunie chłodu, nie rozbierając się i nie myjąc, w których włosy przymarzały do ścianek

640

i gdzie nie sposób było się ogrzać. Dachy namiotów były porozrywane - to kamienie trafiały w nie w czasie bliskich wybuchów w wyrobiskach, jeden wielki kamień pozostał w namiocie na zawsze - na nim siadano, jedzono i dzielono chleb...'

Fiodorow bez pośpiechu posuwał się po wyrobisku. Za nimi szli jeszcze inni ludzie w półkożuszkach - kim byli, nie dane mi było wiedzieć. Był to wiosenny okres, nieprzyjemny, kiedy wszędzie występowała lodowata woda, a jeszcze nie wydawano letnich gumowych chodaków- - „czuni” i wszyscy mieli na nogach obuwie zimowe - płócienne „burki” uszyte ze

starych watowanych spodni, z podeszwą z tego samego materiału, przemakające w ciągu pierwszych dziesięciu minut pracy. Palce u nóg, poodmrażane i krwawiące, ziębły nie do zniesienia. W gumowych chodakach też nie było lepiej przez pierwsze tygodnie - guma z łatwością przekazywała chłód wiecznej zmarzliny i nie było ucieczki od ćmiącego bólu. Fiodorow przeszedł się po wyrobisku, o coś tam zapytał i nasz brygadzista, w wyrażającym szacunek skłonie, coś tam zameldował. Fiodorow ziewnął, a w jego złotych, pięknie wyreperowanych zębach odbiły się promienie słońca. Słońce było już wysoko - Fiodorow musiał więc być na tym spacerze po nocnej pracy. Ponownie o coś spytał. Brygadzista zawołał na mnie: dopiero co podtoczyłem pustą taczkę z pełnym fasonem doświadczonego taczkarza - rączkami do góry, żeby ręce odpoczywały, odwróconą, kółkiem do przodu. Podszedłem do naczalstwa. - To ty jesteś Andriejew? - spytał Fiodorow. Wieczorem

zostałem aresztowany.

Wydawano właśnie letnią odzież - bluzy, bawełniane

spodnie, onuce, gumowe chodaki. Był to jeden z

ważniejszych dni w życiu więźnia. Inny, jeszcze ważniejszy

- w jesieni, kiedy wydawano odzież na zimę. Wydawano

jak leci „dopasowywanie” według „numerów” i „wzrostu”

odbywało się już później, w baraku.

Nadeszła moja kolej i gospodarczy powiedział:

Ciebie wzywa Fiodorow. Jak przyjedziesz od niego - to dostaniesz...

Wtedy

nie zrozumiałem rzeczywistego sensu jego słów. Jakiś

nieznany cywil odprowadził mnie na skraj osady, gdzie stał

maluteńki domek pełnomocnego rejonowego oddziału.

Siedziałem w zmierzchu, przed ciemnymi oknami izby

Fiodorowa, żułem zeszłoroczną słomkę i o niczym nie

myślałem. Na przyzbie była

solidna ławeczka, ale więźniom nie przysługiwało prawo

siadania na ławeczkach naczalstwa.

Poskrobywałem i

przyglądałem pod waciakiem swoją suchą jak pergamin

skórę, brudną, popękana, i uśmiechałem się. Oczekiwało mnie na pewno coś dobrego. Owładnęło mną jakieś dziwne uczucie ulgi - prawie szczęścia. Jutro i pojutrze nie trzeba iść do pracy, nie trzeba machać kilofem, walić w te przeklęte kamienie, gdzie każde uderzenie wstrząsa cienkimi jak sznury mięśniami. Wiedziałem, że zawsze istnieje dla mnie ryzyko otrzymania nowego wyroku. Lagrowe tradycje w tym względzie były mi dobrze znane. W 1938, w najbardziej groźnym kołymskim roku, „przyszywano sprawy” przede wszystkim tym, co mieli maleńki wyrok, i tym, co go kończyli. Robiono tak zawsze. A tutaj do karnej zony w Dżełgale przyjechałem jako „przesiedziały”. Wyrok mój skończył się w styczniu czterdziestego drugiego roku, ale nie zostałem zwolniony, lecz „pozostawiony w łagrach do końca wojny” - podobnie jak dziesiątki tysięcy innych. Do końca wojny! Jeden dzień trudno było przeżyć, a co mówić o roku. Wszyscy „przesiedziali” stawali się obiektem bacznej

uwagi władz śledczych. Już w Arkagale, skąd przyjechałem do Dżelgały, usiłowano „skleić” mi sprawę. Ale nie skleili. Osiągnęli tylko przeniesienie mnie do karnej zony, co oczywiście jest samo w sobie złowieszczą oznaką. Po co jednak męczyć się myśleniem o tym, czego nie mogę zmienić? Wiedziałem oczywiście, że trzeba być szczególnie ostrożnym w rozmowach i zachowaniu: nie jestem przecież fatalistą. A jednak - co zmieni się od tego, że o wszystkim wiem i wszystko przewiduję? Przez całe życie nie mogę się zmusić do tego, żeby łajdaka nazwać uczciwym człowiekiem. I myślę, że już lepiej nie żyć, niż nie móc rozmawiać z ludźmi lub mówić coś przeciwnego, niż się naprawdę myśli. Jaki sens ma ludzkie doświadczenie? - mówiłem do siebie, siedząc na ziemi przed ciemnym oknem Fiodorowa. Jaki sens jest w tym, że się wie, czuje, domyśla, że ten człowiek - to donosiciel, stukacz, a ten - to łajdak, a tamten zaś - mściwy tchórz? Że bardziej korzystne dla mnie,

bardziej pożyteczne i zbawienne jest być
z nimi w
przyjaźni, zamiast mieć w nich wrogów.
Lub w skrajnym
przypadku - milczeć. Trzeba by tylko
kłamać - i im, i sobie,
a to jest trudne, nie do zniesienia,
znacznie trudniejsze niż
mówienie prawdy. Co z tego, jeżeli nie
potrafię zmienić ani
własnego charakteru, ani własnego
zachowania. Na cóż mi
to przeklęte doświadczenie?
W izbie zapaliło się światło, firanka
została zaciągnięta,
drzwi się rozwarły i sprzątający, stojąc
na progu, kiwnął do
mnie ręką, zapraszając do wejścia. Cały
malusieńki pokój
- słuźbowy gabinet pełnomocnego
rejonowe-
go oddziału - zajmowało ogromne biurko z
mnogością
szuflad, zawalone teczkami, ołówkami,
zeszytami. Oprócz
biurka w izdebce z trudem mieściły się
dwa własnej roboty
krzesła. Na jednym, pomalowanym,
siedział Fiodorow.
Drugie, surowe, wyślizgane przez setki
aresztanckich
zadów, przeznaczone było dla mnie.
Fiodorow wskazał mi krzesło, zaszeleścił
papierami i
„sprawa” się rozpoczęła...

Ustalona kolej losu więźnia w łagrze
„łamię się”, a raczej
może się zmienić z trzech powodów:
ciężkiej choroby,
nowego wyroku lub czegoś nadzwyczajnego.
I tych
nadzwyczajnych przypadków wcale nie tak
mało w naszym
życiu.

Słabnąc z każdym dniem w wyrobiskach
Dżełgały, żywiłem
nadzieję, że trafię do szpitala, gdzie
albo umrę, albo
wyzdrowieję, albo też odeślą mnie w
jakieś miejsce.
Upadałem już ze zmęczenia i słabości,
przemieszczałem
się, ciągnąc nogami po ziemi -
nieznaczna nierówność,
kamyczek, cienki kawałek drewna na
drodze stwarzały
przeszkody nie do przebycia. Ale każdego
razu w
godzinach przyjęć w ambulatorium lekarz
nalewał mi do
blaszanego czerpaczka roztworu
nadmanganianu potasu i
nie patrząc mi w oczy, chrząkał:
„Następny!”
Nadmanganian potasu dawano do wewnątrz,
jako środek
przeciwko dezynterii, smarowano nim też
odmrożenia,
oparzenia i rany. Nadmanganian potasu
był uniwersalnym,

ale też wyjątkowym środkiem leczniczym w łagrze.

Zwolnienia z pracy nie dano mi ani razu - sanitariusz

prostodusznie wyjaśniał, że „limit został wyczerpany”.

Rzeczywiście, w każdym łagrze istniały dla każdego

ambulatorium kontrolne wskaźniki grupy „W” - „czasowo

zwolnionych od pracy”. Nikomu nie chciało się „zawyżać”

limitu - lekarze i felczerzy spośród więźniów, o zbyt

miękkim sercu, zagrożeni byli odesłaniem na „roboty

ogólne”. Plan był Molochem, żądającym ludzkich ofiar.

Zimą Dżełgałę odwiedziło wysokie naczalstwo. Przyjechał

Driabkin, naczelnik kołymskich łagrów.

Czy wiecie, kim jestem? Jestem tym głównym, tym

najbardziej głównym. - Driabkin był młodym, niedawno

mianowanym naczelnikiem.

Otoczony tłumem ludzi z ochrony osobistej i miejscowych

naczelników, dokonał obchodu baraków. W naszym baraku

znaleźli się jeszcze ludzie, którzy nie utracili

zainteresowania w rozmowach z wysokim naczalstwem.

Spytali więc Driabkina:

Dlaczego trzyma się tu dziesiątki ludzi bez wyroków -

tych, dla których się one już dawno skończyły?

Driabkin był całkowicie przygotowany na takie pytanie:

Co, nie macie wyroku? Czy nie czytano wam papierka, że

jesteście zatrzymani do końca wojny? To jest właśnie

wyrok. Oznacza on, że powinniście znajdować się w łagrze.

Bezterminowo?

Nie przerywajcie, gdy mówi z wami naczelnik. Będziecie

zwalniani, jeśli będzie się o to starać miejscowe

naczalstwo. Wiecie coś o takich charakterystykach? - Tu

Driabkin wykonał ręką jakiś nieokreślony gest.

Jak wiele było za moimi plecami trwożnej ciszy,

urywanych rozmów przy zbliżaniu się skazanego na zgubę

człowieka, współczujących spojrzeń - oczywiście nie

mogły to być uśmiechy: ludzie z naszej brygady już dawno

oduczyli się uśmiechów. Wielu w brygadzie wiedziało, że

Kriwickij wraz z Zasławskim coś tam na mnie „podali”. I

wielu współczuło, ale bali się to współczucie okazać,

ażebym ich za sobą „nie pociągnął w sprawie”, jeżeli współczucie będzie zbyt wyraźne. Dowiedziałem się później, że były nauczyciel Fiertiuk, zaproszony przez Zasławskiego na świadka, kategorycznie odmówił i Zasławski musiał występować ze swoim stałym partnerem, Kriwickim. Zeznania dwóch świadków - to minimum wymagane przez prawo. Kto utracił siły, osłabł - temu niepowstrzymanie chce się bić. Uczucie to - zadziorność osłabionego człowieka - znane jest każdemu więźniowi, który kiedykolwiek głodował. Głodni biją się nie tak jak ludzie. Biorą rozpęd do uderzenia, starają się uderzyć ramieniem, ugryźć, podstawić nogę, przydusić za gardło... Powodów do kłótni jest nieskończenie wiele. Więźnia drażni wszystko: i naczalstwo, i czekająca go praca, i zimno, i ciężkie narzędzia, i stojący obok kolega. Aresztant spiera się z niebem, z łopata, z kamieniem, i z tą żywą istotą stojącą obok niego. Najmniejsza sprzeczka gotowa jest przerodzić

się w krwawą walkę. Ale donosów
więźniowie nie piszą.

Piszą je Kriwiccy i Zasławscy. To także
duch trzydziestego
siódmego roku.

„Nazwał mnie durniem, a ja napisałem, że
chciał otruć
naczalstwo. Wyrównaliśmy rachunki! On
mnie cytat, a ja
jemu - zesłanie. A nawet nie zesłanie,
lecz być może i karę
najwyższą”.

Mistrzowie od takich spraw, Kriwiccy i
Zasławscy, często
sami trafiali do więzienia. Co oznacza,
że ktoś tam posłużył
się ich własną bronią.

W przeszłości Kriwicki był zastępcą
ministra przemysłu
zbrojeniowego,

644
a Zasławski - felietonista „Izwestii”.
Zasławskiego biłem
wiele razy. Za co? Za to na przykład, że
„przechytrzył”, że
wziął bierwiono za wierzchołek, a nie
przy pniu, za to, że o
wszystkich rozmowach w zespole donosił
brygadziście lub
jego zastępcy - Kriwickiemu. Tego nie
zdarzyło mi się bić -
pracowaliśmy w różnych zespołach, ale
nienawidziłem go
za jakąś specjalną rolę, którą odgrywał
przy brygadziście,

za stałe nieróbstwo, za wieczny „japoński” uśmiech na jego twarzy.

- Jak się do was odnosi brygadzysta? Dobrze.

A z kim w brygadzie jesteście w złych stosunkach?

Z Kriwickim i Zasławskim. Wyjaśniłem to, jak tylko potrafiłem.

Ee, to bzdura. Tak więc zapiszemy:

„Kriwicki i Zasławski źle się do mnie odnoszą, dlatego że spierałem się z nimi w czasie pracy”.

Podpisałem.

Późną nocą szliśmy z konwojentem do łagru, ale nie do baraku, lecz do niziutkiego budynku z boku od zony, do łagrowego izolatora.

Czy masz jakieś rzeczy w baraku?

Nie, wszystko na sobie.

Tym lepiej.

Mówi się, że przesłuchanie - to walka jednej woli z drugą:

woli śledczego i woli oskarżonego.

Przypuszczalnie tak

jest. Ale jak można mówić o woli człowieka wymęczonego

nieustannym głodem, chłodem i ciężką pracą w ciągu wielu

lat - kiedy komórki mózgu już powysychały, utraciły swoje

właściwości. Wpływ długotrwałego, wieloletniego głodowania na wolę człowieka, na jego duszę - to coś zupełnie innego niż jakakolwiek więzienna głodówka czy męczenie głodem doprowadzone do konieczności sztucznego odżywiania. Tutaj mózg człowieka nie został jeszcze zniszczony, a duch pozostał silny. Potrafi jeszcze władać ciałem. Jeżeli Dymitrowa przygotowywaliby do sądu kołymscy śledczy, to świat nie znałby lipskiego procesu.

- No to jak?

Najważniejsze - wysił resztki umysłu, domyśl się, zrozum, dowiedz się: jedynie Kriwicki i Zasławski mogli napisać oświadczenie przeciwko tobie. Na czyje żądanie? Według czyjego planu, zgodnie z jakim szyfrem? Spójrz,

645

jak nastroszył się, jak zaskrzypiał krzesłem śledczy, gdy ledwo zdążyłeś wymówić te nazwiska. Trzymaj się twardo - zgłoś zastrzeżenie przeciwko świadkom. Przeciwko Kriwickiemu i Zasławskiemu! Zwycięż - i jesteś na

„wolności”. Znowu na „wolności” - w baraku. Od razu zakończy się ta bajka, radość samotności, ciemny, przytulny karcer, do którego światło i powietrze przenikają tylko przez szczelinę w drzwiach - i zacznie się: barak, wyprowadzanie do pracy, kilof, taczka, szare kamienie, lodowata woda. Gdzie słuszna droga? Gdzie ratunek? Gdzie szansa?

- No to jak? Chcecie, to według waszego wyboru wezwę dziesięciu świadków z waszej brygady. Proszę podać dowolne nazwiska. Przepuszczę ich przez swój gabinet i wszyscy zaświadczą przeciwko wam. Może nie? Ręczę, że tak. Przecież obaj jesteście dorosłymi ludźmi.

Karne żony odróżniają się od siebie muzycznym brzmieniem swych nazw: „Dżełgała”, „Złocisty”... Wybór miejsc dla tych żon jest przemyślany. Łagier Dżełgały umieszczony jest na wysokiej górze, a kopalniane wyrobiska - u dołu, w wąwozie. Oznacza to, że po wielogodzinnej, wyczerpującej pracy ludzie będą pełznąć w

górze po oblodzonych, wyrąbanych w lodzie stopniach,
chwytając się za poobłamywane krzaki zmarzniętej wikliny,
pełznąć w górę, tracąc resztki sił,
taszcząc na sobie „drwa”,
codzienną porcję drzewa na opał dla baraku. Rozumiał to
oczywiście jakiś naczelniczek,
wybierając miejsce pod
karną zonę. Rozumiał też coś innego: że
można będzie z
wierzchu, po zboczu łagrowej góry
staczać, zrzucać
opornych, tych, którzy nie chcą lub nie
mogą wyjść do
pracy - tak właśnie robiono w czasie
rannych odpraw w
Dżełgale. Tych, co nie szli, rośli
nadzorcy chwyтали za ręce i
za nogi, rozhuśtywali i zrzucali w dół.
Tam oczekiwał
zaprzężony do „włoku” koń. Przywiązywano
ich do tego
włoku za nogi i wleczono na miejsce
pracy. Być może
człowiek stał się nim właśnie dlatego,
że był fizycznie
silniejszy i bardziej wytrzymały od
jakiegokolwiek
zwierzęcia. Taki też pozostał. Ludzie
nie umierali od tego,
że ich głowy obijały się na
dwukilometrowych dżełgalskich

drogach. Przecież z włokiem galopem się nie jeździ.

Dzięki tej topograficznej właściwości Dźełgały z łatwością udawały się tam tak zwane „wyjścia do pracy bez

ostatniego" - kiedy aresztami sami starają się prześliznąć, stoczyć w dół, nie czekając na to, że zrzucą w przepaść nadzorcy. W innych miejscach „wyjścia bez ostatniego"

przeprowadzane były za pomocą psów.

Dźełgalińskie psy nie były tu używane

646

Była wiosna i siedzenie w karcerze nie było już takie

bardzo przykre. Do tego czasu zdażyłem poznać wykuty w

skale i wiecznej zmarzlinie karcer

Kadykczanu, a także

izolator „Partyzanta", gdzie nadzorcy specjalnie

powyszarpowali cały mech pomiędzy bierwionami, służący

jako uszczelnienie. Znałem wyciosany z zimowego

modrzewia, oblodzony, dymiący parą oddechów karcer

kopalni „Spokojna" i karcer „Czarnego Jeziora", gdzie

zamiast podłogi była lodowata woda, a zamiast nar - wąska

ławeczka. Moje doświadczenie aresztanta było wystarczająco duże - potrafiłem na wąskiej ławeczce spać, widząc sny i nie spadając do lodowatej wody.

Lagrowa etyka zezwala na oszukiwanie naczalstwa, na „ładowanie tufty” w czasie pracy - przy obmiarach, podliczeniach i przy ocenie jakości jej wykonania. Przy każdej ciesielskiej robocie można w czymś przechytryć, na czymś oszukać. Jedno tylko należy wykonać sumiennie - budowę łagrowego izolatora. Barak przeznaczony dla naczalstwa może być wyciosany byle jak, ale więzienie dla więźniów powinno być ciepłe i solidne. „Przecież sami będziemy tam siedzieć”. I chociaż tradycja ta kultywowana jest przede wszystkim przez błatniaków, to jednak istnieje w niej jakieś racjonalne ziarno. Ale to jest teoria. W praktyce wszędzie króluje mech i kliny - łagrowy izolator nie jest tu wyjątkiem. Karczer na Dżełgale charakteryzował się specjalną budową - bez okna, żywo przypominający sławne „kufry”

butyrskiego więzienia. Okno zastępowała szczelina w

drzwiach prowadzących na korytarz.

Przesiedziałem tutaj

miesiąc na karcerowej racji - trzysta gramów chleba i kubek

wody. W ciągu tego miesiąca więzień obsługujący izolator

dwa razy wsunął mi miskę zupy.

Oślaniając twarz, śledczy Fiodorow raczył ze mną

rozmawiać:

Nie chce pan może gazetki - o proszę, Komintern został

rozwiązany. To pana zainteresuje.

Nie, to mnie nie zainteresowało. Gdyby można zapalić...

To już proszę wybaczyć. Jestem niepalący.

Otóż widzi pan -

oskarżają pana o wychwalanie hitlerowskiej broni.

Co to znaczy?

No, to, że pan z uznaniem wyrażał się o niemieckiej ofensywie.

Ja prawie nic o tym nie wiem. Nie widziałem gazet od lat.

Od ośmiu lat.

No, to nie jest najważniejsze. Otóż powiedział pan przy

jakiejś sposobności, że stachanowski ruch w łagrze - to fałsz i kłamstwo.

W łagrze istniały trzy odmiany racji żywnościowych -

„zaopatrzenia więziennego kotła” -
stachanowska,
przodownicza i robocza, oprócz
647

karnych, śledczych i etapowych. Różniły
się one między
sobą ilością chleba i ilością dań. W
sąsiednim wyrobisku
nadzorca górniczy odmierzył każdemu
robotnikowi
odległość - zadanie, i umocował w tym
miejscu papieros z
machorki. Wywieziesz grunt do tego znaku
~ papieros jest
twój, jesteś stachanowcem.
Tak to się działo - powiedziałem. -
Według mnie - to
zwyrodnienie.
Później mówił pan, że Bunin - to wielki
rosyjski pisarz.
On rzeczywiście jest wielkim rosyjskim
pisarzem. Czy za
to, co powiedziałem, można skazać?
Można. To emigrant. Nienawidzący
emigrant. „Sprawa”
szła dobrze. Fiodorow był wesoły i
ożywiony.
Widzi pan, jak się do niego odnosimy.
Ani jednego
ordynarnego słowa. Proszę zwrócić uwagę
- nikt nie bije
tak jak w trzydziestym ósmym roku.
Żadnego nacisku.
A trzysta gramów chleba na dobę?

Taki rozkaz mój drogi, taki rozkaz. Nic na to nie poradzę.

Rozkaz. Śledcza racja.

A cela bez okna? Przecież ślepnę, a do tego nie ma czym oddychać.

Czyżby już tak bez okna? To niemożliwe.

Skądże tam

światło się dostaje.

Przez szczelinę u dołu drzwi.

No właśnie, właśnie.

Zimą szczelinę wypełniałaby para.

Ale teraz przecież nie ma zimy.

To prawda. Teraz to już nie jest zima.

- Proszę posłuchać - powiedziałem -

jestem chory. Opadłem

z sił. Wielokrotnie zwracałem się do

ambulatorium, ale

nigdy nie dają mi zwolnienia od pracy.

Proszę napisać podanie. Będzie to mieć

znaczenie dla sądu

i dla śledztwa.

Wyciągnąłem rękę po wieczne pióro - na

stole leżała ich

cała mnogość, różnych wielkości i

różnych firm.

Nie, nie, proszę zwykłym piórem.

Dobrze.

Napisałem tak: wielokrotnie zwracałem

się o pomoc w

ambulatorium - prawie każdego dnia.

Bardzo trudno było

mi pisać - zbyt mało praktyki miałem w

takich sprawach.

Fiodorow wygładził papierek.
Proszę się nie niepokoić. Wszystko
będzie zrobione
zgodnie z prawem. Tego samego wieczoru
szczękneły
zamki mojej celi i otworzyły się
drzwi. W kącie na stoliku dyżurnego
paliła się „kołymka” -
benzynowa lampka na cztery knoty,
wykonana z puszki po
konserwach. Przy stoliku ktoś siedział,
ubrany w
półkożuszek i czapkę z nausznikami.
Podejdź.
Podszedłem. Siedzący wstał. Był to
doktor Mochnacz, stary
kołymianin, ofiara trzydziestego
siódmego roku. Na
Kołymie pracował najpierw na robotach
ogólnych, a potem
został dopuszczony do pełnienia
obowiązków lekarza.
Przyuczony był bać się naczalstwa. Byłem
u niego w
ambulatorium w zonie wielokrotnie.
Witam, doktorze.
Witaj. Rozbierz się. Oddychaj. Nie
oddychaj. Obróć się.
Schyl się. Możesz się ubierać.
Doktor Mochnacz usiadł przy stoliku i
przy chwiejnym
świetle „kołymki” napisał:
Więzień Szałamow W.T. jest praktycznie
zdrów. W czasie

przebywania w zonie do ambulatorium nie zwracał się.

Kier. ambulatorium lekarz Mochnatow. Po miesiącu odczytano mi ten tekst na sądzie.

Śledztwo zbliżało się do końca, a ja w żaden sposób nie mogłem pojąć, o co mnie oskarżają.

Wyglądzone ciało doskwierało i radowało się, że nie trzeba pracować. A jeśli mnie nagle wypuszczą i znów poślą do wyrobiska?

Odganiałem te trwożne myśli.

Na Kołymie lato zaczyna się szybko, spiesznie. W czasie

jednego z przesłuchań ujrzałem gorące słońce, błękitne

niebo, poczułem subtelny zapach modrzewia. Brudny lód

leżał jeszcze w parowach, ale lato nie czekało, aż on stopnieje.

Przesłuchanie zaciągnęło się, coś tam „uściślaliśmy” i

konwojent nie zdążył mnie jeszcze odprowadzić, gdy do

izdebki Fiodorowa doprowadzono drugiego człowieka.

Był nim mój brygadzysta Niestierenko.

Zrobił krok w moją

stronę i głucho wymówił: „Byłem zmuszony, zrozum,

byłem zmuszony” i znikł w drzwiach Fiodorowskiej

izdebki.

Niestierenko pisał na mnie oświadczenie.
Potwierdzali je
Zasławski i Kriwicki. To mało
prawdopodobne, ażeby
Niestierenko cokolwiek słyszał
Buninie. I jeżeli Zasławski i Kriwicki
byli łajdakami, to
Niestierenko uratował mnie od głodowej
śmierci, wzięwszy
do swej brygady. Nie byłem tam ani
lepszy, ani gorszy od
każdego innego robotnika. Nie żywiłem
złości do
Niestierenki. Słyszałem, że odbywa w
łagrze swój trzeci
wyrok i że jest starym bywalcem Wysp
Sołowieckich. Był
on bardzo doświadczonego brygadzystą -
znał się nie tylko
na pracy, ale rozumiał też głodnych
ludzi, nie współczuł im,
lecz właśnie rozumiał. Takimi bywa
bardzo niewiele
brygadzystów. We wszystkich brygadach
dawano po kolacji
„repetę” - czerpaczek rzadkiej zupy z
tego, co zostało.
Zazwyczaj brygadziści dawali ją tym,
którzy tego dnia
najlepiej pracowali - był to sposób
postępowania
oficjalnie zalecany przez naczalstwo.
Rozdawanie „repety”

przybierało publiczny charakter, stawało się niemal uroczystością. Wykorzystywano je zarówno dla celów związanych z pracą, jak i z wychowaniem. Nie zawsze ten, kto pracował więcej niż inni, pracował od nich lepiej. I nie zawsze ten najlepszy pragnął jeść tę cienką zupkę. W brygadzie Niestierenki dawano repety najgłodniejszemu - oczywiście według uznania i na rozkaz brygadzisty. Jednego razu wykuwałem w szurfie ogromny kamień. Ale to nie na moje siły było wytaszczyć stamtąd ten ogromny narzutowy głaz. Niestierenko spostrzegł to, milcząc, zeskoczył do szurfu, podkopał kamień kilofem wypchnął go na górę... Nie chciałem wierzyć, że napisał na mnie oświadczenie. A zresztą... Mówiono, że zeszłego roku z tej samej brygady poszło na sąd dwóch ludzi - Jeżikow, a po trzech miesiącach - Isajew, były sekretarz jednego z syberyjskich komitetów obwodowych. A świadkami byli wciąż ci sami - Kriwicki i Zasławski. Nie zwróciłem uwagi, co wtedy mówiono.

- O, tutaj proszę podpisać. I tutaj.
Nie trzeba było długo czekać.

Dwudziestego czerwca drzwi
się rozwarły i wyprowadzono mnie na
gorącą, brunatną
ziemię, pod oślepiające, palące słońce.
Bierz rzeczy - buciki, czapkę. Pójdiesz
do Jagodnego.

Pójdiesz? - Dwaj żołnierze uważnie mnie
oglądali.

Nie dojdzie - powiedział jeden. - Nie
weźmiemy.

650

jak to nie weźmiecie? - powiedział
Fiodorow. - Zaraz

zadzwońię do grupy operacyjnej.

Żołnierze ci to nie byli prawdziwi
konwojenci wcześniej

zamówieni i oddelegowani. Obydwaj
należeli do grupy

operacyjnej i powracali do Jagodnego -
osiemnaście

wiorst przez tajgę. Po drodze mieli mnie
dostarczyć do

jagodnieńskiego więzienia.

A ty sam jak czujesz? - mówił jeden z
nich.

Dojdiesz?

Nie wiem. - Byłem zupełnie spokojny. I
nie miałem też

gdzie się spieszyć. Słońce paliło zbyt
mocno - spiekło mi

policzki odwykłe od jasnego światła i
świeżego powietrza.

Usiadłem pod drzewem. Przyjemnie było
posiedzieć na
dworze, wdychać miękko poddające się
płuciom, wspaniałe
powietrze, zapach zakwitającego głogu.
Zakręciło mi się w
głowie.

No to pójdziemy.

Weszliśmy do jaskrawozielonego lasu.
Możesz iść szybciej?

Nie mogę.

Uszliśmy nieskończenie wiele kroków.

Gałązki wikliny

chłostały moją twarz. Potykając się o
korzenie drzew, jakoś
wydostałem się na polanę.

Słuchaj, ty - powiedział starszy z
operacyjników. - Chcemy

pójść do kina w Jagodnem. Zaczyna się o
ósmą godzinie.

W klubie. Teraz jest druga. Mamy

pierwszy wolny dzień w

ciągu tego lata. Pierwsze kino od pół
roku.

Milczałem. Naradzili się.

Odpocznij - powiedział młody. Rozpiął
torbę. - Masz tu

biały chleb. Kilogram. Jedz, odpocznij i
pójdziemy. Jeśli

nie kino - to czort z nim. Ale kino.

Zjadłem chleb, wylizałem z dłoni

okruszynki, przyległem

koło strumienia i ostrożnie napiłem się
- chłodnej i

smacznej wody. I ostatecznie utraciłem siły. Było gorąco, chciało się tylko spać.

No, pójdziesz?

Milczałem.

Wtedy poczęli mnie bić, długo i starannie. Deptali po mnie, a ja krzyczałem i kryłem twarz w dłoniach. Zresztą nie bili mnie po twarzy - to byli ludzie doświadczeni.

Bili mnie długo, starannie. I czym więcej mnie bili, tym bardziej stawało się jasne, że naszego wspólnego

posuwania się w kierunku więzienia przyspieszyć się nie da.

Wiele godzin brnęliśmy przez las i o zmroku wyszliśmy na

„trasę” _ ciągnącą się przez całą Kołymę szosę pośród skał

i błot, drogę długości dwóch tysięcy kilometrów,

zbudowaną za pomocą kilofa i taczki.

Byłem już prawie nieprzytomny i ledwie się ruszałem, gdy

zostałem doprowadzony do jagodnieńskiego izolatora.

Drzwi celi uchyliły się, otwarły i doświadczone ręce

dyżurnego, posługując się drzwiami, wcisnęły mnie do

środka. Słysząc było tylko przyspieszone ludzkie oddechy.

Po dziesięciu minutach spróbowałem
osunąć się na podłogę
i przyległem koło słupa pod narami. Gdy
minęło jeszcze
trochę czasu, podpełzli do mnie siedzący
w celi złodzieje,
aby zrewidować i zabrać, co się da;
niestety, ich nadzieja na
jakiś zysk była daremna. Oprócz wszy nie
miałem nic. I
przy akompaniamencie rozdrażnionych
głosów
rozczarowanych błatniaków zasnąłem.
Następnego dnia, o trzeciej po południu
wezvano mnie na
sąd.
Było bardzo duszno. Nie było czym
oddychać. W ciągu
ośmiu lat przez okrągłe doby przebywałem
na powietrzu i
teraz nie mogłem wytrzymać - tak mi było
gorąco w
małym pokoju wojennego trybunału.
Większa część
dwunastometrowej powierzchni pokoiku
oddana została
trybunałowi, siedzącemu za drewnianą
przegrodą. Mniejsza
- przeznaczona była dla podsądnych,
konwojentów,
świadków. Ujrzałem Zasławskiego,
Kriwickiego i
Niestierenkę. Wzdłuż ścian stały surowe,
niepomalowane

ławki. Dwa okna z równą siecią drobnych
oczek, według
kołomyjskiej mody, tak jakby to była
surikowska izba
Mienszikowa. W takim obramowaniu można
było
wykorzystywać pobite szkło - na tym
właśnie polegała
konstruktorska myśl, uwzględniająca
trudny transport,
kruchosc i wiele innych możliwości - na
przykład użycie
poprzecinanych wzdłuż na dwie części
szklanych słoików
po konserwach. Wszystko to oczywiście
wynikało z troski
o okna naczalstwa i urzędów. W barakach
dla więźniów nie
było żadnych okien.
Przenikające przez takie okna światło
było rozproszone i
mętne - na stole przewodniczącego
trybunału paliła się
elektryczna lampa bez abażuru.
Sąd był bardzo krótki. Przewodniczący
punkt po punkcie
odczytał krótkie oskarżenie. Spytał
świadców, czy
potwierdzają swoje zeznania na
poprzedzającym sądzie
śledztwie. Nieoczekiwanie dla mnie
znalazło się nie trzech,
lecz czterech świadków - jakiś
Szajlewicz wyraził chęć

uczestniczenia w moim procesie. Z tym
świadkiem ani razu
się nie spotykałem,
652

ani nie rozmawiałem - był on z innej
brygady. Nie
przeszkodziło to, aby Szajlewicz szybko
odbębnił to, co
należało: Hitler, Bunin... Zrozumiałem,
że Fiodorow wziął
Szajlewicza na wszelki wypadek - gdybym
nieoczekiwanie
zgłosił sprzeciw wobec Zasławskiego i
Kriwickiego. Ale
Fiodorow niepotrzebnie się obawiał.
Czy są pytania do trybunału?
Są. Dlaczego z kopalni Dżełgała
przyjeżdża na rozprawę
przed trybunałem już trzeci oskarżony
według
pięćdziesiątego ósmego paragrafu, a
świadkowie są wciąż
ci sami?

Wasze pytanie nie ma związku ze sprawą.
Byłem pewien, że wyrok będzie surowy -
zabijanie było
tradycją tych lat. Do tego jeszcze sąd w
rocznicę wybuchu
wojny, 22 czerwca. Naradziwszy się w
ciągu trzech minut,
członkowie trybunału „ogłosili” -
„dziesięć lat i pięć
pozbawienia praw obywatelskich”...
Następny!

Na korytarzu wszczął się ruch, zastukały buty. Następnego dnia przeprowadzono mnie na punkt tranzytowy.

Rozpoczęła się niejednokrotnie doświadczona przeze mnie procedura załatwiania formalności związanych z nowymi „aktami personalnymi” - niekończące się odciski palców, ankiety, fotografowanie. Teraz to już byłem taki to a taki, pięćdziesiąty ósmy paragraf, punkt dziesięć, wyrok dziesięć lat i pięć pozbawienia praw. Nie byłem już liternikiem ze straszną literą „T”. Miało to znaczące następstwa i, być może, uratowało mi życie. Nie wiedziałem, co stało się z Niestierenką, z Kriwickim. Mówiono, że Kriwicki zmarł. A Zasławski powrócił do Moskwy i został członkiem Związku Pisarzy, chociaż oprócz donosów niczego w życiu nie napisał. Widziałem go z daleka. Ale rzecz nie w Zasławskich i Kriwickich. Od razu po wyroku mogłem zabić donosicieli i fałszywych świadków. I zabiłbym ich na pewno, jeżeli po sądzie powróciłbym na Dżelgałę. Ale łagrowy obyczaj przewiduje,

że ponownie sądzeni nigdy nie powinni
powracać do tego

łagru, skąd ich przywieziono na sąd.

KOBIETA ZE ŚWIATA BŁATNIAKÓW

Agłaję Diemidową przywieziono do

szpitala z fałszywymi

dokumentami. To nie było tak, że zostały
podrobione jej

„akta personalne”, jej aresztancki dowód
osobisty. Nie, od

tej strony wszystko było w porządku;

miały one jedynie

nową żółtą okładkę – świadectwo tego, że
wyrok Agłai

Diemidowej rozpoczynał się od nowa i od
niedawna.

Przyjechała pod tym samym nazwiskiem,
pod jakim

przywieziono ją do szpitala przed dwoma
laty. Nic się nie

zmieniło w jej „podstawowych danych”,
oprócz wyroku -

dwadzieścia pięć lat. A dwa lata temu
teczka z jej aktami

personalnymi była koloru niebieskiego, a
wyrok - dziesięć

lat.

Do kilku dwumiejscowych liczb, wpisanych
atramentem w

rubryce „paragraf”, dołączyła jeszcze
jedna - z trzema

miejscami. Ale wszystko to było jak
najbardziej prawdziwe,

niesfałszowane. Nieprawdziwe były jej
dokumenty

medyczne - koślawo napisana historia choroby, epikryza, analizy laboratoryjne. Sfałszowane zostały przez ludzi zajmujących w pełni oficjalne stanowiska, mających w swych rękach i druki, i pieczęcie, a także posiadających dobre czy niedobre imię - to nie takie znów ważne. Trzeba było wielu godzin, aby naczelnik ambulatorium kopalni wkleił fałszywą historię choroby, aby stworzył w pełnym artystycznym natchnieniu lipny dokument medyczny.

Diagnoza gruźlicy płuc jawiła się jako logiczne następstwo sprytnych codziennych adnotacji. Gruba paczka z kartami typowych dla gruźlicy wykresów temperatury, wypełnione blankiety z najróżniejszymi laboratoryjnymi analizami i groźnymi wynikami. Taka praca lekarza przypominała egzamin pisemny, gdzie na podstawie wyciągniętej kartki należy opisać proces rozwijającej się w organizmie gruźlicy, aż do takiego stanu, kiedy jedynym wyjściem staje się natychmiastowa hospitalizacja. Taką pracę można wykonać, kierując się również

sportowym zacięciem - chęcią
udowodnienia tym w
centralnym szpitalu, że w kopalni - też
nie w ciemię bici.

Całkiem po prostu przyjemnie jest
przypomnieć

654

sobie wszystko po kolei, czego się
kiedyś uczyło w
instytucie. Oczywiście nigdy byś sobie
nie pomyślał, że
przyjdzie ci stosować swoje wiadomości w
taki niezwykły,
„artystyczny” sposób.

Najważniejsze: Diemidowa powinna zostać
za wszelką

cenę położona w szpitalu. I szpital nie
może, nie ma prawa

odmówić przyjęcia takiej chorej, choćby
u lekarzy pojawiło

się tysiące podejrzeń.

Podejrzzenia pojawiły się od razu i
dopóki problem

przyjęcia Diemidowej rozstrzygał się w
miejscowych

„wyższych sferach”, ona siedziała sama w
ogromnym

pomieszczeniu izby przyjęć szpitala.

Zresztą „sama” była

jedynie w chestertonowskim znaczeniu
tego słowa. Felczer

i sanitariusze z izby przyjęć nie
wchodzili tu oczywiście w

rachubę. Nie liczyli się również dwaj
konwojenci

Diemidowej, nieodstępujący jej na krok.

Trzeci konwojent
błąkał się gdzieś z papierami po
szpitalnych ostępach.

Diemidowa nie zdjęła nawet czapki,
rozpięła tylko kołnierz
swojego baraniego półkożuszka. Szybko
paliła papierosa za
papierosem, rzucając niedopałki do
spluwaczki z trocinami.

Miotła się po izbie przyjęć od
zakratowanych weneckich
okien ku drzwiom, a za nią, w ślad za
jej ruchami, podążali
konwojenci. Kiedy powrócił dyżurny
lekarz razem z
trzecim konwojentem, zdażyło już
ściemnieć, tak jak to na
Północy, i trzeba było zapalić światło.
Nie kładą? - spytała Diemidowa
konwojenta.

Nie, nie kładą - odpowiedział posępnie.
Wiedziałam, że nie położą. Wszystkiemu
winna Kruszyńska.

Zarabiała lekarkę, a na mnie się mszczą.
Nikt na tobie się nie mści - powiedział
lekarz.

Ja wiem lepiej.

Diemidowa wyszła przed konwojentami,
drzwi wyjściowe
zatrzasnęły się, zawarczał silnik
ciężarówki.

Natychmiast potem otworzyły się cicho
wewnętrzne drzwi i

do izby przyjęć wszedł naczelnik szpitala z całą świtą oficerów z wydziału specjalnego. Gdzież ona jest? Ta Diemidowa? Już ją zabrali, obywatelu naczelniku. Szkoda, szkoda, że nie popatrzyłem na nią. A jednak pan, Piotrze Iwanowiczu, z pańskimi anegdotami... - I naczelnik wraz ze swoimi towarzyszami wyszedł z izby przyjęć.

Naczelnikowi chciało się choć jednym oczkiem spojrzeć na słynną złodziejkę Diemidową, której historia rzeczywiście była nie całkiem zwyczajna. Przed pół rokiem złodziejkę Agłaję Diemidową, zasądzoną na dziesięć lat za zabójstwo „dyspozytorki” (Diemidową udusiła ręcznikiem zbyt dziarską dyspozytorkę), wieziono z sądu do kopalni. Konwojent był jeden, gdyż po drodze nie trzeba było nocować - to było tylko kilka godzin jazdy samochodem od osady zarządu, gdzie ją sądzono, do kopalni, w której pracowała. Na Północy przestrzeń i czas - to wielkości do siebie podobne. Często przestrzeń mierzona jest czasem: tak czynią jakuccy koczownicy - odległość od

sopki do sopki wynosi sześć dziennych przemarszów.

Wszyscy, mieszkający koło głównej arterii – szosy, mierzą odległość przelotami samochodów. Konwojent Diemidowej wywodził się z nadterminowych młodych „starych”, od dawna przyzwyczajonych do swobód życia konwojenta, do jego niezwykłości, gdzie konwojent jest pełnym władcą aresztanckich losów. Nie po raz pierwszy konwojował on „babę”, taka przejażdżka kryła w sobie obiecujące wiadome rozrywki, jakie niezbyt często trafiają się szeregowemu „strzelcowi” na Północy.

W znajdującej się na trasie stołówce zjedli we trójkę obiad – konwojent, szofer i Diemidową. Konwojent wypił dla animuszu spirytusu (na Północy wódkę pije tylko naczalstwo) i zaprowadził Diemidową w krzaki. Wiklina, łoży czy też młode osiki rosły w obfitości wokół każdej osady w tajdze.

W krzakach konwojent położył automat na ziemię i zabrał się do Diemidowej. Diemidową wyrwała się i dwoma

krótkimi seriami wpakowała dziewięć kul
w ciało
namiętnego konwojenta. Porzuciwszy
automat w krzakach,
powróciła do stołówki i odjechała jednym
z
przejeżdżających samochodów. Szofer
wszczał alarm, trupa
konwojenta i jego automat znaleziono
bardzo szybko, a
samą Diemidową zatrzymano po dwu dobach
w odległości
kilkuset kilometrów od miejsca jej
niedoszłego romansu z
konwojentem. Sądzone ją ponownie i
skazano na
dwadzieścia pięć lat. Tak jak przedtem,
nie chciała
pracować, ograbiała swoje sąsiadki w
baraku i kopalniane
naczalstwo zdecydowało, że pozbędzie
się jej za wszelką
cenę. Można się było spodziewać, że ze
szpitala nie
powróci już do kopalni, lecz zostanie
odesłana gdzie
indziej.
Diemidową była złodziejką sklepów i
mieszkań,
„gorodusznica” - według terminologii
błatniaków-„urków”.
Błatniacki świat rozróżnia dwie
kategorie kobiet: właściwe
złodziejki, których zawodem jest
kradzież, podobnie jak w

przypadku błatniaków- -mężczyzn, i
 prostytutki,
 przyjaciółki błatniaków.
 Pierwsza grupa, liczebnie znacznie
 mniejsza niż druga,
 cieszy się
 w kręgu „urków”, uważających kobiety za
 istoty niższego
 gatunku, pewnym szacunkiem - wymuszonym
 przez
 konieczność uznania ich zasług i
 wartości w zawodzie.
 Zazwyczaj złodziejka (słowo „złodziejka”,
 „złodziej”
 używane jest cały czas w sensie
 przynależenia do tajnego
 zakonu „urków”), żyjąca z jakimś
 złodziejem, nierzadko
 uczestniczy w opracowaniu planów
 kradzieży i w samych
 kradzieżach. Ale nie bierze udziału w
 męskich „sądach
 honorowych”. Samo życie podyktowało
 takie prawa - w
 miejscach pozbawienia wolności mężczyźni
 i kobiety są
 rozdzieleni i ta sytuacja wniosła pewne
 zróżnicowanie w
 codzienne życie, nawyki i zasady jednej
 i drugiej płci.
 Kobiety są mimo wszystko bardziej
 miękkie, ich „sądy” nie
 są tak krwawe, a wyroki nie tak okrutne.
 Zabójstwa

dokonywane przez kobiety-błatniaczki zdarzają się rzadziej niż w „męskiej połowie” błatniackiego domu. Współżycie „złodziejki” z jakimkolwiek „frajerem” jest absolutnie wykluczone.

Prostytutki - to druga, duża grupa kobiet, związanych z błatniackim światem. To znane przyjaciółki złodziei, zdobywające dla nich środki do życia. Samo się przez się rozumie, że kiedy trzeba, uczestniczą one i w kradzieżach, i w „wystawianiu”, stoją na „cynku”, biorą udział w ukrywaniu i zbyciu kradzionych rzeczy, ale wcale nie są pełnoprawnymi obywatelami „przestępczego świata”.

Nieodmiennie są uczestniczkami hulanek, ale nie mogą nawet marzyć o dostępie do rozpraw- „prawilek”. Rodowity „urka” od dzieciennych lat uczy się pogardy dla kobiet. „Teoretyczne” lekcje „pedagogów” idą w parze z poglądowymi przykładami starszych. Kobieta, istota niższa, stworzona jest jedynie po to, ażeby sycić zwierzęce żądze złodzieja, być przedmiotem jego ordynarnych żartów i

ofiara publicznego bicia, kiedy błatniak „bawi się”. Jest żywą rzeczą, którą błatniak bierze w czasowe użytkowanie.

Posłać swoją przyjacielkę-pros ty tutkę do łóżka

naczelnika, jeżeli jest to z korzyścią i to normalne, w pełni

przez wszystkich akceptowane „podejście” do sprawy. Ona

sama też tak uważa. Prowadzone na ten temat rozmowy

mają zawsze cyniczny charakter, są lakoniczne i wyraziste.

Czas jest cenny.

Złodziejska etyka niweluje wszelkie objawy zazdrości i

sentymalizmu. Według uświęconego prastarego

obyczaju złodziejowi - przywódcy, cieszącemu się

największym „autorytetem” w danej złodziejskiej

kompanii, przysługuje prawo wyboru swojej czasowej żony

- najlepszej prostytutki. I jeśli jeszcze wczoraj, zanim

pojawił się nowy przywódca, ta prostytutka spała z innym

złodziejem, będąc jego uznaną własnością, którą mógł wy-

657

pożyczać swoim kolegom, to od dziś wszystkie te prawa

przechodzą na nowego gospodarza. Jeżeli
nazajutrz
zostanie on aresztowany, prostytutka
ponownie wraca do
swego poprzedniego przyjaciela. A jeśli
i tego aresztują, to
będzie powiadomiona, kto zostanie jej
nowym
właścicielem. Panem jej życia i śmierci,
jej losu, pieniędzy,
ciała, decydującym o jej postępowaniu.
Jakże tu może istnieć takie uczucie jak
zazdrość...? Po
prostu w błatniackiej etyce nie ma na
nie miejsca.
Złodziej, jak mówią, to człowiek i nic
co ludzkie nie jest
mu obce. Całkiem możliwe, że czasami
szkoda odstępować
swoją przyjaciółkę, ale prawo jest
prawem, i strażnicy
„ideowej” czystości, stróże czystości
błatniackich
obyczajów (bez żadnego cudzysłowu)
natychmiast wykażą
popęlniony przez zazdrosnego złodzieja
błąd. I on
podporządkuje się prawu.
Zdarzają się przypadki, kiedy
indywidualny charakter i
swoista histeria, charakteryzująca
prawie wszystkich
„urków”, popychają błatniaka do obrony
„swej baby”.

Wtedy staje się to przedmiotem oceny w czasie rozpraw-
„prawilek” i błatniaccy „prokuratorzy”
żądadją ukarania
winnego, podpierając się autorytetem
ustaleń o tysiącletniej
ważności.

Zazwyczaj nie dochodzi jednak do zwady i
 prostytutka śpi
z nowym władcą.

W świecie błatniaków nie ma miejsca
żadne dzielenie się
kobietą, nie istnieje żadna miłość „we
troje”.

Kobiety i mężczyźni są w łagrach
rozdzieleni. Jednakże
istnieją tam szpitale, punkty tranzytowe,
ambulatoria,
kluby, w których kobiety i mężczyźni
widują się
wzajemnie.

Zdumiewa jednak pomysłowość więźniów i
ich energia
skierowana na osiągnięcie celu. To
zadziwia — jaką
kolosalną jej ilość zużytkowuje się w
więzieniu na
zdobycie kawałeczka pogniecionej blachy,
aby stała się ona
nożem — narzędziem zabójstwa lub
samobójstwa. Uwaga
nadzorców zawsze ustępuje czujności
więźnia — wiemy
już o tym od Stendhala, który w Pustelni
parmeńskiej tak

mówi: „Strażnik mniej myśli o swych
kluczach niż więzień
o ucieczce”.

W łagrze cała ogromna energia błatniaka
skierowana jest na
realizację randki z byle jaką
 prostytutką.

Ważne jest znalezienie miejsca, gdzie ta
 prostytutka

powinna przyjść, bo że przyjdzie, w to
błatniak nigdy nie

wątpi. Karząca ręka zawsze dosięgnie
winowajczynię. I oto

przebiera się ona w męskie odzienie,
idzie ponad

programowo do łóżka z nadzorcą czy
dyspozytorem, ażeby

tylko o określonej godzinie prześliznąć
się tam, gdzie

oczekuje nieznany jej
658

całkiem kochanek. Miłość przebiega
spiesznie, jak

kwitnienie traw latem na Dalekiej
Północy. prostytutka

powróci do żeńskiej zony, natknie się na
nadzorcę, posadzą

ją do karceru, zasądzą na miesiąc
izolatora, odeślą do

karnej kopalni - wszystko to zniesie bez
słowa skargi, a

nawet z dumą: bo wypełniła swój
obowiązek prostytutki.

Na Północy, w dużym szpitalu dla
więźniów, zdarzył się

taki wypadek, że do znanego błatniaka, leżącego na oddziale chirurgicznym, potrafiiono przyprowadzić na całą noc prostytutkę do jego łóżka, i tam przespała się ona po kolei z ośmioma złodziejami znajdującymi się wtedy na sali. Dyżurnemu sanitariuszowi-więźniowi zagrożono nożem, a dyżurnemu wolnemu felczerowi podarowano garnitur zerwany z kogoś w łagrze; właściciel rozpoznał swoje ubranie i trzeba było włożyć wiele wysiłku, aby to ukryć.

Dziewczyna ta wcale nie była zmieszana ani speszona, kiedy wykryto ją rano na sali w męskim szpitalu.

- Chłopcy prosili, aby im dogodzić, to i przyszedłam -

wyjaśniła z całym spokojem.

Nietrudno się domyślić, że prawie wszyscy błatniacy i ich przyjaciółki są syfilitykami, a o chronicznej gonorei, nawet w naszym penicylinowym wieku, to i nie ma co mówić.

Znane jest klasyczne już powiedzenie: „Syphilis to nie wstyd, lecz nieszczęście”. Tutaj zaś syphilis nie tylko nie przynosi

wstydu, lecz uważany jest za szczęśliwy
przypadek dla
więźnia, a nie za nieszczęście. Jest to
jeszcze jeden
przykład przesławnej zmiany „skali
odniesienia”. Przede
wszystkim przymusowe leczenie
wenerycznych jest
obowiązkiem i o tym wie każdy błatniak.
Wie o tym, że
„przyhamuje się”, że nie trafi ze swoim
syfilisem do żadnej
głuszy, a będzie mieszkać i leczyć się w
stosunkowo dobrze
urządzonych osiedlach - gdzie znajdują
się specjaliści,
lekarze-wenerolodzy. Wszystko to jest na
tyle dobrze
przewidziane i obliczone, że za
wenerycznych podają się
nawet ci błatniacy, którym Bóg
oszczędził trzech czy
czterech krzyżyków reakcji Wassermana. I
niejed-
noznaczność negatywnej oceny wyników tej
reakcji przez
laboratorium jest im również dobrze
znana. Preparowane
sztucznie wrzody i fałszywe skargi
chorego - to zwykłe
sprawy obok prawdziwych wrzodów i skarg.
Wenerycznie chorych, podlegających
leczeniu, grupuje się
w specjalnych zonach. Kiedyś w takich
zonach w ogóle nie

pracowano i były one najlepiej nadającym się

„schroniskiem Mon Repos" dla błątniaków.

Później takie

zony tworzone były w specjalnych kopalniach czy też

leśnych delegaturach, gdzie poza otrzymywaniem

salwarsanu i racji żywności-

659
wych aresztanci musieli pracować zgodnie ze zwykłymi

normami. Ale w rzeczywistości w takich zonach nie było

prawdziwego „zapotrzebowania" na pracę i żyło się w nich

o wiele łatwiej niż przy normalnej kopalni.

Męskie weneryczne zony były zawsze miejscem, skąd

trafiali do szpitala młodzi „żonowie" błątniaków, zarażeni

syfilisem przez odbytnice, Prawie wszyscy błątniaczy są

pederastami. Z braku kobiet deprawowali i zarażali

mężczyzn — pod groźbą użycia noża lub, rzadziej, za

„szmatki" (odzież) czy chleb.

Mówiąc o kobietach błątniackiego świata, nie sposób

pominać całej armii tych „Zojek", „Maniek", „Daszek" i

innych istot płci męskiej, ozdobionych żeńskimi imionami.

Zdumiewające było to, że nosiciele tych imion reagowali na nie w zupełnie normalny sposób, nie widząc dla siebie w tym żadnej hańby czy obrazy. Żywić się na rachunek prostytutki to dla złodzieja żadna ujma - powinna ona wysoko cenić możliwość obcowania z nim. Z drugiej strony - to jeden z „kuszących” szczegółów zawodu, bardzo przypadający do gustu złodziejskiej młodzieży.

Szybko, szybko nas osądzą,
Poprowadzą w Pierwomajskie,
Etatowe dziewczki zoczą,
Paczki nam przytaszczą rajskie
— tak śpiewa się w więziennej pieśni.

„Etatowe dziewczki” i
to właśnie prostytutki.

Ale bywają przypadki, gdy uczucie zastępujące miłość, a także ambicja i uczucie żalu w stosunku do samej siebie skłaniają kobietę z błatniackiego świata do „nielegalnego” postępowania.

Oczywiście, od złodziejki wymaga się tu więcej niż od prostytutki. Według oceny błatniackich oskarżycieli, złodziejka, która żyje z nadzorcą, winna jest zdrady. Mogą

ją zbić, wskazując w ten sposób
popelniony błąd, ale
również całkiem po prostu zarżnąć, jako
„sukę”*.

Prosty tutce taki postępek nie będzie
poczytany za grzech.

W takich konfliktach kobiety z prawami
jej świata

rozwiązania nie zawsze są jednakowe i
uzależnione są od

indywidualnych cech człowieka.

Tamara Cułukidze, dwudziestoletnia

złodziejska piękność,

była przy-

*„Sukami” nazywano błatniaków, którzy
przeszli na stronę
władzy.

660

jaciółka znanego tyfliskiego urki,

zeszła się z naczelnikiem

kulturalno- -wychowawczej sekcji łagru,
lejtnantem

Graczowem - dziarskim, trzydziestoletnim,
pięknym

kawalerem.

Graczow miał w łagrze jeszcze jedną

kochankę, Polkę

Leszczewską, jedną ze sławnych

„artystek” łagrowego

teatru. Kiedy związał się z Tamarą, ta

zażądała, ażeby

porzucił Leszczewską. Zuchowaty Graczow
żył

jednocześnie z dwiema żonami, skłaniając się ku obyczajom muzułmanów. Będąc jednak człowiekiem doświadczonym, starał się dzielić swe względy równo pomiędzy obie kobiety, co mu się udawało. Dzielona była nie tylko miłość, ale też jej materialne oznaki: każdy jedzeniowy prezent był przez Graczowa przygotowywany w dwu egzemplarzach. Z kremem, wstążkami i perfumami postępował podobnie - i Leszczewską, i Cułukidze tego samego dnia otrzymywały jednakowe wstążki, jednakowe flakoniki perfum, jednakowe chusteczki. Wyglądało to bardzo wzruszająco. A przy tym Graczow był chłopakiem postawnym i schludnym. I Leszczewską, i Cułukidze (mieszkały one w jednym baraku) nie posiadały się z zachwytem nad taktem swego ukochanego. Przyjaciółkami jednak nie zostały i kiedy nagle poproszono Tamare przed oblicze szpitalnych złodziei, Leszczewską po cichu się cieszyła. Jednego razu Tamara zachorowała i leżała w szpitalu na sali

dla kobiet. Nocą drzwi się otworzyły i stukając kulami, przekroczył próg poseł urków. Błatniacki świat wyciągał po nią swą długą rękę.

Wysłannik przypomniał jej o błatniackim prawie własności w zastosowaniu do kobiet i polecił stawić się na oddziale chirurgicznym w celu spełnienia „woli zlecającego”.

Według słów posła znajdowali się tu ludzie znający tego tyfliskiego błatniaka, za którego przyjaciółkę uważana była Tamara. Teraz zastępował go tutaj Sieńka Gundosy

(mówiący przez nos). To właśnie w jego objęciach powinna się natychmiast znaleźć.

Tamara schwyciła kuchenny nóż i rzuciła się na kulawego błatniaka. Ledwo go sanitariusze odwojowali. Oddalił się przy akompaniamencie gróźb i ordynarnych przekleństw.

Następnego dnia Tamara wypisała się ze szpitala.

Dokonano niemało prób, aby z powrotem skierować zbłąkaną córę pod sztandary błatniaków, ale za każdym razem bez powodzenia. Zadano jej cios nożem, ale rana

okazała się głupstwem. Nadszedł koniec wyroku i Tamara wyszła za mąż za jakiegoś nadzorcę - człowieka z rewolwerem, błatniacki świat nie zdołał jej pochwycić.

661

Błękitnooka Nastia Archarowa, kurgańska maszynistka, nie będąc ani złodziejką, ani prostytutką, z własnej woli związała na zawsze swój los ze światem błatniaków.

Od młodych lat otoczona była podejrzanym szacunkiem, złowieszczym poważaniem ze strony takich ludzi, o których czytała tylko w powieściach detektywistycznych.

Ten szacunek, który Nastia zauważyła jeszcze „na wolności”, miała też w więzieniu i w łagrze - wszędzie tam, gdzie pojawiali się błatniacy.

Nie było w tym nic tajemniczego - starszy brat Nastii był znanym uralskim „mistrzem skoku”, i Nastia od młodych lat kąpała się w blasku jego przestępczej sławy, jego pełnego sukcesów, złodziejskiego losu.

Niespostrzeżenie znalazła się w kręgu błatniaków, ich spraw i interesów, nie

odmawiając pomocy przy przechowywaniu ukradzionych rzeczy. Pierwszy trzyletni wyrok umocnił ją w tym i sprawił, że stała się zawzięta i silnie związana ze światem błatniaków. Dopóki przebywała w swoim rodzinnym mieście, złodzieje, obawiając się gniewu jej brata, nie decydowali się wykorzystywać jej jako swojej własności. Biorąc pod uwagę jej społeczną „pozycję”, to znajdowała się ona bliżej złodziejek, bo prostytutką wcale nie była, i jako złodziejka pojechała w daleką podróż na państwowy rachunek. Tutaj już nie było brata i od razu w pierwszym mieście, do którego trafiła po pierwszym zwolnieniu z łagru, jakiś błatniacki przywódca uczynił ją swą żoną, zaraziwszy ją przy tym tryprem. W niedługim czasie aresztowano go. Na pożegnanie zaśpiewał Nastii złodziejską piosenkę: Zawładnie tobą koriesz mój. Z tym „korieszem” (tj. druhem) Nastia również długo nie pożyła – wsadzono go także do więzienia, a w stosunku do niej

zgłosił swe prawa kolejny władca. Był dla Nastii fizycznie odrażający - wiecznie śliniący się i pokryty jakimś liszajem. Spróbowała bronić się, wykorzystując nazwisko brata, ale wykazano jej, że nawet jej brat nie ma prawa naruszać wzniosłych zasad błatniackiego świata. Gdy zagrożono jej nożem, przestała się dalej opierać. W szpitalu Nastia pokornie stawiała się na „miłosne” wezwania, często przesiadywała w karczerze i wiele płakała - czy to dlatego, że była skora do płaczu, czy też przerażał ją własny los, los dwudziestoletniej dziewczyny. Wostokow, starszy już wiekiem szpitalny lekarz, poruszony jej losem, podobnym skądinąd do tysięcy innych, obiecał jej pomoc urządzić się w biurze na stanowisku maszynistki, jeżeli odmieni swoje życie. To poza moją wolą - pisała pięknym charakterem pisma Nastia. Mnie nic nie uratuje. A jeśli już chce pan zrobić dla mnie coś dobrego to proszę mi kupić Kapronowe pończochy; możliwie najmniejszego wymiaru.

Gotowa na wszystko dla pana, Nastia Archarowa.

Złodziejka Sima Sosnowska była wytatuowana od nóg do głowy. Zadziwiające, przechodzące jedna w drugą erotyczne sceny o najbardziej wymyślnej treści, pokrywały jej całe ciało fantazyjnymi liniami. Jedyne twarz, szyja i ręce pozostały bez „nakłuć”. Sima znana była w szpitalu dzięki swej zuchwałej kradzieży - zdjęła z ręki konwojenta złoty zegarek, kiedy ten chciał w drodze skorzystać z przychylności ładniutkiej Simy. Miała ona znacznie łagodniejszy charakter niż Agłaja Diemidowa, inaczej konwojent leżałby w krzakach aż do nadejścia następnego. Sima patrzyła na to jak na zabawną przygodę i uważała, że złoty zegarek to niezbyt wygórowana cena za miłość. Konwojent omal nie zwariował i aż do ostatniej minuty żądał zwrotu zegarka, rewidując ją bezskutecznie dwa razy. Szpital był już niedaleko, etap liczył wiele osób - i konwojent nie zdecydował się na wszczęcie skandalu.

Złoty zegarek pozostał u Simy. W niedługim czasie został przepity i ślad po nim zagał. W moralnym kodeksie błatniaka, podobnie jak w Koranie, istnieje zdeklarowana pogarda w stosunku do kobiety.

Kobieta - to istota, którą się pogardza, istota niższa, która godzi się bić i nie godzi się żałować. Odnosi się to w takim samym stopniu do wszystkich kobiet - każda inna kobieta, nienależąca do błatniackiego świata, jest także przedmiotem pogardy błatniaka. Zbiorowy gwałt -

„chórem” - to wcale nie rzadkość na kopalniach Dalekiej Północy. Naczelnicy przewożą swe żony pod osłoną straży; kobieta nigdzie nie chodzi ani nie jeździ sama. W podobny sposób strzeżone są dzieci: defloracja małoletnich dziewczynek - to stałe marzenie każdego błatniaka. I nie zawsze pozostaje ono tylko marzeniem. W pogardzie dla kobiet błatniak wychowuje się już od najmłodszych lat. Swoją przyjaciółkę-prostytutkę bije tak często, że ta, jak mówią, przestaje odczuwać całą pełnię

miłości, jeżeli z jakiejś tam przyczyny
nie otrzyma kolejnej
porcji bicia. Sama etyka świata
błatniaków wyrabia w nich
sadyistyczne skłonności.
Błatniak nie powinien żywić żadnego
uczucia przyjaźni czy
koleżeństwa do swej „baby”. Również nie
powinien mieć
żadnej litości dla obiektu swych niskich
uniesień. Nie może
też istnieć żadna sprawiedliwość w
stosunku do kobiet
swego własnego świata - ich problematyka
wyrzucona
została za bramę etycznej „zony”
błatniaków.

Ale istnieje jeden wyjątek od tej
ponurej zasady. Istnieje
jedna jedyna kobieta, nie tylko
odgradzona od zamachów
na jej godność, ale posta-
663

wioną wysoko na piedestał. Kobieta
poetycznie
idealizowana w świecie błatniaków,
kobieta, która stała się
tematem ich lirycznej twórczości,
bohaterką folkloru
przestępców w ciągu wielu pokoleń.
Kobietą tą jest - matka
złodzieja.

W wyobraźni błatniaka świat, który go
otacza, jest zły i

nieprzyjazny, pełny jego wrogów. I
istnieje w nim tylko
jedna jasna postać, godna czystej
miłości, szacunku i
uwielbienia. To - matka.
Kult matki połączony ze złośliwą pogardą
dla kobiety w
ogóle to etyczna formuła kryminalistów
dotycząca kwestii
kobiecej, wypowiedana ze szczególnym
więziennym
sentymentalizmem. O tego rodzaju
sentymentalizmie
napisano wiele głupstw. W rzeczywistości
jest to
sentymentalizm zabójcy, podlewającego
grządkę róż krwią
swoich ofiar. Sentymentalizm człowieka,
który opatruje
ranę jakiegokolwiek ptaszka, a po
godzinie gotów jest
rozerwać go własnymi rękami, bo scena
umierania żywej
istoty - to najlepsze widowisko dla
błatniaka.
Trzeba znać rzeczywiste oblicze autorów
kultu matki, kultu
otoczonego mgiełką poezji.
Z tym samym brakiem jakichkolwiek
zahamowań i
teatralnością, które każą błatniakowi
„podpisywać się”
nożem na ciele zabitego przez siebie
renegata czy

publicznie gwałcić kobietę w biały dzień,
na oczach
wszystkich, deflorować trzyletnią
dziewczynkę lub zarażać
syfilisem mężczyzną, „zojkę” - z taką
samą ekspresją
błatniak tworzy poetyczny obraz matki,
ubóstwia ją, czyni
ją obiektem więziennej liryki
odwołującej się do
najgłębszych uczuć i zobowiązuje
wszystkich do
oddawania jej, nieobecnej, wszelkiej
czci i szacunku.
Na pierwszy rzut oka uczucie złodzieja
do matki to jakby
jedyne co ludzkie, co uchowało się wśród
jego skażonych,
kalekich emocji. Błatniak jest jak gdyby
zawsze tym
uważającym synem, a wszystkie ordynarne
rozmowy o
cudzej matce błatniacki świat
natychmiast każe przerywać.
Matka to jakiś wzniosły ideał i
jednocześnie coś zupełnie
realnego, co każdy posiada. Matka, która
zawsze przebaczy
i zawsze się ulituje.
Byśmy żyć mogli, mama pracowała, A ja po
cichu
zaczynałem kraść. Złodziejem będziesz,
matka
przestrzegała, Ze łzami w oczach. Ojca
jesteś maść.

Tak śpiewa się w jednej z klasycznych
pieśni kryminalistów

- Los,

Rozumiejąc, że w ciągu całego burzliwego
i krótkiego

życia złodzieja jedynie matka pozostanie
z nim do końca,

oszczędza ją on w swym cynizmie.

Ale i to, jedyne jak gdyby, jaśniejsze
uczucie jest kłamliwe,

podobnie jak wszystkie drgnienia duszy
błatniaka.

Wysławianie matki - to kamuflaż,

wychwalanie jej jest po

to, aby oszukać, i tylko w najlepszym
przypadku, mniej lub

bardziej wyraziście przedstawia
więzienny sentymentalizm.

1 w tym, zdawałoby się, wzniosłym
uczuciu złodziej

kłamie od początku do końca, podobnie
jak w każdej

swojej wypowiedzi. Żaden ze złodziei
nigdy nie posłał swej

matce ani kopiejki, nawet nie pomógł jej
na swój sposób,

przepijając w hulankach tysiące
ukradzionych rubli.

W tym uczuciu do matki nie ma nic oprócz
udawania i

teatralnej kłamliwości. Kult matki - to
swego rodzaju

zasłona dymna, przesłaniająca szpetny
złodziejski świat.

Kult matki, nieprzenoszony na żonę i w ogóle na kobiety - to fałsz i kłamstwo. Stosunek do kobiety - to papierek lakmusowy każdej etyki. Zwróćmy tu uwagę, że to właśnie kult matki, współistniejący z cyniczną pogardą dla kobiet, uczynił jeszcze przed trzydziestu laty Jesienina tak popularnym autorem w przestępczym świecie. Ale o tym - w odpowiednim miejscu. Złodziejce czy przyjaciółce złodzieja, kobiecie, która weszła wprost czy pośrednią drogą na teren przestępczego świata, zabrania się jakichkolwiek „romansów” z „frajerami”. Nieposłusznej, gdy taki przypadek się zdarzy, nie zabijają, nie - „robą ją na czysto”. Nóż to zbyt szlachetna broń, żeby jej używać w stosunku do kobiety - na nią wystarczy kij lub pogrzebacz. Inaczej rzecz się ma, jeżeli chodzi o związek męczyzny z „wolną kobietą”. To oznaka dzielności i powód do chwały, przedmiot chełpliwych opowiadań jednych i tajonej zawiści drugich. Takie przypadki wcale nie są rzadkie. Jednakże

wokół nich tworzy się zazwyczaj tyle bajek, że prawda jest trudna do wyłowienia. Maszynistka przemienia się w kobietę- -prokuratora, gońcówna - w dyrektorkę przedsiębiorstwa, sprzedawczyni - w ministra. Bajdy spychają prawdę w głąb sceny, w ciemności, i nie sposób się połapać w tym spektaklu. Nie ulega wątpliwości, że pewna część błatniaków ma rodziny w miastach, z których pochodzą, rodziny od dawna porzucone przez mężów. Ich żony wraz z małymi dziećmi same walczą z życiem, każda po swojemu. Bywa, że mężowie powracają z miejsc pozbawienia wolności do swoich rodzin, ale zazwyczaj nie na długo. „Duch włóczęgi” ciągnie ich ku nowym wędrówkom, a do tego miejscowy wydział kryminalny przyczynia się do szybszego wyjazdu błatniaka. A w rodzinach pozostają dzieci, którym ojcowska profesja nie wydaje się czymś strasznym, lecz wywołuje współczucie i - co więcej - chęć pójścia w ojcowskie ślady, tak jak w pieśni Los:

Kto siłę ma, by z losem powojować, Niech walczy wciąż,
aż zbliży się już kres. Mam mało sił,
lecz przyjdzie mi
zachować Zmarłego ojca drogę i jej treść.
Złodzieje z ojca na syna - to właśnie
jest kadrowe jądro
przestępczego świata, jego „wodzowie” i
„ideolodzy”.
Problemy związane z ojcostwem i
wychowaniem dzieci są
dla błatniaka nieodmiennie odległe -
zagadnienia te są
wyłączone z błatniackiego Talmudu.
Przyszłość córek (jeśli
gdzieś one istnieją) wydaje się
złodziejowi normalna w
postaci kariery prostytutki,
przyjaciółki jakiegoś innego
znamienitego złodzieja. Sumienie
błatniaka zupełnie nie
jest obciążone żadnym moralnym balastem
(nawet w
zakresie błatniackiej specyfiki). To, że
synowie staną się
złodziejami, wydaje mu się też zupełnie
naturalne.

ESPERANTO

Przypomniał mi tę historię wędrowny
aktor, aktor-aresztant.
Po koncercie łagrowej „kultbrygady”
występujący w
głównej roli, w jednej osobie również
reżyser i cieśla,
wymienił nazwisko Skorosiejewa.

Coś błysnęło mi w mózgu i przypomniałem
sobie punkt
tranzytowy trzydziestego dziewiątego
roku, tyfusową
kwarantannę i nas pięciu potrafiących
wytrzymać, wystać
wszystkie oczekiwania na odjazd,
wszystkie etapy,
wszystkie „stania” na mrozie i mimo
wszystko pojmanyh
w łagrową sieć i wyrzuconych w bezkres
tajgi.

Wszyscy pięciu, nic nie wiedzieliśmy o
sobie, nie
chcieliśmy wiedzieć i nie dowiedzieliśmy
się, dopóki nasz
etap nie znalazł się tam, gdzie mieliśmy
razem pracować i
mieszkać.

W różny sposób przyjmowaliśmy tajemniczą
nowość etapu:

jeden z nas zwariował, myśląc, że
prowadzą go na
rozstrzelanie, a jego przecieź
prowadzono ku życiu. Drugi
chytrze kombinował i prawie przechytrzył
los. Trzeci – ja!

– byłem człowiekiem z krainy złota,
obojętnym szkiele-
tem. Czwarty – majster-złota rączka,
mający ponad
siedemdziesiąt lat. Piątym był...
Skorosiejew – jak mówił,
stając na palcach, ażeby każdemu
spojrzeć w oczy.

Skoro sieję... rozumi pan?

Było mi to obojętne, a od kalamburów
oduczyłem się na
zawsze. Ale majster-złota rączka
podtrzymał rozmowę.

W jakim charakterze pan pracował?

Jako agronom w Narkomziemie.

Naczelnik geologicznego zwiadu, który
przyjmował etap,

przekartkował „akta” Skorosiejewa.

Obywatelu naczelniku, ja jeszcze
potrafię...

Zatrudnię jako stróża...

Jako stróż Skorosiejew pracował gorliwie.

Ani na minutę

nie schodził

667

ze stanowiska, obawiał się, że

najmniejsze zaniedbanie

wykorzysta jego kolega - doniesie,

sprzeda, zwróci uwagę

naczelnika. Lepiej nie ryzykować

jednego razu przez całą noc trwała silna

zamięć.

Zmiennikiem Skorosiejewa był płowowłosy
haliczanin

Naryński - jeniec pierwszej wojny

światowej, który został

skazany za przygotowanie zamachu celem
przywrócenia

monarchii austro-węgierskiej, trochę z
tego dumny, że ma

taką niezwykłą, „rzadką sprawę” pośród
całych stad

trockistów i szkodników Przejmując od Skorosiejewa dyżur, Naryński, śmiejąc się, zauważył, że nawet śnieg i zamieć nie potrafiły go ruszyć z jego posterunku. Gorliwość została więc zauważona. Pozycja Skorosiejewa umacniała się. W łagrze padł koń. Nie była to wielka strata - na Dalekiej Północy konie marnie pracują. Ale mięso! Mięso! Trzeba było zdjąć skórę, a trup zamarznął w śniegu. Nie było mistrzów w tym fachu ani chętnych. Zgłosił się Skorosiejew. Naczelnik zdziwił się, ale też ucieszył - skóra i mięso! Skórę do rozrachunku, a mięso - do kotła. O Skorosiejewie rozprawiał cały barak, cała osada. Mięso! Mięso! Zaciągnięto końskiego trupa do łaźni, gdzie Skorosiejew rozmroził go, zdjął skórę i wypatroszył. Skóra na mrozie zesztyniała i została zaniesiona do składu. Mięsa nam jednak nie udało się pojeść - w ostatniej chwili naczelnik zmienił zdanie: nie było przecież weterynarza, nie było jego podpisu na protokole! Porąbano więc

końskiego trupa na kawałki i po sporządzeniu protokołu spalono w ognisku w obecności naczelnika i kierownika robót.

Węgla, którego poszukiwał nasz zwiad, nie udawało się znaleźć. Dlatego powoli - po pięć, po dziesięć osób - zaczęły z łagru odchodzić etapy.

Wierzchem, górą, ścieżyną w tajdze odchodzili ci ludzie z mojego życia na zawsze.

Tu, gdzie mieszkaliśmy, to był mimo wszystko zwiad, a nie kopalnia i każdy to rozumiał. Każdy starał się tu utrzymać jak najdłużej. „Przyhamować się” w tym miejscu, jak tylko potrafił. Jeden począł niezwykle gorliwie pracować. Drugi zaś - modlić się dłużej, niż to miał w zwyczaju. W naszym życiu pojawił się strach.

Przybył konwój. Aż zza gór przybył. Czyżby po ludzi? Nie, konwój nikogo nie odprowadzał, nikogo nie eskortował!

Nocą w baraku urządzono rewizję. Nie mieliśmy książek, nie mieliśmy noży, nie było ołówków chemicznych, gazet, papieru - czegoż więc szukać?

Zabierano cywilną odzież. Wielu ją miało - przecież w

ekipie tego zwiadu pracowali również wolni, a sam zwiad był rozkonwojowany. Zapobieganie ucieczkom?

Wykonanie rozkazu? Zmiana reżimu? Zabierano wszystko bez sporządzania żadnych protokołów, żadnych spisów. Odbierano - i koniec!

Oburzenie było bezmierne. Przypomniałem sobie, jak przed dwoma laty w Magadanie odbierano cywilną odzież, setki tysięcy zimowych futrzanych palt od setek etapów, od setek tysięcy ludzi zabranych na Północ, na Daleką Północ, od setek tysięcy nieszczęsnych więźniów. Ciepłe palta, swetry, drogie garnitury - drogie, na łapówkę dla kogokolwiek, żeby ratować swe życie w tej rozstrzygającej godzinie. Ale droga ratunku została odcięta w magadańskiej łaźni. To były góry wyższe od wieży ciśnień, wznoszące się ponad dach łaźni. Góry ciepłej odzieży, tragedii, spiętrzenie ludzkich losów, które nagle urywało się - skazując wychodzących z łaźni na śmierć. Ach, jakże ci wszyscy ludzie walczyli, ażeby uchronić swe

dobro od błatniaków, od jawnego rozboju
w barakach,
wagonach, punktach tranzytowych!
Wszystko, co zdołało
się uratować, ukryć przed błatniakami,
zostało w łaźni
odebrane przez państwo. Jakie to proste!
I oto - znów to
samo.

Do wolnej odzieży, która jakoś
przesaczyła się do kopalń,
dopadano później. Przypomniałem sobie,
jak rozbudzono
mnie nocą, bo rewizje robiono codziennie
- codziennie
wyprowadzano ludzi. Siedziałem na narach
i paliłem. Była
to kolejna rewizja w poszukiwaniu wolnej
odzieży. Nie
miałem jej - wszystko pozostało w
magadańskiej łaźni.
Ale moi towarzysze mieli jeszcze taką
odzież. Były to
rzeczy drogocenne - symbole innego życia,
zbutwiałe,
porwane, nienaprawiane - nie starczało
na to sił - ale jednak
drogie.

Wszyscy stali przy swych miejscach i
czekali. Śledczy
siedział koło lampy i pisał protokół,
protokół rewizji,
„zatrzymania”, jak to się nazywa w
łagrowym języku.

Siedziałem na narach i paliłem, nie denerwując się ani oburzając. Pragnąłem tylko jednego - żeby rewizja się skończyła i żebym mógł pójść spać. Ale zobaczyłem, jak nasz sprzątający, nazwiskiem Praga, rąbie własny garnitur, prześcieradła, ciacha swoje trzewiki. Tylko na onuce. Oddam tylko jako onuce. Zabierzcie mu topór! - wrzasnął śledczy. Praga rzucił topór na podłogę. Rewizja zatrzymała się. Rzeczy, które Praga rwał, rozcinał, niszczył, były jego własnymi rzeczami. Nie zdążono ich jeszcze wpisać do protokołu. Praga, widząc, że nie łapia go za ręce, na moich oczach zamienił w szmatki całą swą wolną odzież. I na oczach śledczego. To było przed rokiem. I teraz - znów to samo. Wszyscy byli poruszeni, podnieceni i długo nie zasypiali. Dla nas nie ma żadnej różnicy pomiędzy błatniakami, którzy nas ograbiają, a państwem - powiedziałem i wszyscy się ze mną zgodzili. Stróż Skorosiejew wychodził na dyżur, na swą zmianę dwie godziny wcześniej od nas. Dwójkami, na ile zezwalała

leśna ścieżyna, dotarliśmy do biura,
bardzo dotknięci -
naiwne poczucie sprawiedliwości jest
głęboko
zakorzenione w duszy człowieka i, być
może, nie do
usunięcia. Wydawałoby się, dlaczego tu
się obrażać?
Dlaczego złościć? Oburzać się? Przecież
ta przeklęta
rewizja to jeden z tysięcy przykładów.
Na dnie duszy coś
tam się jednak gotowało, coś, co było
silniejsze od woli, od
życiowego doświadczenia. Twarze
aresztantów pociemniały
od gniewu.
Na ganku biura stał sam naczelnik Wiktor
Nikołajewicz
Płutałow. Miał również ciemną od gniewu
twarz. Nasza
maleńka kolumna zatrzymała się przed
biurem i
natychmiast wezwano mnie do gabinetu
Płutałowa.
A więc mówisz, że państwo jest jeszcze
gorsze niż
błatniacy - patrząc na mnie spode łba i
zagryzając wargi,
powiedział Płutałow i z trudnością,
niewygodnie usiadł na
taborecie za biurkiem.
Milczałem. Skorosiejew! Niecierpliwy
człowiek, pan

Płutałow, nie odczekał nawet kilku godzin, aby nie ujawniać swojego stukacza! A może tu chodzi o co innego?
Wasze rozmowy mnie nie obchodzą. Ale jeżeli mi donoszą lub, jak to po waszemu — „dują”?
Dużą, obywatelu naczelniku.
A może „stukają”?
Stukają, obywatelu naczelniku.
Idź do roboty. Przecież wy sami gotowi jesteście pożreć jeden drugiego. Politycy! Wszechświatowy język. Wszyscy się nawzajem rozumieją. Przecież jestem naczelnikiem — muszę coś robić, gdy mi dują...
Płutałow splunął ze złością.
Gdy minął tydzień, z kolejnym etapem opuściłem ten błogosławiony zwiad, jadąc do wielkiej kopalni, gdzie od pierwszego dnia stanąłem zamiast konia w egipskim kołowrocie windy, napierając nań własną pierśią.
Skorosiejew pozostał w ekipie zwiadu. Odbywał się koncert łagrowego kółka artystycznego i wędrowny aktor-konferansjer, zapowiedziawszy kolejny numer, wybiegał do pokoju artystów — do jednego ze szpitalnych pokoi — aby wzmocnić ducha nie-

doświadczonych uczestników koncertu.

Dobrze idzie -

głośno oznajmiał i przechadzał się po pokoju artystów, ścierając jakąś brudną szmatką pot ze swego rozpalonego czoła.

Wszystko odbywało się tak jak u wielkich aktorów, bo i

sam wędrowny aktor był nim na wolności.

Ktoś znajomym

głosem recytował na estradzie

opowiadanie Zoszczenki

Lemoniada. Konferansjer nachylił się do mnie.

Daj zapalić.

Proszę, zapal.

Nie uwierzysz - powiedział nagle

konferansjer - gdybym

nie wiedział, kto to recytuje,

pomyślałbym, że to ten pies,

Skorosiejew.

Skorosiejew? - Pojąłem, czyją intonację

przypomina mi

słyszany ze sceny głos.

Tak. Jestem esperantystą. Rozumiesz?

Wszechświatowy

język. Nie jakiś tam basic english. I

wyrok mam za

esperanto. Jestem członkiem

moskiewskiego

stowarzyszenia esperantystów.

Według pięćdziesiątego ósmego, punkt

sześć? Za

szpiegostwo?

Jasna sprawa.

Dziesięć?

Piętnaście.

A Skorosiejew?

Skorosiejew - to zastępca prezesa zarządu stowarzyszenia.

To właśnie on wszystkich sprzedał, wszystkich władował...

Taki maleńki?

A tak.

A gdzie on jest teraz?

Nie wiem. Udusiłbym go własnoręcznie.

Proszę cię, jak

przyjaciela - znaliśmy się z aktorem nie dłużej niż dwie

godziny - jeśli go zobaczysz, jeśli spotkasz, wal w mordę.

Wprost w mordę, a połowa grzechów będzie ci

odpuszczona.

To jednak połowa?

Odpuści się, odpuści.

Tymczasem recytator opowiadania

Zoszczenki Lemoniada

złaził już ze sceny. To nie był

Skorosiejew, lecz chudy i

długi, jak wielki książę z rodu

Romanowów, baron, baron

Mendel - potomek Puszkina. Rozczarowałem się,

spoglądając na potomka Puszkina, a

konferansjer

wyprowadzał na scenę kolejną ofiarę.

„Nad równiną siwą

morza wicher ciemne chmury zgania...”

Proszę posłuchać - pochylając się ku
mnie, zaszeptał baron
- czy to jest wiersz? „Wicher wieje,
grom się toczy”? Nie
takie bywają wiersze.
Aż strach pomyśleć, że w tym samym
czasie, tego samego
roku, w tym samym dniu, o tej samej
godzinie Błok napisał
Zakłęci przez ogień i mrok, a Biełyj -
Złoto w lazurze...
Zazdrościłem baronowi tego szczęścia -
oderwania się,
ucieczki, utonięcia w wierszach. Ja tak
nie potrafiłem.
Nic nie zostało zapomniane. A minęło
wiele lat. Po
zwolnieniu przyjechałem do Magadanu,
starając się
zwołnić naprawdę, przepłynąć to straszne
morze, którym
przywieziono mnie na Kołymę przed
dwudziestu laty. I
choć wiedziałem, jak trudno mi
przyjdzie żyć w
bezustannej tułaczce, nie chciałem ani
przez godzinę z
własnej woli pozostać na przeklętej
kołymskiej ziemi.
Pieniędzy wystarczyło mi ledwo, ledwo.
Jadący w tamtą
stronę samochód - rubel za jeden
kilometr - przywiózł
mnie do Magadanu. Miasto otulał
rozbielony mrok. Mam tu

znajomych – powinni być. Ale na Kołymie
znajomych
poszukuje się w dzień. W nocy nikt nie
otworzy, nawet na
dźwięk znajomego głosu. A trzeba mi
dachu nad głową, nar
i snu.

Stałem w pomieszczeniu dworca
autobusowego i
spoglądałem na podłogę, całą pokrytą
ciałami, rzeczami,
workami, skrzynkami. W ostateczności...
Tylko że zimno
było tu jak na dworze, z pięćdziesiąt
stopni. Żelazny piecyk
nie palił się, a drzwi stale trzaskały.
Chyba znajomy?

W tym srogim mrozie ucieszyłem się nawet
na widok

Skorosiejewa. Uścisnęliśmy sobie ręce
poprzez rękawice.

Chodźmy do mnie na nocleg, mam tu swój
dom. Przecież

już dawno się zwolniłem. Wybudowałem na
kredyt. Nawet
ożeniłem się. – Skorosiejew roześmiał
się. – Napijemy się
herbaty...

Tak było zimno, że się zgodziłem. Długo
wlekliśmy się po
górach i wybojach nocnego Magadanu,
zaciągniętego
zimną, mętnobiałą mgłą.

Tak, wybudowałem dom – mówił Skorosiejew,
gdy ja

palilem, odpoczywając – kredyt. Kredyt od państwa.

Zdecydowałem się uwić sobie gniazdo. Północne gniazdo.

Napiłem się herbaty, położyłem i zasnąłem. Ale spałem źle, mimo długiej podróży. Jakoś niedobrze przeżyłem

wczorajszy dzień. Kiedy się obudziłem, umyłem i

zapaliłem papierosa, zrozumiałem, dlaczego źle przeżyłem ten dzień.

No to ja już pójdę. Mieszka tu mój znajomy.

Ale niech pan zostawi walizkę. Jak znajdzie pan znajomych – wróci pan po nią.

672

Nie, nie warto drugi raz wdrapywać się na górę.

Mógłby pan u mnie się zatrzymać.

Jakkolwiek by było, starzy przyjaciele.

Tak. Żegnam.

Zapiąłem półkożuszek, wziąłem walizkę i już chwyciłem za klamkę.

Żegnam.

A pieniądze? – spytał Skorosiejew.

Jakie pieniądze?

A za łóżko, za nocleg. Przecież to nie za darmo.

Proszę wybaczyć – powiedziałem. – Nie pomyślałem.

Postawiłem walizkę, rozpiąłem
półkożuszek, wyszukałem
w kieszeniach pieniądze, zapłaciłem i
wyszedłem w
białożółtą mgłę magadańskiego dnia.

NACZELNIK SZPITALA

Poczekaj, ty jeszcze podpadniesz,
natniesz się - tak po
błatniacku wygrażał mi naczelnik
szpitala doktor Doktor -
jedna z najbardziej złowieszczych
postaci Kołymy...
- Stań, jak się należy!
Stałem tak „jak się należy”, ale byłem
spokojny.
Wykształconego felczera z dyplomem nie
wyrzuca na
pastwę jakiegoś zwierza, nie wydadzą
doktorowi
Doktorowi - to był czterdziesty siódmy,
a nie trzydziesty
siódmy rok - więc ja, który widziałem co
nieco z tego,
czego doktor Doktor nie mógłby nawet
wymyślić, byłem
spokojny i czekałem tylko na jedno -
ażeby naczelnik
odszedł. Byłem starszym felczerem
oddziału chirurgii.
Nagonka rozpoczęła się niedawno, po tym,
jak doktor
Doktor wykrył w moich „aktach
personalnych”, że byłem
zasądzony według literowego kodu „KRTD”,
a doktor

Doktor był pracownikiem oddziału politycznego, czekista, który posłał na śmierć niemało takich „KRTD”, i oto po ukończeniu kursu pojawił się w szpitalu, trafił w jego ręce felczer, który właściwie podlega likwidacji.

Doktor Doktor spróbował zwrócić się o pomoc do pełnomocnego NKWD Bakłanowa. Ale ten był frontowcem, młodym, wprost z wojny.

Nieczyste sprawy samego doktora Doktora – bo specjalnie oddelegowani

rybacy przywozili mu rybę, myśliwi zabijali dziczyznę, jednym słowem, wymuszone zaopatrywanie naczalstwa w

żywność szło na pełnych obrotach – spowodowały, że nie znalazł on zrozumienia u Bakłanowa.

Przecież on z pańskiego kursu, dopiero co ukończył. Sam go pan przyjmował.

To w kadrach przegapili. Nie dojdiesz tu prawdy.

No – powiedział pełnomocny. – Jeżeli będzie naruszać – jednym słowem – coś popełni, to usuniemy.

Pomożemy.

Doktor Doktor ponarzekał na ciężkie czasy i zaczął cierpliwie czekać. Naczelnicy także potrafią cierpliwie

oczekiwać na błąd swych podwładnych.

674

Centralny łagrowy szpital był wielkim szpitalem, na tysiąc łóżek. Byli w nim więźniowie-lekarze wszystkich specjalności. Wolne naczalstwo dopięło tego, że zezwolono na uruchomienie dwu sal dla wolnych przy oddziale chirurgicznym - jedną męską, drugą żeńską - dla pacjentów wymagających natychmiastowego leczenia po operacji. Na mojej sali leżała dziewczyna przywieziona tu ze ślepa kiszka, ale nie zoperowano jej, lecz leczono zachowawczo. Dziewczyna była bystra, zdaje się - sekretarz organizacji komsomolskiej zarządu górniczego. Kiedy ją przywieziono, szarmancki jak zawsze chirurg Braude pokazywał nowej pacjentce oddziały szpitala i coś tam rozprawał o... złamaniach i zapaleniach kręgosłupa, oprowadzając kolejno po wszystkich oddziałach. Na dworze było sześćdziesiąt stopni mrozu, a w stacji krwiodawstwa nie było pieców - okno było całe zaszronione i nie sposób było gołą ręką

chwycić za metal - ale pełen galanterii
chirurg otworzył
szeroko drzwi stacji i wszyscy cofnęli
się do korytarza.

Tu właśnie przyjmujemy zazwyczaj kobiety.
Bez specjalnego powodzenia, jak
przypuszczam -
powiedziała dziewczyna, grzejąc własnym
oddechem ręce.

Chirurg zmieszał się.

Ta właśnie bystra dziewczyna zaczęła
przychodzić do mnie
do dyżurki. Stała tam mrożona brusznica,
cała miska, i
gadaliśmy do późna. Jednego razu, o 12,
drzwi dyżurki

otwarły się na oścież i wszedł doktor
Doktor. Był bez
fartucha, w skórzanej kurtce.

Na oddziale jest wszystko w porządku.
Widzę. A pani - kim jest? - doktor
Doktor zwrócił się do
dziewczyny.

Jedną z chorych. Leżę tutaj na żeńskiej
sali. Przyszłam po
termometr.

Jutro już pani tu nie będzie. Zlikwiduję
ten burdel.

Burdel? Kto to taki? - spytała
dziewczyna.

To naczelnik szpitala.

Aa, to to jest właśnie doktor Doktor?
Słyszałam, słyszałam.

Czy ci coś wleci za mnie? Za brusznice?
Nic mi nie zrobią.

No, na wszelki wypadek jutro do niego
zajdę. Tak mu
nagadam, że zrozumie, gdzie jest jego
miejsce. A jeżeli cię
ruszą, to daję ci słowo honoru...
Nic mi nie zrobią.
Dziewczyny nie wypisali, jej wizyta u
naczelnika szpitala
odbyła się

675

i wszystko ucichło aż do pierwszego
ogólnego zebrania, na
którym doktor Doktor wystąpił z
referatem na temat
obniżenia się dyscypliny.
Na przykład na oddziale chirurgicznym
felczer siedzi z
kobietą na sali operacyjnej - doktor
Doktor pomylił dyżurkę
z salą operacyjną - i je brusznice.
To z kim tak?
Z kim? - krzyknął ktoś z wolnych.
Ale doktor Doktor nie wymienił nazwiska.
Błysnęło, a ja nic nie zrozumiałem.
Starszy felczer
odpowiada za wyżywienie - naczelnik
szpitala
zdecydował się zadać niezwykle prosty
cios. Zmierzone
ilość kisielu i zabrakło dziesięć gramów.
Z wielkim trudem
udało mi się udowodnić, że jeśli wydaje
się go maleńkim
czerpaczką, a wytrząsa na wielki
talerz - to nie daje się

uniknąć straty tych dziesięciu gramów składających się z

tego, co „przyklepia się do dna”.

Błyskawica mnie uprzedziła, choć nie było grzmotów.

Piorun uderzył drugiego dnia, bez błyskawicy.

Jeden z lekarzy na sali poprosił, żeby zostawić jego

choremu, który już umierał, łyżkę czegoś smacznego.

Chcąc spełnić jego prośbę, kazałem rozdawcy pozostawić

pół miski jakiejś zupy z dietetycznego stołu. Było to wbrew

przepisom, ale praktykowało się zawsze, na każdym

oddziale. W czasie obiadu wleciał na oddział cały tłum

wysokiego naczalstwa z doktorem Doktorem na czele.

A to dla kogo? - Na piecyku grzało się pół miski

dietetycznej zupy.

To doktor Gusiew prosił dla swojego chorego.

Chory doktora Gusiewa nie ma dietetycznego żywienia.

Dawać tu doktora Gusiewa.

Doktor Gusiew, więzień, a do tego sądzony według 58-1-a -

zdrada ojczyzny, blady od strachu pojawił się przed oczami

naczalstwa. Niedawno wzięto go do szpitala po wielu latach

podań i prósb. A tutaj takie pechowe polecenie.

Nie wydawałem takiego zalecenia, obywatelu naczelniku.

A więc pan, panie starszy felczerze, łże.

Wprowadza pan nas w błąd - pienił się doktor Doktor. -
Podpadłeś, przyznaj się. Naciałeś się.

Żal mi było doktora Gusiewa, ale go rozumiałem. Nic nie powiedziałem. Milczeli również wszyscy członkowie

komisji - lekarz naczelny, naczelnik łagru. Wściekał się jedynie doktor Doktor.

Zdejmuj fartuch i do łagru. Na ogólne! Zgnoję w izolatorze!

Słucham, obywatelu naczelniku.

676

Zdjąłem fartuch i od razu przemieniłem się w zwykłego

aresztanta, którego poszturchiwano, na którego krzyczano -

coś dawno nie mieszkałem w łagrze... A gdzie jest barak

obsługi?

Dla ciebie nie barak obsługi, lecz izolator.

Nie ma jeszcze nakazu.

Wsadź go na razie bez nakazu.

Nie, nie przyjmę bez nakazu. Naczelnik łagru nie zezwolił.

Naczelnik szpitala jest chyba wyżej niż naczelnik łagru.

Słusznie, wyżej, ale dla mnie tylko naczelnik łagru jest naczalstwem.

W baraku obsługi nie siedziałem długo - nakaz został

szybko wypisany i znalazłem się w łagrowym izolatorze, śmierdzącym karczerze, równie śmierdzącym jak dziesiątki

innych, w których wcześniej siedziałem.

Ległem na nary i przeleżałem do następnego rana. Rano

przyszedł dyspozytor. Znaliśmy się już wcześniej.

Dano ci trzy doby z wyprowadzaniem na roboty ogólne.

Wychodź, otrzymasz rękawice i - będziesz wozić taczka

piasek w wykopie pod nowy budynek straży.

Była cała

komedia. Naczelnik łagru opowiadał.

Doktor Doktor żąda

dla ciebie karnej kopalni na zawsze...

Ażeby przenieść do

szyfrowanego łagru.

Jeżeli za takie czyny do karnego czy

specjalnego łagru, to

przecież wtedy trzeba by każdego. A my stracimy

wykształconego felczera.

Cała komisja wiedziała o tchórzliwości

Gusiewa, wiedział

też doktor Doktor i - tym więcej się wściekał.

No to dwa tygodnie robót ogólnych. Tak też nie można. Zbyt ciężka kara. Tydzień z

wyprowadzaniem do pracy w szpitalu - zaproponował pełnomocny Bakłanow.

Co pan? Jeśli nie będzie robót ogólnych, taczki, to nie będzie też żadnej kary. Jeśli tylko ma chodzić nocować do izolatora, to będzie to tylko tak, pro forma.

No dobrze - doba z wyprowadzaniem na ogólne roboty.

Trzy doby.

No już dobrze.

I oto po wielu latach ponownie chwytam się za rączki taczek, za maszynę OSO - dwie rączki i koło.

Jestem starym kołymskim taczkarzem. W trzydziestym ósmym roku w złotym wyrobisku posiadam wszystkie

tajniki taczkarskiej wiedzy. Wiem, jak napierać na rączki, żeby opór przypadał na barki, wiem, jak toczyć pustą taczkę z powrotem - kołem do przodu, rączkami do góry,

677

żeby krew odpływała. Wiem, jak przewrócić taczkę jednym

ruchem, jak obrócić z powrotem i postawić na trap.

Jestem profesorem taczkarskiego fachu. Z ochotą pchałem

taczkę, pokazując swą klasę. Chętnie przesunąłem deskę

trapu i wyrównałem go kamykiem. Tu nie chodziło o

naukę. Całkiem po prostu - taczka to kara, i to wszystko.

Praca ta, związana z karcerem, nie podlegała żadnej

kontroli co do jej wydajności. Przez kilka miesięcy nie

wychodziłem z dwupiętrowego, ogromnego budynku

centralnego szpitala, obchodziłem się bez świeżego

powietrza - żartowałem, że na dwadzieścia lat naprzód

nałykałem się świeżego powietrza, pracując w kopalni, i nie

będę wychodzić na dwór. I dopiero teraz oddycham

czystym powietrzem, przypominam sobie taczkarski fach.

Spędziłem tak dwie noce i trzy dni.

Trzeciego dnia pod

wieczór spotkał mnie naczelnik łagru. W ciągu całej swej

łagrowej praktyki na Kołymie nie zdarzyło mu się spotkać

takiego rodzaju kary za przewinienie, której zażądał doktor

Doktor, i naczelnik łagru starał się tu coś zrozumieć.

Zatrzymał się przy trapie.

Dzień dobry, obywatelu naczelniku.

Dzisiaj się kończy twoja katorga, możesz już nie iść do

izolatora.

Dziękuję, obywatelu naczelniku.

Ale dopracuj dziś do końca.

Słucham, obywatelu naczelniku.

Przed samym końcem pracy - zanim uderzono w szynę -

pojawił się doktor Doktor. Byli wraz z nim jego dwaj

adiutanci, komendant szpitala Postiel i Grisza Kobieko,

szpitalny protetyk dentystyczny. Postiel, były pracownik

NKWD, był syfilitykiem, który zaraził kilką dwie czy trzy

siostry w szpitalu, w wyniku czego trzeba je było odesłać

do wenzony, do żeńskiej zony dla wenerycznie chorych w

leśnej delegaturze, gdzie mieszkają sami syfilitycy. Piękny

Kobieko był szpitalnym stukaczem, donosicielem i twórcą

nowych spraw - obaj tworzyli kompanię godną doktora

Doktora.

Naczelnik szpitala podszedł do wykopu i trzej taczkarze,

porzuciwszy pracę, wyszli i stanęli na baczność. Doktor

Doktor przyglądał mi się z najwyższym zadowoleniem.

Toś ty tu... To jest właśnie odpowiednia dla ciebie praca.

Zrozumiałeś? To jest właśnie praca dla ciebie.

Doktor Doktor tak jakby przyprowadził świadków, aby sprowokować jakieś, choćby najmniejsze wykroczenie. Ale czasy się zmieniły, zmieniły.

678

Rozumie to doktor Doktor i ja to rozumiem. Naczelnik i felczer - to nie to samo, co naczelnik i prosty robociarz.

Daleko nie to.

Ja, obywatelu naczelniku, mogę wszystko robić. Mogę być nawet naczelnikiem szpitala.

Doktor Doktor ordynarnie zaklął i oddalił: się w kierunku wolnego osiedla. Uderzono w szynę i poszedłem już nie do łagru, do zony, jak przez dwa ostatnie dni, lecz do szpitala.

- Griszka, wody! - krzyknąłem. I poprosiłem o cokolwiek do zjedzenia po kąpieli.

Ale słabo znałem doktora Doktora.

Komisje i kontrole spadały na oddział prawie każdego dnia. A w oczekiwaniu na przyjazd wyższego naczalstwa doktor Doktor odchodził prawie od zmysłów.

Dobrałby się w końcu do mnie, ale inni
wolni naczelnicy
złamali mu karierę, podstawili nogę i
wyparli go z
wygodnego stanowiska.
Doktor Doktor nagle dostał urlop na
kontynent, chociaż
nigdy o to nie prosił. Na jego miejsce
przyjechał inny
naczelnik. Pożegnalny obchód. Nowy
naczelnik –
korpulentny, leniwy, ciężko dyszy.
Oddział chirurgiczny na
drugim piętrze – szybko szli i zadyszeli
się. Ujrzawszy
mnie, doktor Doktor nie potrafił sobie
odmówić chwili
rozrywki. To jest właśnie ten
„kontrrewolucjonista”, o
którym ci na dole mówiłem – głośno
powiedział, wskazując
na mnie palcem. – Wciąż chciałem go
zwolnić, ale nie
zdażyłem. Radzę ci zrobić to natychmiast,
od razu. Będzie
w szpitalu czystsze powietrze.
Postaram się – obojętnie powiedział
gruby naczelnik, a ja
zrozumiałem, że nienawidzi on doktora
Doktora nie mniej
niż ja.

SIERGIEJ JESIENIN I ZŁODZIEJSKI
ŚWIAT

Wszyscy oni zbroje lub złodzieje, Jak
przesądził los.

Polubiłem wzrok ich bez nadziei Chudość
twarzy z trosk.

Wiele zła z radości jest w mordercach,
Nie ma w piersi
skarg. W czerni lic wykrzywia się
błuznierca Grymas sinych
warg.

Siergiej Jesienin

Wczesną i brudną uralską wiosną sunął
pieszy etap. Był rok
1929, ostatni rok, kiedy w Rosji
znajdował się tylko jeden
koncentracyjny łagier, jeden jedyne SŁON
– „Sołowieckij
Łagier Osobowo Naznaczenija” (Sołowiecki
Łagier
Specjalny). Tworzono czwarty oddział
SŁON-a na
północnym Uralu. Już w zeszłym roku
Sołówki, Kiem,
Uchta-Pieczora posłały tam swoich
„doświadczonych”
więźniów.

Jeszcze wszystko było przyszłością – i
sołowiecka
rozstrzeliwująca komisja, i same Sołówki
jako symbol
bezprawia, gdzie działał znamienity
„Kuriłka”, gdzie przy
przechodzeniu z jednego miejsca na
drugie więźniowie
żądali, aby wiązać im za plecami ręce
oraz żeby ten
niezwykły sposób przemarszu został
wpisany do protokołu.

Tak wyglądała samoobrona aresztantów przed lakoniczną formułą „zabity w czasie ucieczki” lub „zabity przy próbie ucieczki”. Kontrolowano jedynie liczbę wystrzelonych kul: jeżeli zostały wystrzelone dwie, to znaczy, że oddany został strzał ostrzegawczy i wszystko jest w porządku. Pojedyncza kula, będąca przyczyną śmierci, stanowiła obciążenie wystarczające do nałożenia kary aż do... odwachu włącznie.

Wszystko było przyszłością - i film Sołówki, gdzie na taśmie filmowej

680
uchwycony został przewodniczący „rozładowującej komisji” Iwan Gawriłowicz Filipow, stary putiłowski

tokarz, a później naczelnik wielkich łagrów, zamęczony w magadańskim więzieniu w 1938 roku. To właśnie Filipow był naczelnikiem tego łagru na Uralu, dokąd zmierzał etap.

Wszystko było później. Jeszcze zamiast tysięcy łagrów był tylko jeden jedyny - Sołowiecki.

SŁON był jedynym wówczas łagrem, ale wcale nie pierwszym w po-rewolucyjnej Rosji. Pierwszy łagier został

utworzony w 1924 roku w Chołmogorach, w rodzinnych stronach Łomonosowa. Trzymano tam marynarzy – uczestników buntu w Kronsztadzie. A raczej ich połowę, dokładnie – parzyste liczby tego straszego szeregu, w który ustawiono na kronsztadzkiem moło wszystkich uczestników buntu, po jego stłumieniu. Po odliczeniu do dwóch ci z nieparzystymi liczbami zrobili pięć kroków naprzód i zostali rozstrzelani. Z liczbami parzystymi – otrzymali po dziesięć lat i po pobycie w więzieniu odesłano ich do Chołmogorów. Było im tam bardzo źle, bezprawie w nim było gorsze od tego na Sołówkach, i kiedy wiadomości o tym dotarły do Moskwy, dla aresztowania łagrowych naczelników wysłano cały oddział wojska. Komendant łagru, Łotysz Oje, zastrzelił się, a resztki marynarzy umieszczono w różnych miejscach na zesłaniu. W 1925 roku na terenie klasztoru utworzono obóz koncentracyjny: dla kryminalistów, białogwardzistów i

sekciarzy - takie były trzy grupy więźniów w tych pierwszych łagrach. Utworzenie czwartego oddziału SŁON-a, niebawem przekształconego w samodzielny łagier, stało się początkiem „epoki łagrów”, trwającej bez mała trzydzieści lat.

„Etap”, który szedł na północ przez uralskie wioski, był etapem jakby wziętym z książek - takie to wszystko było podobne do tego, co przedtem się czytało u Korolenki, Tołstoja, Figner czy u Morozowa... Pijani konwojenci o szalonych oczach, bijący po karku i wymierzający policzki, a co minutę - szczękający zamkami karabinów... Sekciarz- -fiodorowiec przeklinający „smoki”; świeża słoma rozścielana na gołej ziemi w szopach przy etapowych izbach; zagadkowi ludzie z tatuażami, w inżynierskich czapkach, niekończące się kontrole, apele, liczenie, liczenie, liczenie... Ostatnia noc przed pieszym etapem - to noc zbawienia. I spoglądając na twarze towarzyszy, tych, którzy znali

wiersze Jesienina, a w 1929 roku takich
było niemało,
dziwiliśmy się, jak do końca trafne były
słowa poety:

681

W czerni lic wykrzywia
się bluźnierca
Grymas sinych
warg.

Właśnie wszyscy mieli sine usta, a
twarze - czarne.

Wszystkie usta były wykrzywione -
grymasem bólu wielu
krwawiących pęknięć.

Jednego razu, gdy nie wiadomo dlaczego
szło się jakoś

łatwiej - może odcinek był krótszy niż
inne - na tyle, że

rozłożyliśmy się na nocleg gdy było
jeszcze jasno, i

zdażyliśmy odpocząć - w kącie, gdzie
leżeli złodzieje, dał

się słyszeć cichy śpiew, zbliżony do
recytatywu pod własną

melodię:

Ty mnie już nie kochasz, nie masz
serca...

Złodziej skończył śpiewać romans, który
skupił wielu

słuchaczy i dumnie rzekł:

To zabronione.

To Jesienin - powiedział ktoś.

Niech będzie Jesienin - powiedział
śpiewak.

Już wówczas - zaledwie trochę ponad trzy
lata od śmierci
poety - jego popularność w błatniackich
kręgach była
bardzo wielka. Był to jedyny poeta
„przyjęty” i
„uświęcony” przez błatniaków, którzy
wcale nie darzą
wierszy specjalnymi względami.
Później błatniacy uczynili go
„klasykiem” - w dobrym tonie
było mówić o nim z szacunkiem w
złodziejskich kręgach.
Każdy wykształcony błatniak zna takie
wiersze, jak Rżnij
harmonio, Znów tu pija, bija się i
płaczą. Bardzo dobrze
znają też List do matki. Natomiast
zupełnie są im nieznane
Perskie motywy, poematy i wczesne
wiersze.
Dlaczego Jesienin jest tak bliski duszy
błatniaka? Przede
wszystkim przez wszystkie wiersze
Jesienina przewija się
nieukrywana sympatia do świata
błatniaków.
Niejednokrotnie wypowiedziana jasno i
wprost. Dobrze
pamiętamy:
Wszystko żywe ma znak
swoją wczesny
Przekazany z
dziecinnych lat Gdybym
to ja nie tworzył pieśni

Tworzyłyby mnie
złodziejski świat.

Błatniacy te wiersze również dobrze
pamiętają. Podobnie
jak i te wcześniejsze (1915) - W kraju
tym, gdzie żółci się
pokrzywa... i wiele, wiele innych
utworów.

Ale chodzi tu nie tylko o bezpośrednie
wypowiedzi, nie
tylko o taką jak w Czarnym człowieku,
gdzie Jesienin sam
sobie wystawia czysto błatniacką ocenę:
Ten człowiek był awanturnikiem Lecz tej
wysokiej - dobrej
marki.

Nastrój, odniesienia, tonacja licznych
wierszy Jesienina
bliskie są błatniackiemu światu.

Jakież to pokrewne im nuty słyszą
błatniacy w poezji
Jesienina? Przede wszystkim to nuty
tęsknoty, wszystko, co
wywołuje żal, wszystko, co bliskie jest
„więziennemu
sentymentalizmowi”.

Zwierząt zaś, tych braci naszych
mniejszych Nigdy ich nie
biłem ja po łbie.

Wiersze o psie, o lisie, o krowach i
koniach rozumiane są
przez błatniaków jako słowa człowieka
bezwzględnego w
stosunku do innych i czułego w stosunku
do zwierząt.

Ale... błatniacy potrafią przygarnąć psa
i natychmiast
żywego rozszarpywać na kawałki - brak im
moralnych
przeszkód, a są przy tym ogromnie
ciekawi, zwłaszcza
jeżeli chodzi o to - „wyżyje czy nie
wyżyje?”

Rozpoczynając jeszcze w dzieciństwie
obserwacje nad
złapanymi przez siebie motylami, którym
obrywa skrzydła,
nad ptakami, którym wykłuwa oczy, po
dojściu do wieku
dojrzałego błatniak wykłuwa oczy
człowiekowi, kierując
się tą samą czystą ciekawością co w
dzieciństwie.

A za wierszami Jesienina o zwierzętach
jawi się im
pokrewna dusza. Wcale nie odczuwają w
tych wierszach
ich tragicznej powagi. Wydają im się one
zręcznie
rymowanym oświadczeniem.

Na nutki wyzwania, protestu,
beznadziejności - na
wszystkie te elementy poezji Jesienina
błatniacy są
niezmiernie wrażliwi. Niepotrzebne im są
jakieś tam
Kobyle okręty czy Pantokrator. Błatniacy
- to realiści. W
wierszach Jesienina wielu rzeczy nie
rozumieją i to, czego

nie rozumieją, odrzucają. Natomiast
najbardziej proste
wiersze z cyklu Moskwa karczem-
na odbierane są jako odczucia pokrewne
ich duszom, ich
podziemnemu bytowaniu z prostytutkami w
ponurej
atmosferze hulank.
Pijaństwo, hulanki, wysławianie rozpusty
- wszystko to
znajduje odzew w złodziejskich duszach.
Przechodzą oni obojętnie obok
Jesieninowskiej liryki
związanej z pejzażem, obok wierszy o
Rosji - ani trochę nie
interesuje to błatniaków.
Natomiast w wierszach, które znają i po
swojemu cenią,
dokonują śmiałych cięć. Na przykład w
wierszu Różnij,
harmonio obcięli ostatnią strofkę z
powodu słów:
Kochana ma, ja płaczę Nie gniewaj się...
Przekleństwa wmontowane przez Jesienina
w jego wiersze
wywołują nieodmiennie zachwyt. Jakżeby.
Przecież język
każdego błatniaka naszpikowany jest
najbardziej
wyszukanymi, wielopiętrowymi,
wydoskonalonymi
ordynarnymi przekleństwami. To ich
leksykon, ich życie.
I oto mają przed sobą poetę, który nie
zapomina tej „ważnej

dla nich" cechy tego, co robią.
Upoetycznienie chuligaństwa również
sprzyja popularności
Jesienina wśród złodziei, jakkolwiek
wydawałoby się, że od
tej strony nie powinien w ich środowisku
wywoływać
żadnego uznania. Przecież złodzieje
starają się o to, aby w
oczach „frajerów" wyraźnie być kimś
innym niż chuligani,
bo i rzeczywiście są oni zjawiskiem o
wiele bardziej
niebezpiecznym. Jednakże w oczach
„prostego człowieka"
chuligan – to coś bardziej straszniejszego
niż złodziej.
Jesieninowskie chuligaństwo opiewane w
jego wierszach
odbierane jest przez złodziei jak coś,
co się zdarza w ich
„knajpach", w czasie tajnych hulanków,
nieokreślonych i
ponurych libacji.
Jestem taki jak wy, zgubiony, Już nie
mogę się cofnąć
wstecz.
Każdy wiersz Moskwy karczemnej zawiera
nutki
znajdujące oddźwięk w duszy błatniaka;
dalekie jednak od
głębokiego humanizmu i jasnej liryki
stanowiącej istotę
Jesieninowskich wierszy.

Oni chcą wydobyć stamtąd inne,
współdźwięczące dla nich
linijki. A one tam są, u Jesienina
istnieje ten ton - człowieka
obrażonego na

684

świat. Istnieje też jeszcze inna strona
poezji Jesienina, która
zbliża go do pojęć panujących w
błatniackim świecie, do
ich kodeksu. Chodzi tu
stosunek do kobiety. Błatniak odnosi się
do niej z pogardą,
uważając ją za istotę niższą. Kobieta na
nic innego nie
zasługuje oprócz znęcania się,
ordynarnych żartów i bicia.
Błatniak zupełnie nie myśli o dzieciach;
w jego moralności
nie istnieją takie zobowiązania, brak
jest pojęć, które
wiązałyby go z „potomkami”.
Kim będzie jego córka? prostytutką?
Złodziejką? Kim
będzie syn? Błatniakowi zdecydowanie
jest wszystko
jedno. A czyż zgodnie z „prawem”
złodziej nie jest
zobowiązany ustąpić swą przyjaciółkę
bardziej
„autorytatywnemu” koledze?
Rozsiałem ja po świecie dzieci
swe
I żonę też
Nietrudno było oddać

I tu zasady moralne poety w pełni
odpowiadają
prawom i gustom uświęconym złodziejską
tradycją i
warunkami życia.
Pij, wydro, pij!
Wiersze Jesienina o pijanych
prostytutkach błatniacy znają
na pamięć
od dawna przyjęli je „na uzbrojenie”.
Tak samo Słowiczek
ma jedną ładną piosenkę... Ty mnie już
nie kochasz nie
masz serca... z własną melodią, włączone
zostały do
skarbnicy „folkloru” kryminalistów, jak
również:
Nie chrap trójko u drzwi mych
spóźniona!
Nasze życie minęło jak w śnie.
Może jutro w szpitalu gdzieś
skonam
W wieczny spokój przemienię
mój gniew.
Złodziejscy śpiewacy zamieniają tylko
„szpital” na
„więzienie”.
Kult matki w połączeniu z ordynarnie
cynicznym i
pogardliwym stosunkiem do kobiety-żony
stanowi
charakterystyczną cechą codziennego
życia złodziei.
Pod tym względem poezja Jesienina
niezwykle finezyjnie

odtworza pojęcia błatniackiego świata.
Matka jest dla błatniaka obiektem jego
sentymentalnych
wzruszeń,

685

czymś dla niego „najświętszym”. To
również należy do
reguł dobrego zachowania złodzieja, do
jego „duchowych
tradycji”. Współlistniejąc z chamstwem
wobec kobiet w
ogóle, słodkavo-sentymentalny stosunek
do matki wydaje
się czymś kłamliwym i oszukańczym.
Jednakże kult matki -
to oficjalna ideologia błatniaków.
Pierwszym wierszem, który zna dosłownie
każdy błatniak,
jest List do matki („Żyjesz jeszcze,
moja ty staruszek?”).
Ten wiersz - to błatniacki Boży ptaszek.
Ale i wszystkie inne wiersze Jesienina o
matce, jakkolwiek
nie mogą się równać pod względem
popularności z Listem,
są mimo wszystko znane i uznane.
Nastroje poezji Jesienina, w pewnej jej
części, z
zadziwiająco utrafioną dokładnością
zgadzają się z
pojęciami świata błatniaków. Tym właśnie
daje się wyjaśnić
ta wielka, szczególnie popularność poety
w środowisku
złodziei.

Starając się w jakiś sposób podkreślić
swoją bliskość w
stosunku do Jesienina, w jakiś sposób
zademonstrować
całemu światu swój związek z wierszami
poety, błatniacy, z
właściwą im teatralnością, tatuują swe
ciała przekłamanymi
często cytatami z jego poezji.
Najbardziej popularnymi,
spotykanymi u bardzo wielu młodych
błatniaków, wśród
różnych obrazków o seksualnej treści,
wyobrażeń kart i
nagrobków, są następujące:
Jak mało jest przebytych dróg, Jak wiele
popołniono
błędów.

Albo:

Jak płonąć- to już tak by spłonać, Kto
spłonał, gorzeć już
nie będzie.

Stawiałem na pikową damę, Zagrałem
karowego asa.

Wydaje się, że żaden poeta na świecie
nigdy jeszcze nie był
w taki sposób propagowany.

Jedynie Jesienin został w taki osobliwy
sposób
zaszczycony, „uznany” przez błatniacki
świat.

Uznanie - to cały proces. Od
zaciekawienia przy pobieżnym
zaznajo-

mieniu się do włączenia wierszy
Jesienina zgodnie z
powszechną akceptacją wszystkich
hersztów podziemnego
świata minęło dwadzieścia, trzydzieści
lat. Były to te same
lata, kiedy Jesienina nie wydawano albo
wydawano
niewiele (Moskwa karczemna do dzisiaj
nie została
wydana). Tym więcej zaufania i
ciekawości wzbudza on
wśród błatniaków.
Błatniacki świat nie lubi poezji. Nie ma
dla niej miejsca w
tym ponurym świecie. Wyjątkiem jest
Jesienin. Ciekawe, że
jego biografia, jego samobójstwo nie
odegrały tu żadnej
roli, w niczym nie przyczyniły się do
jego powodzenia.
Zawodowi kryminaliści nie znają
samobójstw, odsetek
samobójstw w ich środowisku równa się
zeru. Najbardziej
znający się na rzeczy złodzieje
objaśniali tragiczną śmierć
Jesienina tym, że poeta nie był jednak w
pełni złodziejem,
był czymś w rodzaju „odpadu”,
„wybrakowanego frajera”,
od którego wszystkiego można oczekiwać.
Ale na pewno - powie to każdy błatniak,
doświadczony i

niedoświadczony - w Jesieninie była „kropla krwi żulika”.

OSTATNI BÓJ MAJORA PUGACZOWA

Od początku i końca tych wydarzeń minęło chyba wiele czasu, bo przecież na Dalekiej Północy każdy miesiąc liczy się za rok - tak wielkie jest doświadczenie zdobyte w tym czasie przez ludzi. Uznaje to również państwo, zwiększając pensje, mnożąc ulgi dla tych, co tam pracują. W tej krainie nadziei, a więc i pogłosek, przypuszczeń, domysłów, hipotez, każde wydarzenie obrasta legendą wcześniej, niż zdoła dotrzeć do jakichś „wyższych sfer” raport czy doniesienie o nim miejscowego naczelnika, dostarczone przez szybkiego kuriera. Zaczęto opowiadać, że to było tak: kiedy bawiący przejazdem wysoki naczelnik utyskiwał, że praca w dziedzinie kultury w łagrze kuleje, i to na obie nogi, „kultorg” major Pugaczow miał głośno na to odpowiedzieć: „Proszę się nie martwić, obywatelu naczelniku, przygotujemy taki koncert, że cała Kołyma będzie o nim mówić”.

Można rozpocząć opowiadanie od razu od meldunku

lekarza, chirurga Braudego, odkomenderowanego z centralnego szpitala do rejonu działań wojennych.

Można też zacząć od listu Jaszki Kuczenia, sanitariusza-więźnia leżącego w szpitalu. List ten został napisany lewą ręką – prawe ramię Kuczenia zostało przestrelone karabinową kulą.

Albo od opowiadania doktor Potaninej, która niczego nie widziała i niczego nie słyszała, gdyż wyjechała, zanim doszło do tych nieoczekiwanych wydarzeń.

Ten właśnie wyjazd śledczy określił jako fałszywe „alibi”, jako przestępcze powstrzymywanie się od działania, czy jak to tam jeszcze się nazywa w prawniczym języku.

Areszty trzydziestych lat były aresztami przypadkowych ludzi. Były to ofiary kłamliwej i strasznej teorii o rozpalającej się walce klasowej w miarę umacniania się socjalizmu.

Profesorowie, pracownicy partyjni, wojskowi,

inżynierowie, chłopi, robotnicy,
zapełniający wówczas
więzienia w ogromnej liczbie, nie kryli
688

W swych duszach niczego specjalnego
oprócz, być może,
własnej przyzwoitości i jakiejś
naiwności - jednym słowem
takich cech, które raczej ułatwiały, niż
utrudniały pracę
ówczesnych „organów sprawiedliwości”.
Nie byli oni ani
wrogami ludu, ani przestępcami na miarę
państwową, i
umierając, do końca nie wiedzieli,
dlaczego tak się musiało
stać. Ich ambicja, ich nienawiść nie
znajdowały podłoża. I
porozrzucani w różne miejsca, umierali
na białej
kołymskiej pustyni - od głodu, chłodu,
wielogodzinnej
pracy, bicia i chorób. Od razu oduczyli
się bronić jeden
drugiego i wzajemnie podtrzymywać. Do
tego właśnie
dążyło naczalstwo. Dusze tych, co
pozostali przy życiu,
uległy pełnej deprawacji, a ich ciała
utraciły zdolność
podejmowania ciężkiej, fizycznej pracy.
Po wojnie na ich miejsce przybywali inni
- jeden za drugim
przyływały parowce, które przywoziły
„repatriowanych” z

Włoch, Francji, Niemiec, prostą drogą na Daleki Północny Wschód.

Było wśród nich wielu ludzi wprawionych do czego innego, z nawykami nabytymi w czasie wojny – śmiałych, umiejących ryzykować i mających zaufanie tylko do własnej, posiadanej broni. Oficerowie i żołnierze, lotnicy i zwiadowcy...

Lagrowa administracja, nawykła do anielskiej cierpliwości i niewolniczej pokory „trockistów”, zupełnie się nie niepokoiła i nie spodziewała się żadnych niespodzianek.

Nowicjusze zapytywali ocalałych „aborygenów”:

„Dlaczego w stołówce zjadacie tylko zupę i kaszę, a chleb zanosicie do baraku? Dlaczego nie jeść zupy razem z chlebem, jak czyni to cały świat?”

Uśmiechając się spękaniem swych sinych ust, pokazując przerzedzone przez skorbut zęby, miejscowi mieszkańcy tak odpowiadali nowicjuszom: „Po dwu tygodniach każdy z was zrozumie i będzie podobnie postępować”.

Jak im to wyjaśnić, że jeszcze nigdy w życiu nie zaznali oni

prawdziwego głodu, długoletniego,
wyniszczającego wolę.

I że nie sposób walczyć z ogarniającym
cię namiętym

pragnieniem przedłużenia procesu

jedzenia: aby w baraku,

z kubkiem gorącej, „natopionej” ze

śniegu, pozbawionej

smaku wody dojeść, dossać swoją porcję
chleba w

najwyższej błogości. Nowicjusze kiwali
głowami z pogardą

i odchodzili. Ale nie wszyscy. Major

Pugaczow rozumiał

również coś innego. Dla niego było jasne,
że przywieziono

ich na śmierć - na zmianę tych żyjących
trupów. Przy-

wieziono ich jesienią; sądząc po tym,
jak ma wyglądać

zima - to uciec się nie uda. Ale latem,
jeśli się nawet nie

powiedzie - to można będzie umrzeć,
będąc wolnym.

I tak przez całą zimę zawiązywała się
sieć tego spisku,

jedyne chyba w ciągu dwudziestu lat.

Pugaczow zrozumiał, że przeżyć zimę, aby
potem uciec,

będą mogli tylko ci, którzy nie będą
pracować na robotach

ogólnych, w górniczym przodku. Po kilku
tygodniach pracy

w takiej brygadzie nikt nigdzie nie
ucieknie.

Uczestnicy spisku powoli, jeden za drugim przesuwali się do „obsługi”. Sołdatow został kucharzem, sam Pugaczow był kulturalno-oświatowym, był też felczer, dwu brygadzystów, a były mechanik Iwaszczenko naprawiał broń w oddziale straży. Ale bez konwoju żadnego z nich za druty nie wypuszczano.

Rozpoczęła się oślepiająca kołymska wiosna, bez kropli deszczu, bez spływu kry, bez śpiewu ptaków. Pomaleńku znikł śnieg, spalony przez słońce. Tam zaś, gdzie nie dochodziły jego promienie, w wąwozach, parowach, śnieg leżał dalej, podobny do płytek rudy srebra, aż do przyszłego roku.

I w końcu nastał wyznaczony dzień. Do drzwi malutkiego pomieszczenia straży przy bramie łagru, wartowni posiadającej dwa wejścia - do wewnątrz łagru i na zewnątrz, w którym zgodnie z regulaminem dyżurują dwaj nadzorcy, ktoś zastukał. Dyżurny ziewnął i spojrzął na budzik. Była piąta rano. Dopiero piąta, pomyślał.

Odrzucił haczyk i wpuścił stukającego. Był to łagrowy kucharz, więzień Gorbunow, który przyszedł po klucze od spiżarni z żywnością. Klucze przechowywane były na wartowni i w ciągu dnia kucharz Gorbunow przychodził po nie trzykrotnie. A potem je odnosił. Dyżurny powinien być sam, osobiście otwierać tę szafę w kuchni, ale on dobrze wiedział, że kontrolowanie kucharzy to beznadziejna sprawa, że nie pomogą żadne zamki, jeżeli kucharz zechce ukraść, więc dawał mu te klucze. Tym bardziej o piątej rano. Dyżurny przepracował na Kołymie ponad dziesięć lat, od dawna już otrzymywał podwójną pensję i tysiące razy dawał kucharzom klucze do rąk. - Weź. - I dyżurny wziął linijkę, pochylając się, aby rozrysować formularz porannego raportu. Gorbunow, wszedłszy z tyłu za plecy dyżurnego, zdjął z gwoździa klucz, włożył go do kieszeni i chwycił dyżurnego za gardło. W tym samym momencie drzwi się otworzyły i na wartownię, przez przejście od strony łagru, wszedł

Iwaszczenko, mechanik. Pomógł

Gorbunowowi udusić

690

nadzorcę i zaciągnąć trupa za szafę.

Nagan nadzorcy

Iwaszczenko włożył sobie do kieszeni.

Przez okno

wychodzące na zewnątrz widać było, jak

ścieżką wraca

drugi dyżurny. Iwaszczenko pośpiesznie

ubrał się w szynel

zabitego, jego czapkę, zapiął pas i

usiadł za stołem zamiast

nadzorczy. Ten drugi, powracający dyżurny

otworzył drzwi i

zrobił krok w ciemną norę wartowni.

Natychmiast został

schwycony, zaduszony i wrzucony za szafę.

Jego odzież włożył Gorbunow. Już dwóch

spiskowców

posiadało broń i mundury. Wszystko

odbywało się według

rozkładu, zgodnie z planem majora

Pugaczowa. Nagle na

wartowni pojawiła się żona tego drugiego

nadzorczy,

również po klucze, które przypadkowo

zabrał jej mąż.

„Boby nie będziemy dusić” – powiedział

Gorbunow.

Związali ją, wetknęli w usta ręcznik i

ułożyli w kącie.

Powróciła z pracy jedna z brygad. Taka

możliwość została

przewidziana. Konwojent, który wszedł do
wartowni, został
od razu rozbrojony i związany przez
obydwu „nadzorców”.
Karabin wpadł w ręce uciekinierów. Od
tego momentu
dowództwo objął major Pugaczow.
Placyk przed wartownią znajdował się pod
obstrzałem z
obu wieżyczek strażniczych, gdzie
znajdowali się
wartownicy, ale ci niczego osobliwego
nie zauważyli.
Brygada ustawiła się do pracy trochę
wcześniej, ale kto na
Północy może powiedzieć, co to jest
wcześnie, a co to jest
późno? Chyba trochę wcześniej. A być
może i później.
Brygada - dziesięciu ludzi - dwójkami
ruszyła drogą
prowadzącą do wyrobisk. Z przodu i z
tyłu, w odległości
sześciu metrów, tak jak każe regulamin,
kroczyło dwu
konwojentów w szynelach, jeden z nich z
karabinem w
ręku.
Wartownik z wieżyczki strażniczej
zobaczył, że brygada
skręciła z drogi na ścieżkę prowadzącą
mimo pomieszczeń
oddziału straży. Mieszkali tam żołnierze
ze służby

konwojenckiej - cały oddział,
sześćdziesięciu ludzi.

Sypialnia konwojentów znajdowała się w
głębi, a zaraz

przy drzwiach było pomieszczenie
pełniącego służbę

dyżurnego oddziału i stojaki z bronią.

Dyżurny drzemał

przy stole i w półśnie widział, że jakiś
konwojent prowadzi

brygadę więźniów ścieżką, mimo okna
straży.

To pewnie Czernienko, nie poznając
konwojenta, pomyślał

dyżurny. Koniecznie, obowiązkowo napiszę
na niego

raport.

Dyżurny był mistrzem w tworzeniu

niesnasek i nie straciłby

sposobności, aby nie zrobić komuś

jakiegoś świństwa, tym

bardziej z uzasadnionego powodu.

691

Była to jego ostatnia myśl. Drzwi się
rozwarły na oścież i

do koszar wbiegło trzech żołnierzy.

Dwóch rzuciło się do

sypialni, a jeden z najbliższej

odległości zastrzelił

dyżurnego. Za żołnierzami wbiegli

aresztanci. Wszyscy

rzucili się do stojaków z bronią -

karabiny i automaty

znalazły się w ich rękach. Major Pugaczow

silnie pchnął

drzwi do koszarowejsypialni. Żołnierze,
jeszcze w
bieliźnie, rzucili się do drzwi, ale
dwie serie z automatu,
puszczone w sufit, zatrzymały ich.
Padnij! – zakomenderował Pugaczow i
żołnierze
powpełzali pod łóżka. Zdobywcy automatów
pozostali przy
progu na straży.
„Brygada”, nie spiesząc się, zaczęła się
przebierać w
wojskową odzież, układać żywność,
gromadzić broń i
amunicję.
Pugaczow zarządził, aby nie brać żadnej
żywności oprócz
wojskowych sucharów i czekolady.
Natomiast broni i
amunicji wzięto, ile się dało.
Felczer przewiesił sobie przez ramię
torbę z apteczką
pierwszej pomocy.
Uciekinierzy ponownie poczuli się
żołnierzami.
Przed nimi była tajga, ale czyż ona jest
straszniejsza niż
błota Stochodu? Wyszli na trasę – na
szosie Pugaczow
podniósł rękę i zatrzymał ciężarówkę.
Wylaź! – Otworzył drzwi samochodu.
Przecież ja...
Wylaź, do kogo się mówi!
Szofer wylaź. Za kierownicą usiadł
lejtnant wojsk

pancernych Georgadze, a obok niego
Pugaczow. Wleźli też
pozostali uciekinierzy-żołnierze i
samochód pomknął.
Zdaje się, że tu jest zakręt.
Benzyna się skończyła! – Pugaczow zaklął.
Weszli w tajgę tak, jakby zanurzyli się
w wodę – od razu
znikli w ogromnym, milczącym lesie.
Kontrolując swój
marsz za pomocą mapy, nie schodzili ze
swojej
wymarzonej drogi ku wolności, na przełaj
przez tutejszy
niezwykły wiatrołom.
Na Północy drzewa umierają, leżąc, jak
ludzie. Ich potężne
korzenie podobne były do gigantycznych
pazurów
drapieżnego ptaka, wczepionych w
kamienie. Od nich
odchodziły w dół, ku wiecznej zmarzlinie
tysiące drobnych
odrostków-czułków. Każdego lata
zmarzlina nieco
ustępowała i do każdej piędzi odtajniającej
ziemi powoli
wpełzał i umacniał się tam brązowy
korzeń-czułek.
Drzewa osiągały swój dojrzały wiek w
trzysta lat, z wolna
dźwigając swoje ciężkie, potężne ciało,
wsparte na tych
słabych korzeniach.

Powalone przez burzę drzewa padały na
wznak, wszystkie
głowami

692

w jedną stronę, i umierały, leżąc na
miękkiej warstwie
jaskraworóżowego lub zielonego mchu.
Zaczęli urządzać się na nocleg, szybko,
jak to robili
zawsze. I tylko Aszot z Malininem w żaden
sposób nie
mogli się uspokoić. Co wy tam? - spytał
Pugaczow.

Widzisz, Aszot wciąż mi udowadnia, że
Adam został
wygnany z raju na Cejlon.

Jak to, na Cejlon?

Tak u nich, u mahometan, się mówi -
powiedział Aszot.

A ty co - jesteś Tatarem czy jak?

Ja nie jestem Tatarem, mam żonę Tatarkę.
Nigdy o tym nie słyszałem - powiedział,
uśmiechając się,

Pugaczow.

No właśnie, i ja nigdy nie słyszałem -
podchwycił Malinin.

No - spać...!

Było chłodno i major Pugaczow przebudził
się. Sołdatow

siedział pełen czujności, położywszy
automat na kolanach.

Pugaczow odwrócił się na plecy, odszukał
wzrokiem

Gwiazdę Polarną - ulubioną gwiazdę
pieszych wędrowców.

Tutaj gwiazdozbiory usytuowane były nie
tak jak w
Europie, w Rosji – mapa gwiazdna nieba
była nieco
skrzywiona i Wielka Niedźwiedzica
spełzała w kierunku
horyzontu. Tajga była milcząca i surowa;
ogromne, pełne
narośli i zgrubień modrzewie stały
daleko jeden od dru-
giego. Las był pełen tej niespokojnej
ciszy, którą zna każdy
myśliwy. Tym razem Pugaczow nie był
myśliwym, lecz
tropioną zwierzyną – leśna cisza była
dla niego po
trzykroć bardziej wypełniona niepokojem.
Była to jego pierwsza noc na wolności,
pierwsza taka noc
po długich miesiącach i latach strasznej,
krzyżowej drogi
majora Pugaczowa. Leżał i wspominał, jak
rozpoczęło się
to, co przesuwa się teraz przed jego
oczami jak film pełen
mocnych wydarzeń. Jak gdyby taśmę
filmową z postaciami
wszystkich dwunastu uciekających wraz z
nim towarzyszy
sam, własnoręcznie tak puścił w ruch, że
zamiast
powolnego jej biegu, jak co dzień,
wydarzenia zaczęły
przelatywać z nieprawdopodobną
prędkością. I oto

pojawił się napis „koniec filmu” - są na wolności.

Zaczyna się walka, rozgrywka, życie...

Major Pugaczow przypomniał sobie niemiecki obóz, z

którego uciekł w 1944 roku. Front zbliżał się do miasta.

Pracował jako szofer ciężarówki zwożącej śmieci wewnątrz

ogrodzonego obozu. Przypomniał sobie, jak rozpędził

samochód i rozwalił jednorzędowe ogrodzenie z drutu

kolczastego, wrywając stawiane w pośpiechu słupy.

Wystrzały wartowników,
693

krzyki, wariacka jazda przez miasto w różnych kierunkach,

porzucony samochód, posuwanie się nocami w kierunku

linii frontu i spotkanie- przesłuchanie w oddziale

specjalnym. Oskarżenie o szpiegostwo i wyrok -

dwadzieścia pięć lat więzienia.

Major Pugaczow wspomniał przyjazdy Własowa z jego

„Manifestem” przyjazdy do głodnych, wyczerpanych i

udręczonych rosyjskich żołnierzy.

„Wasza władza dawno się was wyrzekła.

Każdy jeniec to

zdrajca w oczach waszej władzy” - mówili własowcy. I

pokazywali moskiewskie gazety z
rozkazami i
przemówieniami. Jeńcy już wcześniej o
tym wiedzieli. Nie
na darmo jedynie rosyjskim jeńcom nie
przysyłano paczek.
Francuzi, Amerykanie, jeńcy wszystkich
narodowości
otrzymywali paczki, listy, mieli swoje
ziomkostwa,
przyjaźnili się; Rosjanie nie mieli
niczego oprócz głodu i
nienawiści do wszystkiego na świecie.
Nic dziwnego, że z
niemieckich obozów tak wielu wstąpiło do
„Rosyjskiej
Armii Wyzwoleńczej”.
Major Pugaczow nie wierzył własowowskim
oficerom do
czasu, aż sam dotarł do oddziałów Armii
Czerwonej.
Wszystko, co mówili własowcy, było
prawdą. On nie był tej
władzy potrzebny. Ona się go bała.
Potem były wagony dla więźniów, z
kratami i konwojem,
długa podróż na Daleki Wschód, morze,
ładownia parowca
i kopalnia złota na Dalekiej Północy. I
głodowa zima.
Pugaczow podniósł się i usiadł. Sołdatow
pomachał do
niego ręką. Właśnie jemu, Sołdatowowi,
należał się honor

rozpoczynania tego, co miało dalej nastąpić, chociaż był jednym z ostatnich wciągniętych do spisku. Nie stchórzył, zachował zimną krew, nie zdradził. Zuch Sōłdatow!

U jego nóg leżał lotnik, kapitan Chrustalow, którego los podobny był do losów Pugaczowa. Zestrzelony niemiecki samolot, niewola, głód, ucieczka, trybunał, łagier. Widział, jak Chrustalow przewrócił się na drugi bok - jeden policzek był bardziej czerwony od drugiego - „odleżał” go. Z Chrustalowem jako z pierwszym Pugaczow podjął przed kilkoma miesiącami rozmowę o ucieczce. O tym, że już lepsza śmierć niż aresztanckie życie, że lepiej umrzeć z bronią w ręku, niż upadać z głodu i pracy pod kolbami i pod butami konwojentów. I Chrustalow, i major, obaj byli ludźmi czynu, i ta znikoma szansa, dla której postawiono na jedną kartę życie dwunastu ludzi, została przeanalizowana i omówiona z największą wnikliwością. Plan zasadzał się na przechwyceniu lotniska, a na nim - samolotu. Było tu kilka lotnisk i teraz idą

właśnie przez tajgę do tego najbliższego.
To Chrustalow był tym brygadziwą, po
którego posłali
uciekiniery po
694

napadzie na pomieszczenie oddziału
straży. Pugaczow nie
chciał uciekać bez najbliższego
przyjaciela. I oto teraz on
śpi spokojnie i mocno.
A obok niego Iwaszczenko, zbrojmistrz,
reperujący
rewolwery i karabiny straży. To
Iwaszczenko dowiedział się
tego, co było niezbędne do zapewnienia
sukcesu: gdzie
znajduje się broń, kto i kiedy pełni
służbę w oddziale, gdzie
jest skład amunicji. Iwaszczenko - to
były zwiadowca.
Przyściśnięci jeden do drugiego, mocno
śpią Lewicki i
Ignatowicz - obaj lotnicy, koledzy
kapitana Chrustalowa.
Rozrzucił ręce na plecy sąsiadów
czołgista Polakow - na
plecy wielkoluda Georgadze i łysego
wesołka Aszota,
którego nazwiska major nie mógł sobie
teraz przypomnieć.
Położywszy sobie pod głowę torbę
sanitariusza, śpi Sasza
Malinin, łagrowy - a przedtem wojskowy
felczer, własny

felczer grupy specjalnej majora
Pugaczowa.

Pugaczow uśmiechnął się. Każdy na pewno
po swojemu
wyobrażał sobie tę ucieczkę. Ale w tym,
że wszystko tak
się udawało, że wszyscy rozumieli się
wzajemnie w pół
słowa, Pugaczow widział nie tylko to, że
on miał rację.

Każdy wiedział, że bieg wydarzeń jest
taki, jaki być
powinien. Jest dowódca i jest cel. Pewny
dowódca i trudny
cel. Maja broń. Są na wolności. Można
spać spokojnym
żołnierskim snem, w tę pustą,
bladoliliową tutejszą noc,
przy dziwnym świetle, gdy drzewa nie
rzucają cienia.

Obiecał im wolność i otrzymali ją.
Prowadził ich na śmierć
- a oni się jej nie bali. I nikt
przecież nie wydał, myślał
Pugaczow, do ostatniego dnia. O
przygotowującej się
ucieczce wiedziało przecież wiele osób w
łagrze. Ludzie
byli dobierani przez wiele miesięcy.
Wielu, z którymi
Pugaczow otwarcie rozmawiał, odmówiło,
ale nikt nie
pobiegł na wartownię z donosem. Ta
okoliczność godziła
Pugaczowa z życiem.

Ale zuchy, ale zuchy – szeptał i uśmiechał się.

Zjedli trochę sucharów, czekolady, popili wodą i milcząc, ruszyli. Prowadziła ich ledwie widoczna ścieżka.

Niedźwiedzia – powiedział Sołdatow, syberyjski myśliwy.

Pugaczow wraz z Chrystalowem weszli na przełęcz, do wieży triangulacyjnej i zaczęli patrzeć w dół na dwie szare wstęgi – rzeki i szosy. Rzeka wyglądała jak rzeka, ale szosa na dużej przestrzeni – około dziesięciu kilometrów – była zapełniona ciężarówkami z ludźmi. Pewnie z więźniami – starał się odgadnąć Chrystalow.

Pugaczow przypatrzył się.

Nie, to żołnierze. Za nami. Trzeba będzie się rozdzielić – powiedział. – Ośmiu ludzi niech przenocuje w stogach, a my we czwórkę

695

pójdziemy tym wąwozem. Jeżeli wszystko będzie dobrze, to nad ranem wrócimy.

Pod lasem weszli w suche koryto strumienia. Pora wracać.

Spójrz, tam ich zbyt wielu, gońmy w górę strumienia.

Ciężko dysząc, podchodzili wzdłuż łożyska strumienia, a

kamienie leciały w dół, pod nogi atakujących, szeleszcząc i łomocząc.

Lewicki odwrócił się, wystrzelił i upadł.

Kula trafiła go wprost w oko.

Georgadze zatrzymał się przy wielkim głazie, odwrócił się i

serią z automatu powstrzymał podchodzących wawozem

żołnierzy. Nie na długo jednak - automat jego zamilkł i strzelał jedynie karabin.

Chrystalow wraz z Pugaczowem zdążyli wspiać się wyżej, na samą przełęcz.

Idź sam - powiedział major do

Chrystalowa - ja sobie

postrzelam. - Nie spiesząc się, walił w każdego, który się pokazał.

Powrócił Chrystalow, krzycząc: „Ida!” I upadł. Zza

wielkiego kamienia wybiegali ludzie.

Pugaczow porwał się, wystrzelił do biegnących i rzucił się

z płaskiej przestrzeni na przełęcz w dół, do wąskiego

koryta strumienia. W locie uchwycił gałąź iwy, utrzymał się

i odpełził na bok. Potrącone przez niego kamienie hurkotały, nie doleciawszy jeszcze do dołu.

Nie szukając drogi, szedł przez tajgę, aż opadł z sił.

A nad leśną polaną ukazało się słońce i postacie ludzi w mundurach, którzy pojawili się ze wszystkich stron, były dobrze widoczne dla tych, co ukryli się w stogach.

Czyżby koniec? - powiedział Iwaszczenko i szturchnął łokciem Chaczaturiana.

Dlaczego koniec? - odparł Aszot, celując. Szczęknął karabinowy wystrzał, na ścieżce upadł żołnierz.

Natychmiast ze wszystkich stron otwarto ogień w kierunku stogów.

Żołnierze rzucili się na rozkaz przez błoto do stogów, zatrzeszczały karabiny, rozległy się jęki.

Atak został odparty. W błotnistych kępach leżało kilku rannych.

Sanitariusz, podpełznąć - rozkazał jakiś naczelnik.

Przewidując, co może być, ze szpitala wzięto sanitariusza-więźnia

Jaszkę Kuczenia, mieszkańca Zachodniej Białorusi. Nie

powiedziawszy ani słowa, aresztant Kuczeń zaczął pełznąć do rannego, wymachując torbą sanitarną. Zatrzymała go w pół drogi kula, która trafiła go w ramię.

Wyskoczył, nie bojąc się, naczelnik oddziału straży - tego właśnie

696

oddziału, który został rozbrojony przez uciekinierów.

Krzyczał: „Hej, Iwaszczenko, Sołdatow, Pugaczow,

poddajcie się, jesteście otoczeni! Nie macie gdzie uciekać!”

Chodź, przyjmuj broń! - krzyknął ze stogu Iwaszczenko.

I chlupiąc po błocie, Bobylow, naczelnik straży, pobiegł do stogów.

Kiedy przebiegł do połowy ścieżki, szcęknął karabin

Iwaszczenki - kula trafiła Bobylowa wprost w czoło.

Zuch - pochwalił kolegę Sołdatow. - Naczelnik taki

odważny, bo mu już było wszystko jedno, albo by go

rozstrzelali za naszą ucieczkę, albo skazali. No, trzymaj się!

Strzelano ze wszystkich stron.

Zaterkotały przywiezione karabiny maszynowe.

Sołdatow poczuł, jak coś smagnęło mu ogniem po nogach,

a na jego ramię opadła głowa zabitego Iwaszczenki.

Drugi stóg milczał. W błocie leżało z dziesięć trupów.

Soldatow strzelał, dopóki coś nie uderzyło go w głowę i stracił przytomność.

Mikołaj Siergiejewicz Braude, starszy chirurg wielkiego szpitala, został wezwany przez generała majora

Artiemjewa, jednego z czterech kołymskich generałów, naczelnika straży wszystkich kołymskich łagrów, do

stawienia się w osadzie Liczan wraz z „dwoma felczerami, materiałem opatrunkowym i narzędziami” - tak głosił telefonogram.

Braude, nie zastanawiając się niepotrzebnie, szybko się przygotował i stary szpitalny samochód, który już wiele

doświadczył, ruszył we wskazanym kierunku. Na szosie

przeganiały go potężne studebakery, naładowane

uzbrojonymi żołnierzami. Trzeba było przejechać tylko

czterdzieści kilometrów, ale z powodu ciągłych zatrzymań,

wywołanych nagromadzeniem samochodów gdzieś tam w

przodzie, oraz ciągłych kontroli dokumentów, Braude dotarł

do celu dopiero po dwóch godzinach.

Generał major Artiemjew oczekiwał chirurga w mieszkaniu

miejscowego naczelnika łagru. I Braude,
i Artiemjew byli
starymi kołymianami, los stykał ich ze
sobą nie po raz
pierwszy.

Co tu się dzieje, wojna czy co?

Wojna nie wojna, a w pierwszym starciu
dwudziestu ośmiu

zabitych. A rannych to pan sam zobaczy.

I dopóki Braude mył się przy spłuczce do
mycia rąk,
umocowanej na drzwiach, generał
opowiedział mu o
ucieczce.

A pan - powiedział Braude, zapalając
papierosa - pewnie
wezwał

697

samoloty, co? Dwie, trzy eskadry, i
bombardowały,
bombardowały... Albo od razu atomową
bombą.

- Pan by wciąż żartował - powiedział
generał major. - A ja,
bez żadnych żartów oczekuję na rozkaz.
To jeszcze dobrze,
jeśli usuną mnie z wojsk straży, a mogą
też oddać pod sąd.
Różnie już bywało.
Tak, Braude wiedział, że różnie bywało.
Przed kilkoma laty
wysłano na piechotę trzy tysiące ludzi
do jednego z portów,
gdzie na brzegu były składy, i ludzie ci
zginęli w czasie

marszu w burzy śnieżnej. Z trzech tysięcy pozostało przy życiu około trzystu. W ofierze został złożony zastępca naczelnika zarządu łagrów, który podpisał rozporządzenie o wymarszu etapu. Oddano go pod sąd. Braude wraz z felczerami do wieczora wyjmował kule, amputował, opatrywał. Tylko żołnierze straży byli ranni - nie było wśród nich ani jednego uciekiniera.

Na drugi dzień znowu przywieziono rannych. Dwóch żołnierzy otoczonych przez oficerów straży przyniosło na noszach pierwszego i jedyne uciekiniera, którego ujrzał Braude. Był on ubrany w wojskowy mundur i odróżniał się od żołnierzy jedynie zarostem. Miał roztrzaskane golenie obu nóg, przełamane wystrzałem lewe ramię, ranę głowy z uszkodzeniem kości ciemieniowej. Był nieprzytomny.

Braude udzielił mu pierwszej pomocy i na rozkaz Artiemjewa zawiózł wraz z konwojentami rannego do siebie do szpitala, gdzie były odpowiednie warunki do przeprowadzenia poważnej operacji.

Wszystko się zakończyło. Nieopodal stał wojskowy ciężarowy samochód pokryty brezentem – w nim złożono ciała zabitych uciekinierów. A obok drugi – z ciałami zabitych żołnierzy.

A major Pugaczow pełzł skrajem wąwozu. Po tym zwycięstwie można było zwolnić całą tę armię, ale jeszcze przez wiele dni ciężarówki z żołnierzami jeździły tam i z powrotem po wszystkich odcinkach szosy o długości dwóch tysięcy kilometrów.

Dwunastego - majora Pugaczowa - nie było. Sołdatowa długo leczono i wyleczono - aby go potem rozstrzelać. Był to zresztą jedyny wyrok śmierci spośród sześćdziesięciu - taka bowiem liczba przyjaciół uciekinierów i ich znajomych trafiła „pod sąd”. Naczelnik miejscowego łagru dostał dziesięć lat. Kierownik ambulatorium doktor Potanina została przez sąd uniewinniona i zaraz po zakończeniu procesu zmieniła miejsce pracy. Generał major Artiemjew dokładnie przewidział, co się może stać - został usunięty ze

stanowiska i zwolniony ze służby w
wojskach straży.

698

Pugaczow z trudem spelzł do wąskiej
gardzieli pieczary -
było to niedźwiedzie legowisko, zimowe
mieszkanie
zwierza, który już dawno z niego wyszedł
i wędrował po
tajdze. Na ścianach jaskini i na
leżących kamieniach
trafiały się tu i ówdzie włosy z jego
sierści.

Jak to się wszystko szybko skończyło,
myślał Pugaczow.

Przyprowadzą psy i znajdą. Wezmą mnie.
I leżąc w jaskini, przypomniał sobie
swoje życie - trudne,
męskie życie, które teraz kończy się na
niedźwiedziej
ścieżce w tajdze. Wspominał ludzi -
wszystkich, których
szanował i kochał, poczynając od swej
matki. Wspominał
szkolną nauczycielkę Marię Iwanowną,
która chodziła w
jakiejś watowanej bluzce, pokrytej
zrudziałym, wytartym
czarnym aksamitem. I przypomniał sobie
jeszcze wielu,
wielu ludzi, z którymi stykał go los.
Ale najlepszymi, tymi, co najbardziej
zasłużyli na pamięć,
byli oni, jedenastu jego towarzyszy.
Nikt z innych ludzi w

jego życiu nie spotkał się z taką
ilością rozczarowań,
kłamstw i oszustwa. I w tym północnym
piekle znaleźli
jeszcze w sobie siły, aby jemu,
Pugaczowowi, uwierzyć i
sięgnąć po wolność. Byli to najlepsi
ludzie jego życia.
Pugaczow zerwał brusznicę z krzaczka
rosnącego na
kamieniu u wejścia do jaskini. Szary,
pomarszczony,
zeszłoroczny owoc pękł mu w palcach,
które zaraz oblizał.
Przejrzała jagoda nie miała smaku,
podobnie jak śniegowa
woda. Jej skórka przywarła do
wyschniętego języka. Tak, to
byli najlepsi ludzie. I wiedział już
teraz, jak brzmi nazwisko
Aszota - Chaczaturian.
Major Pugaczow wspomniał ich wszystkich
- jednego po
drugim - i do każdego się uśmiechnął. A
potem włożył do
ust lufę pistoletu i wystrzelił ostatni
raz w życiu.

BUKINISTA

Z nocy zostałem przeniesiony do pracy w
dzień - był to
oczywisty awans, umocnienie się, sukces
na
niebezpiecznej, ale dającej ocalenie
drodze sanitariusza

„spośród chorych”. Nie zauważyłem, kto
zajął moje miejsce
- w owych czasach nie starczało mi sił,
oszczędzałem każdy
swój ruch, każdą emocję - miałem już
okazję powstawać
z martwych i wiedziałem, ile kosztuje
niepotrzebna
ciekawość. Ale kątem oka w nocnym
półśnie widziałem
bladą, brudną twarz, zarosniętą rudą
szczecina, wpadnięte
oczy niewiadomego koloru, powykręcane,
odmrożone
palce, kurczowo trzymające uchwyt
zakopconej menażki.
Noc w szpitalnym baraku była tak ciemna
i nieprzejrzysta,
że płomień benzynówki, kołyszący się,
drgający jakby pod
wpływem wiatru, nie potrafił oświetlić
korytarza, sufitu,
ścian, drzwi, podłogi i wyrывał z
ciemności tylko
kawałeczek tej całej nocy: róg szafki i
pochyloną nad nią
bladą twarz. Nowy dyżurny odziany był w
ten sam szlafrok,
w którym ja dyżurowałem, w brudny,
porwany szlafrok,
przeznaczony dla chorych do poruszania
się po szpitalu.
W ciągu dnia szlafrok wisiał na sali, a
nocą bywał

naciągany na waciacz dyżurnego
sanitariusza „spośród
chorych”. Flanela była niezwykle cienka,
przeświecała - ale
jednak nie pękała; chorzy albo nie
potrafili wykonać
gwałtownego ruchu, albo obawiali się,
żeby szlafrok nie
rozpadł się na kawałki.
Półkrąg światła chwiał się, kołysał,
motał. Wydawało się,
że to chłód, a nie wiatr, że to sam
chłód kołysze tym
światłem nad szafką dyżurnego
sanitariusza. W świetlnej
plamie chwiała się twarz naznaczona
głodem, brudne,
powykręcane palce błędziły po dnie
menażki, starając się
namacać to, czego nie udało się wyłowić
łyżką. Palce,
nawet te odmrożone, pozbawione czucia,
były jednak
pewniejsze od łyżki - zrozumiałem istotę
tych ruchów,
wymowę tego gestu.
Nie powinienem był o tym wszystkim
wiedzieć - byłem
przecież sanitariuszem dziennym.

700

Ale po kilku dniach - pospieszny wyjazd,
bo życie
potoczyło się szybciej, przyspieszone
nagłą decyzją - i

skrzynia ciężarówki, trzęsąca się przy każdym silniejszym szarpnięciu samochodu, pełzającego po wymarznitym korycie bezimiennej rzeczuki, zimowa, tajgową drogą do Magadanu, na południe. W skrzyni ciężarówki podlatują i uderzają o dno, postukując jak drewno, przewalają się jak drewniane polana ciała dwóch ludzi. Konwojent siedzi w kabinie, a ja nie wiem - czy to uderza we mnie drewno, czy człowiek. Na jednym z przystanków dla zjedzenia czegoś chciwe mlaskanie sąsiada wydało mi się znajome. Rozpoznałem powykręcane palce i bladą, brudną twarz. Nie rozmawialiśmy ze sobą - każdy z nas bał się, żeby nie spłoszyć swego szczęścia, szczęścia aresztantów. Samochód spieszył się - drogę trzeba przebyć w ciągu doby. Obaj jechaliśmy na kurs felczerów, skierowani przez łagier. Magadan, szpital, kurs - wszystko to było jakby we mgle, w białej kołymskiej mgle. Czy są jakieś punkty wyznaczające drogę? Czy przyjmują pięćdziesiąty ósmy?

Tylko dziesiąty punkt. A co ma mój sąsiad ze skrzyni samochodu? Także dziesiąty, „asa”. Inicjały „antysowieckiej agitacji”. Równoważne dziesiątemu punktowi. Egzamin z języka rosyjskiego. Dyktando. Oceny zostają wystawione tego samego dnia. Piątka. Pisemna praca z matematyki - piątka. Egzamin ustny z matematyki - piątka. Od subtelności Konstytucji ZSRR przyszli kursanci zostali uwolnieni - wszyscy wiedzieli o tym wcześniej... Leżałem na narach, brudny, wciąż jeszcze podejrzanie zawszawiony - praca sanitariusza nie niszczyła wszy - a może mi się tylko tak wydawało: zawszawienie - to jedna z łagrowych psychoz. Już dawno nie ma wszy, a ty w żaden sposób nie możesz się zmusić, aby przyzwycząić się - nie do myśli (co znaczy myśl?), lecz do uczucia, że nie masz już wszy; tak mi się w życiu zdarzało dwukrotnie i trzykrotnie. A Konstytucja czy „Astoria”, czy ekonomia polityczna - wszystko to nie dla nas. W butyrskim więzieniu, jeszcze w

czasie śledztwa blokowy krzyczał: „Co wy
pytacie o
Konstytucję? Wasza konstytucja - to
kodeks kryminalny!” I
miał rację. Tak, naszą konstytucją był
kodeks kryminalny.
Ale to było dawno. Przed tysiącem lat.
Czwartym
przedmiotem była chemia. Ocena - trójka.
Ach, jak ostro ruszyli więźniowie z
nauką na kursie, gdzie
stawką było życie. Jak ostro ruszyli do
przodu byli
profesorowie instytutów, ażeby nieukom,
nigdy
nieinteresującym się medycyną bałwanom
wbijać do łbów
zbawienną wiedzę - od magazyniera
Siłajkina do
tatarskiego pisarza Min-Szabaja...
Chirurg pyta, wykrzywiając w uśmiechu
cienkie wargi:
Kto wynalazł penicylinę?
Fleming! - To nie ja odpowiadam, lecz
mój sąsiad z
rejonowego szpitala. Ruda szczecina
została już zgolona.
Pozostała niezdrowa pulchność policzków
(naparł na zupę*
- przelatuje mi mimochodem przez głowę).
Byłem
zdumiony wiedzą rudego kursanta. Chirurg
przyglądał się
uradowanemu „Flemingowi”. Kimże ty
jesteś, nocny

sanitariuszu? Kim? Kim byłeś na wolności?
Jestem kapitanem. Kapitanem wojsk
inżynieryjnych. Na
początku wojny byłem naczelnikiem
umocnionego rejonu
na wyspie Dickson. Pospiesznie
budowaliśmy te
umocnienia. Jesienią czterdziestego
pierwszego roku, kiedy
rozsiała się poranna mgła, ujrzeliśmy w
zatoce niemiecki
krażownik Admirał Speer. Strzelając na
wprost, rozwalił
nasze umocnienia. I odpłynął. A mnie
dali dziesięć lat. „Nie
wierzysz - przyjmij to za bajkę”.
Wszyscy kursanci uczyli się całymi
nocami, wchłaniając,
pakując w siebie wiedzę z całą pasją
skazanych na śmierć,
którym nagle dano nadzieję na przeżycie.
Ale Fleming, po jakiejś tam służbowej
wizycie u
naczalstwa, poweselał i przywłókł na
naukę w baraku
powieść. Pojadając gotowaną rybę -
resztki czyjejs uczy -
niedbale kartkował książkę.
Spostrzegłszy mój ironiczny uśmiech,
Fleming powiedział:
Teraz to wszystko jedno - uczymy się już
trzy miesiące -
wszystkich, co utrzymali się na kursie,
wypuszczą z

dypłomem. Dlaczego mam wariować? No zgódź się!

Nie – powiedziałem. – Ja chcę się nauczyć leczyć ludzi.

Nauczyć się prawdziwie dobrej roboty.

Prawdziwie dobrą robotą jest życie.

W tym czasie wyjaśniło się, że

kapitaństwo Fleminga – to

tylko jego maska, jeszcze jedna maska na tej bladej,

więziennej twarzy. Właściwie kapitaństwo nie było maską,

maską były wojska inżynieryjne. Fleming był śledczym

NKWD w stopniu kapitana. Informacje były przefiltro-

wywane, gromadziły się kropla po kropli – przez kilka lat.

Kropla – to miernik czasu, tak jak w zegarze wodnym. Lub

kropla spadająca na nagie ciemne więzienia w śledztwie –

wodny zegar katowni Leningradu w latach trzydziestych.

Piaskowy zegar odmierzał czas aresztanckich spacerów,

wodny czas na przyznanie się, czas śledztwa. Pośpiech

piaskowego

|

*W języku łagrowym oznaczało to jedzenie szczególnie

dużej ilości zupy.

gara i męka wodnego, Zegar wodny nie odliczał, nie mierzył minut, lecz ludzką duszę, ludzką wolę, rozmiękczać ją kropla po kropli, drażąc jak skałę - tak jak w przysłowiu. Ten folklor śledczy był bardzo rozpo- wszechniony w trzydziestych, a nawet chyba już w dwudziestych latach. Kropla po kropli zostały zebrane słowa kapitana Fleminga i skarb okazał się bezcenny. Tak go również oceniał sam Fleming - bo jakżeby inaczej!

- Czy ty wiesz, co jest największą tajemnicą naszych czasów?

Co?

Procesy lat trzydziestych. Jak je przygotowywano? Przecież byłem wtedy w Leningradzie. U Żakowskiego.

Przygotowanie procesów - to chemia, medycyna, farmakologia. Ujarzmienie woli środkami chemicznymi.

Takich środków jest tyle, ile zechcesz. Czy ty naprawdę myślisz, że jeżeli takie środki istnieją - to nie będą ich stosować? Czyżby genewska konwencja... Posiadać chemiczne środki ujarzmienia woli i nie stosować

ich w śledztwie, na „wewnętrznym
froncie” - to już nazbyt
ludzkie. Nie można uwierzyć w taki
humanizm w
dwudziestym wieku. W tym i tylko w tym
leży tajemnica
procesów lat trzydziestych, otwartych
procesów,
dostępnych dla każdego zagranicznego
korespondenta i dla
każdego Feuchtwangera. Na tych procesach
nie było
żadnych sobowtórów. Tajemnica tych
procesów - to
tajemnica farmakologii...
Leżałem na krótkich, niewygodnych
podwójnych narach w
opustoszałym kursanckim baraku, który
słońce
przestrzeliwało swymi promieniami na
wylot i słuchałem
tych wyznań.

Doświadczenia prowadzono już wcześniej -
w czasie
procesów szkodników na przykład. Komedia
z Ramzinem
tylko trochę zahacza o farmakologię.
Kropla po kropli sączyło się opowiadanie
Fleminga - czy to
skapywała jego własna krew na moją
czujną pamięć? Co to
były za krople - krew, łzy, atrament?
Ani atrament, ani łzy.
i Były oczywiście przypadki, kiedy
medycyna okazywała

się bezsilna. To były albo nieprawidłowe obliczenia przy przygotowywaniu roztworów, albo szkodnictwo. W takim przypadku - podwójne ubezpieczenie: zgodnie z zasadą.

Gdzież są teraz ci lekarze?,
Kto to wie? Pewnie na Księżycu...
Arsenał śledztwa - to ostatnie słowo nauki, ostatnie słowo farmakologii.

To nie była szafa oznaczona literą „A” - dożylna, trucizny - ani też nie szafa „B” - heroina, silnie działająca. Okazuje się, że greckie słowo heros przekłada się na rosyjski jako „silnie działający”. A gdzie przechowywane były medykamenty kapitana Fleminga? W szafie „P” - w szafie przestępstw czy w szafie „C” - cudów? Człowiek, który rozporządzał szafą „P” i szafą „C” lub z innymi najwyższymi osiągnięciami nauki, dopiero na felczerskim kursie w łagrze dowiedział się, że człowiek posiada jedną wątrobę, że nie jest ona podwójnym organem. Dowiedział się o krwiobiegu - trzysta lat po Harveyu.
Tajemnica skrywała się w laboratoriach, podziemnych

gabinetach, śmierdzących wiwariach,
gdzie zwierzęta
pachniały tak jak aresztanci
magadańskiego punktu
tranzytowego w trzydziestym ósmym roku.
W porównaniu
z nim butyrskie więzienie lśniło
czystością jak oddział
chirurgiczny, pachniało salą operacyjną,
a nie wiwarium.

Wszystkie odkrycia nauki i techniki
sprawdzone są
najpierw w aspekcie ich przydatności dla
potrzeb
wojskowych – nawet tych przyszłych, w
aspekcie
utrafienia w ich przyszłe zastosowania.
I tylko to, co
zostało odsiane przez generałów, zostaje
oddane na ogólne
potrzeby. Medycyna, chemia, farmakologia
już dawno
podlegają kontroli wojska. Na całym
świecie, w instytutach
naukowych zajmujących się mózgiem,
zawsze gromadzone
były wyniki eksperymentów i obserwacji.
Trucizny
Borgiów zawsze były narzędziem
praktycznej polityki.
Dwudziesty wiek przyniósł niezwykle
rozkwit środków
chemicznych i farmakologicznych
sterujących psychiką.

Ale jeżeli można lekarstwem zabić strach,
to tysiąc razy
można zrobić coś odwrotnego - ujarzmić
ludzką wolę za
pomocą zastrzyków, przez czystą
farmakologię, chemią,
pozbawioną zupełnie „fizyki” w postaci
łamania żeber i
deptania obcasami butów, wykruszania
zębów i gaszenia
papierosów na ciele więźnia znajdującego
się w śledztwie.

Chemicy i fizycy - tak nazywano te dwie
szkoły
prowadzenia śledztwa. Fizycy - to ci, co
stawiali najwyżej
fizyczne oddziaływanie, widząc w biciu
środek ujawnienia
moralnych podstaw świata. Ujawnienia
głębi ludzkiego

704

Jestestwa.i jakim podłym i nijakim
okazywało się to
ludzkie jestestwo. Pod groźbą kija
wynałazcy robili
naukowe odkrycia, a inni pisali wiersze
i powieści. Strach przed biciem,
żołądkowa skala
„żywnościowej porcji” tworzyły wiele.
Bicie - to dostatecznie silne narzędzie
oddziaływania na
psychikę,
wystarczająco efektywne.
Wiele korzyści przynosił również słynny,
wszędzie

stosowany „konwejer”, kiedy jeden śledczy zmieniał drugiego, nie dając aresztantowi spać. Siedemnaście dób bez snu - i człowiek traci rozum - czy aby nie z gabinetów śledczych zaczerpnięte zostało to naukowe spostrzeżenie?! Ale i chemiczna szkoła nie poddawała się. Fizyka mogła zapewnić potrzebny materiał dla „komisji specjalnych”, dla różnych „trójek”, ale dla otwartych procesów szkoła fizycznego oddziaływania nie nadawała się. Szkoła fizycznego oddziaływania (tak chyba jest u Stanisławskiego) nie mogłaby przygotować otwartego, krwawego teatralnego spektaklu, nie potrafiłaby przygotować „otwartych procesów”, które poruszały całą ludzkość. Takie widowiska leżały w zakresie możliwości chemików.

Dwadzieścia lat po tej rozmowie wpisuję do tego opowiadania fragmenty artykułu z gazety: „Stosując niektóre środki psychofarmakologiczne, można na przykład na pewien czas usunąć uczucie strachu u człowieka. Co jest

przy tym specjalnie ważne, jasne
poczucie świadomości
pozostaje zupełnie nienaruszone".
„Potem ujawniono jeszcze bardziej
nieoczekiwane fakty. U
ludzi, którym tłumiono fazę «B» ich snu
przez
siedemnaście kolejnych nocy, zaczęły
powstawać różne
zaburzenia stanu ich psychiki i
zachowania" Co to?
Fragmenty zeznań jakiegoś byłego
naczelnika zarządu
NKWD w procesie sędziów?... Ostatni
przed śmiercią list
Wyszyńskiego lub Riumina? Nie, to są
ustępy naukowego
artykułu autorstwa rzeczywistego członka
Akademii Nauk
ZSRR. Ale przecież to wszystko - i
stokroć więcej! - jest
znane, sprawdzone i było stosowane w
trzydziestych latach
podczas przygotowywania „otwartych
procesów".
Farmakologia nie była jedynym narzędziem
śledczego
arsenału tamtych lat. Fleming wymienił
nazwisko, które
było mi dobrze znane.
Ornaldo!
Oczywiście! Ornaldo był znanym
hipnotyzerem, w latach
dwudziestych wielokrotnie występował w
moskiewskich

cyrkach, i nie tylko
w moskiewskich. Specjalnością Ornalda
była masowa
hipnoza. Istnieją fotografie z jego
słynnych występów. Są
też ilustracje w książkach o hipnozie.
Ornaldo – to
oczywiście pseudonim. Nazywał się
naprawdę M.A.
Smirnow. Był moskiewskim lekarzem.
Afisze z jego
nazwiskiem obejmowały całe powierzchnie
– rozklejano
je wtedy na okrągłych, obracających się
słupach
ogłoszeniowych. Jego fotografia
znajdowała się u Paolo-
Swiszczowa w zaułku Stolesznikowskim. W
witrynie
wisiało ogromne zdjęcie ludzkich oczu i
widniał napis:
„Oczy Ornalda”. Pamiętam do dzisiaj te
oczy, pamiętam ten
wewnętrzny niepokój, który mnie ogarniał,
kiedy słyszałem
o nim lub widziałem jego cyrkowy występ.
Hipnotyzer
występował do końca lat dwudziestych.
Istnieją robione w
Baku w 1929 roku fotografie z jego
występów. Potem
przestał występować.
Z początkiem lat trzydziestych Ornaldo
został zatrudniony
jako tajny pracownik NKWD.

Chłodny dreszcz mnie przeleciał, gdy
poznałem tę
tajemnicę.

Często bez żadnego powodu Fleming
chwalił Leningrad.

Co prawda przyznał—on nie jest rodowitym
leningradczykiem. Rzeczywiście Fleming
został wezwany z

provincji przez estetów NKWD lat
dwudziestych, jako
jeden z ich godnych następców.

Zaszczepiono mu gusty
wykraczające poza normalne szkolne
wykształcenie. Nie
tylko Turgieniew i Niekrasow, ale
Balmont, i Sołogub, nie tylko Puszkina,
ale też Gumilow.

„A wy, królewskie psy, filibustierzy,
kryjący złoto w
ciemnym porcie”. Czy czegoś nie
przekręcam?

Nie, wszystko w porządku!

Dalej nie pamiętam. Czyżbym był
królewskim psem?

Państwowym psem?

I uśmiechając się do siebie i swej
przeszłości, opowiedział -
pełen pietyzmu, tak jak czyni to
puszkinista, który trzymał
w ręku gęsie pióro Puszkina, którym
napisana została

Połtawa - jak dotykał teczek „sprawy
Gumilowa”,

nazywając ją spiskiem licealistów. Można
było pomyśleć,

iż dotknął kamienia Kaaby - taka błogość,
takie
wewnętrzne oczyszczenie widniało w
rysach jego twarzy,
że mimo woli pomyślałem - to jest też
droga
zaangażowania się w poezję. Zadziwiający,
niezwykle
rzadki trop w gabinecie śledczym,
prowadzący do skarbów
literatury. Oczywiście nie tą drogą
dochodzi się do
moralnych wartości poezji.
W książkach przede wszystkim czytam
przypisy i
komentarze. Jako człowiek przypisów,
człowiek
komentarzy.

A tekst?

706

Nie zawsze. Gdy jest na to czas.
Dla Fleminga i jego współpracowników
zaangażowanie się
w literaturę mogło nastąpić, jakkolwiek
zabrzmi to
świętokradczo - jedynie w ich pracy jako
śledczych. I
poznanie ludzi związanych z literaturą i
życiem
społeczeństwa, zniekształcone, ale mimo
wszystko w jakiś
sposób prawdziwe, rzeczywiste,
nieskrywane przez tysiące
masek. Głównym informatorem o sprawach
inteligencji

artystycznej owych lat, stałym,
wnikliwym i
wykwalifikowanym autorem wszelkiego
rodzaju „memo-
randów” i przeglądów zajmujących się
życiem pisarzy, był -
nazwisko to tylko z początku było dla
mnie zaskoczeniem -
generał major Ignatjew. Pięćdziesiąt lat
na służbie.

Czterdzieści lat w sowieckim wywiadzie.
Tę książkę, Pięćdziesiąt lat w szeregu,
przeczytałem już
wtedy, kiedy zaznajomiłem się z jego
poglądami i zostałem
przedstawiony samemu autorowi. Czy też
on został mi
przedstawiony - mówił w zamyśleniu
Fleming. - Niezła
książka te Pięćdziesiąt lat w szeregu.
Fleming niezbyt lubił gazety, wiadomości
prasowe czy
radiowe. Wydarzenia międzynarodowe nie
zajmowały go.
Co innego - jeżeli chodziło
sprawy wewnętrzne. Głównym uczuciem
Fleminga było
uczucie dotkliwej krzywdy wyrządzonej mu
przez jakąś
ciemną siłę, która odkryła przed
gimnazjalistą
nieograniczone możliwości, wyniosła go
wysoko
naraż zrzuciła bezwstydnie w otchłań,
nie pozostawiając po

nim śladu. I w żaden sposób nie mógł
zapamiętać
prawidłowego zakończenia słynnej pieśni
mojego
dzieciństwa Goreje, szumi pożar Moskwy.
Przyswajanie kultury miało osobliwy
charakter. Jakieś
krótkoterminowe kursy, jakieś wycieczki
do Ermitażu.
Człowiek rósł. I wyrósł śledczy-esteta,
zszokowany
pojawieniem się brutalnej siły, która
wdarła się do
„organów” w latach trzydziestych,
zmięciony, zniszczony
przez „nową falę”, wyznającą tylko
działanie za pomocą
ordynarnej siły fizycznej, gardząca nie
tylko
psychologicznymi subtelnościami, ale
nawet
„konwejerami” czy „stójkami”. Tej nowej
fali nie starczało
całkiem po prostu cierpliwości na
prowadzenie jakichś tam
naukowych kalkulacji, na wielką
psychologię. Okazuje się,
że rezultaty można uzyskać znacznie
prościej, zwykłym
biciem. Powolni esteci sami powędrowali
na Księżyc.
Fleming tylko przypadkiem pozostał przy
życiu. Nowa fala
nie mogła czekać. Zanikał głodowy blask
oczu Fleminga i

profesjonalna spostrzegawczość zaczynała dochodzić do głosu...

Słuchaj, patrzyłem na ciebie w czasie seminarium. Myślałeś o swoich sprawach.

- Ja chcę tylko zapamiętać, zapamiętać i opisać.

W mózgu Fleminga, wypoczętym i uspokojonym, falowały jakieś obrazy.

Na oddziale nerwic, gdzie pracował Fleming, przebywał

Łotysz - wielkolud, który zupełnie oficjalnie otrzymywał

potrójne porcje. Każdego razu, gdy wielkolud zaczynał

jeść, Fleming siadał naprzeciw, nie mogąc ukryć swojego

zachwytu wobec tego potężnego żarcia.

Fleming nie rozstawał się z menażką, tą samą, z którą

przyjechał... To był talizman. Kołymski talizman.

Na tym samym oddziale błatniacy złapali kota, zabili go i

ugotowali. Poczęstowali Fleminga jako dyżurnego felczera

- tradycyjna „łapa", kołymska łapówka, kołymskie

przekupstwo. Fleming zjadł mięso i nic nikomu o kocie nie

powiedział. Był to kot z oddziału chirurgicznego. Kursanci

bali się Fleminga. Ale kogóż się oni nie bali? W szpitalu Fleming pracował już jako felczer, etatowy konował. Wszyscy byli do niego wrogo usposobieni, obawiając się go, wyczuwając w nim nie tylko pracownika organów, ale posiadacza jakiejś niezwykle ważnej, strasznej tajemnicy. Wrogość się powiększyła, a atmosfera tajemniczości zagęściła po nagłym wyjeździe Fleminga na spotkanie z młodą Hiszpanką. To była najprawdziwsza Hiszpanka, córka któregoś z członków rządu Republiki Hiszpanii. Wywiadowczym, wplątana w sieć prowokacji, dostała dziesięć lat i została wyrzucona na Kołymę, aby tam umrzeć. A Fleming, jak się okazuje, nie został zapomniany przez swoich starych i dalekich przyjaciół, przez swoich towarzyszy pracy. Czegoś tam miał się dowiedzieć od Hiszpanki, coś tam potwierdzić. Chora jednak nie czeka. Po wyzdrowieniu została wysłana etapem do kobiecej kopalni. Fleming zaś nagle, zostawiając pracę w szpitalu, jedzie na

spotkanie z nią, przez dwa dni
poniewiera się na trasie o
długości tysiąca wiorst, po której jada
jeden za drugim
samochody i stoją co kilometr czaty
wywiadowców z
bezpieki. Ma jednak szczęście i wraca ze
spotkania bez
żadnych kłopotów. To, co zrobił, mogłoby
uchodzić za
romantyczny wyczyn, dokonany w imię
łagrowej miłości.

Niestety, Fleming nie podróżuje dla
miłości, nie dokonuje
dla niej bohaterских czynów. W tym
przypadku działa siła
znacznie większa niż miłość, silniejsza
od niej pasja, która
przeniesie go bezpiecznie przez
wszystkie łagrowe
zasadzki.

Wielokrotnie Fleming wspominał lata
trzydzieste z ich
nagłym potokiem zabójstw. Śmierć
Sawinkowa, którego
syn został rozstrzelany, a rodzi-
na - żona, dwoje dzieci, matka żony -
nie chciała wyjeżdżać
z Leningradu.

Wszyscy popełnili samobójstwo i pamięć
Fleminga
zachowała słowa napisane przez dziecko
na karteczce:
„Babciu, my niedługo umrzemy''.. W roku
pięćdziesiątym

Fleming skończył odsiadywanie wyroku w sprawie NKWD, ale do Leningradu nie powrócił, Nie otrzymał zezwolenia. Żona, przez wiele lat strzegąca „powierzchni mieszkalnej” w Leningradzie, przyjechała stamtąd do Magadanu, ale nie udało się jej jakoś urządzić i wyjechała z powrotem. Przed dwudziestym zjazdem Fleming powrócił do Leningradu, do tego samego pokoju, w którym mieszkał do momentu katastrofy... Szalone kłopoty. Tysiąc czterysta rubli za wysługę lat. Znaczący farmakolog, wzbogacony obecnie wykształceniem felczera, nie udało się powrócić do swej „specjalności”. Okazało się, że wszyscy „starzy pracownicy”, wszyscy weterani tych spraw, wszyscy pozostający przy życiu esteci zostali posłani na emeryturę. Aż do ostatniego gońca. Fleming podjął pracę jako selekcjoner książek w sklepie bukinistycznym na Litiejnym. Fleming uważał, że jest z krwi i kości rosyjskim inteligentem, jakkolwiek jego

przynależność do inteligencji miała tak osobliwy charakter.

Do samego końca Fleming nie chciał oddzielić swego losu od losów rosyjskiej inteligencji, być może czując, że tylko obcowanie z książkami pozwoli mu zachować potrzebne kwalifikacje, jeżeli uda mu się dożyć lepszych czasów.

W czasach Konstantina Leontjewa kapitan „wojsk inżynieryjnych” poszedłby do klasztoru. Ale świat książek, niebezpieczny i wzniosły świat służby książce, ubarwiony fanatyzmem, jak każda pasja związana z książkami, także zawiera w sobie element moralnego oczyszczenia. Przecież nie zostanie dozorcą były wielbiciel Gumilowa i znawca komentarzy do jego wierszy i jego losów. Być felczerem, pracować w nowym zawodzie? Nie, to już lepiej zostać bukinistą.

Ja staram się, cały czas zabiegam. Rumu? Nie piję.

Ach, co za pech, jak mi przykro, że ty nie pijesz. Katia, on nie pije! Rozumiesz? Ja wciąż się dobijam. Jeszcze wrócę do swojej pracy.

Jeśli powrócisz do tej pracy -
zsiniałymi ustami
powiedziała Katia - to ja się powieszę,
utopię od razu jutro.
Żartuję. Cały czas żartuję.
Zabiegam. Wciąż chodzę koło tego.
Składam jakieś
podania, pra-
wuję się, jeżdżę do Moskwy. Przecież
przywrócono mi
członkostwo partii. To jakże? - Pojawił
się wyciągnięty zza
pazuchy Fleminga plik zmiętych papierków.
- Czytaj. To
poświadczenie Drabkinej. Była u mnie na
Igarce.
Przebiegłem wzrokiem obszerny tekst
poświadczenia
autorki Czarnych sucharów. „Będąc
naczelnikiem
ambulatorium w łagrze, dobrze odnosił
się do więźniów, i
za to właśnie został w krótkim czasie
aresztowany i
osadzony...” Przeglądałem brudne, lepkie,
wielokrotnie
nieuważnie kartkowane palcami naczelstwa
„zeznania”
Drabkinej...
Potrzebne ci to wszystko?
Potrzebne. Wypełniam tym życie. A może,
a może, diabeł
go wie. Pijemy?
Ja nie piję.

Ech. Za wysługę lat. Tysiąc czterysta.

Ale mnie trzeba
czegoś innego...

Zamilcz albo ja się powieszę - krzyknęła
Katia, żona.

Ona jest chora na serce - wyjaśnił
Fleming.

Weź się w garść. Pisz. Masz dobry styl.

Do gazet. A

opowiadanie, powieść - to jest właśnie
list

uwierzytelniający.

Nie, ja nie jestem pisarzem. Ja
załatwiam...

I parszając mi śliną do ucha, zaczął mi
coś szeptać bez ładu

i składu, jak gdyby nigdy nie było
żadnej Kołomy i jakby to

on, Fleming, w trzydziestym siódmym roku
sam stał przez

siedemnaście dób na „konwejerze w czasie
śledztwa i przez

to jego psychika się w widoczny sposób
rozstroiła.

Teraz wydaje się wiele pamiątek.

Wspomnień. Na

przykład W świecie odtraconych

Jakubowicza. Niech
wydadzą.

Czy napisałeś swoje wspomnienia?

Nie. Natomiast chcę polecić do wydania
jedną książkę -

wiesz jaką. Chodziłem do Lenizdatu - ale
mówią, nie twoja

sprawa...

Jakaż to książkę?

Notatki Sansona, paryskiego kata. To dopiero byłby pamiętnik.

Paryskiego kata?

- Tak. Pamiętam, że Sanson odciął głowę Charlotte Cordet i klepał ją po policzkach, które się zaróżowiły na odciętej już głowie. I jeszcze jedno, wtedy odbywały się „bale ofiar”.

Czy u nas też się odbywają?

Bal ofiar związany jest z thermidorem, a nie wprost z czasami p okresie terroru. Natomiast notatki Sansona - to falsyfikat.

To nie o to chodzi czy to jest falsyfikat czy nie. Była taka książka ?

Napijmy się rumu. Próbowałem wielu napojów, ale

najlepszy jest rum. Rum. Jamajski rum.

Żona nakryła do obiadu - pojawiły się góry jakiegoś

tłustego jedzenia, które prawie natychmiast były

pochłaniane przez żarłocznego Fleminga!

Nieposkromiona

łapczywość na jedzenie, jako uraz psychiczny, pozostała

mu na zawsze, podobnie jak tysiącom innych byłych

więźniów - do końca życia.

Rozmowa jakoś się urwała i w zapadającym
miejskim
zmierzchu usłyszałem obok siebie dobrze
mi znane
kołymskie mlaskanie. Pomyślałem o
życiowej sile kryjącej
się w zdrowym żołądku i przewodzie
pokarmowym, w
zdolności pochłaniania wszystkiego - na
Kołymie właśnie
to było obronnym refleksem życia
Fleminga.
Niewybredność i łapczywość. Duchowa
niewybredność,
przyswojona za biurkiem śledczego, także
stanowiła
przygotowanie, była swojego rodzaju
amortyzatorem przy
tym kołymskim upadku, który dla Fleminga
nie był
upadkiem w otchłań - on już wcześniej
wiedział o tym
wszystkim i to go uratowało: osłabiło
duchowe męczarnie -
jeżeli w ogóle je przeżywał! Żadnych
innych duchowych
urazów Fleming nie doświadczył - widywał
rzeczy gorsze i
obojętnie spoglądał na zagładę
wszystkich w swoim
sąsiedztwie, gotów walczyć tylko o
własne życie. Życie zostało uratowane,
ale w duszy jego
pozostał jakiś głęboki ślad, który
należało zatrzeć, oczyścić

skruchą. Skruchą - poprzez przejęzyczenia, połowiczne aluzje, głośne rozmowy z sobą samym, bez ubolewania czy potępienia. „Całkiem po prostu nie miałem szczęścia”.

mimo wszystko opowiadanie Fleminga było skruchą.

- Widzisz tę książeczkę...? -
Legitymacja partyjna?

- Aha. Nowiutka. Ale to wszystko nie było takie proste, nieproste. Pół roku temu komitet obwodowy rozpatrywał sprawę mojej rehabilitacji. Siedzą, czytają materiały. Sekretarz komitetu, ten Czuwasz, mówi jakoś tak bez życia i szorstko:

No, to wszystko jasne. Proszę pisać decyzję: przywrócić w prawach z przerwą w stażu. Zapiekło mnie jak ogień: „z przerwą w stażu”. Pomyślałem sobie - jeżeli teraz nie powiem, że się nie zgadzam z decyzją, to potem zawsze będą mi mówić - dlaczego milczeliście, kiedy rozpatrywano waszą sprawę? Po to przecież wzywa się was osobiście, ażeby dać możliwość w porę powiedzieć, zgłosić... Podnoszę rękę.

No, co tam masz? - Jakoś tak bez życia i szorstko.

Mówię: „Nie zgadzam się z decyzją.

Przecież zawsze,

wszędzie, gdy będę pracować, zażądają wyjaśnienia

powodu tej przerwy”

Patrz, jakiś ty szybki - mówi pierwszy sekretarz komitetu. -

dlategoś taki zuch, bo masz zapewnioną bazę materialną

- ile otrzymujesz za wysługę lat?

Ma rację, ale mu przerywam i mówię:

Proszę o pełną rehabilitację bez przerwy w stażu.

A sekretarz nagle:

Co ty tak naciskasz? Czego się

gorączkujesz? Przecież

masz ręce po łokcie we krwi!

Zaszumiało mi w głowie.

A wasze - mówię - wasze nie są naznaczone krwią?

Sekretarz zaś mówi:

Nas tutaj nie było.

A tam - mówię - tam, gdzie byliście w trzydziestym

siódmym roku? Tam nie maczaliście rąk we krwi?

Sekretarz na to:

Dość tego gadania. Możemy przegłosować.

Idź stąd.

Wyszedłem na korytarz, a oni podjęli decyzję: „Odmówić

partyjnej

rehabilitacji”.

Przez pół roku dobijałem się o to w Moskwie. Zmienili decyzję. Ale przyjęli jednak to sformułowanie „Przywrócić z przerwą w stażu”. Ten, który referował moją sprawę w KKP, powiedział - nie trzeba było się kłócić w Komitecie obwodowym.

Ja cały czas zabiegam, prawuję się, jeżdżę do Moskwy i dobijam się. Pij!

Ja nie piję.

To nie rum, to koniak. Pięciogwiazdkowy koniak! Dla ciebie.

Zabierz butelkę.

No i słusznie, zabiorę, wyniosę, wezmę ze sobą. Nie obrażaj się.

Ja się nie obrażę.

Minął rok i otrzymałem od bukinisty ostatni list:

W czasie mojego wyjazdu z Leningradu umarła nagle moja

żona. Wróciłem po pół roku, zobaczyłem wzgórek mogiły

krzyż i amatorską fotografię jej w trumnie. Nie potępiaj

mnie za słabość, jestem zdrowym człowieka ale nic nie

mogę zrobić - żyję jak we śnie, utraciłem sens w życiu. Ja

wiem

to przejdzie, ale trzeba na to czasu. Co
ona zobaczyła w
życiu? Chodzenie po więzieniach, aby
otrzymać
zaświadczenie i zezwolenie na paczkę.
Pogarda , podróż do
mnie do Magadanu, życie w nędzy, a
teraz-finał. Wybacz,
potem napiszę więcej. Tak, ja jestem
zdrów, ale czy zdrowe
jest społeczeństwo, w którym żyję? Cześć.

PO LIST

Na wpół pijany radiooperator otworzył na
oścież moje
drzwi.

„Jest gryps do ciebie z zarządu, zajdź
do mojej chawiry” - i
znikł w śniegu i mgle. Odsunąłem od
piecyka tuszki
zajaców, które przywiozłem z mojego
ostatniego wyjazdu -
w tym roku był urodzaj na zające, ledwo
można było
nadażyć stawiać sidła, a już pół dachu
baraku było nimi
usłane, ich zamrożonymi tuszkami.
Sprzedać nie było
gdzie, więc prezent z dziesięciu
zajęczych ciał nie był zbyt
drogi, wymagający rewanżu czy zapłaty.
Ale zające trzeba
było najpierw rozmrozić.
Gryps z zarządu - to telegram, radiogram,
telefonogram na

moje nazwisko - pierwszy telegram od piętnastu lat.

Szokujący, napawający strachem, podobnie jak na wsi, gdzie każdy telegram - to jakaś tragedia, czyjaś śmierć.

Wezwanie, aby się stawić na zwolnienie? - nie, z tym się nie spieszą, a przy tym już dawno jestem wolny. Poszedłem do radiooperatora do jego warownego zamku, radiostacji znajdującej się za potrójną palisadą, z trzema furtami zamykanymi na kłódki, z zamkami, które otworzyła mi jego żona. Przeciskałem się przez kolejne drzwi, przybliżając się do mieszkania gospodarza. Ostatnie drzwi i wkroczyłem w łopot skrzydeł, w smród kurzego pomiotu, przedzierając się poprzez trzepoczące skrzydłami kury i piejące koguty; zginając się i chroniąc twarz, przekroczyłem jeszcze jeden próg, ale i tam go nie było.

Były jedynie świnie, trzy utuczone wieprzki i większa od nich maciora. Była to już ostatnia przeszkoda.

Radiooperator siedział w otoczeniu rozsąd ogórków i

skrzynek ze szczypiorkiem. Całkiem po prostu miał on zamiar zostać milionerem. Na Kołymie bogacą się i w ten sposób. Wielkie ruble w postaci wysokich stawek, polarnych przydziałów, naliczania procentów - to jeden ze sposobów. Drugi to handlowanie machorką i herbata. A hodowla kur i świń - to trzeci sposób. Przyciśnięty przez swoją florę i faunę do samego skraju stołu radiooperator podał mi, jak papuga mająca wyciągnąć moje szczęście, papierków - wszystkie były jednakowe.

714

Pogrzebałem w telegramach, niczego nie rozumiejąc, i swojego nie znalazłem, ale radiooperator łaskawie wyjął go koniuszkami palców.

„Przyjechać list”, znaczyło: proszę przyjechać po list - poczta oszczędzała na treści, ale adresat oczywiście pojął, o co chodzi.

Poszedłem do naczelnika rejonu i pokazałem mu telegram.

Ile kilometrów?

Pięćset.

No cóż...

Pięć dób wystarczy.

Dobra. Ale pospiesz się. Nie czekaj na samochód. Jutro Jakuci podrzucają cię psami do Baragonu. A tam zabiorą cię renifery, pocztowy zaprząg, jeżeli nie będziesz skąpy.

Najważniejsze, aby się dostać do centralnej trasy.

Dobrze, dziękuję.

Wyszedłem od naczelnika i zrozumiałem, że nie dotrę do tej przeklętej trasy, nawet nie dotrę do Baragonu, bo przecież nie mam półkożuszka. Zostałem kołymianinem bez półkożuszka. Sam sobie byłem winien. Przed rokiem, kiedy zwalniałem się z łagru, magazynier Siergiej Iwanowicz Korkotkow podarował mi prawie nowy biały półkożuszek.

Podarował także wielką poduszkę. Ale starając się rozstać ze szpitalami i wyjechać na kontynent, sprzedałem i półkożuszek, i poduszkę - całkiem po prostu po to, żeby nie mieć zbędnych rzeczy, które i tak czeka jeden koniec - ukradną je albo odbiorą błatniacy. Tak przedtem postąpiłem. Ale nie udało mi się wyjechać - dział kadr w porozumieniu z magadańskim NKWD nie dał na to zgody.

Kiedy więc skończyły mi się pieniądze, zostałem zmuszony ponownie podjąć pracę w Dalstroju. Tak też zrobiłem i pojechałem tam, gdzie znajdował się radiooperator wraz z latającymi kurami, ale półkożuszka nie zdążyłem już kupić.

Poprosić kogoś o pożyczkę na pięć dni - na Kołymie będą się śmiać z takiej prośby. Pozostawało kupić półkożuszek w osadzie.

I rzeczywiście. Znalazł się półkożuszek i znalazł się sprzedawca. Tylko że półkożuszek - czarny ze wspaniałym baranym kołnierzem - podobny był bardziej do waciaka: nie miał kieszeni ani pól, jedynie kołnierz i szerokie rękawy.

Coś ty, odciąłeś połę czy co? - spytałem sprzedającego,

łagrowego nadzorcę Iwanowa. Iwanow był kawalerem i

ponurakiem. Poły odciął na rękawice - modne kragi - z półkożuszka wychodziło pięć par takich krag, a każda para

warta była tyle, ile cały półkożuszek.

Tego, co zostało, nie można było oczywiście nazwać półkożuszką.

A co, tobie nie wszystko jedno? Ja sprzedaję półkożuszek.

Za pięćset rubli. Ty go kupujesz. To
zupełnie zbędne
pytanie - czy odciąłem poły czy nie.
Rzeczywiście pytanie było zbędne, więc
szybko zapłaciłem
Iwanowowi, przyniosłem półkożuszek do
domu i począłem
czekać nocy.
Psi zaprzęg - szybkie spojrzenie
czarnych oczu Jakuta,
odrętwiałe palce, którymi uchwyciłem się
sań, pęd, i zaraz
za zakrętem - jakaś rzeczka, lód, krzaki
bijące boleśnie po
twarzy. Ale wszystko mam przywiązane,
umocowane.
Dziesięć minut takiego pędu i pocztowa
osada, gdzie...
Mario Antonowna - podrzucą mnie?
Podrzucą.
Tutaj, jeszcze zeszłego roku latem
zgubił się maleńki
jakucki chłopczyk, pięcioletnie dziecko,
i ja wraz z Marią
Antonowną próbowaliśmy rozpocząć
poszukiwania.
Przeszkodziła w tym matka. Paliła fajkę,
długo ją paliła, a
potem skierowała na nas swoje czarne
oczy.
Nie trzeba szukać. Sam przyjdzie. Nie
zabłądzi. To jego
ziemia.
A oto i renifery - dzwoneczki, sanie,
kij kajura-

poganiacza. Tylko że
ten kij nazywa się chorej, a nie ostoł,
jak przy psim
zaprzęgu.

Maria Antonowna, której tak się nudzi,
że odprowadza

każdego, kto tędy przejeżdża poza
obrzeże tajgi – co tu
nazywają okolicą w tajdze –
odprowadziła mnie również.

Zegnam, Mario Antonowna.

Biegnę obok sań, ale częściej siadam,
przysiadam się,

czepiam, padam i znowu biegnę. Pod
wieczór pojawił się

blask świateł wielkiej trasy, warkot
przejeżdżających we
mgłę samochodów.

Rozliczam się z Jakutami i podchodzę do
ogrzewalni – do

drogowego dworca. Piecyk się nie pali –
brak drewna. Mimo

wszystko – jest dach i są ściany. Już
jest kolejka na

samochód do centrum, do Magadanu. Ale
niewielka – tylko

jeden człowiek. Zawarczał silnik
samochodu, człowiek

wybiega we mgłę. Znow warkot. Odjechali.
Teraz ja muszę

wyjsc na mróz.

Pięciotonówka dygocze, ledwie zatrzymała
się na mój znak.

Miejsce w kabinie jest wolne. Na
wierzchu nie można

jechać tak daleko w taki mróz.

Dokąd?

Na Lewy Brzeg.

Nie wezmę. Wiozę węgiel do Magadanu, a do Lewego

Brzegu nie opłaca mi się, byś wsiadał.

Zapłacę ci jak do Magadanu.

716

To inna sprawa. Siadaj. Taryfę znasz?

Tak, rubel za kilometr.

Pieniądze z góry.

Wyjąłem pieniądze i zapłaciłem. Samochód zanurzył się w

białej mgle i zwolnił. Dalej nie dało się jechać w tej mgle.

Prześpimy się, co? Na Jewraszce. - Co to takiego

Jewraszka? Jewraszka - to suseł. A więc stacja Susłowo.

Zwinęliśmy się w kabinie, nie gasząc silnika.

Przeleżeliśmy, aż zaczęło się robić jasno i biała zimowa

mgła nie wydała się tak straszna jak wieczorem.

Trzeba zagotować czyfirku - i pojedziemy.

Kierowca zagotował w konserwowej puszce, służącej mu

za kubek, paczkę herbaty, ostudził w śniegu i wypił. Jeszcze

raz zalał wodą, zagotował, wypił i schował kubek.

Jedziemy!

A ty skąd jesteś?

Powiedziałem mu.

Bywałem u was. Nawet pracowałem w waszym rejonie jako szofer. Jest w waszym łagrze taki niegodziwiec - Iwanow, nadzorca. Ukradł mi kożuch. Poprosił o niego, żeby móc dojechać - w zeszłym roku było zimno - i tyle go widziałem. Zginął bez śladu. Nie oddał. Przekazywałem mu przez ludzi. Mówi, że nie brał i koniec. Sam się tam wybieram, aby odebrać kożuch. Taki czarny, piękny. Po co mu taki kożuch? Chyba że potnie na kragi - i rozsprzedą. Właśnie na to jest moda. Mógłbym sam uszyć te kragi - a teraz ani krag, ani kożucha, ani Iwanowa. Obróciłem się, przygniatając kołnierz swojego półkożuszka.

Ot, taki właśnie czarny jak twój. Suka. No, spaliśmy, to teraz trzeba dodać gazu. Samochód pomknął, huczac i wyjac silnikiem na zakrętach - kierowca był za sprawą czyfiru znów w formie.

Kilometr za kilometrem, most za mostem, kopalnia za kopalnią. Już zrobiło się całkiem jasno. Samochody przeganiały się wzajemnie i wymijały, jadac z przeciwnika.

Nagle wszystko zatrzeszczało, runęło i
samochód nasz
zatrzymał się, dobijając do pobocza.
Wszystko - w diabły!!! - Kierowca
podskakiwał. - Węgiel -
w diabły! Kabina - w diabły! Burta - w
diabły! Pięć ton
węgla - w diabły! Wszystko poszło w
diabły!
Sam nie był nawet draśnięty, a ja nie od
razu zrozumiałem,
o co chodzi.
Nasz samochód zwała czeska „tatra”,
jadąca z przeciwka.
Na jej że-
717
laznej burcie nie znalazło się żadne
draśnięcie. Kierowcy
przyhamowali samochód i wyleźli.
Szybko podlicz - krzyczał kierowca
„tatrzy” - ile warte są
twoje straty, węgiel, nowe burty i coś
tam jeszcze.
Zapłacimy. Tylko bez protokołu,
zrozumiałeś?
Dobrze - powiedział mój kierowca. - To
będzie...
Zgoda. A ja?
Wsadzę ciebie na pierwszą lepszą maszynę
jadącą w tym
kierunku. To czterdzieści kilometrów,
dowiozą. Wyświadcz
mi tę przysługę.
Czterdzieści kilometrów - to godzina
jazdy.

Zgodziłem się, wsiadłem do jakiejś maszyny i pomachałem ręką przyjacielowi nadzorcy Iwanowa. Nie zdążyłem jeszcze zmarznąć, gdy samochód zaczął już hamować - most. Lewy Brzeg. Zlazłem. Trzeba było znaleźć miejsce na nocleg. Tam, gdzie był list, nocować nie mogłem. Wszedłem do szpitala, w którym kiedyś pracowałem. Zaszedłem tylko na chwilę - postać w cieple - w łagrowym szpitalu obcym nie wolno się grzać. Przechodził znajomy felczer, więc poprosiłem go o nocleg. Następnego dnia zastukałem i wszedłem do mieszkania, w którym wręczono mi list, napisany dobrze mi znanym charakterem pisma, energicznym, silnie pochylonym w prawo, ale jednocześnie wyraźnym i czytelnym. Był to list Pasternaka.

Z LEND-LEASE'U

Świeże siady traktora były jakby śladami jakiegoś przedhistorycznego zwierza, w każdym razie najmniej przypominały dostarczane z lend-lease wytwory amerykańskiej techniki. My, więźniowie, słyszeliśmy o

tych zamorskich darach, które
wprowadziły zamęt w
uczucia łagrowego naczalstwa. Używane
ubrania z
dzianiny, pulowery i dżempery, zebrane
za oceanem dla
kołymskich więźniów, zostały rozchwywane
przez
magadańskie żony generałów nieomal w
bójkach. W
spisach te wełniane skarby figurowały
jako „używane”, co oczywiście ma
znacznie większy zakres
znaczeniowy niż przymiotnik „noszone”
lub wszelkie b/u -
„było w użyciu”, o brzmieniu znajomym
tylko w łagrze. W
słowie „używane” kryje się pewna
tajemnicza
niejednoznaczność, bo może oznaczać
zarówno znalezienie
się w rękach właściciela, jak i
trzymanie ubrania w szafie,
przez co staje się ono używanym, nie
tracąc zupełnie
niczego ze swoich wielu wartości, które
byłyby nie
do pomyślenia, gdyby w dokumencie było
słowo
„noszone”.

Kiełbasa z lend-leaseu wcale nie była
używana, ale my
widzieliśmy tylko z daleka te legendarne
puszki. Natomiast

konserwy wieprzowe z lend-lease u, w
pękatych puszkach -
to danie znaleźliśmy dobrze. Wyliczana,
wymierzana według
bardzo skomplikowanej tablicy
zamienników wieprzowa
konserwa, rozkradana chciwymi rękami
naczelników i
ponownie przeliczana i przemierzana
przed dopuszczeniem
jej do kotła, rozgotowywana w nim dalej
do postaci
tajemniczych włókienek, które pachniały
wszystkim oprócz
mięsa - ta wieprzowa konserwa z lend-
lease u drażniła
tylko nasz wzrok, a nie podniebienie.
Wrzucona do kotła
nie miała żadnego smaku. Żołądki
łagierników wolały mieć
do czynienia z czymś rodzimym, na
przykład ze zgniłym,
starym mięsem renifera, którego nie
potrafiłoby rozgotować
nawet siedem łagrowych kotłów. Mięso to
nie znika, nie
staje się efemerydą jak wieprzowa
konserwa.

Owsiana kasza z lend-lease u - tę
jedliśmy i chwalili. Ale
wszystko jedno, na porcję składało się
mniej niż dwie
stołowe łyżki.

Z lend-leaseu pochodziły również wytwory techniki, które nie dały się zjeść: nieporęczne topory-tomahawki, wygodniejsze już w użyciu łopaty z krótkimi, niepodobnymi do rosyjskich, styliskami, oszczędzającymi siłę ładowacza. Łopaty natychmiast były przerabiane według rosyjskiego wzorca - z długim styliskiem i rozpłaszczone, aby więcej ziemi dało się nią podebrać.

Gliceryna w beczkach. Gliceryna! Już pierwszej nocy stróż naczepał menażką całe wiadro i w tę samą noc rozsprzedał łagiernikom jako „amerykański miodek”, od razu się bogacąc.

Z lend-lease u były także ogromne, czarne, pięćdziesięciotonowe diamenty z przyczepami i żelaznymi skrzyniami, jak też pięciotonowe studebakery, z łatwością pokonujące każdą górę - nie było na Kołymie lepszych od nich maszyn. Tymi właśnie studebakerami i diamentami rozwożono po całej tysiącwiorstowej trasie, dniem i nocą, amerykańską pszenicę z lend-lease u, w białych, pięknych

płóciennych workach z amerykańskim orłem.

Z tej mąki

wypiekano pulchne, pozbawione smaku „porcje” chleba.

Ten chleb z lend-lease'u miał zadziwiająca cechę. Wszyscy, którzy go jedli, przestali prawie chodzić do ustępu; raz na pięć dób żołądek wyrzucał to coś, co trudno było nazwać

wypróżnieniem. Żołądek i jelita łagieniaka wchłaniały bez reszty ten wspaniały biały chleb z domieszką kukurydzy, mączki kostnej i czegoś tam jeszcze, może zwyczajnej ludzkiej nadziei, i nie nadszedł jeszcze czas na policzenie tych, których uratowała ta właśnie zamorska pszenica.

Studebakery i diamenty zżerały duże ilości paliwa. Ale benzyna również przychodziła z lend-lease'u, jasna, lotnicza. Rodzime samochody - gaziki - zostały przerobione na gaz drzewny; dwie kolumny piecowe, ustawione w pobliżu silnika, spalały drewniane obrzynki. Powstało słowo „klocek” i kilka wytwarzających je kombinatów, na których czele postawieni zostali partyjniacy na umowie.

Techniczne kierownictwo tych kombinatów
składało się z
głównego i zwykłego inżyniera, fachowca
od norm,
planisty i buchalterów. Ilu robociarzy
pracowało na każdej
tarczowej pile tnącej klocki na jednej
zmianie - dwóch
czy trzech - już nie pamiętam. Może
nawet trzech.

Nadchodziła technika z lend-lease u i do
nas też przyszedł
traktor, wprowadzając do naszego języka
nowe słowo

„buldożer”. Przedhistoryczny zwierz
został spuszczone z
łańcucha - puszczone został w ruch
amerykański buldożer,
z błyszczącym jak lustro, nawieszonym
szerokim nożem,
metalową tarczą - lemieszem, który też
jak lustro odbijał
niebo, drzewa, gwiazdy i brudne
aresztanckie oblicza.

I nawet konwojent podszedł do tego
zamorskiego cudu i
powiedział, że można się golić przed
takim żelaznym
zwierciadłem. Ale my nie potrzebowaliśmy
się golić - taka
myśl nie mogła nam przyjść do głowy.
W mroźnym powietrzu długo było słycać
westchnienia i
postękiwania nowego amerykańskiego
traktora. Na mrozie

buldożer kaszłał i złościł się. Wreszcie sapnął, zawarczał i śmiało ruszył do przodu, przygniatając kępy, z łatwością przełaząc przez leżące pnie - była to pomoc z za morza.

Teraz nie będziemy już musieli zrywać ciężkich jak ołów daurskich modrzewi - zwalone drzewa przeznaczone na budulec i opał rozrzucone były wzdłuż lasu na zboczu góry. Ręczne podciąganie do miejsc układania ich w stosy - to właśnie określa się wesołym słowem „zrywka” - jest na Kołymie nie do wytrzymania, przekracza możliwości człowieka. Ręczna zrywka poprzez kępy, kręte ścieżki na zboczu góry, była ponad ludzkie siły. W pewnym okresie, jeszcze przed trzydziestym ósmym rokiem, posyłano tam konie, ale konie, znosząc Północ znacznie gorzej niż ludzie, okazały się od nich słabsze, i powyzydychały, nie wytrzymując trudów zrywki. Teraz na pomoc nam (czyżby nam?) przyszedł lemiesz zamorskiego buldożera.

Nikommu nawet nie powstała w głowie taka myśl, że zamiast

ciężkiej, przekraczającej nasze siły
zrywki, dadzą nam
jakaś lekką pracę. Całkiem po prostu
zwiększą nam normę
przy wyrębie lasu - wszystko jedno,
trzeba będzie robić coś
innego, równie poniżającego, równie
upokarzającego jak
każda praca w łagrze. Żaden amerykański
buldożer nie
wyleczy naszych poodmrażanych palców.
Ale, może -
amerykański towot! Ach, towot, towot.
Beczka, w której go
przywieziono, została natychmiast
zaatakowana przez tłum
dochodiagów, od razu, na miejscu
rozwalono kamieniem
dno beczki.
Ci najbardziej głodni orzekli, że to
masło z lend-lease'u, i
zanim naczałstwo odeгнаło wystrzałami
ten tłum
dochodiagów, stawiając przy beczce
wartownika, zostało z
niej mniej niż połowa. Szczęśliwcy
łykali to masło z lend-
lease u, nie wierząc, że to całkiem po
prostu towot -
przecież ten uzdrowieńczy, amerykański
chleb także był
nieciekawym, również miał taki dziwny,
metaliczny smak. I
wszyscy, którym udało się dotknąć towotu,
przez wiele

jeszcze godzin oblizywali palce,
przełykali najmniejsze
drobinki tego zamorskiego szczęścia,
przypominającego w
smaku młody kamień. Bo kamień nie od
razu stał się
kamieniem, lecz narodził się jako miękka,
podobna do
masła żywa materia. Żywa, a nie martwa.
Martwą materia
kamień bywa w starości. Młode, płynne
tufy wapiennych
skał w górach czarowały oczy
uciekinierów i pracowników
geologicznego

721

zwiadu. Trzeba było wysiłku woli, aby
oderwać się od tych
pobrzeży kisielu, od tych podobnych do
mleka rzek
ciekłego kamienia. Ale tam były góry,
skały, wąwozy, a tu -
dostawa z lend-lease'u, wytwór rąk
ludzkich..
Nic złego nie stało się z tymi, którzy
wpakowali ręce do
beczki. trenowane na Kołymie żołądek i
jelita dały sobie
radę z towotem. A przy jego resztkach
postawiono
wartownika, gdyż towot to życie maszyn,
istot
wiele ważniejszych dla państwa niż
ludzie.

1 oto jedna z tych istot przybyła do nas
zza oceanu - jako
symbol zwycięstwa, przyjaźni i czegoś
tam jeszcze.

Trzystu ludzi bezgranicznie zazdrościło
aresztantowi
siedzącemu za kierownicą amerykańskiego
traktora - był
nim Grińka Lebediew. Pomiędzy więźniami
znajdowali się
traktorzyści lepsi od niego, ale wszyscy
- to pięćdziesiąty
ósmy paragraf, liternicy, literki.

Grińka Lebediew był
kryminalistą, a dokładniej - ojcobójcą.

Każdemu z tych
trzystu marzyło się jego ziemskie
szczęście: siedząc za
kierownicą terkoczącego, dobrze
nasmarowanego traktora,
pojechać z łomotem na wyrąb.

Wyrąb lasu posuwał się wciąż dalej i
dalej.

Przygotowywanie materiału budulcowego
prowadzi się na

Kołymie wzdłuż koryt strumieni, gdzie w
głębokich

wąwozach, wyciągając się do słońca,
ukryte w ciemności

drzewa nabierają wysokości. Na
błotnistym zboczu góry,

wystawione na wiatr i światło, rosną
karły, połamane,

powykręcane, umęczone wiecznym
zwracaniem się ku

słońcu, wieczną walką o kawałek
odtajałej ziemi. Drzewa
na zboczach gór nie przypominają drzew,
lecz jakieś
potworki nadające się do zbioru
osobliwości. I jedynie w
ciemnych wąwozach, przy korytach
górskich rzeczulek
drzewa osiągają pełen wzrost i nabierają
siły. Wyrab lasu
podobny jest do wydobywania złota i
prowadzi się go przy
tych samych złotonośnych strumieniach.
Jest tak samo
intensywny
pospieszny - strumień, koryto, płuczka,
prowizoryczny
barak, rabunkowy zryw - a rzeczka i kraj
zostają
pozbawione lasu na trzysta lat, złota
zaś - na zawsze.
Gdzieś tam istnieje leśnictwo, ale przy
osiąganiu przez
modrzewie dojrzałości w ciągu trzystu
lat, o jakiej
gospodarce leśnej może tu być mowa, do
tego w czasie
wojny, gdy w odpowiedzi na lend-lease
gwałtownie wzrosła
gorączka złota, przyhamowywana zresztą
obecnością
wieżyczek strażniczych przy
więźniarskich zonach.
Na porębach pozostawiono wiele
budulcowego drewna, a

także przygotowanych już, pociętych pni.
W śniegu utonęło
wiele „odziomków” które spadły na
ziemię, ledwie udało
się je wywindować na wątle, spiczaste
722

aresztanckie ramiona. Słabe aresztanckie
ręce, dziesiątki
tych rąk, nie potrafią unieść na czyjeś
ramię (i nie ma
zresztą takiego ramienia) dwumetrowego
bierwiona,
przeciagnąć go, ciężkiego jak żelazo,
kilkadziesiąt metrów
po kępach i jamach. Wiele drewna
porzucono z powodu
braku sił przy zrywce i właśnie buldożer
miał nam pomóc.

Ale w pierwszej jego wyprawie na
kołymskiej, rosyjskiej
ziemi przeznaczone mu było wykonać
całkiem inną pracę.
Zobaczyliśmy, jak terkoczący buldożer
zawrócił w lewo i
zaczął podjeżdżać na występ skalny w
formie tarasu,
którędy prowadziła stara droga obok
łagrowego cmentarza,
którą setki razy goniono nas do pracy.
Nie zastanawiałem się nad tym, dlaczego
w ciągu ostatnich
tygodni prowadzą nas do pracy inną drogą,
a nie gonią po
znajomej ścieżce, wydeptanej obcasami
konwojentów i

gumowymi czuniami więźniów. Nowa droga
była
dwukrotnie dłuższa od starej. Na każdym
kroku
spotykaliśmy wzniesienia i pochyłości.
Zanim dotarliśmy
do pracy, już byliśmy zmęczeni. Ale nikt
nie pytał, dlaczego
prowadzą nas inną drogą.
Tak ma być, taki jest rozkaz, więc
pełziliśmy na
czworakach, czepiając się kamieni,
rozbijając o nie do krwi
nasze palce.
Dopiero teraz zobaczyłem i zrozumiałem,
o co chodzi. I
błogosławiłem Boga za to, że darował mi
czas i siłę, abym
to wszystko mógł ujrzeć.
Wyrąb lasu posunął się do przodu. Zbocze
góry było nagie,
śnieg, jeszcze nie głęboki, został
wydmuchany. Pieńki
powyrywano co do jednego - pod większe
podkładano
amonit i pieńki wlatywał w górę.
Mniejsze wyrywano
lewarami. A te najmniejsze - wprost
rękami, jak krzewy
cedrowca...
Góra została obnażona i przemieniona w
gigantyczną scenę
widowiska, łagrowego misterium.
Obnażyła się mogiła, gigantyczna
aresztancka mogiła,

kamienna jama do wierzchu wypełniona
niedającymi się
zniszczyć zwłokami jeszcze z
trzydziestego ósmego roku.
Ciała nieboszczyków spełzały po zboczu
góry, odsłaniając
kołymską tajemnicę.
Na Kołymie ciała nie przekazuje się
ziemi, lecz kamieniom.
Przechowują one tajemnice, ale też je
wyjawiają. Kamień
jest bardziej pewny niż ziemia. Wieczna
zmarzlina także
przechowuje i ujawnia tajemnice. Każdy z
naszych
bliskich, którzy zginęli na Kołymie,
każdy z rozstrzelanych,
zabitych, których głód pozbawił krwi,
może być jeszcze
rozpoznany choćby po dziesiątkach lat.
Na Kołymie nie
było pieców gazowych. Trupy czekają w
kamieniu, w
wiecznej zmarzlinie.

723

W trzydziestym ósmym roku w kopalniach
złota do rycia
takich mogił stawały całe brygady, bez
przerwy drażące,
wysadzające w powietrze, pogłębiające
ogromne, szare,
twarde i zimne kamienne doły. Kopanie
mogił w
trzydziestym ósmym roku było lekką pracą
~ nie było tam

„zadania”, „normy” obliczonej na śmierć człowieka,
rozdzielonej na czternaście godzin jego roboczego dnia.

Kopać mogiły było łatwiej, niż stać we wdzianych na bosą nogę gumowych czuniach w lodowatej wodzie wyrobiska złota - „podstawowego produktu”, „najważniejszego metalu”.

Te mogiły, ogromne kamienne doły, były do wierzchu wypełnione ciałami nieboszczyków. Niezniszczalnymi nagimi szkieletami obciągniętymi skórą, brudną, porozdrapywaną i pogryzioną przez wszy. Kamień i Północ przeciwstawiały się ze wszystkich sił tej pracy, nie dopuszczając martwych do swego wnętrza.

Kamień, ustępujący pola, zwyciężany, poniżany, obiecywał, że o niczym nie zapomni, że będzie czekać i przechowywać tajemnicę. Surowe zimy, gorące lata, wiatry, deszcze w ciągu sześciu lat odebrały mu nieboszczyków. Ziemia się otworzyła, ukazując swoje podziemne składy, w podziemiach Kołymy bowiem znajduje się nie tylko złoto,

nie tylko cyna, nie tylko wolfram i uran,
ale i nie dające się
zniszczyć ludzkie ciała.
To one właśnie spełzały po zboczach, być
może po to, aby
zmartwychwstać. Już wcześniej widziałem
z oddali - z
drugiej strony strumienia - te
poruszające się, czepiające za
sęki i kamienie przedmioty, widziałem to
poprzez rzadki,
przerąbany las i myślałem, że to pnie,
niepozrywane
jeszcze pnie.
Teraz góra była naga, a tajemnica jej
odsłonięta. Mogiła
„rozwarła się” i martwe ciała poczęły
się obsuwać po
kamiennym zboczach. W pobliżu drogi dla
traktora została
wykuta, wyrębana nowa, ogromna bratnia
mogiła - ale
przez kogo? Z baraku do tej roboty nie
brano. Była to
bardzo duża mogiła. I dla mnie, i dla
moich towarzyszy,
jeśli pozamierzamy, umrzemy, znajdzie się
tam miejsce,
nowe mieszkanie dla martwych.
Buldożer zgarniał te zastygłe trupy,
tysiące, tysiące
podobnych do szkieletów martwych ciał.
Wszystko
pozostało nienaruszone: powykręcane
palce rąk, ropiejące

palce nóg - kikuty po odmrożeniach,
porozdrapywana do
krwi sucha skóra i płonące głodowym
blaskiem oczy.
Próbowałem pojąć swoim osłabionym,
umęczonym
mózgiem, skąd w tych stronach znalazła
się taka ogromna
mogiła. Przecież tu, zdaje się, nie było
kopalni złota -
jestem przecież starym kołymianinem. Ale
potem
pomyślałem, że znam jedynie maleńki
kawałeczek tego
świata, ogrodzony

724

kolczastą zoną z wieżyczkami
strażniczymi,
przypominającymi okres czterospadowych
dachów w
budownictwie Moskwy. Jej wysokościowce -
to wieżyczki
strażnicze strzegące moskiewskich
aresztantów. Tak
właśnie wyglądają te budynki.
Co miało priorytet: czy kremlowskie
baszty-wartownie, czy
łagrowe wieżyczki strażnicze? Co
posłużyło za wzorzec dla
moskiewskiej architektury? Strażnicza
wieżyczka łagrowej
zony - to była główna idea tych czasów,
znakomicie oddana
przez symbolikę architektury.

Pomyślałem, że znam jedynie kawałeczek
tego świata, jego
znikomo małą cząstkę, że w odległości
dwudziestu
kilometrów może stać izdebka geologów
tropiących uran
czy złoto pod przyszłą kopalnię dla
trzydziestu tysięcy
więźniów. W pofałdowaniach gór można
wiele ukryć. A
potem wspomniałem płomienną zachłanność
kiprzyć,
szalone kwitnienie letniej tajgi,
starającej się skryć w trawie
każde ludzkie dzieło - złe i dobre. Ale
trawa jeszcze mniej
pamięta niż człowiek. Jeśli ja zapomnę,
to i ona zapomni.
Natomiast kamień i wieczna zmarzlina nie
zapomną.
Grinia Lebiediew, ojcobójca, był dobrym
traktorzystą i
sprawnie kierował dobrze nasmarowanym
zamorskim
traktorem. Wykonywał swoją pracę
dokładnie: pobłyskując
nożem-lemieszem buldożera, zgarniał
trupy w kierunku
mogiły, spychał je do jamy i znów
powracał do zrywki.
Naczalstwo zdecydowało, że pierwszą
wyprawą
otrzymanego z lend- -leaseu. buldożera,
pierwszym jego

zadaniem nie będzie praca w lesie, lecz
coś znacznie
ważniejszego.
Robota została zakończona. Buldożer
nazgarniał na nową
mogilę kupę kamieni i skalnych odłamków,
pod którymi
skryli się nieboszczycy. Ale nie zginęli.
Buldożer przybliżał się do nas. Grinia
Lebiediew,
kryminalista, ojcobójca, nie spoglądał
na nas - literników,
pięćdziesiąty ósmy paragraf. Powierzono
mu zadanie
państwowej wagi i on je wypełnił. Na
kamiennym obliczu
Grini Lebiediewa wyryta była дума,
świadomość dobrze
wypełnionego obowiązku.
Buldożer przejechał z łomotem mimo nas -
na lustrzanej
powierzchni noża nie było ani jednego
zadrapania, ani
jednej plamki.

GRAFIT

Czym podpisuje się wyroki śmierci:
atramentem, tuszem do
wypisywania paszportów, tuszem do
długopisów,
alizaryną? Można zaręczyć, że ani jeden
wyrok śmierci nie
został podpisany zwykłym ołówkiem.
W tajdze atrament nie jest nam potrzebny.
Deszcz, łzy,

krew rozpuszczą każdy atrament, każdy ołówek chemiczny.

Takich ołówków nie wolno przesyłać w paczkach, zostają skonfiskowane przy rewizjach. Są ku temu dwa powody.

Więzień może podrobić dokumenty, a także taki ołówek - to

drukarska farba służąca do produkcji złodziejskich kart,

„wycierek”, a więc... Dopuszcza się tylko czarny ołówek ze

zwykłym grafitem. Jego odpowiedzialność jest na Kołymie

niezwykła.

Wpatrując się w gwiazdy, w słońce kartografowie

porozprawiali z niebem i ustalili na naszej ziemi punkt

odniesienia. Nad tym punktem, wyciętym w marmurowej

płytcie, na wierzchołku góry lub skały - umocowali trójnóg,

orientacyjny drewniany znak. Trójnóg ten dokładnie

wskazuje miejsce na mapie i od tej góry, na której się

znajduje, poprzez jary i wąwozy, przez leśne polany,

pustkowiec i niezarośnięte błota ciągnie się niewidoczna nić,

niewidzialna siatka południków i równoleżników. W gęstej

tajdze wycina się przesieki - tam każdy zacios, każde

oznakowanie chwywane jest w krzyżujące się nici niwelatora i teodolitu. Pomierzona zostaje ziemia i pomierzona zostaje tajga, a my chodzimy, napotykając na świeżych zaciosach ślad kartografa, topografa, mierniczego ziemi - zwykły czarny grafit. Kołymska tajga porysowana jest przesiekami topografów. A jednak nie wszędzie one istnieją - tylko w lasach otaczających osady, „produkcję”. Pustkowia, polany, nieporośnięte miejsca lasotundry i nagie sopki wrysowane są istniejącymi tylko w powietrzu, wyobrażalnymi liniami. Nie ma tam ani jednego drzewa, aby się na nie zorientować, nie ma pewnych reperów. Repery ustawia się na skałach, na brzegach strumieni, na wierzchołkach nagich gór. I od tych niewzruszonych, biblijnych baz

726

ciągnie się pomiar tajgi, pomiar Kołymy i więzienia. Zaciosy na drzewach - to setki przesiek, przez które w „krzyż nici” teodolitu chwywana jest i przeliczana tajga. Tak, do znakowania zaciosów nadaje się tylko zwykły

czarny ołówek. Nie może być chemiczny.
Chemiczny
ołówek rozpułynie się, rozpuści w soku
drzewa, zostanie
zmyty przez deszcz, rosę, mgłę, śnieg.
Sztucznie
wyprodukowany, chemiczny, nie nadaje się
do
dokonywania zapisów dotyczących
nieśmiertelności,
wiecznego trwania. Ale grafit, węgiel
sprasowany pod
olbrzymim ciśnieniem w ciągu milionów
lat i przemie-
niony, jeśli nie w kamienny węgiel, to w
diament lub w to,
co więcej jest od niego warte - w ołówek,
w grafit, który
potrafi zapisać to, o czym wiedział i co
widział...? To
większy cud niż diament, chociaż
chemiczna natura
diamentu i grafitu jest taka sama.
Instrukcja zabrania topografom używania
ołówek
chemicznych nie tylko dla oznaczeń na
zaciosach. Każda
legenda lub też notatka do niej przy
zdejmowaniu na oko
mapy terenu wymaga grafitu dla jej
uwiecznienia. Grafit -
to przyroda, grafit uczestniczy w
obrotach Ziemi, opierając
się przy tym lepiej oddziaływaniu czasu
niż kamień. Pod

działaniem deszczów, uderzeniami wiatrów
i rzecznych fal
rozpadają się wapienne góry, a młody
modrzew - mający
tylko dwieście lat i życie przed sobą -
zachowuje na swoim
zaciosie cyfrę-znak o związku biblijnej
tajemnicy z
teraźniejszością.

Ten umowny znak w postaci cyfry
kaligrafuje się na
świeżym zaciosie, na świeżej ranie
drzewa broczącego
sokiem, drzewa roniącego żywiczne łzy.
W tajdze można pisać tylko grafitem. W
kieszeniach
topografów, ich waciaków, kamizelek,
bluz, spodni,
półkożuszków zawsze znajdują się kawałki
grafitowych
ołówków.

A przed nimi - papier, notatnik, torba,
zeszyt i drzewo z
zaciosem.

Papier - to jakby jedno ze stadiów
przepoczwarczenia się
drzewa w diament i grafit. Grafit - to
wieczność. Najwyższa
twardość przechodząca w najwyższą
miętkość. Ślad
grafitowego ołówka w tajdze jest wieczny.
Zacios wykonuje się ostrożnie. Na
wysokości pasa robi się
w pniu modrzewia dwa nacięcia i rogiem
siekiery odłamuje

się kawałek żywego drzewa, aby zrobić miejsce na zapis.

Tworzy się coś w rodzaju daszku nad domkiem, kawałek czystej deski z nawisem chroniącym od deszczu, miejsce przygotowane pod wieczysty zapis - praktycznie do końca sześciuset letniego modrzewiowego żywota. Zranione ciało modrzewia upodabnia się do objawionej ikony -Czukockiej Bogurodzicy, Dziewicy Marii

Kołymskiej, oczekującej na cud i objawiającej cud.

A leciutki, subtelny zapach żywicy, zapach modrzewiowego soku, zapach jego krwi wydobytej toporem człowieka

wdycha się jak aromat dzieciństwa, zapach przeobrażonego w rosę kadzidła.

Cyfra została postawiona i raniony modrzew, smagany wiatrem i spalany słońcem, będzie przechowywać ten „punkt orientacyjny”, wyprowadzający w wielki świat z tajgowej głuszy - przez przesiekę do najbliższego trójnogu, do punktu triangulacyjnego na wierzchołku góry, gdzie pod nim, w jamie przywalonej kamieniami znajduje się

marmurowa płyta, na której wyryto
rzeczywistą długość i
szerokość. Ten zapis nie jest dokonany
za pomocą
grafitowego ołówka. I wzdłuż tysiąca
nici ciągnących się
od tego trójnogu, wzdłuż tysiąca linii
prowadzących od
zaciosu do zaciosu powracamy do naszego
świata, żeby
wiecznie pamiętać o życiu. Służba
topografów - to służenie
życiu.
Ale na Kołymie nie tylko topograf
zobowiązany jest do
używania grafitowego ołówka. Oprócz tych,
co służą życiu,
istnieją i ci, co służą śmierci, którym
także nie wolno
korzystać z ołówków chemicznych.
Instrukcja „Archiwum
Nr 3” - tak bowiem nazywa się wydział
rejestrujący zgony
więźniów w łagrze - mówi: „na lewą goleń
więźnia należy
przywiązać zrobioną z dykty tabliczkę z
numerem akt
personalnych. Numer ten powinien być
napisany zwykłym
grafitowym ołówkiem - nie chemicznym”.
Sztucznie
wyprodukowany ołówek przeszkadza
nieśmiertelności.
Wydawałoby się, jaki jest sens liczyć na
ekshumację? Na

nieśmiertelność? Na zmartwychwstanie? Na
przeniesienie
prochów? Czy mało jest na Kołymie
beziemiennych bratnich
mogił, dokąd zwalano zwłoki w ogóle bez
żadnych
tabliczek? Ale instrukcja jest
instrukcją. Teoretycznie
mówiąc - wszyscy goście wiecznej
zmarzliny są
nieśmiertelni i gotowi powrócić do nas,
ażebyśmy im zdjęli
tabliczki z ich lewych goleni i
rozpoznali znajomych i
krewnych.

Byleby numer na tabliczce napisany był
zwykłym czarnym
ołówkiem. Ani deszcze, ani podziemne
źródła nie zmyją
numeru „akt personalnych”, wiosenne wody
nie naruszają
lodu wiecznej zmarzliny, która nigdy nie
poddaje się
letniemu ciepłu i ujawnia swoje
podziemne tajemnice - ale
tylko część, tylko część tych tajemnic.
„Akta personalne”, ich formularz - to
dowód osobisty
więźnia, zawierający zdjęcia z profilu i
en face, odciski
dziesięciu palców obu rąk,

728

rysopis i znaki szczególne. Pracownik
rejestrów, zatrudniony

w „Archiwum Nr 3”, powinien sporządzić akt zgonu więźnia w pięciu egzemplarzach z odciskami wszystkich dziesięciu palców i ze stwierdzeniem ewentualnego wyłamania złotych zębów. Na złote zęby sporządza się oddzielny protokół. Tak było w łagrach od zawsze i wiadomości o wyłamywaniu złotych zębów w Niemczech nikogo na Kołymie nie dziwiły. Niektóre państwa nie chcą tracić złota umarłych. Protokoły o wybitych złotych zębach sporządzane były od wieków w więziennych instytucjach i obozach. Trzydziesty siódmy rok dostarczył śledztwu i łagrom wielu ludzi ze złotymi zębami. Dla tych, których spotkała śmierć w kopalnianych przodkach Kołymy - bo niedługo tam pożyli - złote zęby, wyłamane im po śmierci, były jedynym złotem, które dostarczyli państwu przy wydobywaniu złota w kopalniach Kołymy. Wagowo ilość złota w protezach była większa niż to, co oni zdołali tam wykopać, wygrzebać, wyrąbać kilofem w ciągu swojego niedługiego życia.

Palce zmarłego powinny być pokryte drukarską farbą, więc zapas jej, przy dużym zużyciu, przechowywany jest u każdego pracownika rejestru. Ażeby dla identyfikacji nie wozić ciała uciekiniera, odrąbuje mu się obydwie dłonie - znacznie je łatwiej przewieźć w wojskowej torbie niż ciało trupa. Tabliczka na nodze - to oznaka kultury. Andriej Bogoliubski nie miał jej na nodze - trzeba więc było rozpoznawać po kościach, według obliczeń Bertillona. My wierzymy w daktyloskopię - jej sztuka nigdy nas nie zawodziła, bez względu na to, jak by kryminaliści kaleczyli koniuszki swych palców, opalając je nad ogniem, wytrawiając kwasem, raniąc nożem. Daktyloskopia nie zawodziła - palców jest przecież dziesięć - a nikt z błatniaków nie decydował się na opalenie ich wszystkich. Nie wierzymy Bertillonowi - szefowi wydziału identyfikacji w policji paryskiej, ojcu zasady antropologicznej w kryminologii, gdzie tożsamość ustala się na

podstawie szeregu pomiarów różnych części ciała i ich wzajemnych proporcji. Odkrycia Bertillona nadają się może dla artystów, dla malarzy - nam odległość od końca nosa do końca ucha nic nie dawała. My wierzymy w daktyloskopię. Wszyscy umieją odciskać palce, „grać na fortepianie”. W trzydziestym siódmym, kiedy wymiatano wszystkich, którzy odcisnęli swe palce już wcześniej, każdy wkładał wyuczonym ruchem swe wyuczone palce w wyuczone ręce pracownika więzienia. Odcisk przechowuje się wiecznie w aktach personalnych. Tabliczka Z ich numerem skrywa nie tylko miejsce śmierci, ale i jej tajemnicę. A numer na tabliczce napisany jest grafitem. Kartograf, wytyczający nowe drogi na ziemi, nowe drogi dla żywych ludzi, i grabarz, pilnujący prawidłowości grzebania zgodnie z prawem dla martwych, zobowiązani są korzystać z tego samego - z czarnego grafitowego ołówka.

SENTENCJA

Jakowlewnej Mandelsztam

Ludzie wynurzali się z niebytu - jeden za drugim.
Nieznajomy człowiek kładł się obok na narach,
przyciskając się w nocy do mojego kościstego ramienia,
przekazując odrobinę swego ciepła - mizerne krople - i w zamian otrzymując moje. Bywały noce, że przez resztki buszłata i waciak już żadne ciepło nie dochodziło,
spoglądałem więc z rana na sąsiada jak na martwego,
dziwiąc się trochę, że jak żywy wstaje na wezwanie, ubiera się i pokornie wykonuje rozkazy. We mnie było mało ciepła. Niewiele mięsa zostało już przy moich kościach.
Wystarczało go tylko dla podtrzymywania złości - ostatniego ludzkiego uczucia. Właśnie nie obojętność, lecz złość była ostatnim ludzkim uczuciem - tym, które bliższe jest kościom. W dzień wynurzający się z niebytu człowiek znikał, przepadał na zawsze - węglowy zwiad miał wiele odcinków. Nie znam tych ludzi, którzy spali obok mnie. Nie

zadawałem im żadnych pytań, nie dlatego,
żebym się
kierował arabskim przysłowiem: „Nie
pytaj, to nie będą ci
łgać”. Było mi obojętne, czy będą mi
kłamać czy nie,
istniałem poza prawdą, poza kłamstwem.
Błatniacy ujmują
to szorstkim powiedzeniem, które
przenika głęboka
pogarda wobec pytającego: „Nie wierzysz
- uznaj za bajkę”.
O nic więc nie rozpytywałem i nie
wysłuchiwałem bajek.
Co pozostawało ze mną, aż do końca?
Nienawiść. I nie
rozstając się z nią, liczyłem na śmierć.
Ale śmierć,
niedawno tak bliska, zaczęła się powoli
odsuwać. Zamiast
niej nie przyszło jednak życie, lecz
półświadomość, stan
istnienia, na który brak określeń i
który nie jest życiem.
Każdy dzień, każdy wschód słońca niósł
ze sobą
niebezpieczeństwo nowego, śmiertelnego
wstrząsu. Ale
jednak się nie pojawiał. Pracowałem,
gotując wrzątek -
wykonując najłżejszą ze wszystkich prac,
łżejszą niż bycie
stróżem, ale nie nadażałem z rąbaniem
drew dla tytana -

zbiornika do gotowania wody, systemu „tytan”. Mogli mnie wygonić - ale dokąd?

731

Tajga daleko, a nasza osada, po kołymsku „delegatura” - to jak wyspa w bezmiarze tajgi. Ledwie powłóczyłem nogami, odległość dwustu metrów dzieląca namiot od miejsca pracy wydawała się nieskończenie wielka i niejeden raz siadałem, aby odpocząć. Jeszcze teraz pamiętam wszystkie wyboje, wszystkie jamki, wszystkie bruzdy na tej śmiertelnie trudnej ścieżce; pamiętam także strumień, przy którym kładłem się na brzuchu i chłeptałem chłodną, smaczną, ożywczą wodę. Dwuręczna piła, którą taszczyłem na ramieniu albo wlokłem za sobą, trzymając za jedną rączkę, wydawała mi się niewiarygodnym ciężarem. Nigdy nie potrafiłem zagotować wody na czas, doprowadzić tytana do wrzenia w porze obiadu. Ale nikt z robotników, wolnych - byli to wczorajsi więźniowie - nie zwracał na to uwagi, czy woda kipiała czy nie. Kołyma nauczyła nas wszystkich rozróżniać wodę do picia według

jej temperatury. Albo gorąca, albo zimna,
a nie gotowana
czy surowa.

Nie obchodził nas dialektyczny przeskok
ilości w jakość.

Nie byliśmy filozofami. Byliśmy
robociarzami i nasza
gorąca woda nie miała tej ważnej cechy
przeskoku w
jakość. Jadłem, z obojętnością starając
się zjeść wszystko,
co wpadało w oczy - obrzynki, okruchy
jedzenia,
zeszłoroczne jagody na błocie.

Wczorajszą albo
przedwczorajszą zupę z „wolnego” kotła.
Ale nie,
wczorajsza zupa wolnym nie zostawała.

W naszym namiocie były dwie strzelby,
śrutówki.

Kuropatwy nie bały się ludzi i z
początku strzelano je
wprost przy wejściu do namiotu. Zdobycz
była zapiekana w
całości w popiele ogniska albo gotowana
po dokładnym
oskubaniu. Puch i pierze szły na
poduszki, to także handel i
pewne pieniądze - dodatkowy zarobek
wolnych właścicieli
broni i ptaków w tajdze. Wypatroszone i
oskubane
kuropatwy gotowały się w puszkach po
konserwach -

trzylitrowych, powieszonych nad ogniskiem. Nigdy nie znajdowałem resztek po tych tajemniczych ptakach. Głodne wolne żołądki rozdrabniały, meły wszystkie ptasie kości, nic nie pozostawiając. To także był jeden z cudów tajgi.

Nigdy nie spróbowałem nawet kawałeczka tych kuropatw.

Dla mnie były jagody, korzenie traw, przydziałowa porcja. I

- nie umierałem. Zacząłem bardziej obojętnie, bez nienawiści spoglądać na zimne, czerwone słońce, na nagie góry, gdzie wszystko - skały, zakręty strumieni, modrzewie, topole, wszystko było jakieś kanciaste i nieprzyjazne.

Wieczorami znad rzeki podnosiła się chłodna mgła - i nie było ani jednej godziny w ciągu doby w tajdze, żeby mi było ciepło.

Doskwierały odmrożone palce u rąk i nóg, ciężkie od bólu.

Jaskra-

732

woróżowa skóra tych palców taka już pozostała podatna na zranienia.

Palce były wiecznie poowijane jakimiś brudnymi szmatami

chroniącymi je przed nowym zranieniem,
przed bólem, ale
nie od infekcji . Z dużych palców u nóg
sączyła się ropa i
nie było jej końca.
Budzono mnie uderzeniem w szynę. Z
uderzeniem szyny
kończyłem pracę. Po jedzeniu od razu
kładłem się na nary i
oczywiście nie rozbierając się,
zasypiałem. Namiot, w
którym mieszkałem i spałem, wydawał mi
się jakby zasnuty
mgłą - gdzieś tam poruszali się ludzie,
słysząc było
ordynarne, głośne wyzwiska, wybuchały
awantury, robiło
się nagle cicho przed niebezpiecznym
ciosem. Awantury
same szybko wygasały, nikt nikogo nie
powstrzymywał, nie
rozdzielał, całkiem po prostu gasła ich
siła napędowa i
następowała cisza nocna, zimna, pod
bladym, wysokim
niebem, widocznym przez dziury w
namiocie, z
chrapaniem, stękaniem, rżeniem,
kaszlem i
nieświadomymi przekleństwami śpiących.
Jednego razu w nocy zorientowałem się,
że słyszę te
postękiwania i rżenia. Było to nagłe
odczucie, jakby

olśnienie, ale nie ucieszyło mnie.
Później, przypominając
sobie tę chwilę zdziwienia, zrozumiałem,
że zmniejszyła się
moja potrzeba snu, zapomnienia, utraty
pamięci - że
„odespałem się”, jak mawiał Mojsiej
Mojsiejewicz
Kuzniecowa, nasz kowal - wielki mądrala.
Pojawił się uporczywy ból w mięśniach.
Nie wiem, czy w
ogóle miałem wtedy jakieś mięśnie, ale
tkwiący w nich ból
nie chciał porzucić ciała. Potem
pojawiło się we mnie coś
innego niż złość czy nienawiść. Pojawiło
się zubożenie -
niczego się już nie bałem. Zrozumiałem,
że wszystko mi
jedno - czy będą mnie bić czy nie, czy
dostanę obiad i
swoją porcję chleba - czy też jej nie
dostanę. I chociaż
pracując w zwiadzie geologicznym,
stanowiącym
„delegaturę” bez konwoju, nie byłem bity
- biją tylko w
kopalni - przypomniałem ją sobie,
mierząc moją odwagę
miarą kopalni. To zubożenie, odwaga
stanowiły jakiś
pomost prowadzący od śmierci. Świadomość
tego, że nie
będą mnie tu bić, że nie biją, rodziła
nowe siły, nowe

uczucia.

Po zubożeniu przyszedł strach, nie
bardzo wprawdzie
silny - prędzej obawa utraty tego
zbawczego dla mnie
sposobu życia, tej ratującej mnie pracy
przy gotowaniu
wody, wysokiego, chłodnego nieba i
ćmiącego bólu w
zniedołężniałych mięśniach. Zrozumiałem,
że boję się, aby
nie odjechać stąd do kopalni. Całkiem po
prostu boję się.

Nigdy w życiu nie szukałem czegoś, co
jest lepsze od
dobrego. Moje kości z dnia na dzień
obrastają mięsem.
Zazdrość - tak właśnie nazywało się to
następne

uczucie, które powróciło do mnie.

Zacząłem zazdrościć

moim martwy[^] towarzyszom - ludziom,
którzy zginęli w

trzydziestym ósmym roku Zacząłem też
zazdrościć moim

żyjącym sąsiadom, którzy coś tam żują
którzy zapalają

jakiegoś papierosa. Nie zazdrościłem
tylko naczelnikowi

kierownikowi robót, brygadziście - to
był inny świat.

Miłość nie powróciła do mnie. Ach, jakże
odległa jest

miłość od zazdrości, od strachu, od
złości. Jak mało jest ona

ludziom potrzebna! Miłość przychodzi
wtedy, gdy
wszystkie inne ludzkie uczucia zdołały
powrócić. Miłość
przychodzi ostatnia, ostatnia powraca,
ale czy powraca?
Nie tylko zubożenie, strach i
zazdrość zaświadczały mój
powrót do życia. Litość nad zwierzętami
powróciła
wcześniej niż współczucie w stosunku do
ludzi.
Jako najśłabszy w tym świecie szurfów i
rozpoznawczych
szybów, pracowałem razem z topografem –
nosiłem za
nim łątę i teodolit. Bywało, że dla
zwiększenia szybkości
poruszania się topograf zarzucał na
plecy rzemienie
teodolitu, a mnie pozostawała leciutka
łąta z
wymalowanymi na niej cyframi. Topograf
sam był
przedtem więźniem. Dla dodania sobie
odwagi – tego lata
w tajdze było wielu uciekinierów –
topograf włókł ze sobą
małokalibrowy karabinek wyproszony u
naczalstwa. Ale
karabinek jedynie nam przeszkadzał. I
nie tylko dlatego, że
był dodatkowym przedmiotem w naszej
trudnej wędrówce.

Siedliśmy raz, by odpocząć na polanie, i topograf, bawiąc się bronią, przymierzył się do czerwobrzuchego gila, który podleciał, aby z bliska rozeznąć zagrożenie i odciągnąć wroga. Samiczka gila siedziała gdzieś na jajkach - tylko tym dało się wytłumaczyć szaleńczą odwagę ptaszka. Topograf złożył się, ale ja odsunąłem lufę w bok. Zabierz broń! Co ty? Oszalałeś? Zostaw ptaka i koniec. Zamelduję naczelnikowi. Czort z tobą i twoim naczelnikiem. Topograf nie chciał jednak zwady i nic naczelnikowi nie powiedział. A ja pojąłem, że powróciło do mnie coś bardzo ważnego. Nie pierwszy rok nie widziałem na oczy gazet i książek, od dawna przyuczywszy się nie żałować tej straty. Każdy z pięćdziesięciu moich sąsiadów, mieszkańców dziurawego brezentowego namiotu, miał podobne odczucia - nie pojawiła się w nim ani jedna gazeta, ani jedna książka. Wyższe naczalstwo - kierownik robót, naczelnik zwiadu,

dziesiętnik - zjawiało się w naszym świecie bez książek.

Mój język, ordynarny kopalniany język, był biedny - podobnie jak uczucia ożywiające jeszcze moje kości.

Pobudka, rozprowadzenie do różnych robót, obiad, koniec

pracy, koniec dnia, obywatelu naczelniku, pozwólcie się

zwrócić, łopata, szurf, tak jest, świder, kilof, zimno na dwo-

rze, deszcz, zimna zupa, gorąca zupa, chleb, porcja, zostaw

popalić - już nie pierwszy rok obchodziłem się

dwudziestoma słowami. Połowa z nich to były

przekleństwa. W czasach mojej młodości, w dzieciństwie,

istniała taka anegdota, jak podróżującemu za granicą

Rosjaninowi wystarczało tylko jedno słowo wymawiane w

różnych intonacyjnych kombinacjach. Bogactwo rosyjskich

przekleństw, jego niewyczerpane możliwości obrażania, nie

odkryło się przede mną ani w dzieciństwie, ani w młodości.

Anegdota na temat przekleństw wyglądała tutaj jak język

jakiejś pensjonarki. Ale ja nie szukałem innych słów. Czy

one istniały - nie wiedziałem. Nie
potrafiłem na to
odpowiedzieć.

Byłem przerażony, oszołomiony, kiedy w
mym mózgu, o tu

- dokładnie to pamiętam - pod prawą
kością ciemieniową
- narodziło się słowo zupełnie w tajdze
nieprzydatne,

słowo, którego ja sam nie rozumiałem,
nie mówiąc o moich

towarzyszach. Wykrzyknąłem to słowo:

„Sentencja!

Sentencja!" Zaśmiałem się.

Sentencja! - krzyczałem wprost w

północne niebo, do

podwójnej polarnej zorzy, nie rozumiejąc
jeszcze znaczenia

tego słowa, które zrodziło się we mnie.

A jeśli ono tylko

powróciło - to tym lepiej! Przepełniła
mnie wielka radość.

Sentencja! To ci wariat! Rzeczywiście

wariat! Czyś ty

cudzoziemiec, czy co? - zjadliwie pytał
mnie górniczy

inżynier Wroński. Ten sam Wroński od
trzech okruchów

tytoniu: Wroński, daj zapalić.

Niestety, nie mam.

No, chociaż trzy okruszyny.

Trzy okruszynki? Proszę.

I brudnym palcem wyciągał z kapciucha
pełnego machorki

trzy okruszki tytoniu.

„Cudzoziemiec?” - to pytanie przenosiło
nasz los w świat
prowokacji i donosów, śledztwa i
dodatkowych wyroków.
Ale mnie nie obchodziło prowokacyjne
pytanie
Wrońskiego. Odkrycie było ogromne.
Uczucie złości - to ostatnie uczucie,
wraz z którym
człowiek odchodził w niebyt, powracając
do materialnego,
nieożywionego świata. Ale czy martwego?
Nawet kamień
nie był dla mnie martwy, nie mówiąc już
o trawie, drzewach, rzece. Rzeka była
nie tylko
uosobieniem życia, nie tylko jej
symbolem, ale i samym
życiem. Życiem był jej wieczny ruch,
spokój, niemilknąca
swoista rozmowa, własne zadanie, które
każe jej biec wraz
z prądem przeciw wiatrowi, przebijając się
przez skały,
przecinać stepy
łąki. Rzeka zmieniała wysuszone przez
słońce, obnażone
koryta i ledwie widoczną nitką wody
przeciskała się gdzieś
tam pomiędzy kamieniami, spełniając swój
odwieczny
obowiązek - strumyczek pozbawiony
nadziei na pomoc
nieba - na zbawczy deszcz. Pierwsza
burza, pierwsza ulewa

- i woda znosiła brzegi, kruszyła skały,
wyrzucała z
korzeniami drzewa i wściekle gnała w dół
tą swoją
odwieczną drogą...

Sentencja! Sam sobie nie wierzyłem,
bałem się, zasypiając,
że w ciągu nocy zniknie to odnalezione
słowo. Ale słowo
nie znikało.

Sentencja! Niechże tak nazwą rzeczkę,
przy której stała
nasza osada, nasza delegatura „Rio-rita”.

W czym jest ta
nazwa lepsza od „Sentencji”? To zły smak
władającego
ziemią kartografa wprowadził na światowe
mapy Rio-ritę. I
nie można już poprawić.

Sentencja - w tym słowie tkwiło coś z
Rzymu, z łaciny,
jakaś nieugiętość. Dla mnie, w
dzieciństwie, starożytny
Rzym obrazował historię walki
politycznej, zmagania ludzi, a
starożytna Grecja była królestwem sztuki,
choć w Grecji
byli również politycy i mordercy, a w
Rzymie było wielu
ludzi sztuki. Ale moje dzieciństwo
wkrótce zaostrzyło
widzenie tych dwu tak różnych światów,
ukierunkowało je,
zawęziło i rozdzieliło. Sentencja - to
rzymskie słowo.

Przez cały tydzień nie mogłem dojść, co
znaczy słowo
„sentencja”. Wymawiając je szeptem,
straszyłem i
śmieszyłem moich sąsiadów. Pragnąłem je
odgadnąć,
wyjaśnić, przetłumaczyć... A po tygodniu
wreszcie
zrozumiałem - i zadrżałem od strachu i
radości. Strach - to
była obawa powrotu do tego świata, dokąd
wrócić nie
mogłem. Radość - dlatego, że widziałem,
jak powraca do
mnie życie pomimo mojej własnej woli-
Minęło wiele dni,
zanim nauczyłem się przywoływać z głębin
mózgu wciąż
nowe i nowe słowa, jedno za drugim.
Każde wydostawało
się z trudem, pojawiało się nagle i
każde oddzielnie. Myśli i
słowa nie powracały ciągłym strumieniem.
Każde
powracało w pojedynkę, niekonwojowane
przez inne,
znane, i najpierw zjawiało się poprzez
język, a potem wyła-
niało się z mózgu.
A później nadszedł dzień, kiedy wszyscy,
pięćdziesięciu
robotników, wszyscy rzucili pracę i
pobiegli w kierunku
osady, nad rzekę, wyłaząc ze swych
szurfów i rowów,

porzucając niedopiłowane drzewa i
niedogoto-
waną zupę w kotle. Wszyscy biegli
szybciej ode mnie, ale i
ja, zbiegając z góry, dokuszykałem na
czas, pomagając
sobie przy tym rękami.
Z Magadanu przyjechał naczelnik. Dzień
był jasny, gorący i
suchy. Na ogromnym modrzewiowym pniu
przy wejściu do
namiotu stał patefon. Grał, pokonując
syczenie igły, jakąś
symfoniczną muzykę.
I wszyscy stali w krąg - mordercy i
koniokrady, błatniacy i
frajerzy, dziesiętnicy i robociarze.
Naczelnik stał obok.
Miał taki wyraz twarzy, jakby to on sam
napisał dla nas tę
muzykę, dla naszej głuchej delegatury.
Ebonitowa płyta
kręciła się i syczała, a z nią obracał
się sam pień, nakręcony
na swoje trzysta kręgów, nawinięty jak
mocna sprężyna na
całe trzysta lat...